

KAZIMIERZ SEJDA

C.K.

DEZERTERZY

SPIS TREŚCI

OD AUTORA	3
POLITYCZNIE PODEJRZANY	6
SWÓJ MIĘDZY SWYMI	16
SAMOBÓJSTWO OBERLEJTNANTA	41
POSKROMIENIE CESARSKO-KRÓLEWSKIEGO PATRIOTY	66
INSPEKCJA	77
PODRÓŻ	128
W BUDAPESZCIE	142
KATASTROFA	166
PROMOCJA NA WETERYNARZY	196
STACJA ZABŁĄKANYCH DUSZ	214
FINIS AUSTRIAE	233

OD AUTORA

Położenie tak zwanych państw centralnych nie przedstawiało się z końcem roku 1917 zbyt różowo. Starej monarchii groziła zagłada, coraz bliższa i nieuchronna.

Naczelne dowództwo miało się w bezcelowych paroksyzmach, zmierzających do znalezienia środka ratunku, którego, z wyjątkiem kilku generałów, nikt się nie spodziewał.

W tym to czasie znalazł się w Austrii mąż opatrnościowy, który, pragnąc uratować zapadającą się w otchłań klęski ojczyznę, wpadł na genialny pomysł, mogący, według jego mniemania, wyrzucić decydujący wpływ na losy monarchii.

Pomysł ten był nieskomplikowany, jak nieskomplikowany był jego autor, pan komendant Ergänzungsbezirkskommando, czyli po polsku PKU.

Ponieważ dwanaście ofensyw nad Isonzò, Piavą i Tagliamento, w których brało udział kilka wyborowych korpusów, nie mogło przełamać oporu zaciekle broniących się Włochów, wzmiankowany pan komendant uznał, że opór ten przełamać może skutecznie tylko jeden człowiek.

Ja.

W jesieni roku 1917 otrzymałem lakoniczne wezwanie, opatrzone klasyczną cesarsko-królewską pieczęcią, abym się stawił przed komisją poborową z powodu ukończenia lat 18, a więc wieku, w którym wierny poddany ma prawo do zbierania laurów pod czarno-żółtym sztandarem.

Wezwanie do zaszczytnej służby przyjąłem bez zbytniego entuzjazmu.

Po pierwsze, byłem członkiem pewnej konspiracyjnej organizacji niepodległościowej i miałem z tej racji dosyć roboty w kraju, a po wtóre - nie żywiłem żadnych wrogich zamiarów wobec Ententy.

Moje dotychczasowe stosunki z J.K.M. królem Włoch były bardzo poprawne i nic nie mąciło panującej między nami od tylu lat harmonii. Nie miałem żadnych pretensji ani do cesarza japońskiego, ani do prezydenta Francji, jeżeli zaś chodzi o króla angielskiego, to miałem dla niego wiele sympatii wynikającej ze wspólnych upodobań: obaj zbieraliśmy znaczki pocztowe.

Nic też dziwnego, że perspektywa wystąpienia przeciwko nim z bronią w ręku bynajmniej mi się nie uśmiechała.

Problem był bardzo przykry i starałem się rozwiązać go przede wszystkim w sposób

ogólnie w owym czasie praktykowany. Pewien specjalista "uwalniacz" skierował mnie do drugiego specjalisty, który za opłatą trzystu koron przyprawił mnie na kilka dni przed komisją poborową o skomplikowany artretyzm, połączony z opuchnięciem stawów, co mi jednak niewiele pomogło. Wy tłumaczył mi mój błąd przewodniczący komisji poborowej, sklerotyczny pułkownik, w sposób bardzo lapidarny i bezapelacyjny:

- Ile macie lat? Osiemnaście? Na pewno przejdzie! W waszym wieku miałem to samo i nic. Zdrow jestem jak byk!

Z rozmów, jakie następnie przeprowadziłem w ubieralni, wynikało, że pan pułkownik był swego rodzaju fenomenem: chorował na wszystkie te choroby, na które uskarżali się poborowi, i zawsze był zdrow jak byk.

Kiedy próbowałem wyrazić wątpliwość, czy na opuchniętych nogach będę mógł wędrować po włoskich górach, pan pułkownik najeżył się i zamknął dyskusję krótko:

- Feldwebel! Schmeissen sie diese freche polnische Schweinsfratze raus, dass er die Zähne verliert! (Sierzancie! Wyrzućcie ten bezczelny polski ryj tak, żeby zęby pogubił!).

Mnie wyrzucono za drzwi, a ja trzysta koron w błoto.

Poszedłem więc do wojska.

Po krótkim wyszkoleniu w kadrze pewnego galicyjskiego pułku piechoty zostałem wysłany na front włoski. Kółka POW, złożone z b. legionistów wszystkich brygad, którzy zostali wcieleni do oddziałów austriackich, działały sprawnie i sprężysto. Po kilku dniach pobytu na froncie zostałem doskonale poinformowany o tym, w jaki sposób mam się dostać do Santa Maria di Vettore Capua, gdzie tworzą się oddziały polskie.

Na sposobność czekałem niedługo.

W jednym zwariowanym ataku pod Udine pragnąłem, wraz z dwoma towarzyszami, za wszelką cenę dostać się do hańbiącej niewoli. Niestety, spotkał nas zawód, Reduta, do której pędziliśmy jak szaleni, została jeszcze w nocy opuszczona przez Włochów, którzy pozostawili w niej tylko kilku zabitych. Nie było ani jednego bodaj ciężko rannego, który by nas mógł wziąć do niewoli. A byliśmy gotowi nieść nawet takiego na rękach, byleby nas tylko "chwycił".

Bohaterstwo nasze zostało zauważone i przyniosło nam w wyniku "małe srebrne medale waleczności".

Medale te pogłębiły tylko panujące między mną a moim cesarzem nieporozumienie. Byłem młody, hardy i zarozumiały. Kilka razy w prywatnych pogawędkach, podczas służbowego bicia wszy w rowie łącznikowym, wyraziłem swoje poglądy na wynik wojny i poglądy te tak dalece zainteresowały K-stelle (Kundschaftstelle - Oddział II dowództwa

austriackiego), że papiery moje opatrzone dyskretnym stempelkiem "P. V.", co oznaczało: Politisch Verdächtig (politycznie podejrzany). Zostałem wycofany z frontu i rozpocząłem bujny okres służby etapowej.

Pilnowałem więc jeńców włoskich rozmieszczonych w obozach nad Sawą i Driną, konwojowałem transporty wojskowe idące z Austrii na Ukrainę, do Rumunii i na Bałkany. Wozilem amunicję artyleryjską do portów Morza Czarnego; konwojowałem również wagony napelnione darami, tzw. Liebesgaben, dla armii niemieckiej walczącej w Syrii. Jeździłem koleją, tłukłem się podwodami zaprzężonymi w konie, woły i muły; wspinałem się na pasma górskie Alp Południowych, góry Gorycji i Trydentu; z Alp Transylwańskich zjeżdżałem, w nizinę Dunaju, którego wody nieraz mnie niosły, jak i wody Sawy i Maricy. Nasiąkałem wrażeniami jak gąbka, chłonałem je chciwie, nie mogłem nasycić zawsze głodnych uszu i oczu. W nozdrzach mam jeszcze zapach ogrodów różanych Macedonii, puszt węgierskich i stepów ukraińskich, a w ustach smak wina włoskiego, węgierskiego i rumuńskiego, które piłem w małych zajazdach na rozstajach dróg - szlakach mojej włóczęgi.

Kląłem wszystkimi narzeczami używanymi przez narody i plemiona zamieszkujące przestrzenie Europy od Morza Czarnego do Adriatyku, a umiejętnością tą w krótkim czasie potrafiłem zadziwić nawet autochtonów.

Barwne to było życie i radowało mnie, albowiem "młode było serce moje".

Z końcem lata 1918 roku przeniesiono mnie na Węgry, do pewnego oddziału wartowniczego w zapadłej mieścinie, gdzie spotkałem pokrewne mi dusze.

Dotychczasowa służba nauczyła mnie ryzyka i przełożeni z miejsca oceniali mnie właściwie. Nazywano mnie zdrajcą, zakałą wojska, podżegaczem i parszywą owcą. W obawie przed demoralizacją towarzyszy, starano się zawsze trzymać mnie od nich z dala i wysyłano na różne kursy, z których wracałem po kilku dniach z opinią idioty i kretyna, czym wprowadzałem w osłupienie mego dowódcę, który miał o mnie mniemanie biegunowo przeciwne.

Miarka się wreszcie przebrała i pewnej nocy obudziłem się w areszcie, nękany natrętną wizją szubienicy; złamałem więc narzuconą mi przysięgę i wraz z kilkoma towarzyszami pożegnałem się ostatecznie ze swą kompanią.

Na tle mej służby i dezercji powstała właśnie ta opowieść, która w lwiej części jest aż nadto prawdziwa. Trochę tylko przetasowałem czasokresy, ludzi i miejsca i powiązałem fakty w jedną całość.

POLITYCZNIE PODEJRZANY

- Sátoralja-Ujhély! - wpadło wraz z silnym podmuchem wichru w otwarte gwałtownie drzwi przedziału, słabo oświetlonego łożówką.

Leżąca na ławce postać w szarym płaszczu żołnierskim poruszyła się.

- Czego?

- Aussteigen (Wysiadać), żołnierzyku, twoja stacja.

Żołnierz zerwał się szybko, chwycił z półki dobrze wypchany plecak, w drugą rękę ujął zawieszony na haku karabin i wyskoczył z wagonu.

Przez chwilę stał i rozglądał się. Szalejąca zamieć śnieżna ogarniała wszystko gęstym, gwizdzącym, białym tumanem, przez który, jak zza mgły, błyskały światła stacyjne.

Zmyślnie odwracając głowę od ataków wiatru, wszedł na peron, zajrzał przez okno do zatłoczonej żołnierstwem poczekalni III klasy, po czym wkroczył do wnętrza. Buchnęło nań ciepłe powietrze zmieszane ze specyficznym w żołnierskim tłumie zapachem skóry i potu.

Rozejrzał się, znalazł miejsce na ławie pod ścianą, złożył plecak i karabin, potem opuścił kołnierz płaszcza, odwinął szalik i podszedł do bufetu.

- Dajno, panienko, coś gorącego do wypicia. Czarnowłosa kobieta w średnim wieku popatrzyła na niego zamglonym wzrokiem i pokręciła głową.

- Nem tudom (Nie rozumiem).

- No to po co tu siedzisz?

Niewiasta wzruszyła ramionami i flegmatycznie czyściła dalej noże.

Stojący przy bufecie landszturmista z czarno-żółtą opaską, na której widniały inicjały "Feldpolizei", na ramieniu, odstawił szklanę piwa.

- Ona jest nowa i nie nauczyła się jeszcze mówić po niemiecku. Zwróć się, kolego, do tej młodej, przy samowarze.

- Was wünschen sie, Herr Gefreiter (Co pan sobie życzy, panie frajter) - zapytała fertyczna bufetowa.

- Szklanę gorącej herbaty i coś dobrego do zjedzenia, panienko. - Mamy świeże parówki, ile?

- Te parówki są końskie czy ośle? Bufetowa pokazała wszystkie zęby.

- Prawdziwe wieprzowe, panie frajter! My tu, na Węgrzech, jeszcze koni nie jadamy.

- Z ręką na sercu?

- Z ręką na sercu. - Bufetowa położyła dłoń na rozdygotanym ze śmiechu biuście. -

Zaraz widać, że pan z głodnego kraju przyjechał.

- Nie wierzę. Położyła pani rękę na prawym sercu - z powagą rzekł frajter.

- Więc kładę na lewym... wierzy pan teraz?

- Teraz wierzę i wobec tego zamawiam, młoda osobo, cztery pary z chrzanem, A zanim się zagrzeją, wypiję herbatę.

Łykając gorącą herbatę, ścigał oczyma bufetową.

Po kilku minutach postawiła przed nim dymiącą salaterkę z parówkami.

Frajter wyjął z kieszeni portfel i położył banknot dziesięciokoronowy na ladzie.

- Płacę! A jeśli po tych parówkach coś złego mnie spotka, odziedziczy pani po mnie karabin i bagnet. Resztę odeśle pani do Lwowa.

- Pan Polak?

- Polak, królowo.

Bufetowa wydała mu resztę i oparła się łokciami o bufet.

- Daleko pan jedzie?

- Zależy od pani - odpowiedział zajądając frajter - jeśli mi pani powie, żebym został, żadna siła ludzka stąd mnie nie wyrwie.

- Czy każdej kobiecie jest pan taki posłuszny?

- Każdej z takimi oczami i ustami jak pani. Bufetowa spojrzała na niego zalotnie.

- Więc jeśli powiem, żeby pan został, zostanie pan? Nie boi się pan sądu?

- Sądu mógłbym, się wtedy obawiać, droga czarnulko, gdybym stąd wyjechał. Trzeba pani wiedzieć, że jestem tu przydzielony i teraz przyjechałem.

- No, przynajmniej jeden sympatyczny człowiek będzie w tej kompanii wartowniczej - oświadczyła bufetowa.

Frajter ze zdziwieniem spojrzał na nią swymi błękitnymi oczami.

- A pani skąd wie, że ja do kompanii wartowniczej?

- Pi... od razu można się domyślić. Jeżeli pan jest Polak, młody, zdrowy i przydzielają pana do nas, to jest pan bezwarunkowo politycznie podejrzany. Zgadłam?

- Ale z pani detektyw, no, no! Rzeczywiście, jestem "P.V." A skąd pani tak wszystko odgaduje?

- Ja bym czego nie wiedziała? Dwa lata już tu jestem. I powiem panu, że będzie pan tu miał niezgorsze towarzystwo w tej kompanii wartowniczej. Same łobuzy.

- Ślicznie! Czy wyglądam na takiego łobuza?

- Ależ nie! Przeciwnie! Większej bandy huncwotów nie znajdzie pan jak Węgrzy długie i szerokie. Sami politycznie podejrzani.

Bufetowa dobrze widać znała miejscowe stosunki wojskowe, wbrew wszelkim ostrym, jawnym i tajnym, rozkazom Naczelnego Dowództwa, i mówiła o tym z całą swobodą.

- Cieszę się z pańskiego przybycia. Będzie przynajmniej jeden sympatyczny człowiek - powiedziała raz jeszcze. Frajter spojrział na nią wyraziście.

- Czy pani to mówi szczerze, czy też po to, żebym zjadł więcej parówek?

- No, wie pan... Jak tak można? Widać, że pan o mnie jeszcze nic nie słyszał. Ja nigdy nie mówię niczego na wiatr. I powiem panu jeszcze, że... że nie z każdym tak rozmawiam jak z panem. - Niech się pani nie gniewa, tak sobie to powiedziałem. - Wyciągnął do niej dłoń.

- Zgoda?

Bufetowa pogroziła mu palcem, kiedy krzepko uścisnął jej rękę.

- Za szybko się pan spoufalił.

- Taki już jestem. Ale spoufalam się tylko z tymi, którzy mi się bardzo podobają. Z tą czarną nie mógłbym tak swobodnie i szczerze rozmawiać.

- A czemuż to?

- Przede wszystkim nie podoba mi się, a po wtóre nie rozumie po niemiecku...

- Ach, wy Polacy! Umiecie zawracać głowy.

- Zdążyła się już pani o tym przekonać?

- Był tu jeden pisarz z komendy dworca, ale... - bufetowa westchnęła - żonaty.

- Bałwan! I przyznał się pani do tego? Ja, żebym był trzy razy żonaty, rzuciłbym wszystko dla pani jednej.

- No, no.

- Mam nadzieję, że będziemy się widywali często. - Frajter odsunął salaterkę. - Będę do pani zachodził na pogawędkę, bardzo przyjemnie się z panią rozmawia.

- Jeśli pan chce przychodzić, to tylko bez kolegów, dobrze? Ale, ale... niech pan zdejmie czapkę, dobrze? Na chwilę... Frajter ze zdziwieniem podniósł brwi do góry i zdjął czapkę.

- Dziękuję! Ma pan taki kolor włosów, jaki lubię. Do widzenia!

Kiwnęła mu wesoło ręką i z uśmiechem odeszła na drugi koniec bufetu, igdzie apatyczna Madziarka słuchała niemieckiego wymyślania jakiegoś żołnierza.

- Rezolutna szelma - mruknął frajter wkładając czapkę i ruszył do swoich bagaży. Włożył na ramiona plecak, ujął karabin w rękę i rzuciwszy dziewczynie całusa w powietrzu wyszedł na peron.

Przed drzwiami komendy dworca ostukał trzewiki o próg, poprawił ładownicę, sprawdził, czy wszystkie guziki są zapięte, i zapukał.

Z wnętrza huknęło donośnie: Herein! (Wejść!).

Wszedł, zaniknął za sobą drzwi i rozejrzał się.

Przy małym piecyku żelaznym siedział pod ścianą żołnierz w koszuli i naprawiał mundur.

Frajter przepatrzył szybko wszystkie kąty.

- Całe Bahnhofskommando to ty i ten piec, He? Żołnierz położył bluzę na kolanach.

- A tobie do ostemplowania parszywego dokumentu podróży kto jest potrzebny? Arcyksiążę?

- Tylko mnie nie tykaj, pfajfendeklu! Frajter jestem. Żołnierz odwinął kołnierz trzymanej na kolanach bluzy i pokazał naszytą gwiazdkę.

- Jestem taka sama ekscelencja, jak ty! Czego chcesz? Przybyły postawił karabin pod ścianą.

- Ostempluj mi dokument. Przyjechałem teraz.

- Na stałe?

- Przydzielony jestem do kompanii wartowniczej. Pisarz wziął w rękę dokument.

- P. V.?

- Jawohl. (Tak jest).

Pisarz skinął głową, przyłożył pieczęć na dokumencie i podpisał się, po czym zwrócił go frajtrovi.

- A masz ty prawo podpisywać "w zastępstwie"? Pisarz popatrzył na przybyłego z pogardliwym współczuciem i splunął.

- Nie, nie mam prawa. A kto ci podpisze, niedojdo? Pułkownikom podpisują i nic, a tu się frajter stawia.

- Bahnhofskommandanta tu nie ma?

- A on tu na co potrzebny, jeżeli ja jestem? Żłopie pewnie wino w jakiejś knajpie.

- Nieźle tu u was służba idzie.

- Niczego sobie. Masz co zapalić? Dawaj, kolego. Jak wynikało z nawiązanej rozmowy, frajter miał rzeczywiście do wszystkiego prawo, gdyż cały personel komendy dworca, składający się z lejtnanta, feldfebla i ordynansa, był nieobecny.

- Ja mam, bracie, służbę na zmianę z feldfeblem. Razem tośmy się jeszcze nie spotkali - opowiadał pisarz - a najczęściej urzęduję we dwójkę z ordynansem. Lejtnant pokazuje się tylko wtedy, kiedy jakiś większy transport przejeżdża.

- Jedwabne życie - rzekł przybysz kręcąc głową. - A blankiety dokumentów podróży masz? Pisarz spojrział spod oka na gościa.

- To zależy - odpowiedział po namyśle.

- Od czego?

- Od tego... - znaczący ruch palcem wskazującym i kciukiem był aż nadto wymowny.

- Kto wie, czy mi to czasem nie będzie potrzebne. Będę do ciebie zachodził. W karty grywasz?

- Zawsze.

- No, to dobrze.

Gość ujął karabin w rękę.

- Gdzie to ta kompania wartownicza?

- Pójdiesz prosto do końca peronu, potem kilometr wzdłuż toru, aż do budki wartownika. Dalej pokażą ci.

- Serwus!

- Serwus!

Frajter wyszedł na peron, podniósł kołnierz i ruszył we wskazanym kierunku. Szedł ze schyloną głową, bystro wypatrując wydeptanej w śniegu, ciemnej smugi ścieżki. Walcząc ze śnieżną wichurą doszedł do stojącej obok toru budki, z której wyjrzał szczelnie okutany wartownik.

- Kompania wartownicza? Za przejazdem, pierwsze dwa budynki drewniane.

Frajter zeszedł z torów i znalazł się przed bramą opatrzoną dużym szyldem, ozdobionym dwugłowym orłem.

Minął smarkającego w budce wartownika i wszedł do pierwszego baraku.

Przed jakimiś drzwiami, zaraz obok głównego wejścia, przeczytał w słabym świetle lampy naftowej napis: Kompaniekommando.

Otrzepał śnieg z płaszcza, poprawił na sobie ryszunek i zapukał.

- Herein!

Wszedł i stanął przy drzwiach przygotowany do służbistego zameldowania swego przybycia.

Za stołem siedział żołnierz o semickich rysach twarzy i pił kawę z menażki czytając równocześnie gazetę.

- Co powiecie, człowieku? - zapytał nie odrywając wzroku od gazety.

Frajter rozejrzał się w ten sam sposób, jak w komendzie dworca, i postawił karabin.

- Przede wszystkim, gryziopórku, nie jestem dla ciebie żaden człowiek, tylko frajter!

- Frajter? - Żołnierz łyknął z menażki i odłożył gazetę, nie zmieniając przy tym pozycji. - Witam pana uniżenie, szanowny panie frajter!

Przybyły szeroko otworzył oczy.

- Karność, psiakrew! - mruknął po polsku. Żołnierz podskoczył na krześle.

- Polak?

- Polak.

- Daj pan grabę! Siadaj pan! - przemówił po polsku. - Wypije pan kawy? Zje pan konserwę?

Frajter był trochę zaskoczony tym niespodziewanym wybuchem serdeczności.

Tymczasem żołnierz mówił dalej:

- Bardzo się cieszę, panie... jak godność?

- Na razie nazywam się Kania... Stefan Kania.

- Skąd?

- Ze Lwowa,

Żołnierz podszedł do niego i ujął jego dłoń.

- Haber... Izydor Haber. Handel drzewem en gros i tartak w Skolem. Zdejm pan płaszcz i siadaj pan, panie Kania. Nareszcie będę miał z kim pogadać.

Żołnierz okazał tyle naturalnej serdeczności, że Kania ujęty tym rozpogodził oblicze, zdjął płaszcz i usiadł przy stole.

- Więcej Polaków tu nie ma? - zapytał po chwili krzątającego się żwawo przy piecyku rodaka.

- Panie! Pan nie wie, ile pan radości mi sprawił. Siedzę tu jak Robinson na bezludnej wyspie. Wszystkie narody ma pan w tej kompanii, lecz ani jednego Polaka! Ani na lekarstwo!

- No, to dobrze. Mówmy sobie "ty".

- Wypijesz kawę, będziesz co jadł? - Nie, jeść mi się nie chce, ale gorącej kawy wypiję.

- Zaraz będzie. - Pisarz zaczął się krzątać z żywotnością zupełnie nie odpowiadającą jego okrągłej postaci. - Poczekaj chwilę.

Wyszedł do przyległego ciemnego pokoju, skąd wrócił niebawem z dwiema garściami małych słodkich sucharów oficerskich, które wysypał na stół.

- Zwędziłem feldfeblowi - przyznał się szczerze. - Ma świnia cały kuferek, co kilka dni odsyła taki transport do domu.

Nalał kubek kawy i zachęcając gościa do picia usiadł i splótł dłonie na stole.

- Skąd przyjechałeś, z frontu czy z kadry?

- Z kadry.

- Rekonwalescent?

- Politisch verdächtig, streng beobachten... (Politycznie podejrzany, surowo nadzorować...)

- Legiony? Propaganda? Frajter popił i machnął ręką.

- Dużo by o tym trzeba mówić. Mam tyle grzechów na sumieniu, że sam się nieraz dziwię, dlaczego mnie dotąd nie rozstrzelali. Powiem ci krótko. Widzisz ten karabin? Jakem go zafasował w czternastym roku, tom z niego może z dziesięć razy wystrzelił. A byłem już na dwóch frontach. Na dobrą sprawę nie wiem, po co go z sobą wożę. A służyłem już wszędzie, z wyjątkiem marynarki i lotnictwa. Starczy ci?

Haber ze zrozumieniem skinął głową i dodał:

- A ja, bracie, znam bez mała połowę wszystkich szpitali wojskowych w monarchii, w pasach przyfrontowych i obszarach okupowanych. Od roku wyszły mi, psiakrew, choroby i trafiłem tutaj. Ze mnie też pociechy wielkiej nie mają.

- A tu jak? Haber westchnął.

- Głód, nędza, mauhalten, abtreten! (stulić pysk, odmaszerować!). Frajter odstawił kubek i wyjął z kieszeni papierosy.

- Dowódca kto?

- Kapitan Zivancić.

- Sadysta, świnia, pijak?

- Pić, pije zdrowo, ale ujdzie. Zastępca jego oberlejtant Giser, też ujdzie. Obaj są także "P. V.". Dali ich tu dla izolacji. Podoficerowie - przeważnie swoi ludzie. Ani dowódca, ani oberlejtant nie wtrącają się prawie wcale do służby, bo stale chłają albo jeżdżą do Pesztu na zabawę. Za często ich się tu nie widuje.

Wszystko robi dinstfirender, Niemiec; drań z niego niegorszy, ale myśli tylko o tym, żeby jak najwięcej paczek z żarciem do domu wysyłać i też nie bardzo przejmuje się służbą. Nie lubi mądrali; urzęduję tu z nim dlatego, że mam oczy i uszy zamknięte na głucho i udaję półgłówka. A znam tyle jego tajemnic, że mógłbym go wsadzić dożywotnio. Przed nim bądź skromny i rób z siebie ofertę, a zyskasz sobie jego zaufanie. Frajter skrzętnie notował w pamięci cenne informacje.

- Kiedy mu się zameldować?

- Najlepiej zaraz, to będziesz miał już spokój. Pójdę go zawołać z kantyny.

Haber zgarnął ze stołu pozostały cwibak oficerski do kieszeni, zabrał menażkę i kubek.

- On się mnie czasem słucha i kto wie, czy nie będzie cię można wkręcić na jaką funkcję. Ubierz się i zamelduj mu się ostro, bo on to bardzo lubi. Potem poszukaj mnie w

kompanii, to zrobię ci spanie koło mnie. Serwus!

Frajter włożył pas z bagnetem i pałac papierosa czekał.

- Nowa karta - mruknął do siebie patrząc w zadumie na lampę.

Kiedy usłyszał kroki w korytarzu, wyprostował się, przywołał na twarz wyraz dobrodusznego zadowolenia z własnej głupoty i zwrócił się wyczekująco w kierunku drzwi.

Do kancelarii wszedł wysoki, tęgi feldfebel.

Kania stanął przed nim w ten sposób, że nie pozwolił mu się ruszyć z miejsca, i ostro się zameldował.

Feldfebel usiadł za stołem.

- Dokumenty!

Frajter z przesadną unizonością wyjął z mankietu rękawa papiery i położył z szacunkiem przed feldfeblem na stole.

- Ruht! (Spocznij!) - zakomenderował feldfebel i Kania posłusznie wysunął lewą nogę naprzód. Stał teraz przed stołem w postawie pełnej pogodnego oczekiwania, a jednocześnie bystro i bacznie obserwował feldfebla, który rozparł się za stołem i zagłębił w czytaniu.

Kiedy skończył, podniósł głowę i odłożył papiery z westchnieniem.

- Więc jesteście politycznie podejrzani, frajtrze.

Powiedziawszy to popatrzył uważnie w oczy mile uśmiechniętemu frajtrowi i obracając papier w rękę melancholijnie powtórzył:

- ... politisch verdächtig, streng beobachten...

- Tak jest, panie feldfebel, jestem rzeczywiście, według tego papieru, politycznie podejrzany, ale to, można powiedzieć, przez omyłkę.

Feldfebel zrobił pytający wyraz twarzy.

- Za co jesteście politycznie podejrzani? Kania przyciągnął lewą nogę do prawej.

- Za g..., panie feldfebel. Feldfebel groźnie zmarszczył brwi.

- Przepraszam pana bardzo, panie feldfebel, ale chociaż to wygląda na niegrzeczność, mówię panu szczerą prawdę.

- Nie rozumiem.

- Udowodnili mi świadkami, że buntowałem żołnierzy i zostałem przyłapany na agitacji w wychodku...

- Hm..., za czym agitowaliście?

- Żebym to ja wiedział, panie feldfebel! Napisane było, że uprawiałem agitację w wychodku, a ja, panie feldfebel, załatwiałem swoją potrzebę przepisowo, bez żadnej polityki.

- Ale musieliście coś jednak takiego mówić, skoro was zrobili politycznie

podejrzany - argumentował feldfel. - Gadaliście co do kogo?

Kania skinął głową.

- Gadalem, panie feldfel. Rzeczywiście gadałem z żołnierzami, co siedzieli w innych dziurach, ale nie o żadnej polityce. Lubię gawędzić, owszem, bo jestem człowiek towarzyski, ale wiem, co można, a co jest zakazane. Zresztą ja jestem z cywila kelner i na polityce się nie znam.

- Musieliście coś jednak powiedzieć zakazanego - niecierpliwie przerwał feldfel. - Bez podstawy nikogo się nie oskarża.

- Tam żadnej podstawy nie było, panie feldfel... Kania obejrzał się na drzwi i popatrzył na feldfel, jakby mu miał poufnie coś zakomunikować.

- Czy mogę panu wszystko szczerze opowiedzieć, panie feldfel?

- Jeżeli macie zamiar i mnie wciągnąć w jaką politykę, frajtrze, to lepiej nie mówcie! Chwała Bogu, siedzę sobie tutaj spokojnie i nie chciałbym wyjechać na front albo znaleźć się przed sądem za jakieś głupie gadanie.

- Chcę tylko opowiedzieć panu szczegółowo, jak to było ze mną.

- No, więc mówcie. - Feldfel ostrzegawczo podniósł palec w górę. - Zwracam jednak uwagę, że przy najmniejszej wzmiance o polityce wyrzucę was za drzwi.

- Befehl! (Rozkaz!) Otóż było to tak. Siedziałem właśnie w latrynie razem z kilkoma kolegami i rozmawiałem o jedzeniu, jakie fasowaliśmy w tej kadrze. Bo nie dostawaliśmy nic, tylko Dörrgemüse, Grünzeug i zamiast chleba wystygłą polentę. Kiedy tak sobie swobodnie rozmawiamy, wchodzi jeden żołnierz z naszego batalionu i rozpina spodnie. - No - powiada - może się który zmęczył tym siedzeniem i odstąpi dziurę, bo mnie okropnie wzdęło. - Na to mówi jeden tak: - Są obok trzy puste wychodki oficerskie, możesz tam wejść i wypatroszyć się. - Wtedy ja mówię: - Nie radzę wchodzić do oficerskiej latryny, bo cię może spotkać poniżenie. - Wtedy znowu pyta mnie ten wzdęty:

- Jakie poniżenie? - Na to ja mu mówię: - Wiesz ty, dlaczego panowie oficerowie piją czarną kawę po obiedzie? - Powiada, że nie wie, więc ja mu wytłumaczyłem: - Na to piją panowie oficerowie czarną kawę po obiedzie, żeby g.... glanc miało. - Zaczęli się z tego śmiać żołnierze, a ja mówię dalej do tego głupiego: - A wiesz ty, po co to? - Nie wiem, mówi ten idiota. - Dla odróżnienia - mówię - bo nasze musi stać na baczność przed oficerskim, verstanden? (zrozumiano?). - Na tym się skończyło, bo więcej z tym wzdętym nie gadałem i ubrałem się. Przed wejściem zaczepił mnie lejtnant z naszego batalionu i mówi tak:

- Chodźcie, przyjacielu, ze mną do dowództwa batalionu celem spisania protokołu. - Zdziwiłem się, panie feldfel, i pytam: - Za co, melduję posłusznie? - Wsiadł na mnie od

razu z pyskiem: Maulhalten! Kehrt euch! Marsch! (Milczeć! W tył zwrot! Marsz!) W kancelarii pogadał po cichu z adiutantem, zawołali podoficera i kazali pisać protokół. - Coście mówili, frajtrze? - pyta mnie adiutant. Więc mu mówię szczegółowo wszystko. - He - powiada - całe szczęście, że pan lejtnant był obok w oficerskim i wszystko przez drewnianą ściankę słyszał, bo moglibyście się wyprzeć.

- Na to ja mówię.: - Niczego bym się, panie oberlejtnant, melduję posłusznie, nie wypierał, bo żartowałem, a to chyba w latrynie wolno. - Wtedy mówi adiutant: - Stulcie wasz przemądrzały pysk, frajtrze! To nie były żarty, ale krytyka przepisów wojskowych i wyśmiewanie! - Nie dał mi dojść do słowa i napisali protokół, że jestem podżegaczem, że sięję jakiś defetyzm. Sam nie wiem, co to słowo znaczy, bo, jak żyję, niczego nie siałem. Potem mówili, że obniżam powagę starszyny wojskowej i takie różne historie, aż wreszcie z tego zrobili politykę i w ten sposób jestem politycznie podejrzany. Feldfebel pokręcił głową.

- W tym, coście mi opowiadali, rzeczywiście nie można się dopatrzeć polityki. Ale, swoją drogą, niepotrzebnie opowiadacie takie wychodkowe dowcipy, skoro nie jesteście pewni, czy kto nie podsłuchuje.

- Gdybym wiedział, że z tego zrobią politykę, panie feldfebel, to naturalnie trzymałbym język za zębami, ale nie spodziewałem się, że ten idiota lejt...

- Milczcie, frajtrze! - surowo przerwał feldfebel i obejrzał się na drzwi. - To jest polityka! Ublizacie stopniowi oficerskiemu, a tego nie wolno. Idźcie teraz do koszar i zameldujcie się cugsfirerowi Szökölönowi. Przydzielam was do jego zmiany. Abtreten!

Kania służbiście szurgnął butami, wziął karabin, plecak i wyszedł.

SWÓJ MIĘDZY SWYMI

Kompania wartownicza Nr 11 była zbiorowiskiem przedstawicieli wszystkich narodowości wchodzących w skład monarchii austriacko-węgierskiej, którzy nie okazali wymaganej od nich ofiarności w przelewaniu krwi za cesarza i ojczyznę.

Byli to sami politycznie podejrzani, zakwalifikowani przez Kundschaftstelle do izolowania w hinterlandzie w celu uniemożliwienia im prowadzenia propagandy i agitacji. Politycznie podejrzani z tego wycofania na tyły zmartwieni bardzo nie byli. Służba w kraju, o ile to, co robili, można było nazwać służbą, przynosiła więcej korzyści narodowym komitetom niepodległościowym niż komendzie austriackiej, liczącej nieogłędnie na to, że wężący jak wyżły żandarmi i członkowie policji politycznej łatwiej będą mogli paraliżować akcję separatystów czeskich, słowackich, polskich i chorwackich w kraju niż na froncie, gdzie Naczelne Dowództwo miało inne kłopoty, jak pilnowanie niepewnych politycznie żołnierzy.

Przeważali inteligenci, którzy wykazali wiele pomysłowości w pogmatwaniu swoich danych ewidencyjnych, w celu zatajenia posiadanego wykształcenia i zawodu. Chodziło o uniknięcie odesłania do szkoły oficerskiej, skąd była tylko jedna droga - na front.

Buławy marszałka nie nosił w tornistrze żaden z nich, bardzo często natomiast znaleźć tam można było literaturę, której treść mogłaby doprowadzić audytora sądu wojennego do ataku apoplektycznego.

Kompania wartownicza Nr 11, mówiąc zwięźle, była gromadą zdeklarowanych zdrajców z punktu widzenia K-stelle i Kania w godzinę po zaznajomieniu się z towarzyszami wyłożył swoje karty na stół. Rej wodziło kilku: Chorwat Ivanović, Czech Slavik, były jednoroczny, i zdegradowany feldfelbel Mladecek, również Czech.

Nowi towarzysze byli bardzo dyskretni i nie zadawali mu podstępnych pytań. Legionista polski? Nie? O co podejrzany? O sprzyjanie Japonii? Aha! Z cywila kelner? Niech będzie kelner. Prawdziwe nazwisko Kania? Niech będzie Kania.

Byli bardzo zadowoleni z jego odpowiedzi i nie okazali najmniejszego zdziwienia. Nawzajem nie wdzierał się w ich tajemnice i nie kwestionował nawet oświadczenia Slavika, który powiedział mu, że jest podejrzany o szpiegostwo na rzecz Wenezueli i Hondurasu. W ten sposób zrozumieli się prędko. Kania zauważył, że nieufność do jego osoby znikła od razu i z tego obrotu rzeczy wywnioskował, że służba w takim gronie, gdzie bez wielu słów wszyscy doskonale zgadzają się z sobą, będzie szła przyjemnie.

Cugsfirer Szökölön, któremu meldował się w pokoiku podoficerskim, nie wyjął nawet

papierosa z ust, kiedy mu oznajmił, że jest przydzielony do jego zmiany. W pokoju panowała atmosfera pogodnej konfidenckości i szczeroci.

- Dobrze, bracie. W karty grywasz?

- Grywam, panie cugsfirer.

- No, to mów mi ty. Daj grabę. Kania bez zdziwienia podał mu rękę.

- Będziesz chodził na patrole po mieście. Chcesz?

- Mogę chodzić...

W pokoju znajdowało się jeszcze trzech podoficerów: kapral Fidor, Czech, cugsfirer Koperka, również Czech, i cugsfirer Matjas, Niemiec z Wiednia, który sam ostrzegł Kanię przed innymi Niemcami w kompanii.

- To są wszystko lizusy i durnie! Uważaj, Polaku, i nie gadaj z nimi za wiele! Ze mną możesz gadać, o czym ci się podoba, verstanden? Widzę, żeś morowy chłop. A Polaków lubię, bracie. Mam nadzieję, że jak waszego Piłsudskiego wypuszczą z Magdeburga, zabierzecie nam Galicję. Bierzcie sobie, nie mam nic przeciwko temu. A b s o l u t n i e!

W drugiej izbie podoficerskiej zastał zupełnie innych ludzi. Zameldował się słuźbiście cugsfirerowi, który meldunek przyjął stojąc w przepisowej postawie. Tu już panował duch rygoru i karności.

Kiedy się wszystkim przedstawił, cugsfirer kazał mu usiąść i rozpoczął rozmowę od tego, że jego nowy przełożony, cugsfirer Szökölön, jest największym durniem, jakiego kiedykolwiek ziemia nosiła. O innych powiedział mniej więcej to samo i Kania na jego oświadczenia zgodnie kiwał głową.

- Nie dajcie się, frajtrze, wciągnąć w jakieś konszachty z nimi, bo wpadniecie. Tyle szubienic jeszcze na świecie nie było, ile się postawi dla tych zdrajców po zawarciu pokoju. Oni liczą na to, że państwa centralne przegrają. My jednak wiemy, że Niemcy robią ofensywę we Francji, jakiej dotąd nie było, i niedługo my będziemy w Rzymie, a oni w Paryżu. Słyszeliście o nowych moździerzach niemieckich? Niosą na sto kilometrów. Widzieliście fotografie nowych czołgów? Osiągają szybkość stu kilometrów. Jest to szybkość pociągu pospiesznego. Z Anglią będzie koniec niedługo, niech tylko Niemcy wykończą budowę swoich zeppelinów uzbrojonych w działa szybkostrzelne. Wytruje się ich gazami jak szczury...

Kania poważnie kiwał głową, słucał pilnie i patrząc na cugsfirera zadawał sobie w duchu pytanie, jaki zwój mózgowy jest u niego w stanie biernym. Idiotyzmy na temat zakończenia wojny, wypowiedane przez kaprała Jamkego oraz dwóch pozostałych podoficerów, których nazwisk nie zapamiętał, skłoniły go do wyrażenia przypuszczenia, że

nie ulega dla niego najmniejszej wątpliwości, iż koalicja dostanie w skórę, i to prędko. Dostał rozkaz odejścia. Za drzwiami odetchnął z ulgą.

W kompanii zdjął pas i usiadł przy stole.

- No, jak ci się podobają? - zapytał Slavik.

- Ten mój Węgier i ci, co z nim mieszkają, morowe chłopy, ale tamci to chorzy ludzie, powinni już dawno być w szpitalu wariatów.

- Mówili ci o szybkostrzelnych działach niemieckich - zapytał Ivanović - i o czołgach?

- Mówili.

- I o tym, że wytrują Anglików, jak szczury?

- O tym też.

- To jeszcze nic, bracie. Jest tu jeszcze trzech, ale są teraz na warcie. Z nimi można się jeszcze lepiej dogadać...

LEKCJE CESARSKO-KRÓLEWSKIEGO PATRIOTYZMU

Coś w dwa tygodnie po wcieleniu do kompanii dinstfirender wezwał Kanię do kancelarii.

- Będziecie prowadzić wykłady, frajtrze.

- Jakie, panie feldfebel?

- O patriotyzmie i tak dalej. Tu macie broszury, przysłane z referatu prasowego Naczelnego Dowództwa. Materiał w nich zawarty użyjcie do swoich pogadanek, w których macie stopniowo wpajać w ludzi patriotyzm i poprawić nastrój. Uważam was za inteligentnego człowieka, znacie dobrze niemiecki, a poza tym, jak wynika z waszego opowiadania, jesteście politycznie podejrzani, można powiedzieć, przez omyłkę. Mam też nadzieję, że niego zaufania nie zawiedziecie i wykłady wasze przyniosą korzyści, He?

Feldfebel spojrzał pytająco na Kanię.

- Chcę zameldować, panie feldfebel, że nie wszyscy znają niemiecki.

- No, to co? Niech się właśnie uczą na tych wykładach. Zresztą powiem wam, że oni lepiej mówią po niemiecku od nas obojdwóch, a poza tym nie gra to żadnej roli. Jest rozkaz, żeby prowadzić wykłady, i muszę co dekadę wysyłać szczegółowe raporty z podaniem tematów, a reszta mnie nie obchodzi. Główna rzecz, aby w godzinach na to przeznaczonych wykład się odbywał, żeby w razie nie zapowiedzianej inspekcji nie było nieprzyjemności. A że nie rozumieją, to nic nie szkodzi.

Kania zabrał naręcz podręczników i poszedł do kompanii.

- Wrzuć to od razu do pieca - poradził Slavik.

- Zaraz... powoli. Trzeba to najpierw przestudiować. Pół dnia poświęcił na lekturę, potem włożył wszystko do kufierka.

- Nasze waleczne wojsko składa się z samych bohaterów, moi panowie - oświadczył przy kolacji. - Żebym wam przeczytał kilka przykładów, to byście zdębieli.

- Jest tam o taborycie, co uratował sztab brygady swoją przytomnością umysłu?

- A o sanitariuszu, który z narażeniem życia wyratował z morderczego ognia psa z meldunkiem?

- A o tym feldfeblu, który zabrał do niewoli sam jeden dwa działa z obsługą?

- Jest. Wszystko jest, koledzy. Są tam i inne przykłady, o wiele więcej wzruszające. Jeden telefonista, któremu granat urwał obie ręce, zębami przegryzł kabel nieprzyjacielskiej linii telefonicznej i w ten sposób uniemożliwił rozpoczęcie ataku. Duży medal złoty.

- Złotą szczęką sztuczną powinni go byli odznaczyć, a nie medalem, bo sobie na tym kablu pewno zęby połamał. Taki drut jest cholernie twardy.

- Nie kpij, draniu... Piękny też jest przykład poświęcenia, jakie okazał pewien kapral, Czech, ale nie z tych podłych zdrajców jak wy, tylko prawdziwy patriota i wierny żołnierz, który z narażeniem życia wyniósł z pola bitwy ciężko rannego dowódcę kompanii, mimo że sam był ranny dwukrotnie. Niósł go przez dwie linie schützengrabenów, a kiedy go przydźwigał do punktu opatrunkowego...

- Wyjął mu z kieszeni zegarek i portfel - przerwał jeden ze słuchaczy - z palca ściągnął obrączkę i pierścionek z brylantem, dał mu po mordzie za to, że go szykanował, i poszedł na wino do kantyny...

- Ty byś tak zrobił... wiem, ty podły zdrajco i niekarna kreaturo! Ten dzielny kapral jednak złożył go ostrożnie na ziemi i kiedy spostrzegł, że dowódca po drodze wyzionął swego walecznego ducha, zapłakał rzewnie nad jego zwłokami, powstał i pogroził pięścią w stronę okopów podłych i tchórzliwych Włochów, którzy tak haniebnie zerwali trójprzymierze. W tym momencie granat urwał mu głowę i wierny, miłujący swego dowódcę kapral upadł bez życia na ziemię. I tak leżeli obaj towarzysze broni obok siebie, bez różnicy stopnia, dając tym dowód, że...

- Czy głowa wołała: "Niech żyje cesarz"?

- O tym nie było mowy - z powagą odpowiedział Kania.

- No, to widać zmienili referenta od przykładów wierności w referacie prasowym Naczelnego Dowództwa. Powinno być, że głowa potoczyła się pod włoskie okopy i tam wznosiła różne patriotyczne okrzyki, aby dowieść zdrażliwym Włochom, z jakim przeciwnikiem mają do czynienia...

- Wtedy Włosi pytają się tej głowy, z jakiego jest korpusu, i kiedy odpowiada, że z piątego, niktzemny wróg, przerażony taką zawziętością, w nocy, w panicznym strachu opuszcza swoje stanowiska, które my zajmujemy...

- W pierwszej armii były przesyłane takie książeczki z obrazkami i to było mądrzejsze... lepiej trafiało do przekonania analfabetów. Siedział sobie w wychodku i oglądał obrazek, a kiedy, napełniony duchem odwagi, załatwił się, miał prawo się tym obrazkiem podetrzeć. Łączyło się piękne z pożytecznym.

- W każdym korpusie jest inny rodzaj bohaterów - mówił zajadając Mladecek. - W trzecim nie było przykładu, żeby bohater przed zgonem nie przypomniał kolegom, aby brali przykład z jego poświęcenia, byli posłuszni rozkazom i szli w ogień z myślą o nagrodzie, jaka ich czeka na tamtym świecie. Widać, że w tym korpusie musieli i świętych zaasenterować do służby, bo bardzo umilali życie naszym bohaterom. Chóry anielskie śpiewały specjalną piosenkę o ślepym wykonaniu rozkazu, odwadze, pielęgnowaniu karabinu, żeby go rdza nie chwyciła, i inne takie rzeczy. Bardzo to było wzruszające i religijne. Potem mówili, że ten referent zwariował i umarł nagłą śmiercią, kiedy wszystko przeczytał, co napisał przez czas swego urzędowania.

- Po śmierci został zapewne powołany do dyrygowania tym chórem anielskim? - domyślnie zapytał Kania.

- Możliwe. Następne, bohaterstwa opisywał kto inny i inaczej.. Tam nie było mowy o śmierci. Bohater rznął Włochów kopami bez szkody dla zdrowia i bezwarunkowo wracał nienaruszony, aby otrzymać medal prosto "od krowy". Sam cesarz przypinał mu go do bluzy i bohater miał zaszczyt uścisnąć najwyższą dłoń. Ale to się nie podobało - kichać na cały przykład, jak nie ma ofiarnej śmierci.

- W moich książeczkach są takie przykłady, że każdemu się będą podobały. Będziecie płakali jak bobry. I jeżeli te przykłady nie skłonią was do natychmiastowego zgłoszenia się na front, żeby się zmierzyć z wrogiem, to powiem wam, że jesteście świnię, nie zaś porządni c.k. żołnierze. A teraz umyćcie menażki i siadajcie, bo to bydlę pewno przyjdzie sprawdzić, jak mi idzie pierwszy wykład.

Kiedy przewidywania Kani się sprawdziły i dinstfirender rzeczywiście przyszedł, żołnierze tak dalece byli zaciekawieni podniosłym tematem, że żaden nie zauważył jego wejścia, skutkiem czego pozbawiony został efektownego raportu.

- Dlaczego nikt nie zawołał habt acht! (bacność!), kiedy wszedłem, He?

- Melduję posłusznie, że nie zauważyłem - oświadczył Kania - właśnie prowadzę pogadankę.

- Pogadanka nie pogadanka, habt acht trzeba zawsze...

- Tak jest, będę na przyszłość uważał.

- Prowadźcie dalej, przysłucham się.

Dinstfirender usiadł na brzegu stołu i Kania zwrócił się do żołnierzy.

- Powtarzajcie teraz za mną, koledzy, pierwszą zwrotkę tego pięknego wierszyka:

Jeder Schuss - ein Russ (Każdy wystrzał - jeden Rosjanin) Jeder Stoss - ein Franzos (Każde pchniecie - jeden Francuz) Jeder Schritt - ein Britt (Każdy krok - jeden Anglik) Jeder Klaps - ein Japs. (Każde uderzenie - jeden Japończyk). Kania z takim poświęceniem się uczył tego wierszyka, jakby chciał za wszelką cenę figurować w książeczce o dobrych żołnierzach na pierwszej stronie. Niestety, ci, którym kazał powtarzać, jak na złość nie umieli prawidłowo wymówić ani jednego słowa po niemiecku i ciągle odpowiadali: "nie rozumiem". Feldfebel patrzył na nich spode łba.

- Lepiej, draniu, rozumiesz ode mnie - odezwał się do jednego.

Bezczelowość wysiłków Kani zniecierpliwiała go i wyszedł pożegnany gromkim habt acht!

- Zmartwiliście, drodzy przyjaciele, naszego kochanego pana dinstfirendera - przemówił Kania z żalem - teraz nasza droga Kompaniemutter nie będzie mogła usnąć ze zgrzyoty, że takie piękne wierszyki nie są dla was dostępne. Dawać karty, pieskie syny!

Reszta wykładu nie przedstawiała trudności językowych, a zapal, z jakim tasowano i rozdawano karty, był stokroć lepszy od nastroju, jaki sobie życzyli osiągnąć broszurami panowie referenci prasowi.

Następne wykłady, które kontrolował dinstfirender, nie różniły się niczym od pierwszego. Karty były w porę chowane pod stół i Kania gorliwie nakłaniał jakiegoś specjalnie upatrzonego Słowianina do powtarzania ciągle tej samej zwrotki wierszyka. Żołnierz powtórzył dwa słowa i zaciął się.

- Ne rozumim.

- Uważaj, człowieku - mówił Kania. - Jeder szus... powtórz... jeder szus...

- Je-der - sylabizował żołnierz patrząc z przejęciem na usta

Kani - aj-re-nus...

- Przecież mówię wyraźnie, dlaczego przekręcasz. Ajn rus... jeden Moskal... ajn... rus, no dwa słowa chyba potrafisz powtórzyć i zapamiętać. Głupi jesteś?

Żołnierz zerkał spod oka na feldfebla i odpowiadał:

- Jawohl!

- Taki głupi jak ja albo wy - zżymał się feldfebel - na złość tak robi...

Po jednej takiej kontroli wezwał Kanię do siebie.

- Moglibyście, frajtrze, już dać spokój z tym głupim wierszem.

- Kiedy, panie feldfelbel, w instrukcji dołączonej do tych broszur jest powiedziane, że należy tych rzeczy uczyć się na pamięć. Połowa już prawie umie.

- Zanim się druga połowa nauczy, wojna się skończy.

- Mam to na uwadze, że przy każdej inspekcji zwykle generał wywołuje największego bałwana. Tak to już jest, że taki idiota zwróci na siebie uwagę najprędzej. Nie chciałbym więc narazić pana dowódcę kompanii i pana, panie feldfelbel, na kompromitację!

Feldfelbel zerknął na Kanię.

- Poza tym zauważyłem, że oni was bojkotują, frajtrze. Jestem przekonany, że doskonale rozumieją po niemiecku. Zadarliście z którym?

- Nie lubią mnie, bo się z nimi nie zadaję, panie feldfelbel.

- Nie zadawajcie się tylko z nimi, a będzie wszystko dobrze...

W ten sposób bez żadnych usiłowań ze swojej strony Kania zyskał dobrą opinię u dinstfirendera, o czym nie omieszczał poinformować kompanii mówiąc:

- Bojkotujcie mnie dalej.

Któregoś dnia przyszedł do kompanii sam dowódca i trafił na pogadankę. Opinię o niej zwięźle wyraził w kancelarii dinstfirenderowi:

- Ten pański frajter, to jakiś chorobliwy zboczeniec, feldfelblu. Skąd on wziął tę barbarzyńską głupotę? Czy jest na świecie taki kretyn, który mógłby podobnie idiotyczny wierszyk ułożyć? Pfuj!...

- Prysłane z referatu prasowego, panie kapitanie - zameldował dinstfirender. Kapitan westchnął:

- A więc okazuje się, że są jeszcze poeci na świecie! Tego referenta prasowego powinno się powiesić głową na dół na gałęzi i postawić przy nim frajtra, żeby mu ten wierszyk wyśpiewywał wraz z całym plutonem na trzy głosy tak długo, dopóki ducha nie wyzionie, feldfelblu.

W wyniku tej rozmowy feldfelbel zavezwał do siebie Kanię.

- Pan kapitan nazwał was chorobliwym zboczeńcem, frajtrze, kiedy usłyszał wasz wierszyk. Czy poza tym parszywym wierszykiem nie możecie ich czego innego uczyć na pamięć? Są tam liczne przykłady zachowania się wobec nieprzyjaciela i za to się weźcie, bo z tą poezją daleko nie zajedziecie.

Za następną wizytą kapitana nie przygotowany Kania zaczął opowiadać jakąś patetyczną historię.

- Było to nad Piavą - opowiadał z nieporównaną dykcją, i feldfelbel wyczekująco słuchał patrząc jednocześnie na zamrozonego rumem kapitana, który usiadł na ławce i oparł się plecami o stół - podczas siódmej ofensywy naszych dzielnych oddziałów. Należało, w myśl rozkazu, za wszelką cenę sforsować rzekę, aby umożliwić rwącym się do boju pułkom piechoty...

Kapitan mruknął coś niewyraźnie pod nosem i zamknął oczy.

- ... wtargnięcie w głąb nędznego terytorium włoskiego w celu wypędzenia z ostatniego skrawka, na którym ginęły z wyczerpania pozostałe resztki tchórzliwych i zdziękowanych oddziałów włoskich...

- Coś się nie zgadza - zauważył kapitan otwierając oczy i ziewnął - za Piavą są całe Włochy, a nie skrawek, poza tym nie trzeba robić ofensyw na ginące z wyczerpania tchórzliwe resztki. Tak mówiliście, nie? Nie klapuje... zresztą mówcie dalej, nieszczęsny człowieku.

- Dowódca trzeciej kompanii sto sześćdziesiątego pułku piechoty wezwał do siebie pana oberlejtanta von Montecalafiori i przemówił do niego w ten sposób: - Należy, panie oberlejtant, wysłać patrol z rakietami w celu oświetlenia przedpola podczas naszego posuwania się naprzód, ponieważ jest ono pokryte lejami od granatów i zasiekami z drutu kolczastego, na których mogliby się pokaleczyć nasi niestrudzenie i odważnie pracy naprzód żołnierze. - Pan oberlejtant von Montecalafiori...

- Montecalafiori... - powtórzył sennie kapitan.

- ...poszedł do swego plutonu i przemówił do żołnierzy: - Drodzy towarzysze broni! Pan kapitan, dowódca kompanii, polecił mi Wybrać kilku zuchów i wysłać ich na przedpole z rakietami w celu oświetlenia drogi naszym niestrudzenie pracującym odważnie naprzód oddziałom; jest tam wiele lejów od granatów i zasieków z drutu kolczastego, na których mogliby się pokaleczyć nasi dzielni żołnierze.

- Nie? Rzeczywiście tak powiedział? - zapytał ocknąwszy się kapitan.

- Rzeczywiście tak powiedział pan oberlejtant von Montecalafiori...

- Montecalafiori - mruknął znowu kapitan jak echo - hm...

- ...potrzeba mi do tego celu pięciu odważnych żołnierzy. Kto z was, drodzy towarzysze broni, zechce ze mną zadanie to wykonać? - Natychmiast wystąpił cały pluton, jak jeden mąż. Pan oberlejtant von Montecalafiori wzruszony był gotowością bojową swoich ludzi. - Żołnierze! - przemówił. - Kania zerknął na drzemającego kapitana i powtórzył głośniej: - Żołnierze, ojczyzna jest dumna z was...

Kapitan otworzył oczy, rozejrzał się i powstał.

- Tak... bardzo to było ładne, coście opowiadali, frajtrze. Bierzcie wszyscy przykład z męstwa pana oberlejtanta von... von...

- Montecalafiori - z szacunkiem dopomógł Kania.

- Tak jest... bierzcie wszyscy przykład z męstwa pana oberlejtanta, a ojczyzna będzie z was dumna. Siadać! A wy, frajtrze, umiecie bardzo ładnie opowiadać. Niech pan na niego przygotuje wniosek o odznaczenie, feldfeblu.

- Na jakie odznaczenie, panie kapitanie? - zapytał z szacunkiem dinstfirender. Kapitan ziewnął.

- Na jakiś ładny order lub coś w tym rodzaju... W tej sali są pchły, feldfeblu. Coś mnie oblaźło i gryzie...

- Możliwe, że są pchły, panie kapitanie. Nie mogę się doprosić kredytu na słomę do sienników. Jutro znowu napiszę zapotrzebowanie.

- Zdaje mi się, że było już takie...

Rozmawiając z feldfeblem kapitan wyszedł, pożegnany przez stojącą na baczność kompanię.

- W samą porę się obudził - mówił w kilka minut później Kania grając w karty - bo zapomniałbym początku i zaplątałbym się w tej historii...

Dinstfirender wezwał go tego wieczora do siebie.

- Mam was podać do odznaczenia, frajtrze - rzekł patrząc Kani w oczy - ale przedtem pragnąłbym wiedzieć, gdzieście wygrzebali to opowiadanie. Słusznie zauważył pan kapitan, że coś się nie zgadza w tym wszystkim. Wszyscy wiemy, że za Piavą są całe Włochy, a nie skrawek, jak również słuszna była uwaga, że jeśli zdziesiątkowane resztki giną, nie ma celu robić na nich aż siedem ofensyw. Dwa lata stoimy na jednym miejscu, a wy klepicie bzdury o nędznym skrawku...

- Tak jest wszędzie w tych opowiadaniach, panie feldfebel...

- Możliwe, że rzeczywiście takie głupoty wypisują, ale to jest dla rekrutów i wolałbym, żebyście w naszej kompanii opowiadali coś więcej wiarygodnego. Następnym razem gotów was pan kapitan kazać odznaczyć aresztem ścisłym z postem co trzeci dzień... Podaję was do Brązowego Krzyża Zasługi, frajtrze. Abtreren!

Wieczorem powiedział Haber, że feldfebel wysłał dwa wnioski: jeden dla siebie, a drugi dla Kani.

- Ja się przynajmniej odznaczyłem - oburzył się Kania - ale jakim prawem ta świnią siebie podaje. To nie jest sprawiedliwe.

- Może być, że niesprawiedliwe, ale widzisz, on zawsze tak wycyrkuje, żeby pójść z

papierami do podpisu, kiedy pan kapitan jest schlany jak nieboskie stworzenie, bo wtedy podpisze nawet wyrok śmierci na siebie. Dobry z niego kombinator.

NOCNE ALARMY PANA OBERLEJTNANTA

O ile dotąd przed przybyciem Kani kompania przedstawiała niezgorszą kolekcję mąciwodów, łazików i rezonerów, którzy nieźle potrafili obrzydzić życie wszystkim podoficerom, o tyle po rozpoczęciu przez niego służby wszystkie akty sabotażu, rozprężenia i niekarności przybrały formy zorganizowane, a neglizowanie świętości regulaminowych wzmogło się znakomicie.

Podjejrzeni politycznie reprezentanci wszystkich narodowości mieli w głębokiej pogardzie cały gmach hierarchiczny wojska, począwszy od "najjaśniejszego pana", a skończywszy na kapralach kompanii wartowniczej

Służba Kani polegała na codziennym patrolowaniu dworca kolejowego i miasta, z czego wywiązywał się w ten sposób, że wypijał w bufecie na dworcu kilka szklanek wina za zdrowie młodej bufetowej, zakochanej w nim po uszy, szedł do miasta po to tylko, żeby sobie kupić papierosów, i wracał do koszar.

Kiedy się więcej rozzuchwiał, sypiał u swojej bogdanki i do koszar wracał rano, czy miał przepustkę, czy nie.

Patrolowanie w mieście zaczęło mu z czasem przynosić dochody i oddał się tej służbie aż nadto gorliwie.

W ten sposób minęło kilka tygodni.

Zastępca kapitana Zivancicia, oberlejtant Giser, tragiczny okaz wojennego spustoszenia moralnego, zaczął ni stąd, ni zowąd w uregulowany mniej więcej przez dinstfirendera tok służby w kompanii wprowadzać innowacje.

Pewnej nocy wpadł do koszar i rozkazał służbowemu zaalarmować kompanię.

Dinstfirender, któremu się dotąd nic podobnego nie zdarzyło, nie mógł w żaden sposób zestawić raportu stanu liczebnego i szwendał się całkowicie ogłupiały przed frontem zaspanych żołnierzy.

- Cugsfirer Matjas! Ilu macie ludzi na warcie?

- Jedenastu, panie dinstfirender.

- W jaki więc sposób jest teraz na placu dwudziestu dwóch? Powinno być osiemnastu!

- Sam pan przydzielił do mojej zmiany w tamtym miesiącu czterech...

- Nie mam o tym żadnej notatki. Cugsfirer Koperka!

- Hier. (Tutaj).

- Ilu macie ludzi na miejscu?

- Osiemnastu.

- W jaki sposób, gdzie podzieliście sześcioro?...

- Przecież ich nie pożarłem. Są w kompanii.

- Jak wy odpowiadacie, cugsfirerze? Co to za raport? W jaki...

- Ma zupełną słuszość, feldfeblu - wtrącił stojący za jego plecami w mroku oberlejtant - nie pożarł ich na pewno. U pana jest burdel w raportach. Pan za to może pójść pod sąd, feldfeblu... i zdaje mi się, że ja to panu ułatwię.

- Melduję posłusznie, panie oberlejtant, że to nie moja wina - dygocącym głosem usprawiedliwiał się dinstfirender - ja mam...

- Nic pan nie ma... a najmniej rozumu, feldfeblu. Za raporty pan jest odpowiedzialny. Nie na to pan jest w kompanii, żeby psuć powietrze, ale po to, żeby prowadzić służbę! Postaram się o wysłanie pana na front, gdzie pan się nauczy tych rzeczy. Weiter machen! (Dalej robić!)

Zdesperowany feldfebel policzył kilka razy kompanię i po długich trudach udało mu się wreszcie zestawić raport.

Oberlejtant spojrzął przy świetle zapalki na zegarek.

- Trwało to godzinę i dziesięć minut, chociaż w instrukcjach jest powiedziane, że w pół godziny po alarmie kompania ma być gotowa do wymarszu w pole.

- Melduję posłusznie, że...

- Nic pan nie melduj posłusznie, "że" - oberlejtant ku zdziwieniu całej kompanii stał się kategoryczny - postaram się zaprowadzić porządek! Za następnym razem radzę panu mieć raport jak należy! Rozpuścić kompanię!

Niedbale przyłożył rękę do daszka czapki i odszedł w taki sposób, jakby walczył z wiatrem.

Dinstfirender całą gorycz wyładowywał na dowódcach półplutonów i przechadzając się przed szczękającymi zębami szeregami wymyślał w sposób mocno skomplikowany, co mu jednak nie przyniosło ulgi.

- Zimno, panowie szarża - przerwał mu jakiś głos z kompanii - nie trzymajcie nas na mrozie bez portek.

- Maulhalten! Kto to powiedział? Natychmiast się zameldować!

W szeregach dały się słyszeć szmery.

- Natychmiast niech się zamelduje ten, który się odezwał!

- Ja to powiedziałem!

- Do mnie!

Z szeregu wystąpił Ivanović.

- Jak śmiecie mówić bez zapytania?

- Śmiem, jeżeli mi się każe stać bez spodni dwie godziny na mrozie!

- Co? jak? Powtórzcie!

- Mogę nawet dać na piśmie, panie feldfebel, cała sekcja stoi na zbiórce bez spodni.

Feldfebel rozchylił mu płaszcz.

- Gdzie macie spodnie? Co to jest? Z czyjej zmiany?

- Cugsfirera Szökölöna.

- P a n a cugsfirera Szökölöna, rozumiecie? Powtórzcie! Chorwat bezczelnie i przejmująco westchnął:

- P a n a cugsfirera Szökölöna...

- Żołnierz nawet nago nie powinien zapominać o szacunku dla starszych! Dlaczego wasi ludzie wyszli na alarm bez spodni, Szökölön? Jak mogą ludzie wyjść w pole bez spodni, co?

- Taki był rozkaz pana kapitana. Spotkał jednego w podartych spodniach i kazał wszystkie oddać do naprawy. I oddałem...

- Dlaczegoście o tym nie zameldowali panu oberlejtantowi?

- Eee... meldować...

Szökölön mruknął coś, co nie przyniosło zaszczytu ani jemu, ani oberlejtantowi.

Dinstfirender rozwodził się jeszcze przez kilka minut nad brakiem karności w kompanii, biadał nad jej upadkiem i wyraziwszy pobożną prośbę do nieba, żeby tę kompanię jak najprędzej powołano do swojej służby, puścił ją do koszar.

Dokoła pieców zgromadzili się drżący z zimna żołnierze.

- Co mu się stało?

Zdania były podzielone i przypuszczenia szły w różnych kierunkach. Albo zwariował na dobre pan oberlejtant, albo pan kapitan, albo obaj razem. Jeżeli nie zwariował, to zapowiedziana jest pewnie inspekcja, połączona z alarmem, i robi się próby.

- A ja wam mówię, że był pijany jak świnia - oświadczył Kania.

- Mówił całkiem rozsądnie - zauważył Szökölön.

- Miałem w kadrze jednego oficera, który mógł wypić wiadro rumu, a przed kompanią trzymał się ostro i mówił do rzeczy. Wprawny pijak potrafi to...

- Pijany był jak bela - powtórzył Kania. - Przyszedł jakiś papier tajny o inspekcji, Haber?

- Gdyby co tajnego było, to bym chyba wiedział, nie?

- Więc inspekcja nie jest zapowiedziana - argumentował Kania - a jeżeli tak, to alarm zrobił na własną rękę. Nad tym warto się zastanowić, moi panowie. W jakim celu wstaje o drugiej w nocy i budzi kompanię?

- Z nudów...

- Zdaje mi się, że niedługo będziemy mieli paradny pogrzeb z orkiestrą... coś mi się tak zdaje. Jeżeli pan oberlejtant nie strzeli sobie niedługo w łeb, jestem osioł!

Dyskusja na temat pana oberlejtanta urwała się i żołnierze położyli się spać.

W trzy dni później pan oberlejtant zjawił się po kolacji. Oczy miał czerwone i mętne, a zapach rumu rozprzestrzenił dookoła niego atmosferę gorzelni.

Przywołany dinstfirender przyszedł do sali z przygotowanymi pracowicie raportami w dłoni.

- Zarządzić zbiórkę na sali - rozkazał oberlejtant. Feldfebel upadł na duchu, bowiem męczył się parę godzin nad raportami, które okazały się niepotrzebne.

- W ryszunku czy bez?

- He?

- Jak ma stanąć kompania, panie oberlejtant?

- Niech się zbiorą, jak są... a zważywszy, że oni prawdopodobnie są... - oberlejtant usiadł na taborecie i ujął głowę w obie dłonie - nie przygotowani... a w myśl rozkazów żołnierz zawsze ma być gotów do wymarszu na front... więc w powołaniu się na Korpskommandobefehl Nr 475 z dnia dziesiątego grudnia tysiąc dziewięćset szesnastego roku...

Oberlejtant mówił jakby w zadumie i dinstfirender nachylił się, aby lepiej słyszeć.

- Słucham pana oberlejtanta - przypomniał się chrząknięciem.

Oberlejtant podniósł głowę.

- Dlaczego kompania jeszcze nie jest zebrana, feldfeblu? Proszę zarządzić, aby stanęli na zbiórce z... w... - oberlejtant pokiwał głową - ... ze szczoteczkami do zębów. Zęby muszą być pielęgnowane, feldfeblu - z naciskiem oświadczył - tego nie wolno zaniedbywać, rozumie pan?

- Tak jest, rozumiem!

Dinstfirender wzruszył ramionami i zapytał:

- Tylko szczoteczki mają mieć do kontroli? Oberlejtant skinął głową i zapatrzył się tępo w feldfebla.

- Ale niech staną nie według wzrostu, ale... narodowościami... według pochodzenia...

Dinstfirender polecił na prawym skrzydle stanąć Niemcom, potem Czechom, Chorwatom, Bośniakom i innym, z odstępem dwóch kroków między grupami.

Oberlejtant Giser przechylił głowę jak wróbel nad kruszyną chleba i patrzył.

- Gotowe, panie oberlejtant...

- Austriacy, wystąpić!

Żołnierze popatrzyli na siebie i nie ruszyli się z miejsca.

- Austriacy, wystąpić! - powtórzył dinstfirender zaniepokojony.

Przeczuwał już jakieś powikłania i nie omylił się.

- Okazuje się więc, że w naszej kompanii nie ma wcale Austriaków - odezwał się oficer z jakimś podstępny chichotem, kiedy kompania stała na miejscach z wlepionymi w niego oczyma.

Powstał, włożył ręce w kieszenie spodni i patrzył na dinstfirendera kąpiąco.

Dinstfirender z zakłopotaniem podrapał się po głowie.

- Nie drap się pan, feldfeblu! Oberlejtant usiadł znowu.

- A ja chciałem, żeby mi zaśpiewali hymn państwowy. W instrukcjach jest powiedziane, że żołnierze muszą umieć hymn na pamięć. Ponieważ jednak, jak się okazuje, nie ma w kompanii Austriaków... - Popatrzył na feldfebla znacząco. - Pan rozumie? Prawda?

- To jest właściwie... panie oberlejtant... pozwolę sobie...

- Jesteśmy w niemiłym położeniu, feldfeblu - mówił dalej oberlejtant, nie zwracając uwagi na jego mamrotanie - można powiedzieć, w wyjątkowym położeniu. Co to za wojsko? Proszę mi wytłumaczyć. Może to Anglicy? Albo Amerykanie? A może francuski oddział kolonialny? Są biali, więc należałoby przypuścić, że Europejczycy...

Oberlejtant głęboko się zastanowił.

- Jeżeli, to nie są Austriacy, to co ja tu w takim razie mam do roboty? Nie rozumiem. Położenie jest bardzo dziwne.

Dinstfirender stanął na baczność i nachylił się do oberlejntanta.

- Pozwolę sobie zameldować, że pan oberlejtant jest w błędzie. Wszyscy jesteśmy Austriakami.

- Nie?... rzeczywiście? - zdziwił się oficer kręcąc głową.

- Rzeczywiście, panie oberlejtant...

- Pierwsza grupa, to kto?

- Niemcy...

- Dalej.

- Dalej Czesi... potem Chorwaci, Słowacy, Słoweńcy...

- A Austriacy gdzie są?

- Pan oberlejtant kazał ustawić grupami według narodowości, ale oni wszyscy są Austriakami. W naszej kompanii, panie oberlejtant, mamy wszystkie narody... cały... cały globus...

- Ślicznie pan to określił - z uznaniem rzekł oberlejtant - cały globus... hm...

Z szeregów dały się słyszeć krótkie, nerwowe parsknięcia, maskowane kaszlem.

- Niech pan rozkaże swemu globusowi zaśpiewać hymn. Dinstfirender wzruszył ramionami.

- Śpiewać hymn, kompania!

Oberlejtant powstał i usiłował zachować sztywną postawę. Żołnierze zaczęli chrząkać.

- Śpiewać! - powtórzył feldfebel.

Od miejsca, gdzie stali na prawym skrzydle podoficerowie i frajtrzy, odezwało się trzykrotne głośne chrząknięcie i kaszel. Feldfebel widocznie się zdenerwował.

- Kompania ma śpiewać hymn! - powtórzył jak mógł najgroźniej.

Kapral Ulmbach, jeden z gorliwszych podoficerów, rwącym się i nieśmiałym głosem rozpoczął:

- Gooott eerhaaalteee, Gott beeschüüützeee!... (Boże wspieraj, Boże osłoń!...)

Kompania jednak milczała i kapral spostrzegłszy, że produkuje się solo, urwał, obejrzał się pytająco na kompanię i dinstfirendera, po czym umilkł zdetonowany i pochrząkiwał.

- Śpiewać wszyscy! - wrzasnął purpurowy na twarzy dinstfirender.

Żołnierze "nabrali wody do ust", milczenie stało się ponure i ciężkie.

Oberlejtant otworzył oczy i wpatrzył się w dinstfirendera ze zmarszczonymi brwiami.

- Dlaczego pan bezprawnie skrócił hymn, feldfeblu? To, co słyszałem, jest początkiem... a gdzie koniec? Zginął, powie pan prawdopodobnie... a ja panu nie wierzę, jak zwykle panie feldfeblu. Na jakiej zasadzie hymn jest zredukowany? Co?

- Ależ panie oberlejtant, melduję posłusznie, że...

- Milczeć! - ryknął nagle oberlejtant, aż dinstfirender przysiadł. - Pan zawsze melduje posłusznie "że"... co "że"? Feldfebel milczał wystraszony.

- Stwierdzam, że hymn jest za krótki, feldfeblu, i czynię pana odpowiedzialnym za to - twardo przemówił oberlejtant. - Został skrócony w kompanii, wbrew wszelkim przepisom! Postaram się pana wysłać na front, gdzie pana nauczą śpiewać jak należy... do końca. Hymn

państwowy, to nie chy-chy, feldfeblu.

Oberlejtant powiódł oczami po kompanii, ziewnął i odszedł. Nieszczęsny feldfebel zaczął spacerować przed frontem kompanii jak naładowana mina, która wybucha w nieregularnych odstępach.

- Dlaczego nie śpiewaliście, co?

- Ja nie umiem - pośpieszył jakiś głos z wyjaśnieniem.

- Dlaczego nie umiecie? Ach, wy dranie! Wezmę ja się za was inaczej.

- Panie feldfebel, melduję posłusznie, że oni rzeczywiście nie umieją - zameldował Kania z szeregu - nie znają wszyscy niemieckiego...

- Nie umieją? Nie znają? Ja was nauczę hymnu, że będziecie go śpiewali przez sen, wy bydłeta międzynarodowe! Ze łzami w oczach będziecie go śpiewali, wy politycznie podejrzane świnię! Mam już dosyć przez was nieprzyjemności i nie myślę ciągle cierpieć za nie popełnione winy. Dlaczego Niemcy nie śpiewali? Zapomnieli języka ojczystego? He? Ja was tak nauczę, że będziecie śpiewali hymn po chińsku, szelmy jedne! Po murzyńsku będziecie wyśpiewywać! Dosyć tej łagodności!

Dinstfirender sapał z irytacji.

- Kapral Ulmbach!

- Hier!

- Od jutra będziecie przez godzinę uczyli kompanię hymnu!

- Befehl!

Feldfebel ogarnął piorunującym spojrzeniem kompanię i wyszedł.

HYMN LUDÓW

Nauka hymnu szła kapralowi Ulmbachowi jak po grudzie, co było wynikiem poufnej konferencji, jaką przed lekcją miał w kompanii Kania z kilkoma przyjaciółmi.

Przeczytał wyraźnie i powoli cały dostarczony mu z kancelarii tekst, zaśpiewał sam od początku do końca, po czym zaczął uczyć kompanię pierwszej zwrotki. Żołnierze w skupieniu wysłuchali recytacji, śpiew pana kaprała nagrodziło nawet kilka oklasków, ale z powtarzaniem poszło od razu źle i Ulmbach doszedł do wniosku, że najcięższym zadaniem w wojsku, a szczególnie w tej kompanii, jest nauczenie hymnu.

- Uważam, panie kapralu - zauważył Mladecek - że należałoby każdemu przetłumaczyć hymn na jego język ojczysty. Kiedy słowa są zrozumiałe, łatwiej jest spamiętać.

- Nie wtrącajcie się w nie swoje sprawy! Ulmbach podniósł dłoń do góry.

- Na drei zaczynacie wszyscy jednocześnie. Uwaga... eins, zwei, drei!

- Gooott eerhaaalteee, Gott beschüützeeeee...

- Halt! Dlaczego tak przeciągacie, kanalie? Przecież podałem wam melodię... Jeszcze raz od początku!

- Gooott eeeerhalteeeee...

- Panie kapral! - wrzasnął nagle Ivanović, jakby go ze skóry obdzierali. Ulmbach opuścił rękę i śpiew ustał.

- Co się stało, dlaczego przerywacie?

- Panie kapral - zaczął mówić Ivanović z niewinną miną - chciałem posłusznie zameldować, że trzeba będzie ustawić głosami, osobno basy, osobno tenory, osobno alty, osobno...

- No nie...

Kapral wymówił to takim tonem, że nie wiadomo było, czy to jest pytanie, czy twierdzenie.

- U nas, w chórze kościelnym... - ciągnął dalej niezmiyszany Ivanović, ale nie skończył.

- Ja was zgnoję, wy świni! - wrzasnął kapral. - Dlaczego przerywacie. Kto ma uczyć, ja czy wy?

- Melduję posłusznie, że chciałem dać dobrą radę, bo ja się na tym znam. Byłem przez kilka lat członkiem takiego chóru, to wiem. Zawsze ustawia się głosami: osobno basy, osobno tenory, osobno alty, osobno...

- Jak ja was ustawię osobno, to będziecie śpiewali psim głosem... wy świni!

- To wtedy wyjdzie g..., a nie hymn - zauważył jakiś głos.

- Milczeć! - wrzasnął Ulmbach. - Zaczynamy jeszcze raz od początku. I nie radzę nikomu więcej przerywać!

Żołnierze nie szczędzili tym razem płuc. Kapral spocił się.

- Chyba śpiewaliście już coś kiedyś, bodaj w dzieciństwie, wy nędzne śmierdziele! Dlaczego beczycie, jak te barany przed zarżnięciem? I dlaczego się wyrywacie? Gdzie wam tak pilno?

- Chcemy się prędzej nauczyć, żeby panu zaoszczędzić fatygi, panie kapral - uprzejmie rzekł Kania. Ulmbach popatrzył na niego zezem.

- Żebym ja wam czegoś nie ułatwił, frajtrze!... Zaczął jeszcze raz od początku i tym razem okazało się znowu co innego...

- No przecież mnie diabli wezmą przy was! - krzyczał ochrypnięty kapral. - Nie

możecie zacząć razem?

- Uważam, panie kapral, że przydałaby się panu batuta - zauważył Holjan - taki krótki kijaszek, jaki mają kapelmistrze w orkiestrze. Wszyscy patrzą na pałeczkę i w takt śpiewają. Bez podania taktu nigdy z tego nic nie będzie.

Kapral Ulmbach najeżył się i otworzył usta do wygłoszenia jakiejś miłej recytacji żargonem koszarowym, ale widać wpadła mu rozsądna myśl do głowy, bo machnął ręką i zaczął mówić powoli, patrząc na stół:

- Słyszeliście rozkaz pana dinstfirendera. Mam was nauczyć hymnu, ludzie. Więc uczyć. Hymn bezwzględnie musicie umieć, choćbyście wymyślali nie wiadomo jakie przeszkody. Rozkaz jest wyraźny: kompania ma umieć. Więc będziecie hymn umieli, choćbyście ogłuchli i oniemieli.

- Niemowy nie śpiewają - zauważył jakiś głos z kręgu żołnierskiego otaczającego stół.
- Jeszcze o takim wypadku nie słyszałem.

Kapral zaczął się drzeć:

- Ludzie, nie doprowadzajcie mnie do furii!

- To pana kaprała zgrabnie zwiążemy w kij i zaniesiemy do izby chorych - mówił ten sam rozmowny głos. - Pamiętam, jak jeden oficer na froncie zwariował i zaczął krzyżeć. Tośmy mu zameldowali, żeby zamknął buzię, bo...

Ulmbach trzepnął pięścią w stół.

- Milczeć! Ostrzegam was, że jeśli mi będziecie robili wstręty, pójdę do pana dinstfirendera, a wtedy zobaczycie...

- ...drugiego bałwana - uzupełniono uprzejmie z koła żołnierskiego.

Ulmbach wściekł się. Blisko kwadrans trwało śledztwo, które niczego nie wykazało.

Zaczął więc jeszcze raz od początku, nie reagując na bezczelne zaczepki. Tym razem wyłoniła się inna przeszkoda: jakiś bas huczał ostatnią zgłoskę jak krowa przy wodopoju i zagłuszał wszystkich urywanym: e e e e e.

Ulmbach usiadł i rozwichrzył włosy z wyrazem beznadziejnej rozpacz.

Śpiewacy skapitulowali przed tym beczeniem i umilkli, po czym ucichł i zwycięski bas.

Nastała cisza.

- Właśnie popełniamy wszyscy profanację - zaczął poważnie mówić Kania, jakby do siebie. - Hymn powinno się śpiewać w postawie "habt acht", a nie jak nas tu uczą. Zawsze przy hymnie powinno się stać na bacność... nawet sam Najjaśniejszy Pan stoi przy hymnie na bacność, bo to jest pieśń państwowa, a nie piosenka o ułanie i Marynie. W burdelu tak się

nawet nie śpiewa hymnu...

Ulmbach milczał z opuszczoną głową.

- Masz rację - przyznał Mladecek - nastąpiła tu rzeczywiście profanacja.

- I to na rozkaz i pod okiem przełożonego - potwierdził Slavik.

Ulmbach ciężko, bardzo ciężko westchnął.

- To nas usprawiedliwia - uzupełnił Ivanović - bo gdybyśmy to zrobili sami, dostalibyśmy karne ćwiczenia i gonilibyśmy z wywieszonymi jęzorami do zemdlenia. Albo i (pod sąd mogliby oddać...

- Jest rzeczą jasną i oczywistą dla każdego, największego nawet bałwana w feldgerichcie, że do profanacji nakłaniał nas przełożony, nie?

Kania powiedziawszy to spotkał się z przygasłymi oczyma kaprała, który słuchał tej dyskusji jak we śnie lunatycznym. Kwestia popełnionej profanacji była rozstrzygana coraz bezwzględniej.

Kiedy kaprał doszedł do jakiejś takiej równowagi duchowej, powstał z ławy.

- Słuchałem tego wszystkiego i jedno wam powiem: jesteście największe łotry, jakich kiedykolwiek święta ziemia nosiła. Żołnierze wysłuchali tej opinii z całym szacunkiem.

- Nie ma większej profanacji, jak wy, politycznie podejrzani zdrajcy! Was powinno się powywieszać, jednego przy drugim! Nie myślcie, że mnie takie opowiadania przejmują, świńska inteligencjo. Jeśli zechcę, będziecie hymn wyli na kniet (klękni) i nieder! (padnij!) Będziecie śpiewali z pyskami w błocie na jeden mój rozkaz i nawet wtedy żaden z was nie będzie miał prawa mówić o profanacji! Każę wam stać na głowie i będziecie musieli śpiewać, wy bydlęta międzynarodowe. Jeżeli wam się zdaje, że będziecie robili, co wam się podoba, to jesteście w błędzie, małpia bando słowiańska!

- Całe szczęście, że jesteśmy rozumni ludzie - przemówił Kania - bo już byś dotąd miał kilka bagnatów w żebrach, ty wszawy Austriaku!

Ulmbach szeroko otworzył oczy.

- I za takich drani człowiek miał zginąć na froncie, no... Przecież to jest niesłychane, co wy tu mówicie, człowieku! To jest obraza...

- No, myślę, że obraza - zgodził się Kania - rzeczywiście obraziłem za jednym, zamachem kilka paragrafów kodeksu wojskowego.

Urwał, namyślał się przez chwilę.

- Za to, frajtrze, pójdziecie pod sąd - odezwał się kaprał - to już przebrało miarę, żeby taki parszywy Polak bezkarnie sobie gębę wycierał...

Kania w dwóch susach dopadł do kaprała i trzepnął go pięścią między oczy tak, że się

od razu zwałił na ziemię.

- Trzymajcie go!

Szybko wyjął z kieszeni nóż i popróbował palcem ostrza.

Kapral zbiegał.

- Nie bój się - uspokoił go Kania - krzywdy ci nie zrobię. Ale, że cię mamy dość, rozstaniemy się z tobą raz na zawsze. Zatkajcie mu gębę!

Żołnierze trzymali Ulmbacha i zatkali mu usta czapką.

Kania przejechał się nożem po policzku od ucha do podbródka i wyjął lusterko z kieszeni. Przyjrzał się, potem sumiennie rozmazał krew na policzku i położył się u nóg kaprala na podłodze.

- Zepsułem sobie na kilka dni cerę przez ciebie, ty gnido!... Zaczynaj, Slavik, krzyczeć.

W sali podniósł się raptem piekielny hałas. Wołania o pomoc krzyżowały się z głośnym rykiem Kani i wrzaskiem wydzierającego się Ulmbacha.

Wpadł służbowy oficer, zobaczył okrwawionego frajtra na podłodze, okręcił się dokoła swojej własnej osi i pędem pobiegł do kancelarii.

Przywołany przez niego dinstfirender krzyczał na żołnierzy, żeby uspokoił się, i kiedy się rozejrzał w sytuacji, rozkazał przede wszystkim przenieść Kanię na pryczę i posłał po sanitariusza.

- Cicho, do stu tysięcy diabłów, przecież żyje... Powoli hałas umilkł i feldfebel, nieć nie rozumiejąc, zaczął wypytywać.

- Zamknijcie gęby i nie gadajcie wszyscy naraz... opowiedzcie Slavik, co tu się stało.

- Właśnie śpiewaliśmy hymn, panie feldfebel - z przejściem opowiadał Slavik, wymachując przy tym okrwawionym nożem - kiedy nagle pan kapral spojrział na pana frajtra tak jakoś dziwnie, aż mi się nieprzyjemnie zrobiło. - "Dlaczego - powiada - nie nosicie wąsów?" - Pan frajter stanął na baczność i mówi: - "Nie noszę wąsów - powiada - ponieważ gołę, panie kapral!" - Wtedy pan kapral wyjął z kieszeni nóż, o, ten sam, jeszcze na nim krew nie obeschła, i mówi do pana frajtra: - "Zarżnę ciebie - powiada - a potem - Slavik szurgnął nogami - przepraszam za wyrażania, tego drania dinstfirendera - powiada - za to, że mi kazał uczyć hymnu..."

Dinstfirender patrzył na Ulmbacha z podniesionymi brwiami i kręcił głową.

- "...potem - powiada - zarżnę tego zapijaczonego oberlejtanta - ciągnął dalej Slavik - potem tego idiotę kapitana, potem arcyksięcia Fryderyka..."

- Nie rznij tyle do cholery - szepnął mu w ucho Ivanović.

- "...Potem - powiada - wykastruję Najjaśniejszego Pana". Wówczas pan frajter Kania odstąpił o krok i mówi: - "Pan bredzi od rzeczy, panie kapral, niech pan nie robi zgorszenia." - Wtedy pan kapral zaczął wymachiwać nożem i krzyżeć: - "Będziecie hymn śpiewali w burdelu - powiada - z pyskami w błocie, będziecie śpiewali ten drański hymn, wy bydłota!" - Pan frajter wtedy powiada: - "Pan popełnia profanację, panie kapral, to jest obraza pieśni państwowej! Idę o tym zameldować panu dinstfirenderowi." - Wtedy pan kapral rzucił się na pana frajtra z nożem i zajechał go w twarz. Pan frajter zaraz upadł na ziemię, a ja wyrwałem panu kapralowi nóż.

Slavik zakończył swoją relację i półgłosem dodał:

- Zdaje się, że pan kapral zwariował, panie feldfelbel...

Ulmbach patrzył na Slavika i na resztę żołnierzy z takim wyrazem twarzy, jakby chciał tę opinię o sobie potwierdzić. Dinstfirender pokiwał głową.

- Ładne historie zaczynają się w tej kompanii... no! Odprowadźcie, Slavik, z kim kaprala do aresztu i zameldujcie panu cugsfirerowi Koperce, żeby go zamknął w oddzielnej celi. I niech mu odbierze owijacze i pasek, bo się gotów obwiesić.

- Panie dinstfirender - wydarł się Ulmbach. - Ja nie zwariowałem, to Kania zwariował. Kilka dłoni jednocześnie spadło na twarz kaprala i zamknęło mu usta.

- Zwariował na amen, panie feldfelbel - powtórzył z cicha Slavik - zdaje się, że się pieni. Gotów jeszcze ataku furii dostać i nie damy sobie z nim rady...

- Odprowadźcie go i powiedzcie Koperce, żeby go owinął kocem i związał sznurem!

- Rozkaz!

Slavik wraz z kilkoma usłużnymi żołnierzami prawie wyniósł opierającego się kaprala z sali.

Sanitariusz kompanijny krzątał się przy Kani, jakby miał do czynienia z konającym.

- Tylko mi, bracie, głębię owiń sumiennie - pouczał go szeptem Kania.

- Nie martw się... będziesz tak wyglądał, jakby cię granat wyrzynał w ucho... ale radziłbym ci jeszcze dać sobie zajodynować. Mogą ci kazać odwinąć bandażę i zobaczą wąziutką szramę... albo może zalapisować...

- Dziękuję, żeby mnie piekło! Smaruj jodyną. Dinstfirender stanął nad siennikiem.

- Oprzytomniał już?

- Już... ale krwi z niego utoczył jak z wieprza - odpowiedział sanitariusz. - Ma przecięty policzek na durch... zęby przez tę szparę widać.

Głowa Kania była podobna do ogromnej białej kuli.

- Jak się czujecie, frajtrze? - zapytał dinstfirender.

- Boli mnie - słabym głosem odpowiedział Kania - szczęście, że mu nóż wyrwali.

Dinstfirender oddał frajtra pod opiekę kilku najbliższych śpiącym koło niego żołnierzom i odszedł do kancelarii, gdzie zaczął pisać szczegółowy raport o zajściu, przy czym spocił się i Haber, który musiał spisywać zeznania naocznych świadków, bez zająknięcia potwierdzających w całej rozciągłości relację Slavika.

"Nie ulega wątpliwości - pisał feldfelbel, któremu się z tego wszystkiego mąciło w głowie - że wymieniony wyżej kapral dostał pomieszania zmysłów i w ataku furii zranił frajtra nożem."

Po kolacji obandażowany Kania rznął w karty przy stole w takim błogostanie, jakby wygrał los na loterii.

- Będzie sobie teraz pan kapral śpiewał "Gott erhalte..." - odezwał się Ivanović - przyda się...

- Ciekawe, co z nim jutro zrobi kapitan - zastanowił się ktoś - czy odeśle go do Pesztu, czy na miejscu odda do szpitala?

- Tutaj potrzymają go ze dwa tygodnie - odrzekł Kania - a dopiero potem wyślą go na oddział psychiatryczny w szpitalu peszteńskim. A tam go wykończą bez bólu. Postawią przed obrazem osła i zapytają: - A może nam powiecie, łaskawy przyjacielu, co ta ilustracja przedstawia. - Wtedy powie, że osła. - Wówczas popatrzy na niego jeden z drugim, pogadają z sobą po cichu i znowu spytają. - Czy nie jesteście w błędzie, dobry człowieku? Może to jest zebra albo wielbłąd? - On znowu odpowie, że to jest osioł. - Poszeptają sobie i jeszcze raz grzecznie zapytają: - Czy możecie z całą stanowczością twierdzić, że to nic innego, tylko osioł? - Będą go tak pytali z dziesięć razy. Wtedy się zniecierpliwi i wyrznie którego z wysokiej komisji w mordę. Od tej chwili będą w domu: "Zwiększona pobudliwość, brak opanowania odruchów, zmienność nastrojów, nie uzasadnione zmiany w układzie psychicznym z patologicznym wypaczeniem..." - zapomniałem już dokładnie, ale coś w tym guście. Potem odeślą go do pojedynki i będą leczyli hydropatią. Kania przerwał i zapalił papierosa.

- Kiedym po raz pierwszy zwiął z frontu serbskiego, chciałem zadekować się przez kilka miesięcy w jakim szpitalu i zacząłem robić wariata. W Zagrzebiu urządziłem grandy na ulicy i razu pewnego rozebrałem się przed komendą garnizonu w biały dzień i wlałem do takiego basenu z trytonami. Żandarmom powiedziałem, że chcę się wykapać. Wzięli mnie od razu do miejscowego szpitala. Następnego dnia odesłali mnie do szpitala w Budapeszcie. Wzięli mnie w kaftanie i całą drogę czekałem. Tłumaczyłem, że jestem pies meldunkowy "Lux Drugi" i kazałem się nazywać Lux i gwizdać na siebie. Sanitariusze mieli przez całą

drogę dużo kłopotu ze mną i rano byli zgrzani jak po łaźni. W szpitalu położyli mnie w izbie przyjęć oddziału psychiatrycznego między innymi przywiezionymi w kaftanach wariatami i sami poszli. Leżeliśmy sobie jak niemowlęta i czekaliśmy na lekarzy, bo to było za wcześnie i nikogo jeszcze nie było. Poszczekiwałem sobie dla wprawy, kiedy mówi do mnie jeden brodaty Dalmatyniec tak: "Zamknij gębę i nie szczekaj! Już tu jest jeden pies meldunkowy i możesz trafić do kryminału. Innym zaszkożysz, a sam nic z tego nie będziesz miał" Nie wiedziałem, czy to wariat, czy nie, i udawałem, że nie rozumiem, co do mnie mówi. Szczekam sobie dalej. Znowu zaczyna mi tłumaczyć: "Radzę ci jak rodzonemu bratu, bo nic z tego nie będzie, drugi raz już tu jestem i znam stosunki. Dwa psy meldunkowe jednego dnia to za dużo i larwie się cała kombinacja." Rzeczywiście, słyszę za chwilę skomlenie. Ruszyć się nie mogę, bo jestem związany, więc mówię temu Dalmatyńcowi, że nie jestem pies meldunkowy, tylko owczarek alpejski i dalej szczekani. "Pójdziesz, bracie, do kryminału za symulację, powiada, lepiej będzie, jak będziesz miauczał, bo kota jeszcze tu nie było... prędzej się uda." Zastanowiłem się nad tym i zacząłem miauczeć. Starłem się naśladować kota w marcu i widać dobrze mi się to udało, bo usłyszałem takie warczenie, jakby prawdziwy pies był w pokoju. Potem zacząłem na odmianę śpiewać, bo to miauczenie denerwowało innych wariatów i wyli. Leżę sobie i wyśpiewuję, kiedy przychodzą sanitariusze i zabierają mnie na górę. Położyli mnie na stole przed komisją, a ja nic. Śpiewam sobie, przyjaciele. "Odesłać go do śpiewaków" - powiada jeden doktor i zabrali mnie.

Mówię wam, koledzy, dopiero tam myślałem, że naprawdę zwariuję. Wsadzili mnie do pojedynki, gdzie nie było drzwi, tylko kraty, i mogłem widzieć swego sąsiada z przeciwka. Pod wieczór powiedziałem sobie, że kwituję z tego interesu, i postanowiłem się stąd wydostać.

W nocy, kiedy sanitariusze poszli spać, zaczęły się rozmowy i wtedy się okazało, że prawdziwych wariatów była może połowa, reszta to same morowe chłopy i z cywila całkiem solidni obywatele. Powiedziałem temu z przeciwka, że żałuję, że się tu dostał. Sąsiad był melancholik z manią prześladowczą i powiedział mi, że najgorzej będzie, jak będę tłumaczył doktorom, że mi nic nie jest, bo tak mówi każdy wariat, i pogorszę sobie tym sprawę. "Udawaj - powiada - melancholika jak ja, to cię potrzyają dwa miesiące i dostaniesz potem sześciomiesięczny urlop."

Pytałem go, czy wytrzyma dwa miesiące. Powiedział, że wytrzyma, bo sobie zatyka uszy watą i nic nie słyszy. "Zresztą - powiada - wezmą mnie na salę dla melancholików, a tam będzie cicho."

Rano wzięli mnie na badania przed komisją. Było ich sześciu chyba. Zdjęli ze mnie

kaftan i przywiązali pasami do ściany, żebym nie uciekł. Podchodzi do mnie jeden z doktorów z obrazkiem w ręku.

Zobaczyłem namalowanego osła i ryczę, koledzy, aż szyby w uszach dzwonią. Wiedziałem, jak i co, bom się w nocy nauczył od tego melancholika. Po osle pokazali koguta, zacząłem pisać. Potem postawili mi przed oczami namalowanego nosorożca. Nie wiem, jakie głosy to bydłę wydaje, i namyślałem się, czy mani ryczeć, czy kwiczeć.

"Co to jest?" - pyta prędko ten doktor. "To jest pan oberlejtant Huber z kadry mego pułku" - powiadam.

Więcej mnie nie badali i zawieźli mnie na wózku do suterenu, a tam, koledzy, poznałem, jakie ciężkie życie ma prawdziwy wariat. Zimna wanna - gorąca wanna, zimny prysznic - gorący prysznic, potem kładą cię na ławę i na łeb wkładają taki gumowy worek z lodem. Hu! Leżałem tam związany i owinięty w mokre prześcieradła ze dwie godziny i myślałem, że mnie diabli wezmą przy tej hydroterapii. Odechciało mi się marikieracji i sześciomiesięcznego urlopu. Następnego dnia znowu mnie wzięli na badanie przed komisję.

Ten sam doktor podchodzi do mnie z osłem. "Co to jest, przyjacielu?" "Osioł" - powiadam. "Naprawdę osioł?" "Naprawdę osioł" - mówię. "A może się mylicie? Może to nie jest osioł, ale dajmy na to, hipopotam? Rzeczywiście osioł? Rzeczywiście osioł?" "Rzeczywiście osioł" - powiadam. Pogadali z sobą trochę i znowu do mnie: "Czy jesteście pewni, że to nic innego, jak osioł? Może wam się zdaje? Przypatrzcie się jeszcze raz dobrze." "Nie potrzebuję się przypatrywać, bo od razu wiedziałem, że to jest osioł" - powiadam. Zrobili małą przerwę i myślałem już, że mi dadzą spokój, ale gdzie tam.

Podchodzi do mnie drugi z tym samym obrazkiem. "Więc twierdzicie kategorycznie, że to nic innego, tylko stworzenie nazywane osłem?" "Twierdzą kategorycznie - powiadam - że to jest osioł. W zoologii nazywa się po łacinie asinus i nikt we mnie nie wmówi, że to jest mrówkojad, proszę mi dać spokój." Tak, jakbym do ściany gadał, przyjaciele. "Czy moglibyście przysiąc, że to jest osioł?" - pyta mnie ten sam. "Mogę - powiadam - jak Boga kocham, to jest osioł!" Odszedł ode mnie i zaczęli gadać. Za chwilę przychodzi inny, siada przede mną, a obrazek jakiś trzyma odwrócony na kolanach. "Jak wynika - powiada - z waszej ewidencji, jesteście z zawodu mechanikami (miałem wtedy rzeczywiście tak napisane), a mechanicy to ludzie inteligentni.

Możecie ze mną rozmawiać jak równy z równym i całkiem szczerze... Odpowiedzcie mi na to jedno pytanie, ale bez kłamstwa, chodzi o prostą rzecz. Powiedzcie mi, co to jest?" - i odwrócił ten obrazek.

Myślałem, że mnie krew zaleje. Ten sam osioł! Wście, żebym nie miał

przywiązanych nóg do ściany, tobym z niego zrobił siekaninę. Trzeba wziąć pod uwagę, że to trwa dłuższy czas i człowieka może wytrącić z równowagi, jak go się pytają tysiąc razy o jedno i to samo. Doktor siedzi i obserwuje mnie. "Proszę, panie doktorze, nie robić ze mnie wariata i dać mi spokój - powiadam - bo zacznę krzyczeć." Popatrzyli na mnie i za chwilę jeden wyciąga obraz z nosorożcem. "Jeżeli powiecie, co to jest, damy wam spokój. Więc?" "To jest nosorożec" - powiadam. "To nie jest nosorożec, tylko pan oberlejtant z kadry waszego regimentu, nie poznajecie?" - "Proszę mi dać spokój, szanowna komisjo, bo ja zwariuję naprawdę" - powiadam. Wtedy zapytał mnie sam przewodniczący, taki gruby, w okularach: "Czy was głowa nie boli?" "Nie boli, panie sztabsarct." "A nie latają wam czasami przed oczyma gwiazdy?" "Nie latają mi przed oczyma gwiazdy, panie sztabsarct" - powiadam. "Wobec tego pójdziecie do kryminału za podstępną symulację."

Uratowała mnie tylko gorączka, bom się przy tej hydropatii przeziębiał i odesłali mnie na oddział wewnętrzny, i tam już spokojnie przemarkierowałem kilka miesięcy, bo widać zapomnieli o mnie. Takie samo badanie czeka naszego pana kaprała i jeżeli wytrzyma, to mu nic nie pomoże, bo pójdzie pod sąd za usiłowanie zabójstwa. Nie kijem go, to pałką i, tak czy owak, więcej go nie zobaczymy. Będzie miał drań nauczkę... Rozdawaj karty, Holjan!

Jak to słusznie przewidział Kania, następnego dnia kapitan polecił kaprała odesłać do miejscowego szpitala na wstępną obserwację. Jego energiczne zapewnienia, że jest zdrow, zaszkodziły mu o tyle, że kapitan polecił go związać w kij i przewieźć na wozie, jak worek kartofli. Rad w głębi duszy z pozbycia się gorliwego patrioty, kapitan Zivancić przyjmował jego oświadczenia z ironią.

- Nie rób, człowieku, i ze mnie wariata, jeśliś sam sfiksował. Nikt mi nie wmówi, że człowiek o zdrowych zmysłach ni z tego ni z owego, wyjmie z kieszeni nóż i pokanceruje sobie pysk. Po was się tego można było spodziewać jeszcze przedtem, kiedyście godzinami wystawali pod wychodkiem i przychodzili do mnie z meldunkami o antypaństwowych rozmowach. Wasz ojciec był notorycznym alkoholikiem. Nie? No to dziadek. Też nie? W takim razie mieliście syfilis... nie zaprzeczajcie! musiał ktoś w rodzinie być obciążony. Pewnie ojciec. Milczcie! Odwieźć go, dinstfirender, tak jak powiedziałem.

SAMOBÓJSTWO OBERLEJTNANTA

W kompanii zaczęły się ciężkie czasy. Oberlejtant Giser zapomniał o hymnie, którego teraz uczył kto inny w miejsce zamkniętego w szpitalu wariatów Ulmbacha, przypominał sobie natomiast co kilka dni jakiś inny paragraf regulaminu i w najmniej oczekiwanej porze wpadał do kompanii, zarządzał alarm i żądał przerabiania jakiegoś ćwiczenia.

Dinstfirender żył w ciągłym podnieceniu i niespokojnym oczekiwaniu niespodzianek. Groźby oberlejtanta o wysłaniu na front przestały go już przejmować panicznym strachem. Kiedy alarmy oberlejtanta stały się częstsze, feldfebel zaczął medytować nad tym, czy nie lepiej będzie zgłosić się samemu ochotniczo na front, niż znosić dalej wybryki stale pijanego oficera. Pocieszał się myślą, że do frontu zalicza się także magazyny, w których miłujący spokój przedsiębiorczy feldfebel mógłby do końca wojny przesiedzieć. Było tylko można było wysłać dalej paczki do domu.

Początkowo nie donosił nic kapitanowi o nocnych wizytach pana oberlejtanta, lecz po jednej nocy, kiedy Giser wyjął rewolwer i zagroził, że go zastrzeli za to, że kompania nie umie mówić po hiszpańsku, zebrał się na odwagę i zameldował o wszystkim.

- I mówi pan, że to się zawsze zdarza po pijanemu? Bo może być i w śnie lunatycznym.

- Czuć koniak na kilka metrów, panie kapitanie. Jaki tam sen lunatyczny... Lunatyk, jak słyszałem, łązi po dachach i kiedy się na niego zawoła, bezwarunkowo spadnie na łeb, panie kapitanie. Nie słyszałem, żeby w śnie lunatycznym ktoś żądał opisu maski gazowej albo wymieniania wszystkich części karabinu maszynowego systemu Scharzlose. A pan oberlejtant mówi nieraz całkiem rozsądnie, chociaż nie zawsze do rzeczy, bo naprawdę myślałem, że jest lunatykiem, i chciałem go obudzić. Zjechał mnie z góry na dół przed całą kompanią, aż mi wstyd było. "Nie jestem - powiada - głuchy i nie ryczcie na mnie, feldfeblu, jak pastuch na krowę." Kapitan Zivancić zamyślił się.

- Dziwne historie pan mi tu opowiada, feldfeblu - odezwał się po chwili. - Skoro jest, jak pan mówi, pijany, to jakżesz może mówić rozsądnie? Jedno z drugim się nie zgadza.

- Panie kapitanie, zgadza się. Jednej nocy wpadł do koszar, zrobił alarm i pyta: "Kto umie mówić po angielsku?" Zameldował się Polak, frajter Kania, a pan oberlejtant do niego: "Jak się wymawia Lojd Żorż?" Frajter mówi tak samo: "Lojd Żorż". "A jak się nazywa król angielski?" "Żorż piąty" - powiada frajter. "A czy to są bliźniaki, frajtrze?" "Nie - powiada

frajter - nawet nie są krewni". Zamyślił się trochę pan oberlejtnant i mówi tak: "Pójdziecie, frajtrze, do kryminału za to, że nie potraficie wymienić członków austriackiego domu panującego." Zaczął mu ten frajter tłumaczyć, że król angielski nie jest członkiem dynastii austriackiej, ale, jak sobie pan oberlejtnant życzy, to może mu wymienić z własnej ochoty członków angielskiego domu panującego, bo był w Anglii przed wojną i wie. Zaczął gadać tak jak naprawdę jest, a pan oberlejtnant powiada, że nie wszyscy i żeby gadał do końca, więc ten frajter zaczął niezgorzej zmyślać, dopóki pan oberlejtnant nie usnął. Zgorszenie z tego wychodzi i zły przykład, panie kapitanie, bo naszym ludziom i bez tego nic nie brakuje.

Po tej rozmowie zaszedł kapitan Zivancić do kwatery swego zastępcy i to, co zobaczył, potwierdziło oświadczenie dinstfirendera o jego nienormalnym stanie.

Oberlejtnant leżał zupełnie pijany na podłodze i szablą wodził pod łóżkiem.

- Co ty robisz?

Giser odwrócił głowę i wtedy kapitan zobaczył błędne oczy i czerwoną, nalaną twarz przyjaciela.

- Myszy... pełno myszy...

- Wstań!

- Muszę je przepędzić... coraz więcej... Białe, zielone, czerwone... i mnożą się, mnożą, mnożą...

Kapitan siłą podniósł go z podłogi i położył na łóżku.

Próbował z nim rozmawiać, ale oberlejtnant plótł coś bez związku, wreszcie zaczął płakać.

Zivancić siedział przy nim, dopóki nie usnął, po czym odszedł. W nocy wpadł do jednego mieszkania na wpół ubrany ordynans oberlejtanta.

- Herr Hauptmann! Herr Oberleutnant hatt sich erschossen! (Panie kapitanie! Pan porucznik się zastrzelił!).

NOWY OBERLEJTNANT

W kilka dni później, przed południem, dinstfirender zebrał kompanię na placu zbiórki w pełnym rynsztunku.

- Poprawić na sobie umundurowanie i oporządzenie. Dinstfirender widocznie osowiał.

- Radzę wam przypomnieć sobie trochę służbę, bo przyjdzie się z wami zapoznać nowy zastępca pana kapitana, pan oberlejtnant von Nogay. Przyjechał z frontu i zdaje mi się, że weźmie się za was. To nie oberlejtnant Giser.

Z kancelarii wyszedł Haber i zbliżył się do feldfebla.

- Zaraz wyjdzie, panie feldfebel...

Dinstfirender przełożył papiery z prawej ręki do lewej i uważnie skontrolował swoje umundurowanie, potem wpatrzył się w drzwi kancelarii z niespokojnym trochę oczekiwaniem.

Kiedy drzwi się otworzyły, wydał komendę i kompania sprezentowała broń.

Wszystkie głowy zwrócone były w lewo, a oczy skierowane na nowego oficera.

Średniego wzrostu, bardzo elegancki, wolnym krokiem zbliżył się do zdającego raport feldfebla i słuchając go patrzył na sprężone, nieruchome szeregi.

- Dziękuję.

Oberlejtant przyłożył dłoń do czapki i stanął przed środkiem kompanii. Pierwszą rzeczą, która zwróciła uwagę wpatrzonych w niego kompanii, było jego spojrzenie. Patrzył wnikliwie swymi siwymi oczami, w których czaiło się jakieś straszliwe okrucieństwo. Biła z nich pogarda, i żołnierz, którego oczy napotkały oczy oficera, opuszczał wzrok. Oglądał ich bacznie i przesuwając swoje zimne, stalowe spojrzenie kolejno od prawego skrzydła, gdzie stali podoficerowie, po szeregu, metodycznie i badająco.

Głębokiej ciszy nie zakłócało żadne chrząknięcie, nawet oddechy stały się cichsze.

Oberlejtant stał i obmacywał kompanię wzrokiem, jak jastrząb.

To milczące wzajemne podpatrywanie stało się ciężkie, gdy żołnierze zauważyli, jak oberlejtant rozkraczył się i założył ręce za siebie.

Stał tak minutę, dwie, trzy i karabiny zaczęły się chwiać. Zdawało się, że nigdy nie wyda rozkazu: "Ruht!"

Potem zaczął się lekko przechylać na rozkraczonych nogach w przód i w tył.

Dinstfirender leciutko chrząknął.

- Proszę wydać komendę "spocznij"! Głos miał głęboki i miękki, ale z chrapliwym zacięciem. Dinstfirender wydał komendę solenniejszą niż zawsze i żołnierze odetchnęli.

Oficer kiwał się jak przedtem. Kompania patrzyła teraz na niego z większą swobodą.

- Jestem oberlejtant Franz von Nogay - zaczął niespodziewanie mówić; żołnierze zastygli w napiętym oczekiwaniu. - Przydzielony zostałem na zastępcę dowódcy tej kompanii, pana kapitana Zivancicia. - Oberlejtant urwał i strzepnął z rękawa jakiś niewidoczny pyłek. - Z tego, co widzę, stwierdzam, że jesteście opuszczeni i jako żołnierze nie przedstawiacie na razie żadnej wartości. Te wartości, które są wam potrzebne i które w całej pełni określają żołnierza, będę się wam starał wpoić z całą energią i wytrwałością, na jakie mnie stać, a pragnę wam oświadczyć, że stać mnie na wiele. Na więcej niż się spodziewacie!

Oficer znowu urwał i przestał się kiwać na nogach.

- Jeżeli są między wami jednostki, które sądzą, że mam jakieś słabe strony charakteru, z których można by osiągnąć korzyści, oświadczam na wstępie, że sąd taki jest mylny. Nie mam słabych stron i jestem z jednej bryły, której ugryźć nie można. Jeśli są między wami tacy, którzy mają niesforny charakter, radzę im spuścić z tonu. Jestem surowy dla siebie i innych i nie znam litości. Miłosierdzie jest mi obce i nie życzę nikomu, aby się przekonał o tym na własnej skórze. Żądam od was posłuszeństwa i sumienności w wykonaniu każdego rozkazu i biada temu, który żądanie moje, w tej chwili wyrażone spróbuje zbagatelizować. Nie mówię nigdy dużo i dzisiejsze moje słowa niech wam głęboko zapadną w mózgi, bo powtarzać ich nie będę. Prędzej może nastąpić koniec świata, niż ja mógłbym dwukrotnie powtarzać to samo. Sądzę, że jestem należycie przez was zrozumiany. Przez pierwsze kilka dni będę się z wami zapoznawał z daleka i chociaż nie będę wami przez ten czas komenderował, będę miał wszystko na oku, żeby lepiej poznać ducha, jaki panuje w kompanii. Powiedziałem szczerze to, co pragnąłem, i mam nadzieję, że równie szczerze wy się do mnie ustosunkujecie, przy czym zwracam uwagę, że jest mi całkowicie obojętne, czy stosunek wasz do mnie będzie dobry, czy zły. Przewiduję raczej nienawiść. Proszę rozpuścić kompanię, dinstfirender.

Oberlejtant zapalił papierosa i wolnym krokiem odszedł do kancelarii.

W koszarach tego wieczora brzęczało jak w ulu.

Oberlejtant wywarł wrażenie przygnębiające.

- Jest mały błąd w rachunku - odezwał się po kolacji Kania, siedząc przy stole otoczonym posępnyimi kolegami. - I błąd ten on popełnił...

- No?

- Dał się poznać nam, ale myśmy się nie dali poznać jemu. Oto wszystko. Jeżeli miłosierdzie jest mu obce, tym gorzej dla niego, a jeżeli powiada, że się nie da ugryźć, postaramy się udowodnić, że skruszy się prędzej, zanim się tego spodziewa. Na froncie mógł zastrzelić człowieka, ale tu będzie grzeczny.

Podczas lekcji gimnastyki następnego dnia rano Oberlejtant spacerował między szeregami bez słowa. Chodził, przyglądał się, ale nie zwracał żadnej uwagi ani podoficerom, ani szeregowcom, mimo że niektórzy widząc, że się zbliża, wykonywali ćwiczenia specjalnie niedbale.

W połowie lekcji przyszedł na plac kapitan Zivancić, mrukliwie przyjął raport od oberlejtanta i z ukosa na niego patrzył, kiedy zaczął z nim spacerować między szeregami.

- Pozwolę sobie zameldować, panie kapitanie, że kompania jest straszliwie rozpuszczona - zaczął mówić w pewnej chwili, kiedy stwierdził, że kapitan nie rozpoczyna

rozmowy.

- Wiem o tym.

Oberlejtant rzucił mu bystre spojrzenie z boku.

- Uważam, że taki stan rzeczy nie odpowiada wymaganiom regulaminów.

- Bardzo pan dobrze uważa, panie Oberlejtant - sucho przerwał kapitan - ale pragnę panu zwrócić uwagę, że ten stan rzeczy im odpowiada.

Oberlejtant chrząknął.

- Ponieważ zauważyłem, że pan ma o nich swoje wyrobione już zdanie - mówił dalej kapitan błędząc oczyma po placu - aby zaoszczędzić panu złudzeń, komunikuję, że ci ludzie są politycznie podejrzani i wszelkie próby umoralniania ich w tym stanie rzeczy uważam za bezcelowe.

Kapitan wyjął z papierosnicy papierosa i stuknął ustnikiem w wieko.

- Jestem dowódcą tej kompanii przeszło dwa lata, panie oberlejtant, i nie widzę możliwości urobienia ich do konsystencji wymaganej przez regulaminy.

Oberlejtant słuchał w milczeniu.

- Rozmyśla pan w tej chwili prawdopodobnie o mojej nędzy moralnej, upadku albo niedołęstwie.

- Ależ, panie kapitanie!

Oberlejtant podał kapitanowi płonąca zapalniczkę.

- Dziękuję! Niech mi pan nie przeczy, panie oberlejtant. Nie wiem, czy pan, wzorem swoich poprzedników, zasięgał o mnie poufnej opinii w dowództwie korpusu albo próbował w tym kierunku wybać dinstfirendera, bo i to się zdarzało.

- Panie kapitanie, naprawdę...

- Proszę mnie wysłuchać, panie oberlejtant. - Kapitan kopnął jakiś kamyczek. - Musieli panu prawdopodobnie mówić, że jestem notorycznym pijakiem i również politycznie podejrzany. Jestem. Jestem Chorwatem, jak to pan mógł odgadnąć z mego nazwiska, i w drugim roku wojny moja lojalność wydała się pewnemu dowódcy korpusu nieco problematyczna. Łez z tego powodu nie wylewam.

Kapitan wypuścił kłęb dymu w górę i mówił dalej tym samym obojętnym tonem, jakby chodziło o kogo innego.

- Co do mego pijaństwa, mają częściowo rację, i przyczyny, które mnie skłaniają do picia, są tak różnorodne, że wymienienie ich uważam za niepotrzebne. Zresztą sądzę, że gdyby pan był na moim miejscu i w mojej skórze, piłby pan tak samo, a może nawet więcej.

- Nie mam pociągu do zapijania się, panie kapitanie. Kapitan przystanął i oglądał

swoje buty.

- Z zawodu jestem dyrektorem spółdzielni mleczarskiej i ani mój zawód, ani usposobienie, ani charakter, ani stanowisko społeczne nie były czynnikami, które we mnie wyrobiły pociąg do zapijania się. Źródło tkwi gdzie indziej i cztery ostatnie lata, jakie przeżyłem, usprawiedliwiają mnie przynajmniej częściowo.

Oberlejtant słuchał z napięciem i jego siwe oczy coraz częściej zwracały się nieznacznie na twarz mówiącego kapitana.

- Jeżeli chodzi o moje dowodzenie tą kompanią, komunikuję panu otwarcie, że jestem dowódcą de nomine¹, gdyż de facto² rządzi arcyżłódziej dinstfirender. Jestem, jak pan widzi, szczerzy do idiotyzmu. Ludzie znajdujący się w kompanii są najsprytniejszymi na tej szerokości geograficznej łazikami, panie oberlejtant, i nie przerobi ich żadna propaganda ani zwykany... o tym właśnie chciałem z panem mówić.

Kapitan znowu przystanął i spojrzął na niebo.

- Tak. O tym chciałem z panem mówić - powtórzył i bystro wpatrzył się w oczy oberlejtanta. - Cokolwiek będzie pan chciał uczynić w kierunku poprawienia kompanii środkami regulaminowymi, będę tolerował, chociaż z góry przewiduję niepowodzenie, natomiast na żadne brutalizowanie i pastwienie się n i e pozwolę i z całą stanowczością temu się sprzeciwię. Widzę, że pan jest z gatunku tych młodych oficerów zawodowych, którzy nie pozbywają się nigdy bezkrytycznego zapału do pracy, jaki nabyli jeszcze podczas pokoju, i że posiada pan dane na pogromcę.

- Panie kapitanie! - rzucił podrażniony oberlejtant.

- Niech pan mnie wysłucha do końca, panie oberlejtant, a potem może pan stanąć do raportu z zażaleniem na mnie albo napisać donos do K-stelle, bo i to mi się zdarzyło. Więc o czym ja mówiłem... aha! Posiada pan walory dostateczne do doprowadzenia ludzi do samobójstw i innych desperackich kroków, a ja właśnie kategorycznie sobie tego nie życzę. Czy pan słyszał dokładnie, co mówiłem?

- Słyszałem, panie kapitanie.

- Nie wiem, co panu o mnie mówili i jakie pan sobie o mnie wyrobił zdanie, i przyznaję szczerze, nie zależy mi na tym. Chcę panu tylko zakomunikować, że z wyjątkiem tej smutnej prawdy o moim pijaństwie, inne sądy o mnie są całkowicie fałszywe. Sadysta, patrzący panu z oczu, we mnie jest utajony i rzadko mam go okazję ujawnić... Chciałbym tylko za wszelką cenę mieć do końca tej wojny spokój i pragnę wrócić do normalnego życia

¹ de nomine - z imienia, formalnie

² de facto - faktycznie, w rzeczywistości

bez burzliwych przejść.

Kapitan podniósł głowę i gonił wzrokiem chmury na niebie.

- Co do tego, jak pan przyjmie moje oświadczenie, chcę panu również zwrócić uwagę, że pańscy poprzednicy, którzy próbowali mi szkodzić poufnymi meldunkami, skończyli smutno i kości ich bieleją na wszystkich frontach. Mam wuja generała, który współpracuje z naczelnym wodzem i ułatwia mi takie rzeczy, kiedy go tylko o to poproszę.

Kapitan przystanął i wiercił obcasem dziurę w piasku.

- Sądzę, że pan się zastanowi nad tym, co panu teraz powiedziałem o sobie (kapitan kaszlnął) i o moich ludziach, którzy są z gruntu nielojalni. Mam jednak dla nich wiele zrozumienia jako człowiek i kapitana austriackiego stawiam dopiero na drugim miejscu.

Przerwał i posępnym wzrokiem wodził po placu.

- Tak... chodzi teraz o to, żeby pan się zastanowił nad swoim stosunkiem do mnie i do tego, co panu powiedziałem, i jedno z dwojga: albo będziemy mieli obaj spokój, albo się rozstaniemy bez żalu z mojej strony. Im prędzej pan się zdecyduje, tym lepiej. Do widzenia!

Kapitan niedbale przyłożył dłoń do czapki i lekko przygarbiony, ociężałym krokiem poszedł do kancelarii.

Oberlejtant von Nogay patrzył na plecy idącego kapitana i w zamyśleniu zdjął czapkę z głowy, jakby dla ochłody.

Szczerść, z jaką kapitan wyłożył mu warunki współpracy, wprowadziła go w oszołomienie, i jeśli pierwszego dnia wydał mu się skończonym niedołęgą, podobnym do tysięcy innych oficerów pospolitego ruszenia, dzisiaj, po tej rozmowie, przedstawił mu się w zupełnie innym świetle.

Nie spotkał dotąd żadnego przełożonego, który by tak szczerze mówił to, co myśli, i przechadzając się do końca lekcji gimnastyki po placu zastanawiał się nad tym, jakie ma zająć stanowisko wobec kapitana.

Zadziwiająca szczerść kapitana zrobiła na nim wrażenie i w duchu przyznał, że w podobnym położeniu znalazł się po raz pierwszy.

Nie wiedział na razie, co ma o tym myśleć i jak ma postępować. Iść wzorem kapitana i pić, oznaczało wyrzeczenie się aspiracji i kapitulację. Starać się o przydział na front jest jeszcze za wcześnie zważywszy, że wszystkie zmobilizowane ciotki i kuzynki mają i tak wiele roboty z zatuszowaniem poprzednich niemiłych sprawek.

Nie mógł się zdobyć na żadną decyzję, czuł jednak po tym, co usłyszał, że służba w tej kompanii nastreczy mu duże trudności.

Rozmowa z kapitanem nie była ostatnią niespodzianką, przed jaką stanął.

Po południu polecił dinstfirenderowi wyszukanie mu ordynansa w kompanii i zaznaczył, żeby z tych, którzy się zgłoszą ochotniczo, wybrał najmniej inteligentnego. Ochotniczo nie zgłosił się nikt.

Kompania od razu z całą solidarnością ustosunkowała się do nowego oficera w formie, która wprawiła dinstfirendera w osłupienie. Z takim zdecydowanym oporem nie spotykał się dotąd.

- Pogłupieście - mówił do zebranych po kolacji szeregowców - pogłupieście, moi kochani, do szczętu. Kompania złowrogo milczała.

- Nic innego, tylko pogłupieście wszyscy na raz. Bojkot, He? Osły jedne! I wam się zdaje, że to wam ujdzie na sucho?

- Nic nam się nie zdaje - odezwał się jakiś głos - wolna wola zgłosić się albo nie. Dinstfirender skłonił głowę.

- Słusznie. Jeżeli mówię o wystąpieniu ochotników, nie będę nikogo wyciągał z szeregu za uszy. Całkiem słusznie, ale pan oberlejtant sam butów nie będzie czyścił i wyznaczy sobie ordynansa.

- Tak to co innego - odezwał się inny głos.

- Aha! Rozumiem. Demonstracja, co? Uchybia godności? Niezłe my tu z sobą rozmowy prowadzimy. Ja, dinstfirender, wdaję się z kompanią w rozmowę na temat, co uchybia godności, a co nie uchybia. Ambicja? Hm... am-bi-cja. Gdybyście wy, Slavik, mieli ambicję, dzisiaj mielibyście sami ordynansa. Ciekaw jestem, ile wy mi tu nagadacie impertynencji za to, że mówię do was jak do ludzi inteligentnych...

Dinstfirender, sprytnie sprowokowany, dał się mimo woli wciągnąć w dyskusję.

- Gdyby w tej kompanii były jakieś wiejskie czopy rekruckie, wybrałbym pierwszego z brzegu i jeszcze by mnie za to w rękę pocałował, że mu dałem spokojną funkcję. Ale z wami, politykami, to nie wiadomo co: ambicje, godności osobiste, demokracje i inne bałwaństwa. Herr Gott im Himmel! (Panie Boże w niebie!) Żeby to tak na początku wojny, mielibyście ambicje. Demokracja wyłaziłaby wam nosem! Dziwię się sobie, że z wami tak teraz rozmawiam jak w knajpie przy kuflu piwa. Chcę wam tylko wyjaśnić, że takie bojkoty są dobre w fabryce, ale nie w wojsku. Jakie ma teraz wyjście pan oberlejtant? Jak wam się zdaje? Mówię, zdaje się, do ludzi inteligentnych, a nie do stada bawołów. Wyznaczy pierwszego lepszego i basta! Ten zaś będzie mógł wprawdzie gadać o godności osobistej, dostanie jednak w zęby za źle wyczyszczone buty... Ale ja nie chcę mieć zatargów w kompanii ani sądów i pragnę na was wpłynąć i trafić do waszego rozsądku. Nikt nie straci ambicji, jeżeli będzie ordynansem. Do gazet o tym nie poda się ogłoszeń. Pójdiesz jeden z

drugim do cywila i sam diabeł się nie dowie. Zresztą to jest wojsko i szlus! Co ci każą, musisz wykonać bez gadania... Powiecie może: ty-ra-ni-zo-wa-nie? No, no... z was byłby, Ivanović, niezgorszy tyran, gdybyście tak mieli władzę. Żałuję, że się do was szczerze odniósł. Co powiadacie, Holjan? Mentalność? Jaką ja mam mentalność? I co w ogóle znaczy? Aha, możliwe, że mam taki sposób myślenia nie-wol-ni-cze-go. Ślicznie! Jak wiecie, jestem z zawodu tapicerem i nie znam się na tych waszych uczoneściach. Nie podśmiewajcie się tam, wy! Różnica jest między nami taka, że ja jestem rozważny i nie jestem politycznie podejrzany, jak wy. Nie mam się czym pochwalić? No, no, wy, jak widzę, próbowaliście samego Najjaśniejszego Pana przerobić na swoje kopyto; niezła z was banda! To wszystko książki zrobiły... Te wasze uczone książki o demokracji. Nie będę z wami dłużej gadał i pytam po raz ostatni: zgłasza się który na ordynansa ochotniczo? Nie? Dobrze. Idę o tym zameldować panu oberlejtantowi. Niech sam wyznaczy! No, myślę, że wyznaczy.

Oberlejtant von Nogay nie mrugnął okiem, kiedy mu dinstfirender zdał relację o tym, i nie wyraził żadnego zdziwienia.

- Tymczasem mieszkam w hotelu i ordynans nie jest mi jeszcze potrzebny, ale kiedy się wprowadzę, wybiorę sam. Niech pan o tym uprzedzi kompanię.

W OBOZIE JEŃCÓW WŁOSKICH

Na świecie była wiosna w całej pełni. Z pagórków otaczających baraki kompanii wartowniczej widać było miasto jak na dłoni.

Kania obrał sobie jedno z tych gęsto porośniętych krzakami głogu wzgórz jako miejsce odpoczynku po problematycznych trudach służbowych i codziennie spędzał kilka godzin leżąc w soczystej murawie z książką w ręku.

W dole, u stóp wzgórza, otoczone potrójnym rzędem drutów kolczastych, stały baraki obozu jeńców włoskich, zatrudnionych przy stacji odżywczej i magazynach zapasowych korpusu. Z miejsca obserwacyjnego Kani do obozu było nie więcej jak trzysta metrów i frajter mógł z góry dokładnie podpatrywać nędzną wegetację sennie kręcących się po placu Włochów, którzy każdą wolną od zajęć chwilę spędzali na zarośniętym trawą wale, gdzie wyłuskiwali robactwo z podartych ubrań i bielizny.

Czasami wpadały mu w uszy urywki tęsknych piosenek i wtedy podnosił głowę, zamykał książkę i patrząc w dół przysłuchiwał się uważanie, a kiedy jeniec kończył, wzdychał, kładł się na grzbiecie i gonił rozmarzonym spojrzeniem białe obłoki, przesuwane się po lazurze nieba.

Któregoś dnia, leżąc jak zwykle w trawie, usłyszał w pewnej chwili odgłosy

prowadzonej w pobliżu rozmowy w języku włoskim. Nie zdziwiło go to wcale, ponieważ nadzór nad jeńcami był raczej nominalny i bez trudu przełazili oni przez druty okalające obóz. W możliwość ucieczki nie wierzyła ani komenda obozu, ani sami jeńcy. Z miejsca, skąd dochodziły głosy, wiała się w górę chwiejną spiralą wąska smuga dymu.

Kania powstał i ostrożnie podszedł w tamtą stronę.

Przy małym ognisku siedzieli dwóch Włochów. Jeden z nich, starszy i obrośnięty, gorąco przedkładał coś towarzyszowi, młodemu, muskularnemu chłopcu, w wyjątkowo całym i czystym mundurze bersagliera. Obok młodszego leżał mały tobołek, sfabrykowany z kawałka koca wojskowego. Na ogniu stał kociołek, w którym coś się gotowało. Kiedy Kania niespodziewanie stanął przed nimi, starszy Włoch zerwał się szybko z ziemi i pobiegł w kierunku obozu, młodszy natomiast wpatrzył się w niego ze zmarszczonymi brwiami i pozostał na miejscu.

Kania wymownie spojrział na tobołek.

- Willst flüchten? (Chcesz uciekać?)

- Nein - krótko zaprzeczył Włoch. Inteligentny wyraz jego ładnej twarzy podziałał na Kanię ujmująco. Usiadł naprzeciw niego.

- Mówisz po niemiecku dobrze?

- Studiowałem przed wojną w Wiedniu... Kania gwizdnął.

- Aha!... A co studiowałeś?

- Po co pan mnie wypytuje? Niech mnie pan odprowadzi do obozu i niech mnie zatłuką na śmierć. Po co dręczyć pytaniami...

Mówił najczystsza niemczyzną, i ze słów jego przebijała gorycz i rozpacz.

- Nie mam zamiaru odprowadzać cię do obozu - odparł po krótkiej obserwacji Kania. - Nie jestem katem. Nie przeszkodzę ci też w ucieczce.

Włoch szeroko otworzył oczy.

- Naprawdę?

- Naprawdę, mimo że będzie mi przykro widzieć cię za parę dni w kajdanach.

- Mnie nie złapią - twardo przerwał jeńiec.

- Złapią cię.

Kania wyjął papierosa i poczęstował Włocha, który przyjął go z wahaniem.

- Na pewno cię złapią. Najwyżej cztery dni mógłbyś się ukrywać. A nie chciałbym być wtedy w twojej skórze. Mówisz po węgiersku? Znasz ten kraj? Co będziesz jadł? I dokąd chcesz uciekać? Do Włoch? Przez fronty? Do Szwajcarii?

Włoch ponuro patrzył się w ogień.

Kania wygodnie się położył na boku i nie patrząc na jeńca mówił:

- Po ucieczce jeńca komenda garnizonu sprowadza do obozu pluton żandarmów celem przeprowadzenia śledztwa. Po pierwszym dniu dochodzeń widziałem wyniki. Widziałem, jak nagi człowiek wyskoczył przez okno z baraku i został zastrzelony jak pies. Widziałem, jak przywiązali drugiego do słupka i zapomnieli na czas odwiązać (przecież to tylko jeńiec), i człowiek ten umarł. Słyszałem w nocy takie wycie, jakie wydaje tylko oszalałe z bólu zwierzę, a to był człowiek, twój rodak. W długi czas po ucieczce jednego wszyscy jego towarzysze, chodzą na palcach, nie na całych stopach. Bije się w pięty drutem owiniętym w gumę. Na cmentarzu widziałem oddzielną kwaterę dla twoich towarzyszy, którzy byli badani przez żandarmerię. Widziałem też, jak przyprowadzili uciekiniera. Widziałem i słyszałem tyle, że, gdybym był jeńcem, nie próbowałbym ucieczki.

Włoch podniósł głowę i ponuro popatrzył Kani w oczy.

- Dlaczego mi pan to mówi?

Kania usiadł i otrzepywał rękaw z piasku.

- Dlatego mówię, żeby cię powstrzymać od popełnienia głupstwa. A poza tym przypuszczam, że masz matkę, a ja wiem, że moja staruszka drży o moje życie i umarłaby na wiadomość o mej śmierci.

- Dziwny z pana człowiek - po krótkim milczeniu powiedział Włoch. - Zamiast mnie przytrzymać, to pan...

- Ten pan do ciebie mówi jak człowiek do człowieka, a nie jak wróg. Jestem Polakiem...

- Ach! Polak...

- ...i również studiowałem w Wiedniu.

Po tych słowach Włoch ożywił się.

- Skończyłem Akademię Eksportową. A pan?

- Mów mi ty. Odpowiem ci kiedy indziej. Powiedz mi teraz, dlaczego chciałeś uciec? Jeniec zmarszczył brwi.

- Nie mogłem już dłużej. Nie chcę zwariować.

Rozmowę skończyli o zmierzchu.

Następnego dnia Kania porozumiał się z podoficerem z komendy obozu, który wydzielał jeńców na roboty, i Giuseppe Baldini (tak się nazywał jeńiec) został przydzielony do koszar kompanii wartowniczej w charakterze pomocnika magazyniera.

Kania dał mu czystą bieliznę i starał się, jak mógł, ulżyć jego niedoli. Z każdym dniem więcej zbliżali się do siebie i Włoch w krótkim czasie zyskał sobie gorącą sympatię

zarówno Kani, jak i całej kompanii.

Dzięki wrodzonemu humorowi i pogodnemu usposobieniu ujął sobie wszystkich tak, że niektórzy podoficerowie wdawali się z nim w rozmowę i częstowali go papierosami.

OBERLEJTNANT I ORDYNANS

Oberlejtant von Nogay zajął tymczasem kwaterę po nieżyjącym Giserze i kazał świeżo pomalować ściany. Do pracy tej wyznaczono żołnierza kompanii wartowniczej, któremu dodano do pomocy Baldiniego.

Kiedy robotę ukończono, oberlejtant przyszedł obejrzeć swoje mieszkanie. Wydał dinstfirenderowi szczegółowe zarządzenia, w jaki sposób ma ustawić meble, po czym, kierując się w stronę wyjścia, zauważył przebierającego się Baldiniego.

- Kriegsgefangener? (Jeniec?).
- Jawohl, Herr Oberleutnant! (Tak jest, panie poruczniku!).
- Umiecie dobrze po niemiecku?
- Tak jest, panie poruczniku, doskonale.

Von Nogay bacznie go zlustrował od stóp do głów i wyjął z kieszeni notes i ołówek.

- Nazwisko?
- Giuseppe Baldini...

Oberlejtant zapisał i odszedł.

Wieczorem tego samego dnia rozeszła się w kompanii wiadomość, że komenda obozu jeńców zgodziła się na przydzielenie oberlejtantowi von Nogay jeńca Giuseppe Baldiniego jako ordynansa osobistego.

Kiedy wiadomość ta dotarła do Kani, okazał wybitnie zły humor i szpetnie zaklął.

Natychmiast udał się w kierunku kwatery oberlejtanta i przeszedł się kilka razy pod oknami, a kiedy zauważył, że światło pali się tylko w kuchni, stanął pod oknem i chrząknął kilkakrotnie w sposób charakterystyczny.

Firanka została odsunięta i zza ramy wychyliła się głowa.

- To ja.

Baldini wyszczerzył klawiaturę śnieżnobiałych zębów.

- Zaawansowałem na bursza.

Kania splunął i zaczął mówić z wyraźnym rozdrażnieniem w głosie:

- Przeklniesz dzień swego urodzenia. Nie mogłeś się mnie zapytać przed pójściem na służbę do tego drania?

Twarz Włocha wyraziła zdziwienie i uśmiech z niej znikł.

- Dlaczego?

- To jest świnia... świnia, jakiej jeszcze w swoim życiu nie spotkałeś, człowieku.

Baldini zmarszczył gładkie, okolone kruczymi włosami czoło.

- W każdym razie jest to dla mnie zmiana na lepsze, w obozie już...

- Jesteś bałwan!

Rozdrażnienie Kani wzrosło, a wraz z nim i zdziwienie Włocha.

- Bałwan? Może być, że bałwan, ale nie muszę znosić szykan piętnastu brutalni, którzy...

- Ten jeden jest gorszy od tamtych piętnastu i... niech cię Bóg ma w swej opiece!

- Nie takich widzieliśmy.

- Takich nie widzieliśmy. Nie dodawaj sobie animuszu, głupcze, bo to nie zmieni w niczym faktu, że poznasz zwierzę, o jakim nie miałeś pojęcia.

- Wygląda całkiem sympatycznie i kulturalnie.

- Tym jest niebezpieczniejszy.

- Więc co mam zrobić? Jak mi radzisz? Wracać do obozu? Nie mam wielkiej ochoty do tego, przyznam się, poza tym nie wiem, w jaki sposób można to urządzić.

Kania podrapał się po podbródku.

- Możesz zachorować - odezwał się po dłuższym milczeniu. Włoch popatrzył na niego uważnie.

- Ty wiesz, mówiłem ci, jak u nas takie...

- Jeżeli ja się za to wezmę, pójdiesz do szpitala... biorę to na siebie.

- No cóż? Jak uważasz... mogę zachorować... Tymczasem jednak nie widzę potrzeby i naprawdę odżyłem trochę przez ten dzień. Zbliżyłem się do ludzkich warunków egzystencji i nie bardzo chce mi się wrócić. Nie zniosę tego dłużej. Podtrzymuję innych, ale sam już mam dosyć tego wszystkiego i gdybym nie spotkał ciebie, pociągnąłbym jeszcze kilka dni najwyżej. Nie, stanowczo wolałbym nie wracać do tego piekła.

- Będę szukał możliwości umieszczenia cię w kuchni albo w stacji odżywczej, tymczasem jednak musisz, niestety, przebywać tutaj.

Kania porozmawiał jeszcze przez chwilę z Włochem i wrócił do koszar.

Przypuszczenia jego co do sadyzmu von Nogaya jakoś nie sprawdzały się i jeniec przy codziennych wizytach Kani przez następny tydzień nie miał powodów do narzekania. Był zadowolony ze swego losu i poddawał w wątpliwość trafność opinii, jaką Kania wyraził o oficerze.

Któregoś dnia zaszedł Kania w czasie obiadu do kancelarii i zastał zajadającego

Habera:

- Nowina, bracie.

Kania przysiadł się do stołu.

- No?

- Panu oberlejtantowi przysłali papugę.

- Pa-pu-gę? Na co mu papuga? Skąd?

- Od cioci albo od babci. Na klatce był adres zwrotny: Hilda von Nogay, Wien.

Haber przerwał jedzenie i zajrzał podejrzliwie do menażki.

- W tych zupach znajduje się czasami ciekawe rzeczy. Psiakrew! Codziennie ma świństwo inny smak, chociaż ma być ta sama zupa z suszonych jarzyn.

Westchnął przejmująco i postawił menażkę.

- Co bym dał za porządny talerz rosółu z kluskami... Ze wszystkich zup najwięcej lubię rosół z kluskami. Miałem taką kucharkę, że rosół robiła jak jakiś nektar, słowo daję.

Odkroił skrupulatnie kromkę chleba i marzył na głos, żując małe kęsy.

- Potrafiła, szelma, gotować, chociaż pysk miała ta Ksantypa niemożliwy. Zawsze były awantury, kiedy tylko przyszedłem do domu. Ale gotować umiała. A sosy robiła takie, jakich z pewnością nie jada sam Najjaśniejszy Pan.

- Nie wiesz, czy oberlejtant w domu?

- Kazał osiodłać konia. Pewnie pojechał na obiad do kasyna.

Kania wyszedł z kancelarii i udał się pod okna kuchenne kwatery von Nogaya.

Z wnętrza doszło go jakieś skrzeczące, piskliwe wykrzykiwanie. Wsadził głowę w okno i ujrzał Baldiniego, który z namarszczonymi brwiami stał przed dużą klatką drucianą. Rzuciła się w niej na drążku, jak oszalała, pstra papuga. Włoch patrzył na nią tak wrogo, jakby miał zamiar za chwilę ją udusić. Z początku Kania nie mógł rozróżnić dokładnie słów, jakie wykrzykiwała papuga. Nadstawił bacznie ucha i wówczas dopiero zrozumiał irytację Baldiniego.

- Nieder mit Italien! Nieder mit Cadorna-Frosch! Hoch Österreich! (Precz z Włochami! Precz z Cadorną-żabą! Niech żyje Austria!).

- Milcz, ścierwo - zduszonym głosem syknął przez zęby Baldini i zamierzył się pięścią.

- Milcz, ścierwo! - powtórzyła papuga i Baldini z rezygnacją opuścił rękę.

Kania kaszlnął i Włoch odwrócił głowę.

- Słyszałeś?

- Mhm...

Baldini usiadł przy stole.

- Z czego masz ten znak na policzku?

Włoch odwrócił szybko twarz i nie patrząc na Kanię odpowiedział niepewnie:

- Uderzyłem się... Potknąłem się przed drzwiami o wycieraczkę i uderzyłem się o nie.

Twarz jego oblał gwałtowny rumieniec. Kania chrząknął.

- No tak, sprawdzają się moje przepowiednie... psiakrew.

W milczeniu przysłuchiwał się okrzykom papugi, która ciskała się na drążku i bez przerwy wygłaszała różne sentencje patriotyczne. Rzucił siedzącemu z odwróconą twarzą Włochowi współczujące spojrzenie i odszedł z ciężkim sercem.

Wieczorem Baldini przyszedł po kolację do kuchni kompanijnej i niespodzianie natknął się na Kanię, który wyłonił się zza wodociągu, stojącego przed kuchnią. Włoch udawał, że go w mroku nie poznaje, i chciał go wyminąć, ale Kania zdecydowanie ujął go za ramię.

- Czemu mnie omijasz?

- Nie omijam. Nie poznałem cię...

- Pokaż no, bratku, gębę.

Nie puszczając ramienia Baldiniego, który w obu dłoniach niósł menażki, doprowadził go pod okna oświetlonej kuchni i przybliżył twarz do jego twarzy.

Przyjrzał się bacznie i puścił ramię Włocha.

- Wiedziałem, że tak będzie.

Baldini opuścił głowę w dół i unikał wzroku przyjaciela.

- Był pijany, upił się w kasynie i zdenerwował się... bo papuga nie chciała mówić... ja... Kania ponuro zaklął.

- Dotąd nie zdarzyło się takie... taka rzecz... był całkiem...

Usłyszał zgrzytnięcie zębów i urwał.

Stali tak jakiś czas w milczeniu i nie patrzyli na siebie.

- Teraz będzie ci się to częściej zdarzało - odezwał się Kania. - Za dużo ma z nami zgryzoty, żeby miał dobry humor. Ale niedługo to potrwa.

Rozeszli się bez dalszych słów.

Że von Nogay miał wiele zgryzoty z kompanią, to było świętą prawdą.

Wprowadzane przez niego ćwiczenia polowe dawały mu wiele sposobności do wyładowywania z siebie nagromadzonego bestialstwa; stopniowo, korzystając z rzadkiej obecności kapitan Zivancicia, wydał kilka zarządzeń, które miały na celu ukrócenie panującej dotychczas w kompanii swobody.

Żołnierze solidarnie zaczęli stosować bierny opór, polegający na tym, że każde ćwiczenie i każdy wydany przez niego rozkaz wykonywane były z taką bezmyślnością, iż nie ulegało najmniejszej wątpliwości, jaki jest cel tej opieszałości.

Ćwiczenia za miastem zaczęły psuć krew von Nogayowi.

Kompania wykonywała wszystko, czego żądał, ale tak wolno i niedbale, że oberlejtant coraz częściej zagryzał wargi. Czuł, że walkę, którą rozpoczął, musi doprowadzić za wszelką cenę do końca, ale przeliczył się ze swoimi siłami i nie docenił wytrwałości i cierpliwości kompanii.

Z początku nie chwycił się prymitywnych środków i nie prowadził gry na wytrzymanie, lecz powoli cierpliwość jego wyczerpywała się i nie mógł się już opanować.

Przegonił ich kilka razy laufszytem, wytarzał w błocie na nider, kazał się czołgać na dosyć długich odcinkach i kiedy żołnierze, pokryci rzadkim, ściekającym z ich twarzy, blockiem, oblepieni trawą i liśćmi stali przed nim po takim eksperymencie w dwuszeregu, z oczu ich wyczytał odpowiedź.

Nie zdarzył się ani jeden wypadek nieposłuszeństwa, w przeciwieństwie do tego, co mówił dinstfirender, nawet w stosunku do frajtrów, i wyjątkowa karność kompanii doprowadzała oberlejtanta do furii. Czyhał na jakiś wybryk, prowokował do jakiegoś wystąpienia poszczególnych żołnierzy, którzy wydawali mu się więcej zapaleni, niestety - środki te zawodziły. Zawziętość z obu stron była jednakowa.

Przemawiał do ich ambicji i rozsądku, odwoływał się do obowiązków żołnierskich i wymagań regulaminu, próbował nakłonić ich do zmiany postępowania wpływaniem na ich psychikę obrazowym przedstawieniem klęsk, jakie na siebie sprowadzają, ale wszystkie te przemówienia nie wywoływały skutku, jaki pragnął osiągnąć.

Zmienił więc swój stosunek i zaczął z innej beczki.

W ordynarny sposób, wyszukanyimi inwektywami ścierał na proch ich poczucie godności własnej, niweczył rozwinięty w kompanii zmysł solidaryzowania się porównywaniem do szajki bandyckiej i drwił z ich fałszywej, jak twierdził, ambicji, która miała się w walce z nim okazać bezcelowa.

Z reguły zaprzeczał prawa do nazywania się Czechem, Słowakiem lub Chorwatem i z niemałą dosadnością porównywał wszystkie narody słowiańskie pod berłem austriackim do trzody bydła niezdolnych do samodzielnego życia. Wiedział, że prawie wszyscy żołnierze w kompanii byli podejrzani politycznie, i przypuszczał, że takie prowokacje zdołają ich nakłonić do jakiegoś wystąpienia, które by mu dało podstawę do wykazania, czym jest i co potrafi.

Poruszał, jak sądził, najczulsze ich struny i pragnął do swoich celów wygrać poczucie

obrażonej godności narodowej, lecz sposób ten zawiódł jak wszystkie poprzednie i to potęgowało w nim tylko nienawiść. Upokarzała go świadomość, że jest przez nich przejrany i że oni wiedzą o tym, iż on sobie z tego zdaje sprawę.

Oświadczył wreszcie, że postępowanie kompanii traktuje jako perfidny sabotaż, a milczące szeregi przyznały mu w głębi ducha całkowitą słuszność.

Ponieważ, jak twierdził, sabotaż ten ma swoje źródło w zмовie, wyraził obietnicę, że natrafi wkrótce na "źródło, z którego wypływa ten idiotyczny posiew nielojalności, zaprawiony defetyzmem", i ma nadzieję, że sąd wojenny będzie miał sposobność do zapotrzebowania kilku świeżych pni sosnowych, z których stolarze umieją tak szybko stawiać kwadratowe bramki.

Mimo najszczerzych chęci nie mógł się powściągnąć i pobił kilku żołnierzy do krwi. Sam jeden w obecności przeszło setki wrogów znęcał się nad nimi jak zwierzę, ale ani bici, ani złowrogo milczący towarzysze, na których oczach to się działo, nie reagowali nawet zmrużeniem powiek. Zdumiewało go to i upokarzało jeszcze więcej, a wprost do szału doprowadzała go myśl, że upokorzenie to jest przez nich wyczute.

Czegoś podobnego jeszcze nie widział.

Któregoś dnia po powrocie do koszar ze zmordowaną kompanią zastał siedzącego w kancelarii posępnego kapitana. Zameldował mu powrót z ćwiczeń i usiadł przy stoliku. Wypełnił zeszyt, w którym notowane były przerobione ćwiczenia, i wydał kilka poleceń dinstfirenderowi.

Kapitan patrzył na niego spod oka i bębnił palcami po stole. Von Nogay skończył i powstał.

- Czy jestem potrzebny panu kapitanowi? - zapytał stojąc w postawie służbowej.

- Owszem. Niech pan nas zostawi samych, feldfeblu. Oberlejtnant podniósł brwi w górę.

Po wyjściu dinstfirendera kapitan kazał von Nogayowi usiąść i przez chwilę drapał się po nie ogolonym podbródku.

- Co pan dzisiaj przerabiał z kompanią, panie oberlejtnant?

- Naukę walki, przesuwanie się w natarciu pod ogniem artylerii i bierną obronę przeciwlotniczą.

Kapitan zajrzał do rozłożonego przed nim na stole programu ćwiczeń i kiwnął głową.

- Formalnie zgadza się.

Złożył skrupulatnie program, zgniótł w popielniczce papierosa i pochyliwszy się do przodu splótł ręce na stole.

- Może zechce mi pan wytłumaczyć, dlaczego kompania wygląda jak stado świń?
Chrząknął.

- Mam wrażenie, że pan za mało urozmaica tereny, i oglądając kompanię dochodzę do wniosku, że szkolenie specjalnie na bagnach nie jest usprawiedliwione naszym teatrem wojennym.

Z wyrazu twarzy oberlejtant stał się podobny do szykującego się do skoku zwierza.

- Na podstawie doświadczeń moich z frontu rosyjskiego (na słowie "front" położył nacisk, jakby chciał w ten sposób wykazać swoją wyższość nad przełożonym, który siedział w hinterlandzie) stwierdziłem, że klęski, jakie nasze wojsko ponosiło, wynikały przeważnie z powodu małej obrotności żołnierzy w terenie...

- Pozwoli pan, że przerwę pańskie dowodzenia - ochryple przemówił kapitan - nie mam zamiaru prowadzić z panem scholastycznych sporów na tematy taktyczne i wie pan o tym równie dobrze jak ja, że nie zatrzymałem pana, żeby wysłuchiwać pańskich poglądów na doświadczenia wojenne.

Oparł się plecami o krzesło i założył nogę na nogę z zadziwiającą u niego pedanterią. Przez jakiś czas patrzył swymi przygasłymi oczyma w okno, za którym widział rozebranych żołnierzy, myjących się przy studni na podwórzu.

Ogromny i .zawsze pogodny cugsfirer Koperka rozczesywał palcami brodę, z której wygrzebywał grudki zeschniętego błota i gliny, i ponuro zasępiony strzepywał je na ziemię.

Z szybkich poruszeń warg cugsfirera i min myjących się żołnierzy kapitan wywnioskował, że rozmowa toczy się prawdopodobnie dokoła odbytych ćwiczeń. Koperka, mówiąc coś, kilka razy podrzucił głowę w kierunku okien kancelarii i kapitan złośliwie się uśmiechnął.

- Szkoda, że pan nie może w tej chwili słyszeć tego, co kompania ma do powiedzenia o pańskich urozmaiconych metodach szkolenia. Niezmiernie żałuję.

Oberlejtant zachnął się.

- Nie obchodzi mnie, co może mówić ta rozwydrzona banda kandydatów na szubienicę. Dla mnie miarodajny jest regulamin, a moje stanowisko oficera-instruktora i obowiązek wobec ojczyzny zmuszają mnie do użycia wszystkich środków zmierzających do stworzenia z tej zgrai zdrajców oddziału zdolnego do pełnienia służby w sposób ogólnie...

- Ma pan słuszność.

Ironia brzmiąca w głosie kapitana rozpałała krew w oberlejtancie.

- Sądzę, panie kapitanie, że rolę swoją i zadanie sprecyzowałem dosyć jasno, aby mieć przekonanie, że nie można mi zarzucić czegoś, co by sprzeciwiało się zasadom i

wymaganiom przepisów wojskowych.

- Hm... oczywiście. Pamiętam jednak, że miałem zaszczyt w prywatnej rozmowie sprecyzować swoje wymagania... Kapitan zapalił papierosa.

- Wyjaśniłem panu, że tych ludzi rozumiem i usprawiedliwiam (mówię o przyczynach, dla których tutaj się znaleźli), mówiłem panu również, że nie zniosę brutalności. Kilka dni temu kompania wróciła czerwona od pyłu tłuczonej cegły. Ćwiczył ich Pan na terenie opuszczonej cegielni specjalnie po to, żeby sobie rozbijali twarze na odłamkach cegieł; nazywa pan to stosowaniem przepisów i wypełnieniem obowiązków wobec ojczyzny. Szeregowiec Uchmanbek ma do kości starte ciało na kolanach i łokciach. Rjina poszedł do lekarza z rozdartym na drucie, od kolana do pachwiny, udem, Mrazka uczył pan przepisowo wykonać komendę "nieder" i musiano mu nastawiać łopatkę w ambulansie; cały drugi pluton ma zdartą skórę na dłoniach i nogach, nie mówiąc o mundurach porwanych od wspinania się po drzewach. Uczył ich pan obserwacji na czujce z góry. Chodziło panu o pole widzenia z wysokości kilkunastu metrów, a kiedy stary, około pięćdziesięciu lat liczący Słowak Buczko spadł z drzewa i dotkliwie się pokaleczył, kopał go pan tak długo, dopóki nie powstał z ziemi i nie zaczął się powtórnie wspinać. Zimmerman, wąty i wynędzniały skutkiem malarii, jakiej się nabawił w Syberii, był, według pana, odpowiedni do dźwigania skrzynki ze ślepą amunicją, a kiedy nie mógł nadążyć za kompanią, bił go pan szpicrutą po twarzy i nakłaniał w ten sposób do przyśpieszenia kroku. Jeniec włoski, Baldini, którego pan sobie wybrał na ordynansa, przyszedł któregoś dnia okrwawiony i na zapytanie moje odpowiedział, że bije go pan stale.

Oberlejtant słuchał z zaciśniętymi ustami i spode łba patrzył na kapitana.

- Tak wygląda, na przykładach, pańskie szczytne pojęcie o zadaniach oficera liniowego i wypełnianiu obowiązków wobec ojczyzny.

Kapitan mówił wolno i chrypliwie.

- Barbarzyństwo, jakie pan wykazał, jest biegunowo odległe od moich uwag.

Oberlejtant najeżył się groźnie i powstał.

- Panie kapitanie!

- Niech pan nie urządza demonstracji i nie udaje obrażonego, panie oberlejtant. Nie ma w słowniku kulturalnych ludzi słów, które by mogły wystarczająco obelżywie określić pańskie postępowanie.

- Oficerski sąd honorowy przekona pana kapitana, że to, co dotąd od pana słyszałem, jest aż nadto wystarczające do żądania przeze mnie satysfakcji!

Von Nogay był wściekły i oczy jego rzucały dzikie spojrzenia na obojętnego pozornie

kapitana.

- Pan się nawet nie kwalifikuje do sądów ludożerców, panie oberlejtant.

Kapitan powstał i jakby niechcący wodził dłonią po pasie, na którym wisiał duży futerał rewolweru, i uwadze oberlejtanta nie uszło, że klapka zamykająca futerał znajdowała się w tej chwili pod palcami kapitana.

- Ostrzegałem pana - dorzucił kapitan - lecz pan to ostrzeżenie zbagatelizował. Nie wiem, co pan ma zamiar uczynić, a tymczasem korzystam z wyjątkowych uprawnień, jakie mi przysługują, i zawieszam pana w czynnościach. Zwracaj się pan do swego sądu honorowego, buszmenie! W moich oczach jest pan nędznym gadem, przez omyłkę nazywanym człowiekiem, panie oberlejtant von Nogay!... Niech pan wyjdzie, bo nie mogę na pana patrzeć, bydlaku! Precz!

Oberlejtant zbiegał na twarzy i zrobił ruch dłonią w kierunku pasa, lecz w tej samej chwili ujrzał rozszerzonymi oczyma, jak kapitan spokojnie pociągnął za kolbę rewolweru.

- Precz!

Von Nogay automatycznie odwrócił się i wyszedł.

W chwilę później wszedł do kancelarii dinstfirender i zastał kapitana siedzącego przy stole z głową opartą na dłoniach, jakby w głębokiej zadumie.

Usiadł przy swoim stole i zaczął pisać, rzucając bystre, badające spojrzenia w stronę kapitana.

- Pan oberlejtant jest zawieszony w czynnościach. Dinstfirender udał wielkie zdziwienie dowiedziawszy się o tym, o czym przed chwilą słyszał stojąc pod drzwiami.

- Zawezwie pan do kancelarii wszystkich podoficerów, z wyjątkiem Jamkego, Szönfelda i tych, którzy z nimi trzymają. Wie pan chyba, co mam na myśli?

- Rozumiem, panie kapitanie.

- To dobrze! Każe im pan napisać zeznania o wszystkich wybrykach pana oberlejtanta. Kapitan przerwał i zamyślił się.

- Pracuje pan tutaj dosyć długo - zaczął mówić po chwili tym samym równym, spokojnym tonem - aby wiedzieć, o co mi w tym wypadku chodzi. Niezgorzej się panu przy mnie wiedzie i mam wrażenie, że nie bardzo się panu śpieszy na front. Przyznam się, że mimo p e w n y c h niedociągnięć, które panu... hm... wybaczam... nie mam żadnego powodu do pozbycia się pana z kompanii.

Dinstfirender stał i z zakłopotaniem zwiijał w palcach jakiś arkusik papieru nie patrząc na kapitana.

- Powód taki mógłby pan dać sam - kapitan chrząknął - i liczę na to, że pan mnie

należycie zrozumie.

- Tak jest, panie kapitanie! Kapitan ironicznie uśmiechnął się.

- Jest pan rozsądnym człowiekiem, feldfeblu. Co do zajęć kompanii, to... czy pan ma gdzieś przechowane nasze poprzednie programy?

- Mam, panie kapitanie!

- Niech pan zarządzi zajęcia takie, jakie przewidziane są w tamtych programach.

Wszystkie zmiany pana oberlejtanta anuluję, niech pan je uważa za niebyłe.

- Rozkaz, panie kapitanie! Kapitan powstał i włożył czapkę.

- Zeznania niech będą jędrne i zarazem szczegółowe - rzucił jeszcze od drzwi - i niech pan nie zapomni o ochwaceniu mego konia wierzchowego...

Los oberlejtanta von Nogay został przypieczętowany, o czym nie mógł wiedzieć, ponieważ siedział teraz w swojej kwaterze nad butelką rumu i ponuro rozmyślał nad scenę, która rozegrała się przed kwadransem.

Co robić?

Pytanie to świdrowało mu mózg. Wypił całą butelkę i nie znalazł innego rozwiązania sytuacji, jak napisanie kilku listów do ustosunkowanych ciotek i kuzynek.

Zmierzch ogarnął pokój, kiedy wkładał listy do kopert; poczuł się jakoś rażniej.

Z kuchni doszło go dyskretne szcęknięcie przyborów do jedzenia i talerzy.

- Italiano!

W drzwiach stanął Włoch.

- Kolacji nie będę jadł.

- Jawohl!

- Zjesz ją sam.

- Jawohl!

- Nie odchodź - oberlejtant powstał od biurka - zapal lampę.

Baldini wyszedł na palcach z pokoju i po chwili wrócił z zapaloną lampą, którą postawił ostrożnie na stole.

- Skarżyłeś się kapitanowi, że ci dałem po pysku?

Włoch wzdrygnął się.

- Boisz się odpowiedzieć, ty włoski psie?

Oberlejtant podszedł do klatki i wsadził palec przez pręty. Drzemiąca papuga ożywiła się i zaczęła skrzeczeć niezrozumiale.

- Odpowiadaj, bydlaku!

- Pytał mnie, dlaczego jestem okrwawiony, panie oberlejtant...

- Pójdź tu!

Włoch z zaciśniętymi ustami podszedł do von Nogaya.

- Bliżej!

Kiedy Baldini stanął przed nim, oberlejtant szybkim, niespodziewanym rozprostowaniem zgiętego w łokciu ramienia uderzył go pięścią między oczy.

Jeniec bez jęku zatoczył się pod ścianę.

- Przygotuj mi mundur wyjściowy.

Baldini trzymając się dłonią za twarz wyszedł.

- Ara, Papageichen (Ara, papuzko). Papuga przekrzywiła główkę.

- Hoch Österreich-Ungarn!... Nieder mit Italien! (Niech żyją Austro-Węgry! Precz z Włochami!).

- Hoch Österreich-Ungarn... Nieder mit Italien! - powtórzyła papuga skacząc ha drążku.

- Nieder mit England! (Precz z Anglią!).

- Nieder mit England!

- Franzosen Schweine! (Francuzi świnie!).

- Franzosen Schweine! - powtarzała papuga za oficerem - Pfeffer! (Pieprzu!).

- Nie dam ci pieprzu - mówił czule von Nogay - to ci szkodzi na zdrowiu, papuzko.

- Pfeffer! Pfeffer! - krzyczała papuga i nastroszyła pióra. - Nieder mit Serbien! (Precz z Serbią!). Nieder mit England! Ara... Papageichen... Pfeffer... Pfeffer... Pfeffer!

Baldini bezgłośnie położył na krześle złożony mundur i cicho wyszedł.

Von Nogay pobawił się z papugą, potem ubrał się i przejrzał w lustrze.

- Żebyś mi nie spał, kiedy wrócę, włoska małpo - rzekł mijając w kuchni stojącego na baczność Włocha.

- Jawohl!

Von Nogay spojrział na niego z jakimś jadowitym uśmiechem i wyszedł.

Baldini wszedł do pokoju, zgasił lampę i wróciwszy do kuchni usiadł na taborecie przy oknie i wpatrzył się w mrok.

Z dala mrugały do niego światła latarni miejskich, a z obozu jeńców doszedł jego uszu tęskny śpiew.

- O, Napoli, Napoli, caro Napoli... (O, Neapolu, Neapolu, drogi Neapolu...) - zawodził ktoś rozedrganym głosem, jakby chciał przyzwać do siebie rodzinne miasto.

Baldini oparł głowę na dłoniach.

Papuga darła się w klatce jak opętana.

- Pfeffer... Pfeffer... hoch Österreich... nieder mit Italien!... Wszedł do pokoju, podszedł do klatki i pogrzebał w kieszeni spodni.

Po omacku wsadził przez druty dwa palce.

- Chodź tu, włoska małpo... pieprzu... pieprzu... precz z Anglią!

- Pieprz... bierz!

Papuga rzucała się na drążku i po omacku dziobała na chybił trafił, dopóki nie natrafiła na palce. Zgrabnie porwała ziarenko i umilkła.

Baldini zasunął firaneczki na klatce, wyjął z pudełka papierosa, wziął ze stołu gazetę i poszedł do kuchni, gdzie usiadł przy stole i zagłębił się w czytaniu.

Po małej przerwie papuga zaczęła się drzeć. Kilka razy oderwał oczy od gazety i nasłuchiwał z jakimś dziwnym grymasem na twarzy. Po czym powstał i poszedł do pokoju. Odsunął firaneczki i zajrzał. Papuga natychmiast zaczęła skakać i wznosić patriotyczne okrzyki.

- Schlafen, Ara... Schlafen, Papageichen... (Spać, Ara... spać, papużko...)

Kiedy papuga ucichła, wrócił do kuchni i usiadł przy oknie, w którym poprzednio postawił na chwilę lampę.

W dwie minuty później odezwało się za oknem chrząknięcie, następnie ukazała się twarz Kani.

- Nie ma go?

- Wejdz...

Kania wszedł i usiadł przy stole.

- No i skończył się pan oberlejtant - odezwał się po chwili.

Zdziwiony jeniec pytająco spojrział na Kanię, który pokrótce opowiedział mu przebieg wypadków. Baldini, wysłuchawszy wszystkiego, poweselał.

Kania zapalił papierosa i z zadowoleniem dmuchnął.

- Podoficerowie pisali zeznania. Kapitan ma je posłać do sądu. Ostro wziął się nasz stary.

- Co mu tam sąd zrobi... kruk krukowi oka nie wykołę.

- Samo moje zeznanie starczy, żeby go zdegradowali. Napisałem trzy stronice i, kiedy dinstfirender przeczytał, mdło mu się zrobiło. Nie żałowałem, bracie, atramentu.

Baldini powstał.

- Zjesz ze mną kotlet?

- Mogę...

Zajadając wyluszczał Kania pewien plan, którego Włoch słuchał z błyszczącymi

oczami. Popili czarną kawą pana oberlejtanta i uściśniły sobie dłonie.

- Buona notte, gondoliero! (Dobranoc, gondolierze!). Uważaj tylko, żeby nie było naboju w rewolwerze, bo mógłby takiej kaszy narobić, że proszę siadać.

Von Nogay wrócił do domu nad ranem pijany z uwieszoną na ramieniu, również pijaną, urzędniczką z komendy garnizonu. Młoda ta osoba rozrzutnie darzyła swoimi wdziękami wielu oficerów z miejscowej załogi, którzy wyrazili gotowość do przyjęcia jej usług przez zaproszenie jej na kolację.

Wyprężonego na baczność przy drzwiach Baldiniego trzepnął von Nogay rękawiczkami po twarzy i zarechotał.

- To jest Włoch - objaśnił swojej towarzyszce, która usiadła na taborecie w kuchni - uczę się na jego gębie boksu. Odpiął pas i zamachnął się w powietrzu. - Pif... Italiano, piff!

Jeniec chwycił w locie różne części rzucanej przez niego garderoby, a oberlejtant śmiał się jak z dobrego dowcipu.

- Widzisz, jak aportuje? Dobrze go wytresowałem. Tylko jeszcze nie nauczyłem go szczekać na obcych, ale wezmę się i za to.

Do połowy rozebrany, zataczając się, poszedł do pokoju i zwałił się na łóżko.

- Emma, chodź, spać mi się chce.

Pijana urzędniczka mrużąc oczy patrzyła na jeńca, który stał przed nią gotów do zdjęcia palta.

- Ładny jesteś, Włochu - powiedziała po chwili obserwacji. Oberlejtant wzdychał w pokoju na łóżku i przewracał się ciężko z boku na bok.

- Wody, włoska małpo...

Baldini zaniósł mu wodę i po chwili wrócił na palcach do kuchni.

- Ładny jesteś, Włochu - powtórzyła urzędniczka i przyciągnęła raptownie Baldiniego do siebie.

- Zechce pani rozebrać się i pójść do pokoju - mówił starając się jej wymknąć, ale wzięła jego nogę między swoje kolana i unieruchomiła go w ten sposób przy sobie.

- Nie chcesz mnie?

- Pozwoli pani, że pomogę rozebrać się i zaprowadzę do pokoju.

- Pocałuj mnie - zamknęła oczy i z otwartymi ustami oparła głowę o ścianę.

Baldini poczuł zapach alkoholu i wyzwalał nogę spomiędzy jej ciepłych łydek.

- Ależ, proszę pani...

- Nie pójde! Chcę ciebie! - kategorycznie odpowiadała na jego perswazje. Zamaszyście zdjęła kapelusz i potrząsnęła utlenioną fryzurą.

- Będę spała tutaj, z tobą, wiesz?

- Nie, proszę pani.

Uwolnił się stanowczo z namiętnego uścisku i odszedł pod okno. Siedziała przez chwilę z szeroko rozstawionymi nogami, potem zdecydowanie rozpięła bluzkę.

- Pani tu spać nie może, niechże pani zrozumie.

- Głupiś jest, mój chłopczyku, i nic więcej nie mów. Jeżeli myślisz, że się mnie pozbędziesz, to jesteś w błędzie, wiesz? Jeszcze mnie nie znasz.

Gwałtownie, z jakimś zapamiętaniem, rozbierała się i ciskała garderobę w różne strony.

Zdarła z siebie bieliznę i stała teraz na środku kuchni naga.

- Widzisz, jak dobrze jestem zbudowana?

Baldini nie odpowiedział.

Założyła ręce na głowę, jakby chciała pozować do obrazu, i zerknęła zalotnie na stojącego w milczeniu mężczyznę.

Kiedy widziała, że stoi nieruchomo i patrzy na nią bez słowa, podeszła do łóżka i odrzuciła koc.

- Rozbieraj się i choć do mnie!

Leżała naga, wyciągnięta na wznak, ze skrzyżowanymi pod głową ramionami i kusząco mówiła:

- Nie bądź głupi... on śpi... później do niego pójde. Chodź, Włochu!

Baldini wolno, z zaciśniętymi ustami, podeszedł do łóżka. Stanął nad nią i patrzył jej w oczy.

- Rozbierz się i chodź do mnie!

Pociągnęła go za rękaw. Raptownie usiadł na brzegu łóżka. Ciało jej pachniało silnie jakąś wodą kwiatową. Podniosła się i gwałtownie objęła go za szyję. Wpiła się w jego usta jakoś zachłannie i żarłocznie i mimo woli objął ją. Trwali tak przez długą chwilę.

Uwolnił się z jej objęć. Zadyszana, upadła na słomianą poduszkę.

- Rozbieraj się... prędzej... prędzej! Ociężale powstał i zgasił lampę.

POSKROMIENIE CESARSKO-KRÓLEWSKIEGO PATRIOTY

Ulice otulone mgłą, z rzadka oświetlone latarniami rzucającymi słabe promienie na oślizgłe chodniki, puste były po północy i ponure.

Od czasu do czasu jakiś przechodzień szybko przesuwał się wzdłuż murów kamienic, jak cień, po czym tonął we mgle, jak w wacie.

Nocny mrok miasta Sátoralja Ujhély nie usposabiał do samotnych spacerów. U zbiegu szerokiej ulicy z placem, na którym stały opuszczone stragany, znajdował się mały skwerek otoczony żywopłotem, za którym uważny przechodzień mógł usłyszeć przyciszone szepty.

Za małym szaletem, dyskretnie ukrytym w grupie gęsto ukwieconych kasztanów, przy samym chodniku stała dorożka z podniesioną budą; ani na koźle jednak, ani wewnątrz nie było nikogo; koń stał z opuszczonym łbem, jakby okazując tym swoje zupełne osierocenie.

Stróż nocny, pilnujący straganów, zainteresował się opuszczonym pojazdem i podszedłszy zajrzał pod budę.

- Coś tam zgubił?

Głos doszedł jego uszu nie wiadomo skąd. Stróż z niepokojem obejrzał się na wszystkie strony.

- Spal się! - powtórzył ten sam głos i stróż nocny, nie mogąc się zorientować, gdzie w tej chwili znajduje się mały uprzejmy właściciel dorożki, odpowiedział patrząc na grupę drzew.

- Myślałem, że nikogo nie ma.

- Źle myślałeś, nietoperzu. Zjeżdżaj prędzej, bo mi dżierlatkę spłoszysz.

- Aha - domyślnie zauważył odchodząc stróż - pilnuj się, żebyś kataru nie dostał.

Mokro...

Zapanowała cisza jak przedtem, maćona tylko szeptem zza żywopłotu. Zegary miejskie wybiły właśnie godzinę pierwszą, kiedy zza jakiegoś załamu ulicy odezwał się głos puszczyka. W chwilę potem zaturkotały na bruku koła zbliżającej się, oświetlonej dwiema latarniami, dorożki.

Stojący dotąd spokojnie za szaletem pojazd wyjechał szybko na środek ulicy i zatarasował ją w poprzek. Spod podniesionej budy zaczęły się wydobywać jakieś dzikie śpiewy, wskazujące na wyjątkowy nastrój niewidocznego pasażera.

Nadjeżdżająca dorożka, w której siedziały dwie przytulone do siebie postacie,

wiodące głośną, przeplataną śmiechem, rozmowę, zatrzymała się.

- Hej, tam! Zjechać na bok!

- Caaałuuuj psaaa w nos - odśpiewała zwariowana dorożka na nutę marsza artylerii.

Dorożkarz zlął z kozła, podszedł do konia i ujął go za cugle.

- E, zostaw moją szkapę w spokoju!

- Przepadnij ty i twój zdechły koń! Chcę tylko przejechać, a ty sobie stój do końca świata.

Ze stojącej dorożki wyskoczył jakiś drab w szerokim opuszczonym na twarz kapeluszu.

- Geza?

- To ty, Bela?

- Ja.

- Coś ty? Daj mi drogę, bo mam pasażerów. Oficera z damą. Są pijani.

- A jeżeli nie?

Geza ponownie chwycił za cugle.

Natychmiast otrzymał ostrzegawczy cios biczyskiem po ramieniu i puścił ramię.

- Wściekłeś się, wariacie? Chcesz bitki?

- No...

- Co tam jest? Dlaczego stoimy, ty bałwanie? - odezwało się bełkotliwe pytanie z dorożki.

- Panie oberlejtant, stoi pijany i zagradza drogę.

Z dorożki wygramolił się oberlejtant von Nogay i na niepewnych nogach zmierzał do stojących dorożkarzy. Powietrze przeszył w tej chwili ostry gwizd. Zza żywoplotu i z dorożki wyskoczyło nagle kilka dziwnych postaci i chwyciło oberlejtanta za ręce i nogi tak szybko, że nie zdążył słowa powiedzieć.

Obaj dorożkarze krzyknęli i prędko wdrapali się na kozły.

- Więcej, Geza!

- Uciekaj, Bela!

Zacięli konie i rozjechali się galopem w przeciwnych kierunkach.

Samotna dama, uwożona z miejsca tajemniczego porwania, nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co zaszło, i z opartą na poduszce głową mamrotała coś bez związku.

Napastnicy zakneblowali oberlejtantowi usta jakąś szmatą i unieśli go w krzaki.

- Owińcie mu łeb - padł rozkaz, i w następnej chwili oberlejtant przestał widzieć i słyszeć.

- Goń po dorożkę, Ivanovic!

Z początku oberlejtntant szamotał się i próbował wyrwać, ale związano mu rżemieniami ręce i nogi. Leżał teraz jak kłoda. Niebawem nadjechała dorożka.

- Udało się? - zapytał ten sam drab, który przedtem tak bezczelnie wyprowadził w pole kolegę po fachu.

- Mamy go - odpowiedział Kania - wieź nas teraz tam, gdzie wiesz.

Oberlejtntanta położyli w poprzek dorożki jak tłumok i nakryli kocem. Wewnątrz zajęli miejsca: Kania i Slavik. Reszta szybko odeszła. Wszyscy mieli czapki odwrócone podszewkami na wierzch, co ułatwiało wzajemne rozpoznanie się w mroku.

Dorożka przejechała kilka bocznych ulic i zatrzymała się na jakimś opuszczonym i pełnym dołów placu, z którego biła straszliwa woń zgnilizny. Wyładowanego z dorożki oberlejtntanta złożono na ziemi.

- Bierz, Bela, swoje dwadzieścia koron i rum!

- Dołóźcie mu co ode mnie. W tamtym tygodniu zrzucił mnie z kozła i jeszcze mnie dziś plecy bolą.

Dorożkarz zaciął konie i szybko odjechał. Z mroku wyłonili się zadyszani towarzysze.

- Nie zapomnieć i nie gadać głośno! - ostrzegł Kania.

Szamocącemu się w więzach oberlejtntantowi odpięli spodnie i opuścili je. Odwrócili go plecami do góry i za chwilę rozległy się na placu głośne uderzenia pasa o gołe ciało. W ten sposób płaciła kompania za doznane udręki.

Von Nogay jęczał.

- Masaż miał niezły - szepnął Kania - podnieście go! Wydającemu głuche rżenia oberlejtntantowi naciągnęli spodnie, rozwiązali ręce i nogi i postawili go na ziemi.

- Nasuńcie czapki, bo odwiążuję mu głowę.

Oberlejtntant głęboko zaczerpnął powietrza i wywalił oczy na wierzch. Niosące go postacie miały twarze osmarowane sadzami i pijany von Nogay wyobraził sobie, że jest w mocy ludożerców. Przekonany w pijackim zamroczeniu, że niosą go do kotła, wydarł się nagle z całych płuc:

- Hiiilfee! (Ratunku!).

Kania szybko zatkał mu dłonią usta.

Ani chybi, przyszedł na mnie kres, myślał ciężko oberlejtntant, zeżrą mnie.

Otworzył oczy i natychmiast je zamknął. Czarne gęby i dziwaczne nakrycia głów utwierdziły go w przekonaniu, że jest w mocy ludożerców, i zrozumiał, dlaczego go przedtem bili. Żeby mięso skruszało... Dotkliwy ból uświadomił go, że skruszało już doskonale. Tylko

w jaki sposób dostał się do Australii? Śmieszny sen, pomyślał i próbował odwrócić się na bok, jakby leżał "na łóżku w swojej kwaterze. Nie udało mu się to i zaczął się cicho śmiać. Co za dziwne sny nachodzą człowieka czasami, przemknęło mu przez głowę i chytrze cieszył się na myśl, jak mu będzie przyjemnie, kiedy się z tego niemiłego snu obudzi. Nagle z zastygłym na twarzy grymasem śmiechu zaczął wymiotować.

- Uwaga!

Niosące go postacie stanęły przed jakimś parkanem, w którym brakowało kilku desek. Weszli przez ten wyłom i doszli do na wpół rozwalonego ustępu. Von Nogaya owiązано sznurami i dwa ich końce zarzucono na poprzeczną belkę podtrzymującą daszek.

- Spuścić go w dół.

W otwór skierowali nogi von Nogaya i ostrożnie spuszczaali w straszliwie cuchnącą zawartość kloaki. Kiedy usłyszeli chłupot, przywiązali sznur do belki i wyszli pozostawiając oficera pogrążonego po kolana w ekskrementach. Nic nie rozumiejąc, z opuszczoną na piersi głową, wymiotował i kiwał się na sznurach jak marionetka.

ŚLEDZTWO

Policja miejska, policja wojskowa austriacka i węgierska, żandarmeria, policja polityczna i ekspozytura K-stelle - stanęły przed zagadką niemożliwą do rozwiązania, jak się okazało w ciągu śledztwa.

Pierwsze przesłuchanie dało gorliwym władzom bardzo mało materiału i wywiadowcy miotali się na oślep, włączając sobie wzajemnie na pięty.

Dyrektor policji miejskiej z ironią słuchał wiadomości o postępach śledztwa prowadzonego przez kilka jednocześnie władz wojskowych i oceniał je krótko:

- Niedługo stwierdzą niezbicie, że napadu na tego pijanego oficera dokonała załoga łodzi podwodnej z atlantyckiej eskadry angielskiej, wykreślą trasę tej łodzi na mapie i udowodnią, że łódź ominęła linie blokady, wpłynęła do Dunaju i jakimś dopływem dostała się do nas, potem rurami kanalizacyjnymi podjechała do sr... i zakotwiczyła w oczekiwaniu na pana oberlejtanta!

Sprawa ta znalazła się również na szpaltach dzienników prowincjonalnych, lecz gorliwa cenzura wojskowa nie pozwoliła im na wypowiedzenie opinii zahaczającej o politykę wewnętrzną w dwujedynej monarchii.

Ośrodek całej afery, jej rdzeń i fundament - von Nogay nie miał spokoju w szpitalu w Budapeszcie, gdzie otrzymał separatkę na oddziale zatrutych gazami. Wskutek nieustannych indagacji i przesłuchiwań popadł w melancholię.

- Stwierdził pan przy trzecim przesłuchaniu - mówił siedzący obok łóżka wysłannik ekspozytury policji politycznej, mając rozłożoną na kolanach tekę z papierami - że miał pan na sobie kalesony niebieskie w pionowe białe paski. Proszę, oto tu jest zeznanie opatrzone pańskim podpisem. Badanie jednak pańskiego ordynansa, jeńca wojennego Giuseppe Baldiniego, oraz szczegółowe oględziny pańskiej bielizny, znajdującej się w mieszkaniu, przeczą temu oświadczeniu, ponieważ kalesonów takich miał pan tylko jedną parę i znajdują się one teraz w szafie.

- Możliwe - ponuro zgadzał się von Nogay.

- Musi pan, wobec tego, odwołać poprzednie zeznanie i złożyć mi je obecnie w duchu kategorycznego stwierdzenia, jakie pan miał na sobie wtedy kalesony...

- Przecież miałem jakieś na sobie. Trzeba je tylko odnaleźć. Powinny być tam, gdzie mnie zawieziono po odnalezieniu - w szpitalu miejskim.

- Właśnie, że ich nie ma. Zginęły. Obecnie jesteśmy w kropce, bo jeśli pan sobie nie przypomina, jakie wtedy miał pan na sobie kalesony, można na podstawie tego drobnego na pozór faktu wywnioskować, że i inne podane przez pana szczegóły są wątpliwej wiarygodności, wobec czego uważam za konieczne ponowne przesłuchanie pana.

Dwie godziny pisał taki pan bardzo sumienne i skrupulatne zeznanie i odchodził zastąpiony przez jakiegoś równie sprytnego kolegę w mundurze.

- Jesteśmy w posiadaniu pańskiego oświadczenia, złożonego natychmiast po kąpieli w szpitalu, kiedy pana doprowadzono do przytomności, że schwytali pana Murzyni i chcieli pożreć. Czy nie zechciałby pan łaskawie szczegółowo wyjaśnić, co pan miał na myśli? Skąd tam Murzyni? Czy, pan wiele czytuje powieści podróżniczych? Aha... w dzieciństwie? To nie gra roli, takie rzeczy trzymają się wyobraźni jak rzep psiego ogona, panie kolego. Ja panu wyliczę wszystkich wodzów indiańskich z powieści Karola Maya, a czytałem to dwadzieścia lat temu. To jest sugestia podświadoma, proszę pana...

Wyjaśniał to przez dwie godziny i ładował mu w głowę cały zapas swego doświadczenia, z którego nieszczęsny oberlejtant dowiedział się, że zeznania można składać sprzeczne i wynika to z sugestii świadomej, podświadomej, że czasami w pamięci odżywają obrazy dziedzicznie przechodzące z pokolenia na pokolenie, kataleptycznie, w hipnozie i wiele innych rzeczy, po których nie mógł spać lub powtarzał przez sen różne cudaczne teorie.

Pod wpływem tych męczących indagacji stał się zgryźliwy i stracił wiarę w możliwość wykrycia sprawców napadu. Z czasem poznał kilkunastu Pinkertonów, w cywilu i w mundurze, i wiedział na pamięć, który na jakim koniku cwałuje. Aby się zemścić za nieustanne zakłócanie spokoju, odpowiadał półgębkiem i kiwał przyzwalająco głową na

wszystko, w końcu znecierpliwiał się i zaczął podrzemywać, nie słuchając tego, co kto mówił, i podpisywał bez czytania, co mu podsuwali wywiadowcy i żandarmi.

Wiedział, że gorliwość ich oparta jest na wysokich dietach, jakie otrzymywali za każdy wyjazd do niego, i rozumiał, że protesty nie pomogą. Kiedy się mu sprzykrzyło, zaczął inaczej.

- Witam pana uprzejmie - mówił jadowicie do wprowadzonego do pokoju gościa z teczką pod pachą - prawdopodobnie stwierdził pan, że jest jakaś drobna niedokładność w moich poprzednich zeznaniach. Co? Właśnie przypomniałem sobie niedawno: nie miałem wtedy zupełnie kalesonów na sobie. Proszę bardzo, z przyjemnością podpiszę.

- Zechce pan łaskawie spocząć - mówił do drugiego. - Kwestia murzyńska, prawda? Otóż, proszę pana, przypomniałem sobie na pewno, że to byli może niezupełnie Murzyni, ale Cyganie. Pan rozumie... w nocy wszystkie koty szare i mogłem się pomylić, zwłaszcza że byłem pijany. Z przyjemnością panu podpiszę, proszę bardzo.

- Chodzi panu o miejsce napadu? - mówił do trzeciego. - Że za każdym razem mówię co innego? Widzi pan, to nie ja jestem winien. Żandarmeria stwierdziła na pewno, że było to na przedmieściu, a to są, szanowny panie, fachowcy i nie śmiem się im sprzeciwiać. Jeżeli pan sobie życzy, mogę zeznać, że mnie napadnięto w Singapurze. Co to za lokal? To nie jest lokal, tylko miasto w Indiach... A może panu lepiej dogadza Rio de Janeiro? Jeżeli pan napisze, że mnie porwali piraci chińscy i uwięzili dżonką do Honolulu, też panu podpiszę, łaskawy panie. Zrobiłem się bardzo zgodny i idę każdemu z was na rękę w zdobywaniu awansu, co mi tam... Dostań pan sobie order i nagrodę! Ja, panie szanowny, wszystko teraz podpiszę i zeznam, jak sobie kto życzy. Mogę zeznawać ogólnie, ze szczególnym podkreśleniem, pierwiastkowo, drobiazgowo, krzyżowo-pytaniowo, z wahaniem, kategorycznie, z sugestią świadomą i w ogóle różnie...

Z początku wszystkie oświadczenia oberlejtanta były skrzętnie notowane, później jednak, skoro zauważono, że foliały opatrzone inicjałami "F. v. N." grubiały coraz bardziej, a sprawa zamiast się rozwikłać skomplikowała się do tego stopnia, że sędzia śledczy, po każdorazowym ich przeczytaniu, zażywał proszek na ból głowy - zrobiono przerwę w badaniach i umotywowano ją złym stanem zdrowia oficera.

Kompania tymczasem miała labę, co się zowie.

Kapitan Zivancić odesłał swój meldunek wraz z zeznaniami podoficerów do sądu i tym samym uniemożliwił von Nogayowi złożenie skargi do sądu honorowego. Zadowolony z jego nieobecności radość swoją oblewał tak rzetelnie, że w kompanii pokazywał się najwyżej raz na tydzień.

Właściwym dowódcą był dinstfirender, który bezkrólewie umiał znakomicie wykorzystać i wysyłane przez niego paczki przybrały znacznie na objętości. Służba szła swoim trybem. Jedna trzecia kompanii była zawsze na wartach, pozostałe zaś dwie trzecie zbijały baki w koszarach i poza nimi w sposób urozmaicony.

Kania poza służbą patrolową nie miał nic innego do roboty i swój wolny czas poświęcił na edukację papugi pana oberlejtanta. Codziennie godzinami przesiadywał u Baldiniego, wylegiwał się na kanapie, grał z Włochem w karty albo w szachy, czytał książki, a głównie interesował się papugą. Ułożył cały repertuar różnych zdań, które przyswajał jej metodycznie i wytrwale tak długo, aż zaczęła je powtarzać. Aby zyskać sobie jej przychylność, karmił ją obficie pieprzem i papuga dostawała histerii.

Kiedy tylko stanął przed klatką, zaczynała natychmiast drzeć się i skakać, wołając:

- Pieprzu... pieprzu!

- Masz pieprz... żryj!

- Masz pieprz... żryj... Precz z Austrią! Niech żyją Włochy!

- Pan generał jest idiota!... Ara, Papageichen... precz z Niemcami!

Po kilka razy na dzień wysłuchiwał Baldini tej recytacji i z uznaniem kiwał głową.

- Mądra bestia z naszej papużki... Śmiało można ją postawić przed sąd wojenny za zdradę główną. Będę ja zbierał po mordzie, kiedy oberlejtant powróci ze szpitala! Jeszcze mnie gotów zastrzelić.

- Cała rzecz w tym, żeby była jakaś inspekcja, zanim powróci - wyjaśniał Kania - a jeżeli wróci przed inspekcją, to papuga ucieknie. Będziesz miał stu świadków, którzy przysięgną, że widzieli, jak ją wykradał podczas twojej nieobecności któryś z żołnierzy ze stacji odżywczej. Moja w tym głowa.

Po zjedzeniu kolacji u Baldiniego w atmosferze klubowej Kania szedł do koszar, gdzie ku wielkiemu żalowi towarzyszy mało teraz przesiadywał, zbierał swój patrol i udawał się na stację wypić kilka szklanek wina za zdrowie nie widzącej poza nim świata bufetowej. Potem, w wesołym nastroju, maszerował na czele dobranej szóstki na żniwo.

Nie było w roku 1918 gorliwszego patrolu garnizonowego od patrolu pana frajtra Kani.

Jeżeli w sławetnym Sátoralja Ujhély pragnął prosperować jakiś łazik i odpocząć trochę po trudach wojennych, spokój jego bywał zakłócony już po dwóch dniach. Właścicielki wszystkich jawnych i tajnych domów publicznych nauczyły się nie dowierzać pogodnej minie, z jaką Kania wkraczał z karabinkiem na przedramieniu do salonu, i wiedziały, co się pod tym miłym uśmiechem kryje.

- Guten Abend, madame. (Dobry wieczór, pani.) Ruch w interesie, jak widzę, niezgorszy.

- E, jaki tam ruch. Dziewczyny tyją z nudów.

- Tyją, powiada paniusia? No, pójdę zobaczyć, ile im na wadze przybyło. Za mało ruchu zażywają, powinna pani prowadzić jakąś gimnastykę. Zaraz wrócę.

- A może pan przedtem wypije szklaneczkę - proponowała właścicielka z kwaśno-słodkim uśmiechem.

Miała wiele powodów do tego, żeby uniknąć składania wizyt w pojedynczych pokojach.

- To zawsze można. Hej, chłopcy! Szanowna pani prosi was, żebyście wypili za jej zdrowie lampeczkę,

Chłopcy wchodzili do salonu i żłopali jak smoki. Właścicielka uśmiechała się i wyłamywała palce pod kontuarem, kiedy widziała pragnienie i apetyt rozbójniczego patrolu. Kania zabawiał ją rozmową i jednocześnie bystro patrzył na wszystkie strony.

- Sympatyczny chłopak - zaczynał mówić obserwując jakiegoś pijanego feldfebla, siedzącego przy stoliku w rozpiętym mundurze.

Madame szła za jego spojrzeniem i wzdychała. Kania, bawiąc się rzemieniem karabinu, odwrócony bokiem do bufetu, patrzył uporczywie na upatrzoną ofiarę i mówił dalej uśmiechnięty:

- Wie pani, jak spotykam kiedy takiego rozkosznego faceta, który się tak ładnie umie bawić, cholera mnie bierze na samą myśl, że jakiś świński żandarm albo policjant wojskowy, albo nawet, dajmy na to, byle parszywy patrol garnizonowy z jakiej nędznej kompanii wartowniczej może mu w każdej chwili zabawę zamącić głupim zapytaniem o termin ważności dokumentu podróży.

Rozglądał się po tłoczących się po sali wojskowych z taką serdecznością, jakby im chciał wzrokiem powiedzieć:

- Bawciez się, drodzy koledzy i towarzysze broni, życie jest krótkie. Niech wam idzie na zdrowie.

- Niech pani, na przykład - mówił do madame - popatrzy na tego chłoptysia przy czwartym stoliku na lewo od fortepianu.

Czy jest na świecie bydlę, które by miało sumienie w tej chwili podejść do niego i ni z tego, ni z owego zapytać go o dokument z prawdziwą, nie podrabianą pieczętką?

Gawędził tak z właścicielką i uśmiechał się do każdego, kto na niego spojrzał, co robiło takie wrażenie, jakby ten sympatyczny frajter specjalnie po to przyszedł, żeby im

zapewnić wesołą swobodną zabawę.

Biada jednak temu nieszczęśnikowi, który nieznacznie odwołany na stronę przez właścicielkę lupanaru wzdrygał się przed wręczeniem narzuconego okupu, nie chcąc dać wiary, że ten sympatyczny frajter to najgorszy diabeł z garnizonu. Kania podchodził do jego stolika i przysiadł się swobodnie z karabinkiem między kolanami.

- Wesołej zabawy, kolego - mówił uprzejmie.

- Dziękuję. Służbę masz tu jaką?

- E, jaka tam służba. Wychodzi człowiek przewietrzyć się trochę na patrolu i zajrzy po drodze popatrzeć, jak się żołnierzyki zabawiają...

- Zapalisz?

- Mogę - brał papierosa i przyjacielsko mówił dalej: - Służbę ma tu człowiek lekką. Nie ma kogo ani zaaresztować, ani do żandarmerii odprowadzić; nudno, bracie. U nas jest taki Feldgericht, uważasz, że nasze miasto omija każdy łazik, co się w te okolice zabłąka z jakim lewym dokumentem podróży albo rozkazem jazdy.

- Tak tu jest ostro? - pytał zbity trochę z pantałyku łazik.

- Różne tu, bracie, wyroki bywały. Stoi za miastem kilka słupków z tabliczkami - mówił Kania paląc niedbale papierosa. - Jeżeli chodzi o mnie, jestem przeciwnikiem rozstrzeliwania ludzi o byle co, ale wojna, bracie, to nie majówka. - Słuchającemu dezenterowi robiło się gorąco.

- Tak, tak, kolego... w całym Sátoralja Ujhély nie znajdziesz nikogo, kogo by można podejrzewać o jakąś nielegalną rzecz. Jeżeli tu sobie jaki czasem wskoczy przez słabą znajomość połączeń kolejowych, wieje stąd tak, że mało butów nie zgubi, kiedy się dowie, jakie tu wyroki bywały za dezercję. Paskudnych tu audytorów mają, a już żandarmi tutejsi to świnię, nie ludzie. Żadnego sumienia taki nie ma i rodzzonego brata zaprowadzi pod sąd, jeżeli sobie, na przykład, przedłuży o dwa dni urlop! Ogromnie nie lubię im kogoś przyprowadzić, bo potem spać nie mogę.

Spotniały nagle łazik, po takiej rozmowie, dyskretnie pod stołem dzielił się z Kanią zapasem gotówki i brał nogi za pas.

Kania znał wszystkie podejrzane lokale, w których można było spotkać dezenterów albo markierantów różnego autoramentu, i wszyscy mu się opłacali.

Dzień swego urodzenia przeklinał podoficer, rdzenny Austriak, który dokumenty miał wprawdzie w porządku, ale zetknął się z patrolem na ulicy w nieprzepisowym umundurowaniu lub z nie zapiętym guzikiem.

Kania był w takim wypadku nieubłagany i taszczył winowajcę do komendy garnizonu

z całą paradą, w otoczeniu sześciu błyszczących bagnetów.

- Wściekliście się, bałwański frajtrze? W czwartym roku wojny będziecie mi zwracali uwagę na nie zapięty guzik? Co to za zwariowane miasto? Ludzie giną tysiącami, a ten idiota z guzikiem.

- W myśl przepisów, panie feldfebel, trzeba guziki zapinać. A nasz komendant garnizonu jest bardzo drobiazgowy i patrole mają przestrzegać przepisów, więc przestrzegam, panie feldfebel. Gdyby pan pułkownik zwariował i kazał mi wybijać każdemu spotkanemu panu feldfeblowi dwa trzonowe zęby, na rano przyniosłbym do komendy garnizonu pełen koszyk zębów. Taki jestem służbista... A co się tyczy guzika, to nie jest to takie proste i głupie, panie feldfebel. Tego lekceważyć nie można. Z mojej praktyki wiem, co to znaczy przewinienie. Znałem kilku takich panów feldfebli, którzy za guzik ganiłi człowieka laufszytem do zemdenia i kazali po ocuceniu robić sto razy padnij w błocie. To nie bagatelka!

W komendzie garnizonu feldfebel wysłuchiwał reprimendy od głupkowatego pułkownika, przy czym obrywało się i Kani za zatrzymanie podoficera, do czego nie miał prawa. Jeżeli natomiast spotkał gdzieś łazika Słowianina albo biedaka, któremu trzeba było pomóc, robił, co mógł, żeby mu pomóc na rękę.

Zdarzało się często, że żandarmeria przekazywała mu w mieście jakiegoś nieszczęśnika z poleceniem odprowadzenia do komendy garnizonu.

- Cóż ty za jeden?

Jeżeli się okazywało, że zatrzymany był dezertorem z frontu albo groziło mu poważne niebezpieczeństwo, mógł sobie powinszować.

- Po coś zwiewał bez pieniędzy i dokumentów, idioto? Nie mogłeś przedtem okraść regimentskasy?

- Ech, panie frajter. Jakże można okraść regimentskasę?

- Jeżeli to dla ciebie jest niemożliwe, to po co uciekałeś? Taki bałwan powinien siedzieć cicho, a nie iść w świat. Gdzieś ty właściwie chciał jechać? Coś tutaj robił?

- Myślałem, panie frajter...

- Myślałeś? Mądrze wymyśliłeś... Masz tu dwadzieścia koron.

- Ach, panie frajter...

- Stul pysk! Trzymaj forszę. Teraz słuchaj, co ci mówię: odprowadzi cię jeden na stację towarową, żeby cię po drodze znowu nie capnęli, i wsadzi na bremzę pociągu towarowego do Koszyc. Tam się od razu melduj komendantowi Soldatenheirnu i gadaj, żeś zgubił dokumenty. Posiedzisz sobie kilka dni, dopóki ci rodzina nie przyśle forsy, i będziesz mógł

dalej kombinować.

Łazik był oszołomiony takim obrotem koła fortuny.

- Prowadź go, Ivanović! I wsadź go sam do pociągu, bo gotów jeszcze i nam kaszy narobić.

Nieraz zdarzało się, że wyrabiał fałszywe dokumenty emisariuszom polskich organizacji niepodległościowych, czeskim legionarzom i innym tajemniczym pasażerom, którzy, tropieni w pociągach przez żandarmerię, wysiadali po drugiej stronie peronu i bezradnie rozglądali się dokoła. Prawie wszyscy żołnierze w kompanii mieli do czynienia z różnymi komitetami narodowymi, z którymi byli w kontakcie, i sienniki niejedną raz wypchane były paczkami nielegalnej literatury i korespondencją.

Kania nie żałował pieniędzy, gdyż nie przywiązywał do nich wielkiej wagi; ściągając sumiennie haracz nałożony przez siebie na wszystkie spelunki i podejrzane lokale, którym groziło zamknięcie za różne przewinienia, te same pieniądze obracał na wspieranie różnych ludzi, którym mógł w ten sposób uratować życie.

Pozostali członkowie patrolu partycypowali w tych dochodach i w każdym wypadku, kiedy mieli na uwadze jakiegoś współplemieńca, otrzymywali od niego odpowiednią kwotę, a Lücker, pisarz z komendy dworca, robił majątek sprzedając blankiety dokumentów podróży. Kania był jego głównym odbiorcą i obaj do spółki nabroili zdrowo; niejedną raz, pod okiem żandarmerii i policji politycznej, ułatwiali podróż wysłannikowi zakonspirowanej organizacji i niepodległościowej.

INSPEKCJA

Z początkiem sierpnia kapitan Ziwancić otrzymał kilka dni urlopu i wyjechał do Pesztu. Obowiązki dowódcy kompanii pełnił dinstfirender pod nadzorem lejtnanta z kadry taborów, stacjonującej w garnizonie.

Oficer ten, powołany do służby z rezerwy, obowiązki swoje spełniał w ten sposób, że przyjechawszy rano na koniu szedł najpierw do stajni i pytał o konie kompanijne. Skontrolował stajnie i szedł do kancelarii, gdzie podpisywał raporty, pytał dinstfirendera, czy wszystko w porządku, i utrzymawszy twierdzącą odpowiedź wracał do miasta.

Był to jeden z tych przeciętnych zjadaczy kartofli, którzy, powołani do służby w ostatnim roku wojny, robili wszystko, co mogli, aby swoim przełożonym obrzydzić życie absolutnym niezrozumieniem obowiązków, jakie na nich nałożono, i obejmowali służbę mając w walizce kolekcję fajek, ranne pantofle i szlafrok. W mundurze czuli się jak aresztanci w swoich pasiakach. Brali gąże i wyczekiwali końca wojny z nie dającą się wypowiedzieć tęsknotą, a siedząc w kraju korespondencyjnie prowadzili swoje przedsiębiorstwa i robili interesy jak przedtem. Każda czynność służbowa wydawała się im niepotrzebnym utrudnieniem i tak już ciężkiego żywota.

Czwartego dnia po odjeździe kapitana w kancelarii zadźwięczał dzwonek telefonu.

- Kompanieschreiber, Infanterist Haber, meldet sich gehorsamst (Pisarz kompanijny, strzelec Haber, melduje się najposłuszniej.).

Dzwonił jego przyjaciel, Żyd galicyjski, z komendy garnizonu.

- Za kilka minut będzie u was na inspekcji generał-major von Grabenau du Custozza. Wyrrywaj, żeby po tobie śladu nie było! Zamknij się w wychodku albo... macie strych w kompanii? Schowaj się tam i zamknij drzwi na haczyk.

- Dlaczego? Połknie mnie? Co ja mu złego zrobiłem?

- Od kiedy jesteś taki odważny? Jak ja ci mówię, żebyś wyrwał, to nie pytaj. Takiego bydlaka jeszcze w naszym garnizonie nie było. Kiedy się komendant dowiedział, że przyjechał, zachorował i położył się do łóżka. Wszyscy dowódcy pochorowali się albo pochowali. Co się tu wyrabiało, ludzkie pojęcie przechodzi!... Izydor, wyrrywaj, serwus!

Haber położył słuchawkę, powstał od stołu i chwycił czapkę. Najpierw pobiegł w kierunku stacji odżywczej, aby zawołać dinstfirendera, ale w połowie rozmyślił się i wpadł do kompanii.

- Kania, za kilka minut będzie na inspekcji generał-major von... von... Cholera...

zapomniałem, jak się nazywa... Jakaś świnia pierwszej klasy.

- Dinstfirender jest?

- Żłopie wino w Verköstigungstelle.

- Niech cię Bóg broni, żebyś go miał zawołać. Sam wrywaj gdzie bądź. Ucieszy się generał, kiedy w kancelarii nikogo nie zastanie.

- Żebym ja tylko potem nie miał jakiegoś klajstru...

- Nie bój się, mogłeś akurat wtedy być w mieście służbowo, nie? Wrywaj.

Haber usłuchał tej rady, przelazł przez druty otaczające zabudowania kompanii i położył się w rowie zwrócony twarzą do koszar.

Kania tłumiąc zdenerwowanie, udał się na korytarz, w którym siedział kapral Schönfeld, jeden z najmniej lubianych podoficerów, i zeszywał sobie trzewik.

- Oddałby pan but do naprawy do warsztatów - doradził uprzejmie - prędzej to panu zrobią i lepiej. Kapral oderwał oczy od trzewika i nieufnie spojrzał na frajtra.

- Nie mam kogo posłać.

- Właśnie idę do warsztatów, mogę po drodze odnieść. Schönfeld nie wiedział, czemu ma przypisać wyjątkową uprzejmość frajtra, lecz po krótkim wahaniu zgodził się.

- Tylko niech dobrze nasmolą dratwę.

Kania pozostawił kaprala w jednym trzewiku i wrócił na salę.

- Slavik, zanieś ten trzewik Schönfelda do warsztatów i powiedz, żeby go przetrzymali do wieczora. Słuchaj, co ci mówię: zaraz będzie inspekcja.

- Kto?

- Jakaś mała generalska. Starajcie się, żeby był zadowolony z inspekcji, rozumiesz? Idę teraz do papugi.

Wyszedł z budynku koszarowego i szybko zmierzał w kierunku kwatery oberlejtanta von Nogaya. Z rowu doszedł go gwizd. Przystanął.

- Jedzie auto - zameldował wychylając głowę z rowu Haber.

- Dobra.

Baldini prędko zdjął klatkę z haka i wręczył ją Kani.

- A ty, bracie, staraj mu się wleźć pod nos, kiedy ci dam znak, capisco?

- Zrobi się - odpowiedział Włoch i oczy mu błysnęły - zapłacę ja mu za to bicie.

Kania postawił klatkę pod oknem kancelarii, gdzie ją czasem zostawiał Baldini, żeby papuga zażyła świeżego powietrza, wszedł do sali i położył się na pryczy.

- Zaraz będzie.

W minutę później wpadł przez otwarte okna przeciągły okrzyk:

- Geeewehr heeerauuusss! (Warta pod broń!).

Kania ostrożnie wyjrzał i zobaczył przed wartownią samochód, z którego wysiadł wysoki, tęgi generał, opierający się na lasce. Za nim wysiedli dwaj kapitanowie: Rittner z komendy garnizonu i adiutant generała. Przed zgromadzoną w popłochu wartą stał cugsfirer Szökölön.

- Dlaczego nie wyrównane szeregi? - zapytał sapiąc generał, widocznie cierpiący na astmę.

- Melduję posłusznie, panie generale...

- Was? Maulhalten! - ryknął generał z purpurową twarzą. - Kto was zrobił cugsfirerem, idioto? Jak się nazywacie?

- Cugsfirer Lajos Szökölön.

Generał podniósł laskę, jakby chciał nią uderzyć dygocącego cugsfirera.

- Aha! Madziar. No, tak. - Generał złośliwie się uśmiechnął, wierząc laską dziurę w piasku. - Oto mamy, moi panowie, przykład potwierdzający moją opinię, którą stale wypowiadam w ministerstwie. To są skutki dwoistości regulaminów i wyszkolenia. Stoi taki kretyn, taki małpi syn i rozmawia ze mną przed nie wyrównanymi szeregami. Dziwię się jeszcze, że nie trzyma fajki w tej swojej głupiej madziarskiej gębie. - Generał, mówiąc to, patrzył jednocześnie na szeregi. - Dlaczego są nie ogoleni, cugsfirerze? Wyglądają jak szympany. I takie straszliwe pyski pełnią służbę wartowniczą! Żołnierz powinien iść na wartę jak do ślubu, kanalie jedne!

Żołnierze patrzyli na generała i myśleli prawie wszyscy jedno i to samo: Pocałuj mnie, dziadu...

- Żałuję mocno, że nie ma tutaj któregoś z moich przeciwników z ministerstwa - prawil daley generał.

Trzeba wiedzieć, że w Kriegsministerium nazywano go "der tolle Grabenau" (szalony Grabenau) i ze zdaniem jego nie liczył się nikt. Skompromitowany na froncie serbskim jako dowódca brygady piechoty, mianowany został inspektorem oddziałów tyłowych i odtąd szalał objeżdżając nieustannie całą monarchię. Podróże te, poza wysokimi dietami dla wojażera, nie przynosiły nikomu żadnej korzyści; za to podwładni i przełożeni generała w ministerstwie mieli spokój i nie potrzebowali wysłuchiwać jego najrozmaitszych poglądów i narażać się na denerwujące dyskusje.

Podczas dowodzenia brygadą został lekko ranny w nogę i odtąd podpierał się laską, co miało mu wyrabiać reputację frontowego generała u tych dowódców, którzy go nie znali.

- Niech pan zapiszę nazwisko tego durnia - zwrócił się do adiutanta. - Zarządzi pan

zmianę całej warty w koszarach i osadzenie tego kretyna w areszcie, dopóki nie zarządzę jego degradacji do szeregowca. - Zmrużył swoje wole oczy i pokiwał głową.

- Do szeregowca, tak jest! - powtórzył z naciskiem. - Dziękujcie Opatrzności, że was od razu pod sąd nie oddaję! Was powinno się trzymać pod słupkiem przez tydzień i tylko wodą polewać, żebyście nie mogli nawet zemdleć, wy csikosie! Jesteście csikosem z cywila, co? Albo koniokradem? A jeżeli nie jesteście ani jednym, ani drugim, jesteście pewno muzykantem, He? Czym jesteście z zawodu?

- Mam sklep masarski... jestem rzeźnikiem.

- Rzeźnikiem? Taki dureń może być rzeźnikiem tylko na Węgrzech. Rzeźnik, hm... fach ma całkiem rozumny. Chodźmy do kompanii.

Opierając się na lasce i utykając, skierował się do budynku koszarowego, a za nim obaj oficerowie. Kapral Schönfeld, w oczekiwaniu na oddany do naprawy trzewik, postawił nogę na taborecie i odwrócony tyłem do drzwi wejściowych obcinał scyzorykiem paznokcie. Kiedy usłyszał kroki, nie odwrócił głowy, pewny, że to szeregowcy z kompanii, i dalej uważnie robił pedicure. Generał spojrzął na wypięty zadek kaprała i nie namyślając się wiele zamasyście przejechał się po nim laską. Schönfeld błyskawicznie się odwrócił, spojrzął i scyzoryk wypadł mu z ręki.

- Aha... - słodko przemówił generał, patrząc na ładownicę - szanowny pan ma służbę. Bardzo mi miło poznać, bardzo miło. Schönfeld oniemiał.

- Może się tak zameldujesz, kretynie? - wrzasnął generał. - Czego się wygapiasz? Kreuzhimmel! Co to jest, moi panowie? Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem: przychodzi na wizytację generał, a podoficer służbowy na przywitanie prezentuje mu swój kuper! Meldować się!

Kapral zaczął się jękać i przetykał ślinę, jakby się czymś dławiał.

- Pa... pa... pannie gge... nne... ralie... ka... ka...

- Pa-pa ge-ge - przedrzeźniał wściekle generał. - Będzie mi tu gęgał taki bałwan! Dam ja wam ge-ge, że zzieleniejecie, wy zająknięty kretynie! Najgorsi żołnierze to Madziarzy, moi panowie. Popatrzcie na tę głupią jadaczkę! Wy pewnie jesteście csikosem z zawodu, nie? Albo koniokradem? Jak się nazywacie?

- Szö... Szö...

- Szökölön? Brat tego idioty cugsfirera? Kapral przełknął i nabrał powietrza w płuca.

- Szönfeld Hugo.

- Jakiej narodowości?

- Niemiec...

- Nie przyznawajcie się do tego publicznie, bo to reszcie Niemców nie przynosi zaszczytu. Dlaczego nie umiecie się zameldować i dlaczego stoicie krzywo? Wyprostujcie się! Aha... - Generał zauważył brak jednego buta i jadownicie się uśmiechnął. -

Służbę pełni się tutaj w jednym bucie. So was!... (Coś takiego!) Co to jest? Co to za kompania? Prowadźcie mnie do kancelarii!

ZEMSTA BALDINIEGO

Haber leżąc na brzuchu w rowie obserwował wszystko, co się działo przed wartownią, i z zadowoleniem zapalił papierosa. Myślał w tej chwili ze złośliwą satysfakcją o tym, jaką minę będzie miał zamroczony dinstfirender, kiedy go za wezwą przed oblicze pana generała. Uśmiechał się do swoich myśli i leżał dalej na brzuchu z papierosem w zębach. Nagle poczuł, że ktoś go chwycił za ramię. Odwrócił głowę i zrobiło mu się słabo. Nad nim stał oberlejtant von Nogay, za którym zauważył objuczonego walizkami żołnierza.

- Co wy tu robicie, przyjacielu? Szybko odzyskał przytomność umysłu.

- Pan dinstfirender kazał mi się schować, bo w koszarach jest inspekcja i kancelaria jest zamknięta. Ma wyglądać, że nikogo nie ma.

Von Nogay puścił jego ramię i zmarszczył czoło.

- Jaka inspekcja?

- Nie wiem, panie oberlejtant.

Von Nogay powziął jakieś postanowienie. Rozkazał żołnierzowi pójść z walizkami na wartownię, a sam wszedł w furtkę.

No, myślał idąc do koszar, chciałeś mnie zgubić, zdrajco, ale ja ci teraz za to zapłacę. Ładnych rzeczy dowie się inspektor. Chłaj sobie dalej na kwaterze. Nosił wilk, poniosą i wilka.

Zdecydowanie wszedł do kancelarii, w której przed wyprężonym na baczność Kanią ciskał się z furią generał.

- Niech pan to wszystko pisze, co ten człowiek opowiada, panie kapitanie. Przedstawię was do nagrody, frajtrze! Coś niesłychanego, no! Ani dowódcy, ani dinstfirendera. Gdzie ja właściwie jestem?

Von Nogay stanął przy drzwiach i służbiście się zameldował.

- No, nareszcie jest i oficer - warknął generał. - Moje uszanowanie panu, panie oberlejtant! Gdzie to pan się podziewał, odkąd ja tu jestem? Krył się pan tak samo, jak dinstfirender? Co? Ślicznie!

Oberlejtanta zatkało i patrzył zdziwiony na generała.

- Co to za porządki w pańskiej kompanii, panie oberlejtant? Przecież to niesłychane, co tu widzę! Jedyne człowiek, z którym można rozsądnie porozmawiać, to frajter. Ani oficera, ani podoficera.

- Melduję posłusznie, że dopiero przed chwilą powróciłem.

- Tym gorzej dla pana! Która godzina, panie kapitanie? Jedenasta? Dziękuję. Zechce pan łaskawie zanotować, że pierwszy oficer zjawił się dopiero o godzinie jedenastej. Nie będę pytał s k ą d pan wrócił, panie oberlejtant, pańska bladość i podkrążone oczy aż nadto wyraźnie mnie w tym kierunku objaśniają.

Wymizerowany w szpitalu von Nogay bezradnie spojrział na kapitana z komendy garnizonu, który nieznacznie wzruszył ramionami i położył palec na ustach.

- Dziękuję wam, frajtrze, możecie odejść. Pan zanotował jego nazwisko, kapitanie? Dobrze.

Kania służbiście zsalutował i wyszedł.

- Prawdziwy żołnierz - z uznaniem rzekł generał. - Niech pan zarządzi alarm kompanii, panie oberlejtant. Sądzę, że jest pan na tyle trzeźwy, że pan to wykona. Następnie proszę zamknąć w areszcie dowódcę warty, tego wąsatego cugsfirera madziarskiego, i podoficera służbowego również. Popisał się pański służbowy! Zadek mi pokazał, zamiast się zameldować. Tylko niech pan nie marudzi, panie... jak godność?

- Von Nogay.

- Panie oberlejtant von Nogay. Proszę wykonać! Po wyjściu oberlejtanta generał zwrócił się do swego adiutanta.

- To nie to, co my, kapitanie, ciągle w służbie. Tutaj przychodzi sobie pan oberlejtant do kompanii o godzinie jedenastej, prosto z burdelu!... Von Nogay... hm... von Nogay...

Generał pokręcił głową.

- Też pewno jakiś czesko-madziarski mieszaniec, a nadyma się tak, jakby był przynajmniej członkiem dworu cesarskiego. Dowódcą kto jest?

- Kapitan Zivancić, panie generale.

- Coraz lepiej... von Nogay, Zivancić... von Nogay... nieźle. Generał właśnie zapalał papierosa, kiedy z drugiej strony okna, pod którym siedział, padł nagle chrapliwy okrzyk:

- Nieder mit Österreich... hoch Italien. (Precz z Austrią... niech żyją Włochy.) Pfeffer... Pfeffer!

Inspektor zdrętwiał i znieruchomiał z jedną ręką wzniesioną z papierosem na połowie drogi do ust. Twarz mu nabrzmiała, szeroko wytrzeszczył przekrwione oczy na obydwu oficerów, których wyraz twarzy wskazywał na jakieś dziwne osłupienie.

- Evviva Italia... (Niech żyją Włochy), evviva Cadorna... (niech żyje Cadorna), á bas les boches! (precz z Niemcami!).

Generałowi twarz nabrzmiała tak, jakby za chwilę miał dostać ataku apoplektycznego.

- Coo too jest?

Adiutant ostrożnie, jakby z wahaniem, wychylił się za okno.

- Papuga, panie generale.

- Pa-pu-ga?

Oczy mu wyłąziły z orbit i mówił z trudem.

Tymczasem papuga recytowała cały, pracowicie wyuczony repertuar, jakby składała egzamin. - Niech żyją politycznie podejrzani żołnierze... pieprzu... pieprzu... Ara, papużko... pan generał idiota!

Generał oprzytomniał i głęboko nabrał powietrza w płuca.

- Chodźmy zobaczyć tę papugę - chrapliwym, głosem rzekł do adiutanta.

Kiedy stanęli przed klatką umieszczoną na ławeczce, papuga podwoiła swoją energię.

- Niech żyją Włochy... niech żyje Francja... precz z Austrią... pieprzu!

- Maulhalten! - wrzasnął siny z wściekłości generał.

- Maulhalten! - odwzajemniła się papuga i generał zachwiał się.

- Czyje to bydłę?

- Nie wiem, panie generale - odpowiedział kapitan.

Jak na zawołanie, ukazał się na widowni Kania, który wyszedł zza węgła budynku i szybko szedł w stronę drugiego baraku, nie patrząc na stojącą pod oknem grupę.

- Hej, frajtrze, chodźcie tutaj!

Kania podbiegł i stanął przed generałem.

- Czyja to papuga?

- Pana oberlejtanta von Nogay, panie generale. Papuga darła się tak energicznie, jakby chciała być słyszana przez cały garnizon.

- Nieder mit Österreich... pan jest idiota!

- Maulhalten, verfluchtes Vieh! (Milczeć, przeklęte bydłę!) - wrzasnął generał i zamierzył się laską.

- Maulhalten! - powtórzyła papuga piskliwie. - Ara, Papageichen... niech żyją Włochy!

Generał trzepnął laską i klatka zleciała na ziemię, papudze jednak nie zrobiło to wielkiej różnicy i prędko odzyskała równowagę.

- Maulhalten! Pieprzu!

- Przecież to nie można słuchać tego, co to bydlę wykrzykuje! Zawołajcie, frajtrze, pana oberlejtanta!

- Rozkaz, panie generale.

. Kania odszedł za węgiel budynku i gwizdnął. Z kwatery oberlejtanta wybiegł Baldini i podniósł ramię. Szybkim krokiem zbliżył się do otaczających leżącą na ziemi klatkę i nie zwracając uwagi na wściekle drepczącego w miejscu generała ujął ją za rączkę i podniósł.

- A to co? - wycharczał generał i znowu wytrzeszczył oczy - coście za jeden? Włoch?

- Jawohl, Kriegsgefangener Giuseppe Baldini. Generał usiadł na ławeczce i wskazał laską klatkę.

- Co wy macie wspólnego z tą papugą?

- Jestem ordynansem pana oberlejtanta von Nogay, a ta papuga do niego należy.

- He? Ładne historie! A kto ją nauczył tego... tej... tych... słów! Wiecie, co ona mówi?

- Wiem, pan oberlejtant ją uczył...

Generał powstał i znacząco spojrzał na milczących oficerów. Obciągnął na siebie kurtkę i wiercił laską dziurę w ścianie baraku z taką zaciętością, jakby miał przed sobą jakiegoś niewidzialnego wroga. Papuga skrzeczała coś niezrozumiale i nagle wydarła się.

- Chodź tu, włoska małpo... pieprzu... pieprzu!

- Co ona z tym pieprzem? - zastanowił się głośno generał. Baldini skwapliwie wyjaśnił.

- Pan oberlejtant daje jej zawsze pieprzu, kiedy chce, żeby mówiła...

- Aha... dam ja mu pieprzu... z papryką! Zepsuję mu podniebienie na długie lata! Już ja go popieprzę! Coś niesłychanego! Po raz pierwszy w życiu spotyka mnie coś podobnego... A ty tak chodzisz bez eskorty po koszarach?

- Do miasta też chodzę, panie generale - odpowiedział Baldini takim tonem, jakby tym oświadczeniem chciał sprawić przyjemność generałowi.

- Jak to? We włoskim umundurowaniu?

- Tak jest.

- Herr Gott im Himmel! (Panie Boże w niebie!) Gdzie ja jestem, moi panowie?

Splot wydarzeń był dla generała czymś całkowicie nowym i niespodziewanym i nie mogło mu się to wszystko w głowie pomieścić.

- Co trzeba zrobić, żeby to wstrętne bydlę umilkło, Kriegsgefangener? Każcie jej zamknąć dziób!

- Ara... Papageichen - miękko przemówił Baldini - schlafen (spać). - Zasunął

firaneczki na klatce, papuga poskrzeczwała trochę i umilkła.

- Rozumiem teraz, dlaczego ten zdrajca wziął sobie na ordynansa jeńca włoskiego - przemówił generał siadając na ławeczce. - Pan oberlejtnant musi was bardzo lubić? Rozmawiacie zawsze ze sobą, prawda?

- Nie, panie generale, pan oberlejtnant bije mnie i nienawidzi.

- Biję? Teraz zupełnie nie rozumiem. Wziął go za ordynansa i bije. A gdzie nauczyliście się tak dobrze mówić po niemiecku?

- Studiowałem w Wiedniu przed wojną...

- Studiowaliście w Wiedniu? A więc inteligentny człowiek. Czym jesteście z zawodu?

- Mam majątek ziemski we Włoszech.

- I wziął was za ordynansa? Nie rozumiem nic a nic, proszę panów, i czuję, że mi coś w głowie szumi.

Generał potarł dłonią spocone czoło, jakby chciał tym prostym zabiegiem doprowadzić swoje władze umysłowe do porządku.

W tej chwili stanął przed nim zadyszany von Nogay.

- Melduję się posłusznie, panie generale.

- Czy to jest pański ordynans?

- Tak jest, panie generale.

- Postawcie klatkę i odejdźcie.

Baldini uprzejmie zasalutował i szybko odszedł.

Von Nogay ze zdumieniem popatrzył na klatkę, potem kolejno przenosił wzrok z generała na oficerów i znowu na klatkę. Od chwili swego przyjazdu znalazł się od razu w jakiejś diabelskiej karuzeli i dostawał z tego wszystkiego zawrotu głowy.

- Czy pan wie, co w tej klatce się znajduje? - uroczyście zapytał generał.

- Tak jest... moja papuga.

- Doskonale. Więc pan oświadcza, że to p a ń s k a papuga? Bardzo dobrze... Niech pan to zanotuje, panie kapitanie.

Adiutant z uszanowaniem skinął głową i zaczął w notesie rysować karykaturę von Nogaya. Przyzwyczajony do służby przy swoim generale, ani myślał pisać tego, co mu tamten kazał. Kiedy z początku, po nominacji na adiutanta, przeczytał raz notatki z inspekcji jednego z batalionów etapowych, poszedł do lekarza, kazał sobie zmierzyć temperaturę i wypytywał go o różne rzeczy z dziedziny metafizyki. Od tego czasu ćwiczył się w rysowaniu karykatur i nie zapisywał niczego, z wyjątkiem nazwisk.

- Proszę odsunąć firaneczki, panie oberlejtnant... albo zaraz... Zza węgła ukazał się

znowu Kania i generał go zauważył.

- Chodźcie tu, frajtrze.
- Rozkaz, panie generale.
- Idźcie do kuchni i przynieście pieprzu.

Szybkość, z jaką Kania zjawił się z pieprzem, olśniła generała, ale dała jednocześnie dużo do myślenia pozostałym oficerom.

- Słuchajcie, frajtrze - przemówił poważnie generał - robicie wrażenie dobrego żołnierza. Więc uważajcie. Będziecie teraz świadkiem bardzo poważnego wydarzenia i skoro już tu jesteście, możecie być powołani przed sąd jako świadek, rozumiecie? Daję tym dowód zaufania, z czego powinniście sobie zdawać sprawę. Tylko musicie mi dać słowo honoru prawdziwego żołnierza cesarsko-królewskiego wojska, że to wszystko zachowacie w tajemnicy.

Kania dał mu uroczyste słowo honoru "prawdziwego cesarsko-królewskiego żołnierza", że zachowa wszystko w tajemnicy, i generał z zadowoleniem skinął głową.

- Oto przykładowy żołnierz, taki, jakim powinien być każdy. Ślepo oddany swoim przełożonym i gotów na wszystko... Odsuńcie firaneczki i dajcie jej pieprzu.

Papuga, skoro zobaczyła przed sobą znajomą twarz Kani, zaczęła skrzeczeć.

- Nasypcie jej pieprzu do korytka, żeby się stała rozmowna. Pan oberlejtant jest ciekaw usłyszeć, co ona mówi.

- Pieprzu... pieprzu!... - zaczęła wołać papuga, skacząc na drążku. .

- Melduję posłusznie, że jeśli jej dam wszystko, to chyba zdechnie, panie generale.

- Zdechnie? Nie byłoby żałoby państwowej, gdyby zdechła... ale to za wcześnie... dajcie jej ziarenko.

Papuga szybko połknęła pieprz i generał nadstawił ucha, patrząc jednocześnie na von Nogaya.

- Niech żyją Włochy... Niech żyje Anglia... precz z Austrią!

- Wyraźnie mówi, prawda, panie oberlejtant?

- Pan jest idiota! - krzyczała papuga, nieświadoma dramatu, jaki jej krzyki wywołują - precz z Niemcami... á bas les boches!

Za każdym okrzykiem generał z zadowoleniem kiwał głową.

- Bardzo wyraźnie wymawia, widać musiano jej uczyć tego bardzo sumiennie... Przynosi to zaszczyt pańskiej cierpliwości, panie oberlejtant...

Od dłuższej chwili von Nogay stał, zapatrzony w klatkę, jak zahipnotyzowany.

- Co pan na to powie?

- Ja nie wiem... - wymamrotał zbielełymi wargami - ja nie rozumiem, skąd... nie uczyłem jej tego...

- Aha... a czego pan ją uczył? Oberlejtant przełknął ślinę.

- Uczyłem ją wymawiać różne patriotyczne sentencje, panie generale, i nie wiem doprawdy, skąd ona...

- Zmieniła orientację polityczną, panie oberlejtant - jadowicie przerwał generał - bardzo inteligentne stworzenie... Von Nogay podszedł do klatki.

- Ara, Papageichen... hoch Österreich-Ungarn... powtórz, papużko... hoch Österreich-Ungarn - prosił czule i błagalnie patrzył na rzucającą się papugę - Powtórz, papużko... Niech żyje Austria!

Papuga przekrzywiła główkę i nastroszyła się.

- Precz z Austrią!... Niech żyją Włochy!

Świeższe były w jej pamięci nauki Kania i wykrzykiwała wszystko, z wyjątkiem tego, co mógł sobie życzyć pan oberlejtant. Von Nogay przypatrzył się jej rozszerzonymi oczami i otarł pot z czoła.

- Melduję posłusznie, panie generale, że powróciłem dopiero ze szpitala, gdzie byłem dwa miesiące.

- To nie ma nic do rzeczy - przerwał gwałtownie generał - będzie się pan usprawiedliwiał przed sądem. Uda się pan teraz na odwach... proszę oddać rewolwer kapitanowi!

Von Nogay, całkowicie złamany, wyjął rewolwer z futerału i oddał go kapitanowi.

- Przypuszczam, że nauczył ją tego mój ordynans, panie generale.

- Aha, ordynans... To pana jeszcze więcej obciąża, panie oberlejtant. Dlaczego ma pan za bursza jeńca włoskiego? He? Do spółki spiskowaliście przeciw monarchii!

Generał zwrócił się do adiutanta.

- Tego jeńca swoją drogą zamknąć do paki, aż do rozprawy sądowej!

Od strony Verköstigungsstelle wyłonił się nieoczekiwanie dinstfirender i szedł na niepewnych nogach, z rękami w kieszeniach spodni; odmierzając kroki i patrząc w ziemię recytował do taktu wierszyk, którego tak pracowicie Kania uczył kompanię, i uważnie stawiał nogi, żeby się nie omylić.

- Jeder Dienstführender eine besoffene Sau (każdy dinstfitender schlana świnia) - uzupełnił generał wściekle.

Dinstfirender stanął jak wryty, wygapił się nieprzytomnie i przetaił pięściami oczy. - Coście za jeden?

- To jest pan dinstfirender, panie generale - półgłosem poinformował Kania.

Feldfebel otworzył oczy i zachwiał się. To, co widział, nie było majakiem, ale żywym generałem.

- Pannnie ge... gennnerallle mmee... mmee...

- Drugi mi dzisiaj gęga tutaj... me-me... ge-ge... świnió jedna! Język się draniowi plącze i przewraca się! I to ma być dinstfirender? - generał złapał się za głowę.

- Herr Gott im Himmel, gdzie ja jestem, panowie?! Panowie z zakłopotaniem wbili oczy w ziemię. Dinstfirender odzyskał mowę.

- Panie generale, melduje się posłusznie dinstfirender komp...

- Byliście dinstfirenderem, bydlaku! - ryknął generał - mówcie w czasie przeszłym, wy zakało wojska! Teraz jesteście aresztantem! Odprowadźcie go, frajtrze, do aresztu, zdejmijcie mu pas! Ja was zgnoję, wy gangreno... Marsz!

Kania odpiął ogłupiałemu dinstfirenderowi pas i położył mu rękę na ramieniu.

- Z rozkazu pana generała jest pan aresztowany - przemówił surowo, patrząc w nieprzytomne oczy feldfebla. - Za najmniejszą próbę ucieczki będę strzelał.

- Właśnie, niech tylko zrobi krok, palcie mu w łeb! Należy mu się to.

Kania lekko popchnął feldfebla, który automatycznie zaczął iść. Generał sapał z irytacji.

- Jeder Schuss ein Russ... no... I ma odwagę w takim stanie stanąć przede mną...

- Panie generale - zaczął von Nogay, ale nie skończył.

- Milczeć! Samo wysłuchiwanie pańskich tłumaczeń jest dla mnie poniżające. Jest pan zdrajcą, rozumie pan? Proszę, panie kapitanie, odprowadzić tego człowieka na odwach, do mojej dyspozycji! Od tej chwili w moich oczach przestał pan być oficerem. Proszę, panie kapitanie, pojechać autem i zaraz wrócić. Kapitan odszedł ze złamanym zupełnie von Nogayem.

- Zastanawiam się teraz, co trzeba zrobić z tą przeklętą papugą, kapitanie. Zgładzić ją - oznacza pozbycie się corpus delicti, pozostawić - jest niebezpiecznie z tego względu, że będzie siała zradę swoimi okrzykami... Hm...

Generał zastanawiał się nad tym problemem, kiedy przed nim stanął Kania.

- Melduję posłusznie, panie generale, rozkaz wykonałem. Siedzi ten drab, panie generale.

- Coś podobnego, no... przychodzi pijane bydlę i gładzi, że jest dinstfirenderem. Coś okropnego, co się tutaj dzieje, niesłychane!

- Niech żyją Włochy! - przypomniała się nagle papuga.

- Precz z Włochami! - wrzasnął generał i zamierzył się laską.- Maulhalten!

Kania zasunął firaneczki, papuga poskrzeczwała trochę, jakby chciała udowodnić, że ma ostatnie słowo, i umilkła. Generał usiadł i wściekle wiercił laską w ziemi.

- Musiał chyba być w cywilu kataryniarzem ten cały Nogay albo grajkiem wędrownym. Słuchajcie, frajtrze! Jesteście, jak widzę, inteligentnym człowiekiem, sądzę więc, że zdajecie sobie sprawę z tego, co tu zaszło. Powiedzcie mi prawdę: czy pan oberlejtant wyrażał się kiedyś przed kompanią lub przed kimkolwiek nielojalnie?

- Tak jest, panie generale - odpowiedział z dobrze udanym wahaniem Kania - zdaję sobie sprawę z tego, co tu zaszło, panie generale. Melduję posłusznie, że prowadziłem w kompanii, z rozkazu pana kapitana, wykłady propagandowe w celu poprawienia nastroju.

- Zupełnie trafnie wybrał was pan kapitan. Przekonywam się coraz więcej, że słusznie was oceniłem, frajtrze, mówcie.

- Żołnierze skarżyli się na złe traktowanie i wiem, że pan kapitan miał kilka razy rozmowę na ten temat z panem oberlejtantem. Pisaliśmy nawet wszyscy zeznania do sądu. Pan oberlejtant wyrażał się o panu kapitanie nie inaczej, jak - przepraszam za wyrażenie - "der lojale k.u.k. Idiot".

- Ślicznie... "lojalny c.k. idiota". I to do was tak mówił?

- Tak jest, panie generale. Ponieważ w kompanii jest wielu ludzi politycznie podejrzanych, mieliśmy dużo roboty z utrzymaniem ich w karności i kiedy przyszedł pan oberlejtant, od razu zepsuł wszystko...

Generał bystro popatrzył na Kanię.

- Sądzę, panie kapitanie, że przydałby się nam ten człowiek przy naszych inspekcjach. Trzeba będzie odkomenderować go do ministerstwa i będzie z nami jeździł jako protokolant, bo pan i tak za mało notatek robi... Będziecie mieli bardzo dobrze, frajtrze. Diety, porządny mundur i lekką służbę.

- Bardzo jestem wdzięczny panu generałowi za zaszczytne wyróżnienie - odpowiedział Kania z najwyższym, jaki mógł okazać, szacunkiem, w myśli zaś dodał całkiem szczerze: - Mam cię gdzieś z twoim mundurem, stara małpo.

Po powrocie kapitana z komendy garnizonu generał polecił mu objąć tymczasowo kompanię, na co tamten wyraźnie się skrzywił.

- Wierzę, że to jest przykre, panie kapitanie, objąć taki dom wariatów, ale trzy dni do powrotu właściwego dowódcy wytrzyma pan chyba?

- Trudno, panie generale... rozkaz.

- Niech pan, z łaski swojej, zamknie tę parszywą papugę w areszcie... w osobnej celi,

żeby inni aresztanci nie słyszeli, co wykrzykuje to... to... - generał nienawistnie spojrzął na klatkę - to podle bydlę z rozwiązłym językiem! Powie pan dowódcy kompanii, że jest za nią odpowiedzialny do czasu sądu nad tym zdrajcą Nogayem.

Wydał kilka zarządzeń i ruszył w kierunku samochodu.

- Uważam dalszy swój pobyt na terenie tych zwariowanych koszar za bezcelowy, gdyż to, co widziałem i słyszałem dotąd, starczy mi do wyrobienia sobie pojęcia o tym, co się tu dzieje. I tak skończyła się nie zapowiedziana inspekcja pana generała von Grabenau de Custozza. Po jego odjeździe przy bramie został kapitan Rittner z komendy garnizonu i Kania z klatką. Kapitan, wcale nie krępując się obecnością frajtra, patrzył za odjeżdżającym samochodem i klął półgłosem w żywy kamień pana generała w sposób mocno skomplikowany. - Co mam zrobić z papugą? - przerwał milczenie Kania, kiedy sądził, że kapitan już sobie ulżył. Kapitan popatrzył na niego i wsadził ręce w kieszenie spodni.

- Utopcie ją... ale najpierw przywiążcie się sami, jako balast, żeby prędzej na dno poszła. Niezły z was, jak się przekonałem, ananas! Właziliście panu generałowi w zadek bez wazeliny, wy fagasio! Mnie tutaj wiele rzeczy wpadło w oczy, frajtrze, i wszystko to sobie sprawdzę. Tymczasem posiedzicie w pace! Ja nie kapitan Zivancić ani generał... widzę, co się święci! I coś niecoś słyszałem o was, frajtrze.

- Czy mam odejść do aresztu, panie kapitanie? Kapitan najeżył się.

- Bezczelna z was kreatura, człowieku! "Czy mam odejść do aresztu?" Mnie swoim pokornym głosem nie nabierzecie, huncwocie! I jeżeli to całe przedstawienie z papugą nie jest waszym wymysłem, nie nazywam się Rittner, frajtrze! Gubi was niejeden znany mi osobiście szczegół z życia kompanii i to, że miałem przyjemność spotykać was w komendzie garnizonu, kiedyście przyprowadzali podoficerów, do czego nie mieliście prawa. I widziałem was też z tym włoskim jeńcem! Mnie się to wszystko bardzo ładnie kojarzy i mam nadzieję doprowadzić was do zielonego stołu!

Tego to już na pewno się nie doczekasz, przyjacielu, pomyślał Kania idąc za kapitanem do aresztu.

Kryminał kompanijny przeżywał dzisiaj nie byle jakie sensacje. Dowódcą warty był ciągle Szökölön, którego von Nogay nie zdążył jeszcze zmienić, i siedział na ławce przed wartownią mocno zadumany nad marnościami ziemskimi i zmiennością kolei losu. Kiedy mu się zameldował kapral Schönfeld w jednym bucie, gościnnie otworzył przed nim celę z pewnego rodzaju złośliwą satysfakcją.

- Za co?

- Nie miałem buta na nodze i nie zameldowałem się od razu. A przyrznął mnie tak

zdrowo laską w d..., że zdaje mi się, jakby mnie przysmażali od spodu. Niech pan, z łaski swojej, każe mi przynieść koc, bo twardo będzie spać.

Kiedy w dziesięć minut później zobaczył dinstfirendera pod konwojem Kani, przetarł oczy.

- I pan dinstfirender - wymamrotał po dłuższej chwili oszołomienia.

- I ja, bracie Szökölön - rozlewnie odpowiedział dinstfirender. - Wszyscyśmy śmiertelni, pomódlcie się, człowieku, za moją grzeszną duszę i wybaczcie mi moje winy...

Zataczając się wszedł do celi i od razu położył się na pryczy.

- Kto śpi, ten nie błądzi - pouczył piec stojący w rogu. W chwilę później chrapał, aż małe szybki dzwoniły w zakratowanym oknie.

Teraz widząc Kanię, który idąc za kapitanem jedną ręką odpinał pas, a drugą wesoło wymachiwał klatką z papugą, uszczypnął się w udo.

- Wsadźcie, cugsfirerze, tego drania do paki i wróćcie do mnie.

W korytarzu Kania pociągnął go za rękaw.

- Daj mi celę na końcu, z drugiej strony baraku.

- Dlaczego?

- Dlatego, durniu, że i ty tam zaraz zawitasz, nie? Z tyłu można lepiej porozumieć się ze światem. Powiedz zaraz komu, żeby poszedł do kompanii po Ivanovicia albo Slavika. Korzystaj z czasu!

Szökölön kiwnął głową i wprowadził go do wskazanej celi, która miała tę dogodność, że okno jej wychodziło na tyły zabudowań koszarowych. Kapitan siedział przy stole w wartowni i pisał coś na kartce papieru.

- Kto jest waszym zastępcą, cugsfirerze?

- Gefreiter Lelko, panie kapitanie.

- Zdajcie mu służbę... pójdziecie do aresztu z rozkazu pana generała. Słyszeliście, co?

- Słyszałem - westchnął Szökölön.

- Więc za pięć minut ma to być załatwione, frajtrze - zwrócił się kapitan do frajtra Lelka, który mu się meldował jako nowy dowódca warty - i macie mi o tym zameldować w kancelarii. Przedtem jeszcze zamknijcie tę papugę w oddzielnej celi.

- Melduję posłusznie, że zajęte wszystkie.

- Wszystkie? Ilu aresztowanych?

- Dotąd trzech, ale dochodzi teraz pan cugsfirer.

- No, to porozmieszczajcie tak wszystkich, żeby papuga siedziała ekstra.

- Rozkaz! Kapitan wyszedł.

- Co ci potrzeba? - zapytał Lelko.

- Idź do kompanii i powiedz Ivanoviciowi, żeby zaraz przyszedł.

- Karty przynieść?

- Możesz przynieść. Jeżeli kto jeszcze dojdzie, pakuj go do tej celi, gdzie siedzi Polak; mnie też tam wsadź.

Lelko kiwnął głową i zaprowadził Szökölöna do Kani, potem przetransportował znieawidzonego Schönfelda do celi zajętej przez dinstfirendera, na papugę napluł, po czym poszedł do wartowni, gdzie wypełnił blankiet stanu aresztantów, który brzmiał jak następuje:

"Stan w areszcie - jeden feldfelbel, jeden cugsfirer, jeden kapral, jeden gefrajter i jedna papuga, razem: czterech szeregowych i jeden ptak".

W rubryce "liczba ogólna" napisał "pięciu", potem namyślił się, przekreślił "pięciu" i wykaligrafował: "włącznie z papugą - pięciu szeregowych".

Szökölön zaraz po wejściu do celi zaczął zdejmować trzewiki.

- Niedobrze, bracie - przemówił Kania leżąc na prycy.

- Z czym?

- Ze mną. Ten kapitan, to cwane bydlę - wie wszystko.

- Niby co?

- Że to ja tę papugę uczyłem i w ogóle... Czuję, że należy wiać. Za dużo tu grandy narobiłem. Trzeba zmienić klimat na chłodniejszy, bo się nie wykaraskam z tego pasztetu.

- Że nabroiłeś zdrowo, to prawda, ale wiać, bracie, nie opłaca się. Zanim sprawa pójdzie do sądu, wojna się chyba skończy. Wykańcza się nasza kochana ojczyzna. Jeszcze miesiąc, dwa i szlus... koniec balu.

Zaczęli roztrząsać problem: wiać czy nie wiać, kiedy drzwi do celi otworzyły się i ukazał się w nich Haber trzymający się obiema rękami za miejsce, skąd człowiekowi wyrastają nogi.

- Moje uszanowanie.

Kania uniósł się na łokciu.

- A ty za co?

- Usnąłem w rowie i generał zauważył mnie z samochodu. Przyfasował mi tak lagą, że wyskoczyłem w powietrze jak szczupak. Hu! Piecze cholernie... Nie będę mógł siedzieć chyba ze dwa dni. I to się nazywa generał!

W naradzie wziął teraz udział trzeci kandydat do dezercji.

- Jak generałowie leją laskami, to trzeba wiać. Kicham na taką służbę.

- Tylko gdzie wiać? Oto pytanie.

- Do Koszyc. Jest fajny komendant zoldatenhajmu i można będzie trochę pomieszkać.

- W lecie nie ma zmartwienia - zaczął wywodzić Szökölön - kropniemy się spacerkiem wzdłuż gościńców, lasami, prosto do Banatu siedmiogrodzkiego. Ja was u siebie przechowam, tak że sam diabeł nas nie znajdzie. Noce można przesypiać w stogach....

- Do Banatu będzie maszerował pieszo - przerwał Kania - we trójkę... i zdaje mu się, że żandarmi będą mu po drodze oddawali honory i dawali podwody... Całe Węgry chce przejść taki osioł...

Drzwi znowu się otworzyły i ukazał się w nich Baldini.

- Pan pozwoli bliżej - uprzejmie zapraszał Haber, masując jednocześnie spostonowaną część ciała. - Zechce pan łaskawie, panie dowódco warty, pomóc gościowi do wejścia swoim służbowym kolanem, bo jest, jak widać, nieśmiały.

- Ivanović przyjdzie po obiedzie - informował, dzwoniąc kluczami, Lelko. - Zaraz mnie zmieni Koperka.

- O, to dobrze.

- W kompanii sądny dzień, przyjaciele. Wszystko do góry nogami przewraca ta świnią. Adieu!...

W czasie obiadu wszedł do celi cugsfirer Koperka z nieodłączną fajką w zębach.

- Jak się macie, przyjaciele?

- Niczego.

- Ech, żebyście wiedzieli, co ten drań wyrabia, to byście zdębieli. Cwany facet. Ten się nie da za nos wodzić. Całe szczęście, że będzie tylko trzy dni. Nie pozna nasz stary kompanii, kiedy przyjedzie.

Koperka strzyknął śliną.

- Dinstfirender obudził się i płacze jak małe dziecko. Żal mi trochę tego złodzieja. Co też ta wojna z ludźmi porobiła, koledzy! W głowie się mąci. Chłop siwe włosy ma i szlocha jak osesek.

- A la guerre, comme á la guerre (na wojnie jak na wojnie) - sentencjonalnie rzekł Baldini. - Nie rozumiem, dlaczego on płacze, panie cugsfirer. Co mu zrobią? Że się spił, to co? Najwyżej tydzień paki i koniec.

- A ty, Włochu, dojechałeś sobie niezgorzej z tą papugą... Kriegsgericht masz murowany, przyjacielu.

- Słuchaj teraz, synku, co ci powiem - zwrócił się Kania do Koperki - musimy, jak widzisz, wiać. Koperka spojrzał na niego pytająco.

- Sprawa jest poważna i nie można czekać.

- No cóż? Wiejcie. Ja wam przeszkadzać nie będę: wiedziałem zresztą, że zechcesz to zrobić. Rzeczywiście, musisz wiać, bracie.

- My też - zauważył Szökölön. Koperka zdziwił się.

- A ty, stary tryku, po co?

- Tak sobie, sprzykrzyło mi się, uważasz.

- Hm... Co mi tam - wiesz sobie i ty. Pewno wszyscy razem dacie drapaka, nie?

- Muszę - odezwał się Haber, pocierając obolałe miejsce. - Kiedy już ekscelencje walą laskami w zadek, nie mam nic do roboty w takiej służbie. Wymawiam posadę! Poszukam sobie innego pana. Mogłem głodować, mogłem cierpieć wymyślania kaprała, ale w d... mnie jeszcze nie bili. I to w dodatku generałowie! Na takie traktowanie nie zasłużyłem. Przysięgałem Najjaśniejszemu Panu wierność i posłuszeństwo do ostatniego tchu i ostatniej kropli krwi, a tu mnie smarują za moją wierność laską! Protestuję!

- Mnie jest wszystko jedno, koledzy - zgodził się Koperka - ale musicie wszystko omówić ze mną, bo mam służbę. Beze mnie nic nie zrobicie, a ja sobie już dam radę. Idę teraz, bo nie chcę, żeby mnie nie zastał na wartowni; wieczorem przyjdę, to omówimy, co i jak. Trzymajcie się ciepło...

Podczas obiadu, który im przyniesiono do celi, Koperka wprowadził z tajemniczym uśmiechem jeszcze jednego lokatora. Był to młody jeszcze Rusin, Iwan Hładun, którego egzystencja w kompanii nie zwracała jakoś uwagi. Uważamy był ogólnie za nieszkodliwego idiotę i nie używano go do żadnej służby, dzięki czemu laził po koszarach bez celu i czasami spełniał różne obowiązki nie wymagające wielkiego rozumu. Obowiązki te musiały być bardzo proste i przy wykonywaniu ich musiano go nadzorować. Pewnego razu rozwieszono wypraną bieliznę kompanii na drutach rozpiętych wzdłuż budynku, aby wyschła, i posadzono przy niej Hładuna. Miał uważać, żeby wiatr nie strącił jakiejś sztuki bielizny. Nagle zerwała się burza i deszcz lał do wieczora, lecz Hładun nic sobie z tego nie robił i siedział na schodkach magazynu. Zastał go tak jeden z podoficerów i zapytał, co tu robi.

- Suszę bieliznę, panie cugsfirer.

- Jakżeż? Nie widzisz, że deszcz pada, cymbale? Nie mogłeś zaraz zebrać?

- Befehl był, żeby suszyć, to suszę.

Podobnie zachowywał się i w innych wypadkach. Skąd się wziął w kompanii, nikt nie mógł powiedzieć. Żył swoim zamkniętym życiem, nie przyjaźnił się z nikim dla każdego miał zawsze ten sam nikły, idiotyczny uśmiech zahukanego głuptaka i nikt z nim nic wspólnego nie miał. Spał w najdalszym kącie sali i w kącie tym spędzał przeważną część dnia. Czasami brakowało go przy capstrzyku lub przy rozkazie, ale żaden podoficer służbowy tym się nie

przejmował, gdyż nikt nie podejrzewał go nawet przez chwilę o możliwość popełnienia dezercji.

- Gdzieście byli, Hładun? - pytał kapral, kiedy "Kompanieidiot" wracał późno do koszar.

- Tam.

- Gdzie tam?

Hładun smarkał i wpatrywał się w kaprala.

- Na trawie - odpowiadał po chwili namysłu.

Kiedy się zetknął z jakimś obcym podoficerem lub oficerem, na wszystko odpowiadał: Ich weiss nicht (Nie wiem). Stał teraz przy zamkniętych drzwiach i smarkał, wodząc oczyma od jednego do drugiego.

- Za co znów tego zamknął? - spytał zdziwiony Kania. - Za co cię wsadzili, He?

Hładun uśmiechnął się po swojemu, popatrzył na sufit, jakby tam miał wypisaną odpowiedź, i ciągle jednakowo uśmiechnięty usiadł na brzegu pryczy.

- No, za co tu jesteś, wiesz?

Hładun popatrzył teraz na Szökölöna i mrugnął oczami jakoś tak filuternie, że wszyscy przestali jeść.

- Widać do reszty zgłupiał - orzekł Szökölön. - Co ty za grymasy stroisz? Podobam ci się?

- Chcesz jeść? - zapytał Kania i pociągnął go za rękaw. - Masz łyżkę, wbijaj, nieszczęsny idioto. Hładun przecząco pokręcił głową.

- Nie, to nie. Bez łaski.

Zaczęli dalej jeść, nie zwracając już uwagi na siedzącego na brzegu pryczy Rusina. Nagle przerwał im rozmowę głośny i szczery śmiech. Zdumieni, popatrzyli na Hładuna, który położył się na pryczy i śmiejąc się żywo wymachiwał nogami w powietrzu. Kania powstał i stanął przed nim.

- Czego tak ryczysz, bałwanie?

"Kompanieidiot" usiadł i przestał się śmiać, cała jednak jego twarz wyrażała każdym rysem zupełne zadowolenie z siebie.

- Tak, przewróciło mu się w głowie - zauważył Szökölön - musiał go ktoś mocno w łeb uderzyć. Przedtem takich napadów nie miał. Trzeba będzie powiedzieć Koperce, żeby go zamknął z papugą, bo nam tu gotów przy ucieczce jakiegoś galimatiasu narobić. Hładun popatrzył na Szökölöna i powstał.

- Nie narobię galimatiasu, panie cugsfirer - przemówił poważnie - i jeżeli chodzi o

wianie, to i ja z wami więcej, panowie.

Gdyby w tej chwili przemówił piec stojący w rogu, nie zrobiłoby to na nich większego wrażenia. Aż przysiedli ze zdumienia. Z osłupieniem wpatrzyli się w Hładuna, z którego twarzy znikł wyraz głupoty i ustąpił miejsca zaczajonemu sprytowi.

- Oniemielicie, co? Kania trącił Habera.

- U... uszczypnij mnie.

Haber z wytrzeszczonymi na Hładuna oczami machinalnie uszczypnął go w ramię.

- Boli... znaczy, że nie śpię... więc to ty jesteś, Hładun? "Kompanieidiot"?

- Tak, to ja.

Kania potarł ręką czoło.

- Nic nie rozumiem.

- A ja rozumiem wasze zdziwienie, panowie - przemówił Hładun - nie będę wam szczegółowo opowiadał, dlaczego udawałem idiotę, bo to jest moja sprawa. Grozi mi stryk.

- Stryk?

Hładun skinął głową.

- Znalazł u mnie kapitan paczkę korespondencji i jeżeli to odeśle do żandarmerii, nie zobaczę za trzy dni wschodu słońca.

- Ale jakżeż, ty? Zawsze pętałeś się po kompanii z taką głupią gębą... Hładun uśmiechnął się.

- Ta właśnie głupia gęba była moją legitymacją. Miałem spokój.

- Ale coś ty właściwie takiego...?

- Byłem łącznikiem między Rusią Przykarpacką a frontem. Jestem członkiem pewnej organizacji ukraińskiej i dostarczałem do Użhorodu różne takie... nie będę zresztą mówił wam o tym, bo was to nie obchodzi. Muszę wiać i mam do tego więcej powodów niż wy. Więc?

- Nie ma co - rzekł Szökölön - wieiesz z nami.

- W jaki sposób dostałeś się do kompanii? - zapytał Kania.

- Stara historia. Zacząłem w szkole oficerskiej udawać wariata i potem się tak kierowałem, żeby się stamtąd wydostać...

- Masz cenzus?

- Cenzus? Mam dyplom architekta.

Kania porozumiewawczo popatrzył na Baldiniego.

- Nie spodziewałem się żadnej rewizji, przetrzymałem u siebie tę przeklętą paczkę i wpakowałem się na całego. Diabli nadali tego kapitana.

- U wszystkich rewidował? - zapytał Kania.

- Nie. Tylko u mnie. Kuferek sterczał jakoś tak nierówno pod łóżkiem i wpadł mu w oko. Akurat musiał natrafić na mnie.

- Pociesz się, że gdyby natrafił na inne kufereki, nasz kryminal stałby się za ciasny.

- Ja o tym też wiedziałem - Hładun uśmiechnął się - nieraz to mnie ręka świerzbiła, żeby dać komu w pysk za głupie, nieostrożne gadanie. O mnie w kompanii wiedziało tylko dwóch: cugsfirer Koperka i...

- Koperka?

- Tylko mu o tym nie mówcie. Za dużo tu ludzi wchodzi w grę!

- Jak widzę, niezły z niego dyplomata; udaje przede mną piwowara. No, mnie mógł wszystko mówić, na pewno byłbym dyskretny.

- W naszej robocie nie można nic mówić, nawet bratu, a jeżeli chodzi o Koperka, to przyznam się wam, że jest właściwie moim wrogiem politycznym, ale nieraz mi pomógł, kiedy chodziło o coś naprawdę ważnego, a nakrył mnie przypadkiem.

- I tak cały czas chodziłeś przy nim i udawałeś idiotę?

- Rozmawialiśmy sobie nieraz na boku. Naprawdę to ty nie wiesz, co to za historie się działy. Mieliśmy raz wyspę i od tego czasu jeden przed drugim się nie wydaje. W kompanii jest dwóch Polaków i nikt o tym nie wiedział, prócz mnie.

Kania splunął.

- Dwóch Polaków? - zapytał Haber.

- Gadają po niemiecku i podają się za Czechów, ale ja ich raz nakryłem.

- Którzy to są?

- Nie powiem, to ich sprawa. Jeżeli się przed tobą nie wygadali, to ja tym bardziej nie mam prawa. W kracie okiennej ukazała się wesoła twarz Ivanovicia.

- Ho, ho... niezła ferajna. Cały globus. A ten bałwan co tu robi z wami?

- Jak ci dam bałwana, to ci łeb z karku zleci. Ivanović zachwiał się i zeskoczył z okna. Po dobrej chwili wsadził znów twarz między kraty i bystro wpatrzył się w Hładuna.

- To ty? Hładun. "Kompanieidiot"?

- Ja.

- Ziółko z ciebie! Dwa lata ze mną razem był i nie wydał się.

- A nie. Miałem pewno robić tak jak ty... Jest jedna dentystka w mieście, która...

Ivanović spowaźniał.

- Już dobrze... nie gadaj...

- Tu cię boli, bratku. Nawet się nie spodziewałeś, że ją znam, a to wszystko przez waszą głupią nieostrożność. O mnie z pewnością niewiele można by powiedzieć.

Ivanović pokiwał głową.

- Że ci też cierpliwości starczyło.

- Musiało starczyć.

Kania wlaź na okno i trzymając się kraty informował Ivanovicia o swoim postanowieniu.

- Lücknerowi powiedz, żeby blankiety dokumentów podróży dał ci czyste. Jutro zapłacę. Zrobił na mnie majątek i może mi raz skredytować. W bufecie na stacji powiedz, że napiszę list.

- Będzie ryczała,

- Więc pójdziesz do niej jutro. Ile mamy gotówki?

- Będzie ze trzy tysiące.

- Mnie dasz połowę. W mieście nikt nie śmie wiedzieć, że zwiąłem. Gadajcie wszędzie, że zachorowałem albo coś takiego.

- Damy sobie radę... Ech! Żebym ja tu nie musiał sterczeć w tym przeklętym garnizonie, wiałbym z wami, ażby się tylko kurzyło za mną...

- A dentystka? - wtrącił Hładun z podstępny uśmiechem.

- Ach ty! Wiesz?

Hładun z zadowoleniem skinął głową.

- Niezły z ciebie kwiatusek, ale i ona nic mi nie mówiła.

- Może się ministerstwo pochwalić swoim pomysłem zgromadzenia takiej bandy w jednej kompanii - zauważył Kania. - Rzeczywiście, byli izolowani. Udało im się to.

- Ta kompania więcej szkody wyrządziła przez ostatni rok niż korpus nieprzyjacielski na froncie - rzekł Ivanović i obejrzał się za siebie. - Masz tu delegatów wszystkich sztabów, ale przysięgę składaliśmy wszyscy. Wiejesz, to ci mogę powiedzieć.

- Swoją drogą jesteście świnię. Żyliście niby ze mną dobrze, a nic nie wiedziałem.

- Ty nam dużo powiedziałeś o sobie? Każdy ma swoje tajemnice.

- Nie gadajmy.

- Aha... właśnie, nie gadajmy.

- Przyszykuj mi cztery karabiny i ekwipunek na cztery manszafty...

- Dobra... A ty?

- Dla mnie przygotujesz mundur feldfebla... Szakölön gwizdnął.

- Szybko awansuje, bestia. Z frajtra od razu na feldfebla.

- Dla Włocha musi być nowe umundurowanie...

- Wstępujesz na ochotnika, makaroniarzu? Będziesz, bracie, u siebie dyndał po

wojnie.

- Tobie się to prędzej należy.

- Na dobrą sprawę, po tym, co usłyszałem, powinno się was powiesić związanych razem jak serdelki - pogodził ich Szökölön.

Kania przez dłuższy czas szczegółowo informował Ivanovicia, który wszystko notował na skrawku gazety i odszedł. Później przyszedł Koperka i przysiadł się na pryczy. W wyniku godzinnej konferencji ustalono następujące szczegóły ucieczki.

Wartownik, który będzie pełnił służbę przy areszcie, zostanie rozbrojeny i związany. Wartownikiem miał być Mladecek, który przy badaniu potrafi ołgać najbystrzejszego audytora i żandarma. Kraty w oknie wyłamią sami uciekinierzy przy pomocy piłki dostarczonej z zewnątrz. Po wydostaniu się z aresztu udadzą się do pewnego lokalu, przemundurują się tam i wyjadą.

- Slavik będzie musiał iść do Lücknera i spoić go tak, żeby do rana nikt się z nim nie mógł rozmówić. Mogą zażądać wysłania telefonogramów i lepiej będzie, gdy on do tego nie będzie zdolny. Ty, Koperka, wszystko sobie jeszcze raz omów z Mladeckiem, żeby czego nie zapomnieć i nie prześlepić.

- Mnie, bracie, nie wezmą na żadne podstępny, będę czysty jak brylant, nie takie rzeczy się robiło.

Hładun znacząco chrząknął i Koperka spojrzał na niego badawczo.

- Wiem - rzekł ironicznie Kania - piwowary z Pilzna są sprytni ludzie.

Koperka bystro spojrzał mu w oczy.

- Nie tak to łatwo zrobić piwo, niech ci się nie zdaje. Jako kelner umiałeś tylko podawać, ale zrobić nie mógłbyś... Kania mrugnął.

- To piwo, które ty robiłeś, byłoby ciężko podawać, a jeszcze ciężiej wypić. Koperka lekko się uśmiechnął.

- Niejednego upiło... Nie gadajmy, dobrze? Po kolacji coraz to jakiś żołnierz stawał w oknie z twarzą w kracie.

- Bywaj, Polaku, a pisz do nas, jak ci się wiedzie w świecie...

Z ciężkim sercem żegnał się kolejno z przyjaciółmi. W ciągu tych kilku miesięcy żył się z nimi i wspólnie przeżyte chwile miały mu na zawsze pozostać w pamięci. Ścisnął przyjacielskie dłonie i notował różne adresy, które mu podawali, i nawzajem podawał adres, na inne nazwisko.

- To jest mój jeden znajomy i zawsze wie, gdzie ja jestem, będzie mi. korespondencję odsyłał. Po wojnie może się zobaczymy.

- W Pradze...
- W Belgradzie...
- A ja was, zdaje się, zaproszę do Warszawy.
- Daj ci, Boże.

Stary Słowak Buczko żegnając się z Kanią wcisnął mu w rękę jakiś mały, okrągły przedmiot z drzewa. Była to kulka z wyrzeźbionym na niej słońcem.

- Później to sobie obejrzysz. Talizman. Tylko go nie zgub, a zawsze będziesz miał szczęście w złej przygodzie.

- Ech, stary, tobie przydałby się jakiś talizman. Tylko się nie daj...

- No cóż, chyba już niedługo; dłużej klasztoru niż przeora. Wytrzyma się. Jeżeli was losy przypędzą do Orłowej, to tam wstąpcie do mojej starej. Ukryje was, możecie jej wszystko mówić, bo kobieta jest mądra.

- Dobra, może się to przyda.

- Życzę ci powodzenia, chłopcze. Nie zapomnij po wojnie napisać do mnie. A wy wszyscy też piszcie. Bóg z wami...

Kiedy z okna zniknęła ostatnia twarz, Kania wpatrzył się w oświetlony budynek kompanii.

- Żegnaj, kompanio wartownicza, żegnaj, kapitanie Zivancić, austriacki męczenniku.

NA DEZERTERSKIM SZLAKU

W osobnym przedziale pociągu zdążającego do Koszyc młody feldfelbel, z piersią pokrytą orderami, siedząc na ławce pod oknem musztrował stojącego przed nim kruczowłosego szeregowca. Trzej inni żołnierze znajdujący się w przedziale grali w karty. - Tempo raz... tempo dwa! Całą dłońią, małpo jedna! A teraz kehrt euch!... herstellt! noch a mal!... (w tył zwrot!... wróć! jeszcze raz!...). Dobrze... teraz melduj...

- Infanterist Ernest Schneider meldet gehorsamst, dass er nach Kaschau dienstlich angekommen ist und... (Strzelec Ernest Schneider melduje najposłuszniej, że przybył do Koszyc służbowo i...).

- Starczy, nie gładź za dużo... więcej życia przy tym salutowaniu.

- Gdyby wszyscy austriaccy żołnierze mieli tyle życia, co ja, to byliby już w Rzymie.

- Maulhalten! Sacra alleluja, eins, zwei, drei, hin und zurück! (raz, dwa, trzy, tam i z powrotem). Nie wiecie, że żołnierz odpowiada tylko na pytanie, wy drański śmierdzielu afrykański?

- Drański śmierdzielu afrykański to za słabo - wtrącił kręcąc głową Szökölön. -

Prawdziwy feldfelbel austriacki potrafi wymenić w jednym zdaniu połowę arki Noego... To jest nic...

- Stulić pysk, bo jak zajadę w ten głupi tramwaj, to wam wszyscy pasażerowie wyskoczą nosem i ustawią się przede mną w dwuszeręgu na baczność... wy... wy...

- Zafajdany świński pawianie - podpowiedział Hładun uprzejmię.

- Dziękuję... właśnie to miałem na języku. A swoją drogą nie podpowiadajcie, szeregowcze, jak pan feldfelbel tego nie żąda, bo nic mądrego nie podpowie taki świński ogon, verstanden? Macie trzymać pyski zamknięte na kłódki i czekać na rozkaz, bo z was duszę wytrzęsę i flaki.. Na proch zetrę, zmiążdżę, zgnoję!

- Umiesz, bracie - stwierdził Szökölön - śmiało możesz być feldfelblem. Grunt umieć wymyślać.

- Wydało się. Nieźle musiałeś wymyślać, jeżeliś do cugsfirora dojechał.

- Ze mną było co innego - odpowiedział Szökölön - ja awansowałem wyjątkowo.

- Za waleczność na froncie?

- Waleczny to tak bardzo nie byłem, nie mogę powiedzieć, że bym był zanadto waleczny. Awansowałem fuksem i, można powiedzieć, wbrew woli.

- Musiałeś mieć inne zasługi. Służyłeś przecież kiedyś w żandarmerii.

- Właśnie w żandarmerii tak awansowałem. Chcecie, to wam opowiem.

- Opowiadajcie, człowieku, to się pan feldfelbel trochę rozerwie.

Kania wyciągnął się na ławie, położył głowę na kolanach Baldiniego i Szökölön zgarnął karty.

- Na początku wojny przydzielili mnie do szkoły żandarmerii, gdzie skończyłem kurs. A skończyłem go psim śwędem, bo do tej służby wcale zapalu nie miałem. Łapaczem być? Nie, moi panowie. Bić się z Moskałami mogę, z Serbami też, ale polować na bliźniego? Nie. Na wykładach spałem jak zarżnięty i nie mogli sobie ze mną poradzić. "Was, człowieku, ojciec pewno przez sen zrobił - mówił do mnie komendant kursu - śpicie jak bóbr". Bardzo im się to moje spanie nie podobało, ale że się raz na jakiejś inspekcji jeden pułkownik uparł, że muszę być żandarmem, bo mam marsowy wygląd, machnęli ręką. Spałem teraz bezpieczniej i kichałem na pana rotmistrza. Jak pan oberst powiedział że muszę być żandarmem, to i tak będę. I dobrzem wykombinowałem. Kiedy mi na końcu komendant uroczyście dawał świadectwo, pokiwał głową: "Jesteście - powiada - największym kretyńcem, jakiego te mury gościły od początku swojego istnienia, Lajos Szökölön. Gdyby to ode mnie zależało, kazałbym was nabić w armatę i w dniu imienin Najjaśniejszego Pana wystrzelić w powietrze, a co by spadło na ziemię, oblałbym naftą i podpałił, a popiół na rozstajnych drogach

rozsypał. Gratuluję". Był zwyczaj, że każdemu absolwentowi musiało się obowiązkowo podać rękę i gratulować. Podeszedł do mnie mój oberlejtant, dowódca plutonu. "Skończyliście kurs, Lajos Szökölön - powiada - i obawiam się, że odkąd nałożyliście odznaki, nasza sławna żandarmeria zyska opinię najwięcej bałwańskiego rodzaju wojska. Jesteście hańbą żandarmerii. Gratuluję". Trzeci dużo nie gadał. "Przykro mi - powiada - że nie mogę w tej uroczystej chwili trzepnąć was w ten głupi pysk. Gratuluję." Tak samo gratulowali mi podoficerowie-instruktorzy.

- Ładnie ci gratulowali - przerwał Kania - widać uprzejmi ludzie byli w tej szkole.

- Przydzielili mnie do posterunku na dworcu w Temeszwarze i służbę pełniłem tam pod dowództwem jednego wachmistrza, starego zupaka. Łapownika większego nie było chyba w całej koronie świętego Stefana³. Zamiast kontrolować wojskowych, tośmy najczęściej kontrolowali cywilnych. Wysiadł jakiś pasażer z walizką z wagonu pierwszej lub drugiej klasy, a mój wachmistrz już się szykuje. Uprzejmie mówi do tego faceta: "Pozwoli pan, że panu pomogę zanieść walizkę na dworzec? Weźcie, żandarmie". Brałem od niego walizę, a cywil głupiej. "Przepraszam pana - powiada - ja tragarza wezmę, dziękuję za grzeczność." "Ale ja mam do szanownego pana mały interesik - powiada na to ten złodziejski wachmistrz. - Właśnie dostaliśmy telefonicznie list gończy za jednym facetem, zupełnie podobnym do szanownego pana. Pozwoli pan, że pana trochę tu przetrzymamy do sprawdzenia, a za kilka dni odstawimy do Wiednia." Gość miał interes w Temeszwarze, a nie w Wiedniu, i mój wachmistrz inkasował stóweczkę za to, że szybko sprawdził rysopis i wyjaśnił omyłkę. Ja z tego zawsze coś obrywałem i nieźle mi się wiodło. Obrastałem, koledzy, w pierze. Potem, kiedy jego siupnęli na etapy pod front rosyjski, to na własną rękę prowadziłem interes. Forsa pchała się nieproszona do kieszeni.

Jednego razu podchodzę sobie do jakiegoś picusia-glancusia w restauracji drugiej klasy i grzecznie pytam o dokumenty. Ten na mnie z mordą, niby na jakiej zasadzie. "Na tej - powiadam - zasadzie, że pytał pan na peronie o drogę do koszar, a to, panie szanowny, w wojennym czasie jest podejrzane, a poza tym - powiadam - nie podoba mi się coś pańska fizjonomia. Chodź pan na posterunek".

Nie chce, koledzy, iść absolutnie. Więc ja mu tłumaczę, że może to swojej babci opowiadać, że nie pójdzie. Wtedy zaczął krzyczyć, żebym sobie jego babcią nie wycierał zębów, bo ona jest księżną. Powiedziałem mu, że może być sobie samą Najjaśniejszą panią, a on, jako podejrzany, musi pójść, bo spełniam tylko swój obowiązek i basta. Narobił krzyku i

³ tj. na Węgrzech

przyszedł banhofskomendant. Okazało się, że mówił prawdę, i jego babcia rzeczywiście była księżną. Musiałem przeprosić i wtedy trochę zmięknął. "Nie mam do niego żalu - mówił do komendanta - chociaż niepotrzebnie mi grosmuterkę naruszył, bo chłop jest widać służbisty". Potem sobie z komendantem niezgorzej pyski wylakierowali i kiedy mu się język plątał, kazał mnie zawołać i zaprosił do stołu. Tak się ze mną zaprzyjaźnił, że chciał mnie koniecznie odkomenderować do Wiednia, gdzie był szefem sekcji, na jakiegoś referenta. Dopiero, kiedy mu komendant obiecał, że poda mnie do awansu na kaprała, dał mi spokój. W dwa dni potem miałem już dwie gwiazdki na kołnierzu. Szökölön przerwał i zapalił papierosa.

- Ale mi ten awans na zdrowie nie wyszedł. Jakoś w kilka dni potem przyszedł rozkaz, żeby młodsze szarże wysłać do służby przy sztabach na front rosyjski. I wysłali mnie. W sztabie stało się niby za frontem, ale nieraz drałowałem do pierwszej linii. Zabrakło gońców na posyłki z meldunkami, od razu do żandarmów. Dostałem rozkaz prowadzić dochodzenie o gwałt, a obwiniony w okopach. Idź teraz do niego i pisz protokół. Nieraz, zamiast bibuły, karabin maszynowy zasypał elegancko piaskiem i protokół, i ciebie, a taki obwiniony się śmieje: "Zachciało ci się protokołu, to pisz, ścierwo". Com ja tam wycierpiał, do końca życia będę pamiętał. Wyszedł rozkaz, żeby nie drażnić ludności obszarów okupowanych i żeby zyskiwać przychyłność mieszkańców. Za byle kokoszkę albo gęsinę stawiali pod słupek. Ale i na to była rada. Dostałem dochodzenie o rabunek, szedłem do chłopca i tak długo waliłem po mordzie, dopóki nie robił się przychylny i nie wycofywał meldunku. Niejednego wyciągnąłem w ten sposób spod słupek albo i spod szubienicy.

Potem przenieśli mnie z frontu na etap i dostałem rejon. Do pomocy miałem kilku łażników z landszturmu i żyłem tam jak król. W całym pasie przyfrontowym nie było większego porządku jak u mnie. Chłop nie miał prawa się skarżyć w komendzie etapowej, bo brał taki masaż, że trzy tygodnie leżał na brzuchu i gryzł poduszkę. W raportach nie było nigdy żadnej grabieży ani bezprawnej rekwizycji albo czegoś takiego. Po prawdzie, to później nie było co rekwirować, tak moi kochani rodacy rejon ogołocili, kiedy wiedzieli, że jestem ślepy i głuchy. Z dziesiątej wsi przychodzili dranie do mnie. A nastrój był u mnie doskonały. Tak tę ludność prędko przekonałem do monarchii, że jak jaka figura przejeżdżała, zaraz bramy triumfalne stawiali. Takie ustanowiłem prawo. Ryczeli: "Hoch", "Heil", "Na zdar", "Eljen", "Živio!", zależnie od okoliczności. Ech, czasy to były, czasy... Szökölön westchnął i dodał:

- Za to zostałem cugsfirerem. - A dlaczego wyszedł z żandarmerii?

- Kto wyszedł? Wyleli mnie. Żeby to ode mnie zależało, nigdy bym się stamtąd nie ruszył. Kiedy mnie w końcu tysiąc dziewięćset piętnastego roku mianowali cugsfirerem,

przeniesiono mnie do pewnego miasteczka na Wołyniu. Zostałem tam komendantem posterunku na przedmieściu. Należało do mnie kilka wsi okolicznych z austriackiego rejonu. Trzeba wam wiedzieć, że Wołyń był wtedy podzielony na rejony: niemiecki i austriacki. Jeden sprzymierzeniec nie miał prawa grabić u drugiego.

Po prawdzie, to z tego podziału wielkiej pocięchy nie było, bo Niemcy umieli się tak urządzać, że zawsze wszystko wzięli pierwsi. Nasi byli głupi i nie potrafili takiej grandy robić jak oni. Niemcy wystawiali kwity rekwizycyjne i pieniądze wypłacali później albo brali chłopu żyto i wystawiali kwit płatny w Berlinie. Idźże teraz, chłopie, do Berlina po swoje siedem marek. Niektóre komendy dawały swoim feldfeblom na rękę czyste kwity z pieczętkami i mógł sobie brać, co mu się podobało, i wysyłać do domu. Różne cudeńka były powypisywane na tych kwitach. Przychodzi chłop do intendenty z kwitem, kłania się w pas: "Płaćcie, wielmożni panowie, za świnie, coście ją wzięli w tamtym tygodniu u gospodarza Danyły Chmyza ze wsi Karolewo gminy szturbackiej." Czytali kwit i chłopca za łeb i ze schodów. Idzie chłopina na skargę do urzędu etapowego. Tam biorą kwit do ręki, śmieją się. Napisane było tak:

Dein Schwein ist mein,	(Twój wieprz jest mój)
Mein Schein ist dein,	(Mój kwit jest twój)
Lieb Vaterland magst ruhig sein.	(Luba ojczyzno, możesz być spokojna.)

Kiedy się chłop uparł, dostał kilka razy w zęby i szedł do domu z tym wierszowanym kwitem i spuchniętą gębą.

Siedziałem ja tam i nieraz choroba mnie brała, kiedy widziałem, jak oni dręczą tę ludność obszarów okupowanych, chociaż nie jestem miękkiego serca.

Pewnego razu doniósł mi konfident z tamtejszych chłopów, że Niemiaszki w moim rejonie buszują. Zebrałem swoich chłopaków i idę. Był tam między nimi jeden pyskаты podoficer i stawiał się. Nie mogłem się powstrzymać, wygarnąłem do niego i niechcący przestrzeliłem mu nogę.

O mały figiel nie zostało zerwane przez to przymierze, ale udowodniłem, że to było nieostrożne obchodzenie się z bronią, i przenieśli mnie za to do kraju. Przydzielili mnie do Budapesztu. Pewnego razu miałem odstawić do sądu dezertera. Idę do komendy garnizonu odebrać go z aresztu i patrzę - a to mój szwagier. Żony brat. Wyprowadziłem go za miasto, dałem pieniądze i powiedziałem: "Do widzenia". Musiałem się skaleczyć nożem, niby że z

nim stoczyłem walkę, i dostałem za to tylko trzy miesiące twierdzy, a potem przenieśli mnie tutaj. A w kompanii wartowniczej gniłem pełne dwa lata.

- I gniłbyś dalej, żebyś się nie zdecydował wiać z nami.

- I gniłbym dalej... - Szökölön splunął. - Wierzcie mi, chłopcy, że tak mi te warty obrzydły, iż nieraz miałem ochotę wyjść z wartowni i iść prosto przed siebie, aby tylko oderwać się od tego psiego życia. Cztery lata już przeszło, bójcie się Boga! Cierpliwości już nie starczało...

Drzwi do przedziału rozsunęły się i stanął w nich wachmistrz żandarmerii. Wszyscy poczuli drgawki w nogach. Baldini pociągnął śpiącego Kanię za rękaw.

- Czego?

- Panie feldfeblu, melduję posłusznie, kontrola dokumentów.

Kania niedbale powstał i patrząc spod oka na żandarma, powoli wyjmował z kieszeni dokument. Z niepokojem patrzyli na twarz czytającego wachmistrza.

- Koszyce... jeden feldfebel i czterech szeregowców... po odbiór amunicji. W porządku, dziękuję.

Wachmistrz oddał Kani dokument i z zawiścią spojrzął ukradkiem na jego ordery.

- Bardzo ładne umundurowanie mają panowie...

- Nie wie pan, dlaczego? Umrzyków zawsze kładzie się do trumny w najlepszym, dlatego marszkompanie fasują nowe - poinformował go Kania.

Wachmistrz skrzywił się.

- Jeżeli pan z tego punktu widzenia... - Nie dokończył i wyszedł.

- Punkt widzenia draniowi się nie podoba - zgryźliwie zauważył Haber. - Idź na front, to ci tam pokażą punkt widzenia... Kania wydał wargi.

- Niech sobie zasłuży na froncie jak ja, nie?

- Trochę mnie mrówki oblaży, kiedy wszedł do przedziału - przyznał się Baldini.

- Dlaczego? Dokument, bracie, jak brylant i nie macie się czego bać.

- Może by tak co wypić na pokrzepienie, panowie?

- Wydostań, Hładun, manierkę z plecaka.

Każdy pociągnął z manierki i humory się poprawiły.

- W Koszycach będziemy za trzy godziny.

Pociąg zatrzymał się i do przedziału wszedł stary kapral sanitarny, objuczony jak wielbłąd obszytymi w płótno tobołami, których kształty wyraźnie określały zawartość.

- Pozwoli pan, panie feldfeblu, że sobie tu posiedzę przez dwie stacje? Szökölön powstał z ławy i fachowo obmacywał worki.

- Chleb, słonina i pewno kasza.

Kapral, wąty człeczyna, popatrzył na niego z niepokojem.

- Według rozkazów, nie wolno wozić z sobą więcej, jak pięć kilo produktów, panie kapral - przemówił Kania - a wiezie pan pewno pół cetnara. Jako starszy, mógłbym pana zadenuncjować przed żandarmerią, ale nie zrobię tego, jeżeli mi pan szczerze odpowie na pytanie: dla rodziny pan to wiezie czy na handel?

- Dla siebie, panie feldfeblu - skwapliwie odpowiedział przestraszony kapral - pięć osób głoduje w domu.

- Starczy. Ładunek pański uważam za usprawiedliwiony. Obciąża pana tylko lekkomyślność, z jaką pan swój przychówek pomnożył do piątki. Nie wystarczyłby panu jeden spadkobierca?

Uspokojony kapral umieścił toboły pod ławką i zapalił fajkę.

- Trudno, panie feldfebel, już teraz tego nie naprawię.

- Trudno, nie naprawię - kpiąco powtórzył Szökölön, którego wypity rum zrobił rozmownym. - Myślę, że teraz tego naprawić nie można, główek im pan nie poukręca. Ale teraz ma pan kłopot z żarciem.

- Pan Węgier?

- Węgier, panie kapral, Stary kapral cmoknął.

- Bogaty macie kraj, bo-ga-ty.

- Ale chyba niedługo zbiednieje, jeżeli wszyscy kaprale sanitarni będą takie transporty do domu wysyłali - zauważył Kania.

- Ja, panie feldfebel, to - skromnie usprawiedliwiaj się kapral - raz na miesiąc taką porcję wyślę. Ale gdyby pan widział, co wysyłają panowie dowódcy... Wagony całe!

- I to wszystko z Węgier! - Szökölön pokiwał głową. - Biedna moja ojczyzna! Okrada ją każdy drań z końca świata... Diabli mnie biorą, kiedy o tym słyszę... Niechby brali swoi, to przynajmniej nie żal...

Kapral sanitarny usiłował niemiłą dla siebie rozmowę skierować na inne tory. Licho wie, co takiemu podpitemu Madziarowi może do łba strzelić. Rozczuli się nad swoją okradaną ojczyzną i gotów, posiekać bagnetem na gulasz narodowy.

- Daleko panowie jadą, jeśli wolno wiedzieć? Kania nonszalancko założył nogę na nogę.

- Do głównej kwatery.

- Zaraz widać, że jakaś ważna delegacja służbowa - zauważył przenikliwie kapral. - Poznać to po mundurach. Takiego umundurowania w hinterlandzie się nie nosi. Panowie tam

na służbę jaką jadą?

- Nie. Jedziemy prosić Najjaśniejszego Pana, żeby nam jadłospis na froncie zmienili. Za dużo ryżu i polenty dostajemy, a to rozstraja żołądki.

Kapral ukradkiem popatrzył na wszystkich nie zaprzeczył. Włazł między wrony, krakaj jak i one pomyślał. Grunt, żebyśmy swoje paczki przewiózł.

- Pan feldfelbel dawno na froncie?

- Dwa lata.

- Ma pan widać, panie feldfelbel, wyjątkowe szczęście. W naszym szpitalu są ranni spod Monte Gabriele i znad Isonza. Jak się słucha tego, co opowiadają, niedobrze się robi i wierzyć się nie chce, żeby człowiek mógł tak długo wytrzymać i nie zwariować.

- Niechby tak przeszli dziesięć ofensyw pod Piawą jak ja i niech wtedy panu opowiadają, co przeżyli! Dopiero by się pan dowiedział naprawdę, co to jest front włoski...

- Ale też i orderów ma pan feldfelbel wiele.

- Mam jeszcze kilka w kufunku - niedbale odpowiedział Kania - nie noszę wszystkich, bo za ciężko.

Nie nosi wszystkich, bo za ciężko, z podziwem pomyślał kapral, oto prawdziwy bohater. Skromny i nie zarozumiały. Jeden z tych dzielnych podoficerów, o których tak ładnie piszą w gazetach. A ja mam tylko jedną medalinę za wierną służbę i tę noszę stale...

Jeżeli chodzi o medale, Kania mówił prawdę. Miał rzeczywiście w kufunku jeszcze kilka sztuk. Otrzymał całą kolekcję od Ivanovicia, który ją ściągnął z gablotki w komendzie garnizonu, gdzie zdobyły poczekalnię i działały na wyobraźnię wszystkich przychodzących tam wojskowych.

Czas schodził im szybko. Opowiadania Kani o zmyślonych przeżyciach na froncie włoskim, jego perypetie we wszystkich sławnych bitwach, podane barwnie i ze swadą, były bardzo interesujące i poczciwy kapral sanitarny, wysiadając na swojej stacji, z szacunkiem uścisnął mu rękę.

- Życzę panu szczęśliwego powrotu do domu.

- Dziękuję; od siebie życzę panu nominacji na podoficera żywnościowego.

Miejsce kaprala zajął zaspany jednoroczny ochotnik z walizeczką. Służbiście zapytał Kanię, czy może zająć miejsce, i nie usiadł, zanim nie otrzymał pozwolenia. Jednoroczny był młodzieńcem o rumianych policzkach i widać było, że dopiero niedawno ukończył szkołę. Na medale Kani patrzył z jakimś zabobonnym podziwem i nie mógł od nich oczu oderwać. Wzbudzały w nim respekt dla tego wygi frontowego, za jakiego go wziął.

- Daleko pan jedzie? - zapytał Kania. Jednoroczny zerwał się z ławki i stanął na

baczność.

- Na trzeciej stacji wysiadam, panie feldfelbel.

- Siedź pan, panie jednoroczny ochotniku. Nie będę mógł z panem rozmawiać, jeżeli pan będzie się tak służbowo zachowywał. Jeszcze pan nie odwykł od tych wszystkich szkolnych szopek. U nas na froncie, w Syrii, dawnośmy o tych rzeczach zapomnieli.

Podziw jednorocznego zwiększył się. A więc z frontu i w dodatku z Syrii, pomyślał.

- Czy wolno mi wiedzieć, ile pan ma lat, panie jednoroczny?

- Skończyłem dziewiętnaście, panie feldfelbel.

- Młody z pana człowiek. Idzie pan teraz pewnie do szkoły oficerskiej?

- Jadę za tydzień na kurs lotniczy, teraz mam urlop.

- Z jednej szkoły do drugiej... hm... Ale nie radziłbym panu iść do lotnictwa. Służyłem kiedyś w balonach obserwacyjnych i znam to bujanie w powietrzu. Na zawroty głowy pan nie cierpi?

- Nie, byłem już badany i jestem uznany za zdolnego do służby w powietrzu.

- Są różne gusta i guściki, panie jednoroczny ochotniku. Według mnie lepiej by pan zrobił, gdyby się pan kazał przydzielić do grupy azjatyckiej. O wiele to ciekawsze od bujania w powietrzu. Zobaczyłby pan kawał świata, poznał różne ludy, zwiedził przy okazji Ziemię Świętą.

- Czy dużo jest naszych oddziałów w Azji Mniejszej, panie feldfelbel.

- Moździerze i kilka drobnych formacji innych rodzajów broni. Tyle tylko, żeby wykazać Turkom, iż współdziałamy z nimi. Niech i koalicja widzi solidarność między sprzymierzeńcami.

- Bardzo tam są ciężkie walki? Mało tu się w kraju słyszy o tym froncie, bo tam przeważnie Niemcy operują.

- Ciężkie? Bo ja wiem... Ciężej jest chyba we Francji i Włoszech, ale w Syrii i w Palestynie są bezwzględniejsze i okrutniejsze. Tam się nie walczy, tam się szlachtuje. Tam, panie jednoroczny, nie pomagają regulaminy ani szkoły, tylko odwaga i spryt. Słyszał pan pewnie o fanatyzmie mahometan? Niech pan sobie wyobrazi, że siedzi pan na przykład przy karabinie maszynowym, a na pana wali horda Arabów na wielbłądach, wymachuje karabinami i wrzeszczy: "Ałła insz Ałła". Kosi pan karabinem maszynowym, że się tylko bokami nakrywają, ale reszta, jakby tego nie widziała, dalej pędzi naprzód. Ech, panie jednoroczny ochotniku! Jak panu, dajmy na to, amunicja wyszła, a oni są blisko, nie zdąży pan nawet pisnąć, kiedy pana mają. Uciekać nie ma gdzie i kiedy, bo nasze wielbłądy są za wydmami, i nie pozostaje do zrobienia nic innego, jak zakomenderować sobie: "Do

modlitwy" i zdjąć turban, żeby im lepiej było ciąć w kark.

- To tam się turbany nosi?

- Turbany albo fezy z takimi białymi zasłonami na kark, żeby osłabić działanie słońca.

Na pustyni bardzo łatwo o porażenie słoneczne.

Przez przedział powiało egzotykiem i jednorocznemu oczy zaczęły błyszczeć. Wyjął papierośnicę i nieśmiało podał ją azjatyckiemu bohaterowi.

- Bardzo dobre papierosy pan pali, panie jednoroczny.

- Dostałem od ojca, jest pułkownikiem. Kania wcale to nie zaimponowało.

- Właściwie to my tam lepsze palimy. Złapałem kiedyś na granicy Iraku jednego szejka Wahabitów z tytoniem. Takiego jeszcze nie paliłem. Ale najprzyjemniej pali się nargile. Palił je pan kiedy? Nie? To jest rozkosz. Wiedzą te brudasy, co dobre. Dzikie te małpy, bo dzikie, ale ciekawe są ich obyczaje. Ostatnio, po prawdzie, nie byłem daleko w pustyni, bo szkoliłem Druzów.

- Druzów? Przecież oni walczą przeciw państwu centralnym.

- Nie wszyscy, panie jednoroczny ochotniku - z powagą rozwiewał Kania wątpliwości młodego jednorocznego. - Niektóre szczepy przeszły na naszą stronę. My mamy swoich Arabów, a oni swoich. Ubieramy ich po naszemu i fertig. Spójrz pan na tych dwóch - Kania wskazał ręką śniadego Szökölöna i oliwkowego Baldiniego. - Gdybym panu nie powiedział, byłby pan przekonany, że to Bośniacy albo Węgrzy, a to, panie jednoroczny, Druzowie. Wiozę ich do Wiednia, gdzie przejdą kurs i wrócą do Syrii jako przywódcy powstania w protektoracie angielskim.

Jednoroczny otworzył usta z podziwu. Szökölön i Baldini szybko zwalczyli swoje chwilowe osłupienie i uprzejmie się uśmiechnęli. Kania mrugnął na nich znacząco i dalej łął, płynnie i bez zająknięcia. Jednoroczny już sobie wyobrażał, jakie też wrażenie zrobi w domu jego opowiadanie o znajomości zawartej z egzotycznymi sprzymierzeńcami. Wyjął papierośnicę i zapytał:

- Czy oni rozumieją po niemiecku?

- Bardzo mało. Ja porozumiewam się z nimi po arabsku. Niech pan pozwoli mnie papierośnicę, bo od pana nie wezmą. Nie wolno prawowiernemu nic brać od gjaura.

- A od pana wezmą?

- Ode mnie tak, bo ja jestem na czas wojny mahometaninem. Przeszliśmy wszyscy na islam, bo inaczej nie można by z nimi nic zrobić. Musieliśmy przejść specjalne kursy Koranu, żeby móc do nich trafić i zyskać ich zaufanie.

Kania podsunął rzekomym Arabom otwartą papierośnicę.

- Mustafa... Achmed... naser mater! - rzekł "po arabsku".

Szökölön zgrabnie wypróżnił jedną połowę papierośnicy, a Baldini drugą i skłoniwszy się przed Kanią głęboko, uprzejmie podziękował:

- Nagła krew zalała.

Słyszał to nieraz od Kani i użył tego celem wykazania swego dobrego wychowania wschodniego.

- No i widzi pan, co za dzikusy? Wzięli wszystko, ale nie można się o to gniewać. Nie znają jeszcze dobrze zwyczajów europejskich...

- Co on powiedział?

- Nagła krew zalała... to znaczy: Niech cię Ała ma w swej opiece. On jest bardzo pobożny, bo jest hadzim; był w Mekce i całował święty kamień Kaaby.

Jednoroczny przypomniał sobie powieści wschodnie i ze zrozumieniem skinął głową. Feldfelbel oddziałów azjatyckich wtajemniczył go w sposoby walki na pustyni, opowiadał o zwyczajach Wschodnich, roztaczał przed nim tak barwne obrazy miast azjatyckich, aż jednoroczny dostał wypieków na twarzy. Zachciało mu się jeść i wyjął z walizki bułkę z szynką. Kania natychmiast wyrwał mu ją z ręki i włożył z powrotem do walizki.

- Chyba panu życie niemiłe, człowieku! Zabiją pana! Będą to uważali za prowokację; przecież pan chyba wie, że im nie wolno jeść świniny?

Jednoroczny skinął znowu głową, ale widać było, że te zakazy muzułmańskie są mu w tej chwili nie na rękę.

- Każdy medal ma dwie strony - mówił Kania. - To jest właśnie ta druga strona. Swoją drogą ciekawie się z nimi pełni służbę, ale i dużo niewygody się musi znosić. Wódki nie pij, kiełbasy nie jedz i różne takie fanaberie.

Na następnej stacji wsiadło do przedziału dwóch kanonierów i jeden z nich wyjął z chlebaka manierkę. Jednoroczny chwycił go za rękę.

- Schowaj pan to, tutaj nie wolno tego pić. Kanonier wybałuszył gały.

- Kawy nie wolno się napić?

- Jeżeli kawa, to co innego; myślałem, że rum. Widzi pan tych dwóch - zarozumiale spytał jednoroczny, dumny ze znajomości - to są Arabowie z Syrii.

Drugi kanonier podniósł głowę.

- Z Syrii? Byłem tam kilka miesięcy przy moździerzach... Salem alejkum - zwrócił się z ukłonem w stronę Baldiniego.

Włoski hadzi najpierw zgłupiał, ale po chwili przytomnie odpowiedział:

- Alejkum salem, effendi.

Niemniej oszołomiony był i węgierski przywódca powstania Wahabitów w protektoracie angielskim. "Feldfelbel oddziałów azjatyckich" stracił na chwilę pewność siebie, ale w krótkim czasie odzyskał ją. Kanonier już otworzył usta do zagajenia rozmowy z Arabami, ale przeszkodził mu w tym Kania.

- Teraz będą rozmyślali o rajach Mahometa i nie wolno im przerywać - zwrócił się półgłosem do kanonierów - pan wie, co to znaczy, prawda?

Kanonier ze zrozumieniem skinął głową. Poczciwy chłopak z Dolnej Austrii nie miał wprawdzie pojęcia o żadnym rajach Mahometa, ale zgodził się, aby nie stracić w oczach innych pasażerów opinii znajdującego się na arabskich obrządkach religijnych. Dumnie zapalił papierosa i wyniośle spojrzął na jednorocznego, jakby mówił:

- Widzisz, kawalerze, jaki ze mnie światowiec. Jednorocznemu zachciało się jeść.

- Głodny jestem, panie feldfelbel, a nie mam nic innego jak bułki z szynką - zwierzył się z zafrasowaniem.

- No cóż? Sam pan widział, też muszę przy nich grać wariata i przestrzegać przepisów religijnych. Chyba, że pan się przesiądzie do innego przedziału.

Jednoroczny nasycił swoją ciekawość dostatecznie i teraz pragnął nasycić żołądek. Wziął więc swoją walizkę i z szacunkiem pożegnał się z Kanią.

- Życzę panu powodzenia w szkole pilotażu. Kanonierzy siedzieli jakiś czas w milczeniu, ale widać było, że staje im się to dokuczliwe i zaczęli z sobą szeptać.

- Nie gadać! - ostrzegł Kania.

Kanonierzy mrugnęli do siebie, zabrali swoje plecaki i wyszli. Szökölön i Baldini już otworzyli usta, żeby porozmawiać z Kanią na tematy syryjskie, ale przeszkodziło im w tym wejście konduktora wraz z młodym żandarmem. Kania pokazał bilety wojskowe i konduktor, rzuciwszy na nie okiem, przedziurkował je.

- Co się tyczy dokumentu, panie kapral, to już był raz kontrolowany.

- Możliwe panie feldfelbel, ale musiało to być w innym rejonie.

- Ma pan. Mam nadzieję, że się na nim od północy nic nie zmieniło. Czytaj pan w swoim rejonie. Dużo jeszcze tych rejonów do Koszyc?

- Za kwadrans Koszyce, dziękuję.

Kiedy konduktor z żandarmem wyszli z przedziału. Kania szybko poszedł za nimi i siedział w klozecie, dopóki pociąg się nie zatrzymał. Wtedy dopiero wszedł do przedziału.

W KOSZYCACH

Kierowniczką bufetu zoldatenhajmu w Koszycach, chuda i wyniosła starsza dama, w

szczelnie zapiętej pod samą brodę sukni, miała wyraz twarzy męczennicy.

- W czwartym roku wojny nie można być takim wybrednym, panie feldfebel. Skąd ja panu wezmę krowie mleko? Krów u nas nie ma, wszyscy piją z mlekiem skondensowanym i nikt od tego jeszcze nie umarł. Jeżeli to panu nie dogadza, może pan pójść do miasta i tam pić samą śmietankę... Nie wiem, za co mnie Pan Bóg skarał tym bufetem tutaj...

- Okazuje się, panie feldfebel, że to, co piszą w tych gazetach dla żołnierzy u nas na froncie włoskim, to tylko bujda na resorach i nic więcej. Mamy przykład, jak się obchodzą z frontowym żołnierzem w kraju - odezwał się Haber.

- To się nazywa opieka nad żołnierzem - złośliwie zauważył Szökölön. - Człowiek w przejeździe z jednego frontu na drugi wstępuje do takiego reklamowanego zoldatenhajmu na posiłek, a tu go częstują trocinami.

- To nie trociny, tylko mleko skondensowane - replikowała wyniosła dama.

- Myśli pani, że ma pani do czynienia z jakimiś łazikami z hinterlandu? Z nami, paniusiu, lepiej nie wojować.

Piątka naszych bohaterów zablokowała bufet i kierowniczką nie mogła ruszyć się z miejsca. Podniosła oczy do góry z takim wyrazem twarzy, jakby chciała prosić wszystkich świętych o opiekę nad sobą.

- To samo można powiedzieć o tym chlebie, jaki nam dają. To jest placek z gliny, upieczony na krochmalu.

- Ja bym sama zjadła tort, proszę pana, ale niestety jest wojna i nie ma tego, co się komu zachciewa.

- Więc jest jakaś możliwość otrzymania mleka do kawy czy nie? - kategorycznie zapytał Kania.

- Sama się nie wydoję, panie feldfebel.

- Dopiero by nam szanowna pani wygodziła... Niech się pani nie poświęca.

- Panowie są... sama nie wiem, jak nazwać takie zachowanie się...

- Panowie są panami żołnierzami z frontu, pani dyrektorko, i kiwać się nie dadzą - zaperzył się Haber. - Może pani ma kogoś znajomego, kto by mógł odstąpić kwartę mleka? Damy pieniądze.

- Niech panowie tylko odejdą od bufetu, to może się gdzie postaram, ale niech panowie zajmą stolik.

- Dobra, poczekamy...

Zajęli miejsca przy stoliku. Ogromna sala pełna była dymu z papierosów. Między stolikami uwijali się jeńcy rosyjscy w białych kitlach i podawali żołnierzom herbatę w

blaszanych kubkach wraz z kawałkami chleba, w którym więcej było kartofli, kasztanów i innych składników niż mąki. Skośnooki, wypasiony Mongoł podszedł do stolika.

- Mamy dostać kakao z prawdziwym mlekiem - poinformował go Kania, kiedy zauważył jego wyczekujące spojrzenie - poniał tawaryszcz? (zrozumiałeś, towarzyszu?).

- Poniał, gaspadin fildfebel. Papirosku można od was połuczit? (Zrozumiałem, panie feldfeblu. Czy mogę dostać od pana papierosa?).

- Majesz papirosku i idź przypilnować, żeby nam prędej przynieśli nasze kakao.

- Nieźle im się tutaj powodzi - zauważył Haber - spasione to wszystko jak wieprze.

Jeniec po chwili wrócił i z szacunkiem postawił na stole tacę z pięcioma filiżankami parującego kakao. Kilku bliżej siedzących żołnierzy ciekawie uniosło się ze swoich miejsc.

- Kakao, panowie - z zadowoleniem poinformował ich Szökölön - robi się z takiego proszku jak czekolada i zalewa się mlekiem. Kto tego nie wie, ten źłopie herbatę z lipowego liścia.

Pili gorący napój i rozmawiali. Sala pełna była rozgwaru jak ul i rozbrzmiewała rozmowami w różnych językach. Niektórzy żołnierze oparli głowy o blaty stołów i spali w tej pozycji, potrąceni przez przechodzących. Po śniadaniu Kania udał się do kancelarii, gdzie odbył małą konferencję z urzędującym tam feldfeblem, zarządzającym pokojami sypialnymi.

- Nic się nie da zrobić, panie kolego. Na ogólnej sali, owszem, ale w pokojach nie ma mowy. Panowie oficerowie zajmują.

- Panowie oficerowie posiadają Offiziersheim i nie mają tu nic do roboty. Gdybym ja tak poszedł do officirshajmu i zażądał pokoju?

- To by pana wylali na głowę ze schodów - odpowiedział flegmatyczny feldfebel.

- Tak to jest właśnie... im wolno wszystko, a nam guzik. Nie mamy prawa do niczego. Przyjdą, zajmą pokoje przeznaczone dla podoficerów i moje uszanowanie. Tfu!... pluję na takie porządki!

- To panu wolno - zgodził się feldfebel, kręcąc palcami młynka na brzuchu - pluj pan sobie na zdrowie.

Kania wyraził mu swoją pogardę dla takich porządków i z irytacją trzasnął drzwiami. W wyniku narady z towarzyszami postanowił poszukać hotelu, w którym by się można było przez kilka dni zatrzymać, zanim wyjadą do Wiednia, gdzie stosunki Habera miały ułatwić im dalszą egzystencję.

Kania szedł ulicami Koszyc z taką swobodą, jakby nie wiedział o tym, że jednocześnie przez kilka linii telefonicznych i telegraficznych przekazywane są w świat dokładne ich rysopisy i telefoniści komend dworcowych wiele wysiłku wkładają w wyraźne podawanie

nazwisk uciekinierów. Niefrasobliwie oddawał honory oficerom, którzy, mijając go, zerkali na jego pokrytą orderami pierś. W mundurze feldfebla czuł się tak, jakby miał do niego prawo od dawna. Zaszedł do kilku hoteli, w których jednak nie wynajął pokoju z tej przyczyny, że portierzy słysząc, że chodzi o żołnierzy, odmawiali.

- Chyba, że będzie kartka z Entlausungstelle.

- To jest wasz patriotyzm, co? Tak się traktuje żołnierzy z frontu?

- Patriotyzm jest dobry wtedy, kiedy żołnierz nie ma wszy. Pan wie, ile dziś mydło kosztuje? Przyjmę jednego żołnierza na dwie doby i potem mam cały hotel zawieszony. Bez kartki z Entlausungstelle nie mogę was przyjąć.

- Kanalie! Was by tak na front wziąć!

- Niech pan nie robi awantury, bo zawołam policję.

- Szkoda mi ręki, bobym ci, draniu, wypisał na gębie, jak trzeba się odnosić do żołnierza!

W jednej z bocznych ulic odkrył hotelik, którego portier nie pytał o kartkę z punktu odwzwawiającego, natomiast okazał wiele zainteresowania dla dokumentu podróży.

- Co pana tak ciekawi w tym papierze?

- Zrobiłem się ciekawy od tego czasu, kiedy mi kilku panów wojaków ściągnęło prześcieradła.

- Mogę panu dać kaucję, jeżeli panu o to chodzi.

Kania wynajął dwa łączne pokoje i zapłacił z góry za tydzień.

Kiedy już załatwił formalności, wziął dorożkę i wrócił do zoldatenhajmu.

- Bagaze odwiezie się dorożką, a my pójdziemy sobie pieszo. Taki frontowy patrol niepotrzebnie zwraca uwagę na ulicy.

Koszyce nastroczyły im wiele przyjemnych chwil, dzięki kilkunastu miłym lokalom, gdzie można się było solidnie zabawić bez wchodzenia w styczność z zandarmerią.

Dwa łączne pokoje w hotelu w dzień rozbrzmiewały chrapaniem, za to nad ranem, kiedy spragnieni uciech doczesnych bohaterowie frontowi wracali z hulanki, przy brzęku kieliszków słysząc było w całym hotelu wesołe głosy kobiece.

Portier kilkakrotnie odbierał skargi od innych gości hotelowych na hałasy, ale nie mówił o nich Kani nie chcąc umniejszać spodziewanego napiwku i uspokajał nerwowych cywilów, że potrwa to w ogóle jeszcze trzy dni.

Nurzali się w rozkoszach z taką zaciekłością, jakby następnego dnia miał nastąpić koniec świata. Długa wstrzemięźliwość wymagała zupełnego wyładowania nagromadzonych zapasów sił żywotnych. I wyładowywali niezgorzej. Pewna kategoria usłużnych panierek

chyba do śmierci nie zapomni pięciu zuchów, którzy z końcem lata ostatniego roku wojny nawiedzili Koszyce.

Dużo by mogły o tym powiedzieć sprzęty w zajmowanych przez nich pokojach, osobliwie łóżka i kanapy, niestety jednak, pomijając notoryczną niemotę tych pożytecznych mebli, zostały one po wyjeździe naszych bohaterów zamienione na nowe, gdyż nie nadawały się więcej do użytku. Siódmego dnia pobytu w Koszycach, w południe, Kania po obudzeniu się wstał i przejrzał się w lustrze.

- No, bawiliśmy się tutaj nieźle. Wyglądam, jakby mnie spod magła wyciągnęli.

- Ech, żeby to moja Katinka wiedziała - westchnął Szökölön - miałbym ja kilka uliczek wyrzeźbionych pazurami na gębie.

Baldini zrobił kilka przysiadów, przy czym nasłuchiwał czujnie.

- Strzyka w kolanach - zameldował przygasłym głosem.

- Niezgorzej się zabawialiśmy - przytwierdził Haber - taki jestem wiotki, jakbym był z waty. Kania wyjął z kieszeni portfel i przeliczył pieniądze,

- Jesteśmy biedniejsi o sześćset koron...

- Za dużo nas to kosztowało.

- Najwięcej poszło na wino - zauważył Hładun - chlaliście jak studnie.

- Przepiłem się do gruntu - stwierdził Haber. - Przynajmniej przez tydzień nie wezmę do gęby nic innego prócz wody i mleka. Żeby mnie tak położyć pod prasę, trysnąłbym winem jak fontanna.

- Masz rację - zgodził się Szökölön - musimy przestać pić na jakiś czas.

Zjedli obiad i nie wychodząc więcej z hotelu grali do wieczora w karty, po czym poszli na stację z zamiarem wyjazdu do Wiednia. Pociąg wiedeński, jak się okazało, odchodził w nocy.

- Na dworcu siedzieć nie można - rzekł Kania - trzeba ten czas jakoś przepędzić.

- Chodźmy do jakiej restauracji, posiedzimy tam do północy - proponował Baldini.

- Do żadnej restauracji nie idziemy. Zajdziemy do jakiej cichej mleczařenki i tam pogramy w karty przy herbacie.

- Słusznie, trzeba teraz przejść małą kurację mleczną - przytaknął Szökölön.

- Więc idziemy.

Powzięli mocne postanowienie zaprzestania na jakiś czas picia alkoholu i wyszli z dworca.

- Jest mleczařnia.

Baldini spojrział przez uchylone drzwi.

- Jakaś straszliwa wiedźma siedzi przy bufecie, chodźmy tam, gdzie jest muzyka.

Wiele było po drodze "cichych mleczarenek", ale każda miała jakiś defekt. W jednej właściciel lub właścicielka byli niesympatyczni, w drugiej było pusto, w trzeciej kelner wyglądał jak zbój i w końcu weszli do pierwszej z brzegu restauracji.

- Ale pić stanowczo nie będziemy - zastrzegł się Haber przed wejściem.

- Mowy o tym nie ma - potwierdził Kania. Kiedy zajęli miejsca i zdjęli z ramion plecaki, kelner postawił na stole karafkę białego wina i pięć szklanek. Kania powiódł oczami po twarzach towarzyszy. Szökölön wziął karafkę w ręce i powąchał.

- Wino...

- Dziwne zwyczaje panują tutaj. Nic się nie pytają i od razu karafkę na stół.

- Po gębach poznał, z kim ma do czynienia. - złośliwie zauważył Haber. - Spojrzał na ciebie i Baldiniego i wyczytał na waszych pyskach zamówienie.

- Jeżeli chodzi o to, co wyczytał, to w żadnym wypadku nie mógł wyczytać życzenia takiego świństwa - odpowiedział krzywiąc się Baldini. - To jest ten słynny ocet węgierski...

- Tylko nie ocet - zareplikował Szökölön. - W każdym razie lepsze to wino od włoskiego.

- Włoskie lepsze. Takie białe wino we Włoszech ma przynajmniej smak, a to człowiekowi gębę wykręca.

- Nieprawda, zalatuje trochę kwaskiem, ale pije się zawsze przyjemnie.

- Zaraz - przerwał Kania - macie się pokłócić, to skosztujemy wszyscy i osądzimy bezstronnie.

- Mieliśmy nie pić - przypomniał Haber.

- I nie pijemy. Przecież nie można nazywać picciem skosztowania kropli wina celem stwierdzenia smaku.

- Kosztujcie sobie sami, ja nie piję. Ty, Hładun, też, prawda? Hładun uroczyście położył rękę na piersi.

- Raczej śmierć niż wino. Szklanki były już nalane.

- Chwileczkę... umówiliśmy się, żeby nie pić i to jest prawda - przemówił Baldini - ale tu chodzi o prawdę. Mnie chodzi tylko o prawdę, o nic więcej.

Nie mniejszym miłośnikiem prawdy okazał się Szökölön.

- Nie jestem małe dziecko i nie pozwolę na to, żeby mi kto głądził bzdury o włoskim winie. Proszę was, przyjaciele, wypijcie szklaneczkę i powiedzcie sami tej małpie, jaki to ma smak.

- No tak - rzekł Kania - kieruje nim tylko obrażona godność narodowa i nie możemy

się od arbitrażu uchylić.

- Wypijcie, koledzy, i jeżeli to wino nie jest dobre, walcie mnie w pysk. Szökölön postawił kwestię tak kategorycznie, że nie można było odmówić. Wypili i przez chwilę mlaskali językami o podniebienia.

- Nie masz racji, Baldini - przemówił pierwszy Kania - nie można powiedzieć, żeby to pocziwe wino przypominało ocet. Pozostali dwaj eksperci nie zabierali głosu.

- A widzisz! - z zadowoleniem zwrócił się do Baldiniego Szökölön - kto ma rację?

- Właściwie to po jednym kieliszku trudno jest osądzić; tylko sobie gardła przepłukali.

- Uparty jak kozioł! - zawołał Szökölön i szybko nappełnił po raz drugi szklanki. - Wypijcie jeszcze raz i jeżeli ktoś będzie miał odwagę powiedzieć, że to wino jest niedobre, to ja biję w pysk!

Gwoli stwierdzenia prawdy wypili karafkę i przyznali słuszność Szökölönowi. Spór jednak nie został zakończony wobec oświadczenia Baldiniego, iż czerwone wina węgierskie mają smak zafarbowanych wyłoczyn buraczanych. Oświadczenie to poparł gotowością bicia w pysk każdego, kto mu tego nie przyzna po skosztowaniu podłej lury węgierskiej.

- Podła lura - zaperzył się Szökölön. - Hej, kelner! Dawaj pan butelkę tokajskiego! Zaraz się przymkniesz ze swoim chianti i cinzano. I walę w pysk każdego, kto powie, że to wino jest gorsze od włoskiego!

- Los człowieka w takim mordobijającym towarzystwie jest godny pożałowania - filozoficznie zauważył Haber. - Teraz muszę pić, bo jak nie dostanę od jednego, to dostanę od drugiego. A ja nic nie mówiłem o mojej dumie narodowej...

- Jesteśmy jak ten okręt między bałwanami - zgodził się Hładun i sięgnął po szklankę - z jakim przestajesz, takim się stajesz. Cierpimy za nie swoje winy...

- Trudno, bracie - orzekł Kania - niech jeden drugiego przekona.

Przekonywali się tak rzetelnie, że w głowach zaczęło trochę szumieć. Zamówili kolację. Hładun usiadł przy automacie i wrzucił w szparę monetę. Dobrze znane tony walca "Nad modrym Dunajem" rozrzewniły jakiegoś samotnie siedzącego przy drugim stoliku starszego jegomościa tak dalece, że szukając ujścia dla rozpierających go uczuć przysiadł się do stołu wojskowych.

- Pozwólcie, panowie wojacy, wypić z wami lampeczkę. Kiedy patrzę na takich sympatycznych żołnierzyków, serce mi się kraje na myśl, że muszą znosić niedolę wojenną i ginąć marną śmiercią... Kelner! Butelka tokaju!

- No, tak bardzo od razu nie giną, łaskawy panie. A pan, jeśli wolno wiedzieć, dlaczego nie w wojsku? Cywil machnął ręką,

- Nieuleczalnie chory jestem, panie feldfel, i niezdalny do służby. Wasze zdrowie, panowie!

Uprzejmy cywil był bardzo sympatycznym człowiekiem, co mu Szökölön oznajmił z taką serdecznością, że pierwsza butelka prędko ustąpiła miejsca drugiej. Kanię interesowała nieuleczalna choroba Madziara.

- Na co pan takiego cierpi, że pan jest niezdalny do służby? Wygląda pan zupełnie zdrowo.

- Wygląd nie ma nic wspólnego z tą chorobą. Straszliwie się jąkam, panie feldfel. Wasze zdrowie, panowie!

- Jąka się pan? Wcale tego nie zauważyłem.

- Eee na komisjeee etakee eesięeee eejąkaaleemeee eezeeee eeięeee eewszyscyeee eedoktorzyeee eespoeeee... eespoeeee...

Cywil wykrzywił twarz w okropny grymas i wywracał oczy białkami na wierzch - eeeceieeee... eecieeee...

- Spocili, szanowny panie, domyślamy się... Niech się pan nie męczy.

- ...ecili - dokończył niesamowity jąkała i spojrzał na nich jak Eiffel na ukończoną budowę swojej wieży.

- To rzeczywiście dobre na poty - zgodził się Hładun - nawet dla tych, którzy słuchają.

- A widzicie, panowie - zupełnie normalnie zaczął mówić cywil. - Takie jąkanie jest bardzo męczące. Weźcie panowie pod uwagę, że trzeba przy tym wykrzywiać twarz, krztusić się, łapać powietrze i wywracać oczy. Dwa razy już byłem na komisji i dwa razy mnie na to uwolnili. Wasze zdrowie, panowie!

- Biorąc rzecz na rozum - przemówił Haber - jąkanie nie jest właściwie przeszkodą w walce i powinni takich brać. Nie mówię w tej chwili o panu i wcale tego panu nie życzę - zastrzegam się trącając się z nim szklanką - ale mówię zasadniczo. W ogóle... Żołnierz, jak dotąd, nie walczy jeszcze językiem.

- Mylisz się - zareplikował Kania - właśnie, że jąkanie jest wielką przeszkodą w służbie frontowej. Mamy, na przykład, atak na bagnety i trzeba krzyknąć "hura", żeby wzbudzić panikę w szeregach nieprzyjacielskich, a tu ci pędzi jąkała i zaczyna postękiwać:... eehuee... eehuee... ehueee... Nie robi to absolutnie żadnego wrażenia na wrogu - wywodził z powagą rutynowanego instruktora - i wykluczone jest, żeby taki okrzyk mógł wzbudzić panikę.

- Słusznie - zabrał głos Szökölön - a rozwijając rzecz dalej, dojdziemy do tego, że rozśmieszony wróg wpadnie w znakomity nastrój, wszyscy zaś wiemy, że nastrój na froncie

jest najważniejszą rzeczą. Nastrój i samopoczucie... Na to się daje rum na froncie, żeby żołnierze mieli dobry nastrój i walczyli jak lwy. Pańskie zdrowie, nieszczęśliwy kaleko!

Nieszczęśliwy kaleka był ujęty analizą swego kalectwa.

- To się nazywa rozumowanie! Okazuje się, że zupełnie niepotrzebnie dodałem do tego kalectwa tysiąc koron pewnemu doktorowi.

- Dał mu pan tysiąc koron? - zdziwił się Hładun. - Ładny grosz, licząc z grubsza, można by się za te pieniądze nieźle zabawić.

- Takie jąkanie bez łapówki powinno uwalniać od służby - roztrząsał dalej Kania. - Pomyślcie, panowie: jest ogień huraganowy i nagle na przedpolu przed naszymi okopami zjawia się uciekający z niewoli generał. Obserwator telefonuje do pierwszej linii: - "Przerwij ogień, na przedpolu własna ekscelencja"! - Meldunek odbiera jąkała i zaczyna meldować dowódcy baterii. Zanim skończył, pan generał już się wyciągnął na amen. Oto, do czego doprowadzić może jąkanie. Można przytoczyć sto takich przykładów, z których wyniknie jasno jak na dłoni, że te tysiąc koron było zwyczajnym wyłudzeniem.

- Pan feldfelbel ma rację - odezwał się Haber - nikt pana nie namawia, szanowny panie, bo każdy ma swój rozum, ale powinien pan pójść do tego doktora, dać mu parę razy w buzię i odebrać te pieniądze, naturalnie wraz z procentem za cały czas. Procent niech pan obliczy bankowy, bo mógłby pana zaskarżyć o lichwę.

Przekonany Węgier wyraził gotowość natychmiastowego wprowadzenia w czyn tej przyjacielskiej rady, ale został zmitygowany przez Kanię.

- Doktor nie zając, nie ucieknie, może pan do niego również pójść i jutro. Najlepiej rano, to go pan zastanie w łóżku. Pańskie zdrowie!

Madziar był wyjątkowo towarzyskim człowiekiem. Kelner zlatął się jak pies meldunkowy i odparzył pięty w nieprzerwanych wędrówkach od stołu do bufetu i z powrotem. Po upływie godziny byli spici niezgorzej i języki zaczęły odmawiać posłuszeństwa.

- Mieliśmy nie pić - płaczliwie skarżył się Haber, czule obejmując Hładuna - a ja piję i piję i zdaje mi się nawet, że jestem... ep-ee... wstawiony.

- Dotrzymaliśmy słowa - stanowczo odparł Hładun, zwrócony do pieca - piliśmy tylko celem stwierdzenia smaku, bo inaczej wynikłaby bitka... a-wan-tu-ra... Ja ich znam, proszę pana, tych łajdaków. Nic, tylko chcą bić w pysk, pan rozumie?

Piec nie okazał ochoty do rozmowy, wobec czego Hładun mówił dalej do wieszaka.

- To są dzicy ludzie, dzi-ku-sy, szanowny panie. Kulturalny człowiek nie bije w pysk, proszę pana, a jeżeli mi pan zaprzeczy, tak pana trzasnę w łeb, że się pan od razu nogami

nakryje. Tak jest.

Wieszak był równie mało towarzyski jak piec i Hładun smutnie zwierzył się solniczce.

- A rzygać będę bezwarunkowo, niech tylko wyjdę na świeże powietrze. Mogę na to dać słowo honoru.

Kiedy rozrzewniony cywil wypił ze wszystkimi bruderszaft, Kania zażądał rachunku.

- Jeszcze nikt nie płacił za Kolomana Moranyiego! Odkąd zacząłem nosić długie spodnie, nikt za mnie nie płacił! Nie pozwolę! Zabijcie mnie, porznijcie, posiekajcie, ale pozwólcie mi zapłacić!

Kania widząc taką stanowczą ofiarność sprzeciwił się dość miękko.

- Jeżeli zapłacisz choć koronę, w twoich oczach wbiję sobie nóż w serce, bracie Polaku. Éljen Lengyel! (Niech żyją Polacy!).

- Eljen Magyar! (Niech żyją Węgrzy!) - odwzajemnił się

Kania i dodał po polsku: - Polak, Węgier dwa bratanki i do szabli, i do szklanki... tudom? (rozumiesz?).

- Nem tudom (nie rozumiem), ale to wszystko jedno, bo i tak zapłacę! Kelner! Rachunek!

Grubo nabity portfel pana Moranyiego mimo słonego rachunku nieznacznie tylko zmniejszył swoją objętość.

- Widzisz, bracie, że obawy śmierci głodowej nie mam i stać minie na to, żeby ugościć dzielnych obrońców ojczyzny. Kelner! Dziesięć butelek tokaju do plecaków panom bohaterom znad Piavy i zawołać trzy dorożki!

Puste ulice wiodące do dworca ożywiły się, kiedy przejeżdżały nimi trzy dorożki zajęte przez ryczących bohaterów. Ożywiły się dzięki wruszającym słowom piosenki polskiej, śpiewanej przez Kanię, Habera i Hładuna. Ujęły one serca wyglądających lufcikami rozbudzonych mieszkańców.

- To ci nieszczęśliwi Polacy - stwierdził starszek w szlafmocy, wychylony z jakiegoś okna - dzielny z nich naród. Pewno na front jadą...

Stojąca obok niego starszka w czepku głęboko westchnęła.

- Wracajcie zdrowo do domu, kochani chłopcy.

Pan Koloman Moranyi był naprawdę człowiekiem serdecznym. Uparł się, że pojedzie razem z nimi, i nie można mu było tego wyperswadować. Wykupił bilet do Wiednia, wlaźł z nimi do wagonu i zdecydowanie zdejmował trzewiki.

- Jadę, bracia kochani! Nic mi nie mówcie! Jadę i koniec! Wiele argumentów musiał zużyć Kania i jego koledzy, aby go odwieść od tego nedorzecznego zamiaru.

- Słuchaj, bracie - tłumaczył Szökölön - przecież nie możesz jechać na front bez karabinu.

- Mam scyzoryk... o... sześć ostrzy... widzisz? Dam sobie radę.

- Scyzorykiem nic nie poradzisz. Żeby ewentualnie kosą, to jeszcze. Wróć się do domu i postaraj się o kosę. Wtedy moglibyśmy cię zabrać. Bez kosy nie ma gadania. - Po długich targach zgodził się udać do domu po kosę, ale musieli wysiąść razem z nim i pójść do bufetu dworcowego, gdzie mieli na niego poczekać. Przy bufecie zażądał naturalnie dla wszystkich wina, które pili stojąc na niepewnych nogach.

Wykupił całą zawartość bufetu wraz z drewnianymi deszczułkami, opakowanymi w etykiety fabryki czekolady Sucharda, które zdobiły gablotę, i kazał to wszystko wpakować do plecaków naszych bohaterów. Na szczęście dla wojaków do pana Moranyiego podszedł jakiś urzędnik kolejowy i serdecznie się z nim przywitał.

- Pozwól sobie przedstawić moich przyjaciół. Kelner! Butelkę białego! Urzędnik na próżno wymawiał się służbą.

- Pluń, bracie, na służbę! Oni na front jadą i trzeba im ostatnie chwile osłodzić. Niech wiedzą, że w kraju myślimy o nich.

Ośladzali sobie ostatnie chwile stojąc przy bufecie, gdyż Kania zastrzegł się, że siadać absolutnie nie będzie, aby nie spóźnić się na pociąg. Po kilku lampkach zaczęli się żegnać czule i serdecznie, jak mamusia z córeczką wyjeżdżającą w podróż poślubną z niecierpliwym małżonkiem.

Całowali się, ściskali ze łzami w oczach, co rozrzewniło siedzących przy stołach innych podróżnych; dawali im błogosławieństwo na cierniową drogę do nieśmiertelnej sławy na froncie i przy wznoszonych gęsto okrzykach "eljen" stawiali świeże butelki.

Kania odegrał znakomitą rolę przy zacieśnianiu przyjaźni polsko-węgierskiej. Nauczył wszystkich prawidłowo wymawiać: "Węgier, Polak dwa bratanki i do szabli, i do szklanki", a kiedy już pocziwe twarze Madziarów zaczęły mu się w oczach mieszać, wypił syfon wody sodowej i ostatecznie się ze wszystkimi pożegnał. Ucałował się po raz ostatni z panem Moranyim i poodrywał resztę towarzystwa od rozpijających ich Węgrów.

- Eeaaa... eekiedyee... eebędzieszee... eetueetajee... eeewstęp-ee... eedoeee... eemnieee... eepolakuee... - wołał za nim przez całą długość sali amfitrion.

- Eebezwarunkoweee... eedowiedzeee... eekolomanieeee... - odjął Kania od progu - eedowidzeniaee...

Świeże powietrze rozebrało ich i na peronie zbili się w stadko, które się kiwało na nogach, potęcało i trykało głowami. Szökölön przyciskał do łona kilka butelek wina i

płaczliwie zawodził:

- Przedśmiertna uczta, koledzy...

Wszystkim pomieszało się w głowach i byli naprawdę przekonani, że jadą na front, skąd już nigdy nie wrócą. Jakiś kolejarz ulitował się nad nimi.

- Dokąd, panowie żołnierze?

- Do Wiednia, panie dyrektorze... - wymamrotał Kania ledwie trzymając się na nogach.

- Trzeci tor, za pół godziny odchodzi.

- Idziemy.

Na trzecim torze stały dwa składy pociągów bezpośrednio jeden za drugim. Pierwszy odchodził do Wiednia, drugi zaś, złożony z kilku pulmanowskich wagonów, był nie oświetlony. Tak się jakoś złożyło, że wleźli do jednego z pulmanów, zajęli przedział i natychmiast pokładli się na ławkach i podłodze.

Słońce zajrzało w szyby przedziału i promienie padające na twarz śpiącego pod oknem Hładuna zmusiły go do otwarcia oczu. Zamknął je natychmiast i ziewnął tak głośno, że Kania się obudził i wysunął głowę spod ramienia śpiącego Szökölöna.

Hładun usiadł.

- Stacja jakaś, bo pociąg stoi. Kania przeciągnął się i wyrzał.

- Wyjdź na korytarz i zobacz, gdzie jesteśmy, bo z tej strony nic nie widać.

Hładun przekroczył śpiącego na podłodze z karabinem na brzuchu Habera i wyszedł. Po chwili Kania usłyszał z korytarza zduszony okrzyk i wyszedł również. Z ogromnej tablicy nad wejściem, z tablic rozmieszczonych na międzytorzach oraz z napisów umieszczonych na przybudówkach stacyjnych 'kłuły ich w oczy, jakby drwiąco, podłużne czarne napisy w dwu językach: Kassa - Kaschau.

- Co takiego? Kania przetarł oczy.

- Kassa - Kaschau.

Napisy te były aż nadto wyraźne dla człowieka piśmiennego.

- Jest godzina ósma - stwierdził Hładun przygasłym głosem, patrząc na zegar stacyjny - a pociąg miał odejść po północy. Coś nie jest w porządku.

Co nie było w porządku, objaśnił Kanię spotkany na peronie jakiś bardzo rozmowny kolejarz,

- Ten pociąg stoi tu ze dwa tygodnie. Mają w tych wagonach naprawiać instalację elektryczną. To jest pociąg salonowy, zepsuły się kable, bo miały słabą izolację.

- Słabą izolację... - machinalnie powtórzył Kania patrząc na stojących w oknie

wagonu, z ogłupiałymi minami, towarzyszy.

- Przedtem na izolację brali mocno nagumowaną taśmę z dobrego płótna i nie było takich wypadków, a teraz - kolejarz splunął - teraz, niech się tylko dotknie do jakiegoś dobrego przewodnika...

- Dobrego przewodnika... - powtórzył Kania i przez głowę przebiegło mu pytanie, jaki to przewodnik wpakował go do tego pociągu.

- Poza tym powinny być takie porcelanowe korki - wykladał kolejarz - ale w dzisiejszych czasach robi się wszystko byle jak.

- Nie... Rzeczywiście? - wściekle zapytał Kania. Kolejarz popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Z najgorszych materiałów wszystko się robi. Panowie inżynierowie z depôt nieźle łapówki biorą od dostawców, nic więc dziwnego, że przyjmują wszystko, co im dostarczą.

Kania nagłym ruchem naciągnął mu czapkę na oczy i odszedł. Ścigały go dwujęzyczne przekleństwa obrażonego kolejarza.

- Tak jest, koledzy - mówił siedząc na ławce w przedziale - oto zrzędzeniem losu wyjechaliśmy z Koszyc w nocy i rano jesteśmy, wbrew naszej woli, z powrotem.

- A tak pięknie pożegnaliśmy się z tym miastem...

- Pożegnanie to wyłazi mi głową - skarżył się Haber - trzeszczy, jakby miała pęknąć.

- Tak... - ponuro mruknął Szökölön - Węgier Polak dwa bratanki i do szabli, i do szklanki.

- Co teraz? Radźmy, co.

W wyniku narady postanowiono wysłać Habera na stację, aby się poinformował, czy istnieją jakie inne pociągi zdążające do Wiednia, które by odchodziły w ciągu dnia. Haber wywiązał się ze swego zadania aż nadto gorliwie i wraz z ładunkiem butelek wody sodowej przyniósł całą litanię różnych połączeń kolejowych na terenie przynajmniej kilku dyrekcji. Niestety po drodze do wagonu, skutkiem osłabienia władz duchowych, wszystkie te połączenia rozłączyły się i dziwnie poplątały.

- Budapeszt, Köresmőzo, Miskolcz, Ławoczne z przesiadaniem w Nowym Sączu - zgryźliwie osądził Kania. - Diabeł się w tym nie rozezna. Jest zaraz teraz jakaś możliwość wyjazdu do Wiednia?

- O dziewiątej idzie pociąg do granicy. W Ławocznem trzeba się będzie przesiąść do Sanoka - recytował smętnie Haber. - Z Sanoka idzie pociąg pośpieszny do Ołomuńca... nie, z Ławocznego idzie pociąg... Łeb mnie boli...

- Łeb go boli... Dziękuję ci za informacje. Idź, Szökölön, na stację i dowiedz się.

Szökölön zabrał ze sobą puste butelki po wodzie sodowej i wrócił z pełnymi.

- Bezpośredniego pociągu nie ma, tylko z przesiadaniem na granicy galicyjskiej.

- To niedobrze - Kania pokręcił głową. - Galicja jest dla mnie zakazana przynajmniej do końca wojny. Na każdym posterunku żandarmerii jest mój dokładny rysopis z uprzejmą prośbą o przytrzymanie oryginału i odprowadzenie do więzienia wojskowego na Zamarstynowie we Lwowie.

- Jest inne połączenie - wyjaśnił Szökölön - Trzeba jechać do Budapesztu.

- Do Budapesztu?

- Miasto ładne i jest co zwiedzać... Zobaczycie relikwie świętego Stefana.

- A z Budapesztu jest zaraz jakieś połączenie?

- Jest po kilku godzinach.

- Nie rozumiem, jak wy chcecie jechać do tego Wiednia? - zapytał Hładun. - Skoro wsiądziemy do pociągu budapeszteńskiego z dokumentem do Wiednia, to nam pierwszy żandarm wyjaśni omyłkę i zajedziemy za kraty.

- Więc wypełniam zaraz drugi dokument, że jedziemy do Budapesztu, i fertig. Dawaj, Haber, atrament.

- Mielіśmy jechać do Wiednia - zauważył Haber.

- Nie ucieknie Wiedeń, zdążymy jeszcze. Dlaczego niby nie mamy sobie pojeździć trochę?

- Słusznie - potwierdził Baldini - mamy czas. A Budapeszt wart rzeczywiście zwiedzenia. Są tam podobno muzea, godne obejrzenia monumenty, stare kościoły...

- ...stare kryminaly wojskowe, stare sądy wojenne - wtrącił Haber - i starzy żandarmi...

- A co mają do nas żandarmi? - zapytał Hładun.

- Nic - Haber pokiwał głową - mają tylko instrukcję z rysopisami i rozkaz, żeby przy spotkaniu wręczyli nam róże. Idiota! Czy tobie się zdaje, że jesteśmy turystami i podróżujemy dla przyjemności, co? Nie bądźmy zanadto odważni, bo wpadniemy. Zobaczycie, że wpadniemy.

Kania zapalił papierosa.

- Dlaczego mamy wpaść? Haber nakreślił kółko na czole.

- To wino uderzyło ci widocznie na mózg. Czy przypadkiem nie tańczą ci przed oczami białe słonie? Nie? Bo to się takim wariatom zdarza.

Usiadł i przyłożył do ust szyjkę butelki z wodą sodową, a kiedy się ochłodził, mówił dalej zgryźliwie:

- Jeden wariat chce jechać do Wiednia przez Budapeszt, a drugi się pyta, jaki interes

mają do niego żandarmi. Tak jakby naprawdę nie wiedział, że w każdej chwili grozi wsypa. Wam się chyba zdaje, że jedziemy za legalnymi dokumentami i służbowo.

- Nie kracz - przerwał Kania - dokumenty są legalne.

- Ale my jesteśmy nielegalni!

- Dopóki mamy blankiet oryginalnego dokumentu podróży, nikt się do nas nie ma prawa przyczepić.

- Gadaj, co chcesz, a ja wiem tylko jedno, że jak zobaczę żandarma w wagonie, to mnie ściska w dołku.

- O co ci właściwie chodzi? - zapytał Szökölön. - Przecież gdzieś musimy wyjechać, do diabła, nie? W jednym miejscu nie możemy siedzieć.

- To jest racja - wtrącił Hładun. - Dla nas jest tylko jedna szansa: przenosić się z miejsca na miejsce i nigdzie dłużej jak kilka dni nie siedzieć.

- Kiedy w Wiedniu...

- Przymknąłbyś się lepiej z twoim Wiedniem - rozsierdził się Szökölön, którego ból głowy nastrojał wrogo do całego świata. - Nie zapadnie się w ziemię przez dwa tygodnie. Mamy czasu dosyć.

- Nie mam zdrowia do was - odrzekł zrezygnowany Haber - poprzewracało się wam w głowach i fertig. Możemy jechać do Budapesztu i na biegun północny. Już mi wszystko jedno. Tylko, na miłość boską, unikajmy żandarmów!

- Przebierz się w cywilny garnitur, włóż na łeb cylinder i podróżuj pierwszą klasą, a żaden żandarm się do ciebie nie przyczepi - poradził Szökölön trzymając się oburącz za głowę.

- Mm... tak... - westchnął Haber. - Z moim nosem po cywilnemu...

- No więc? - zapytał Kania. - Co zrobimy?

- Jedziemy do Budapesztu - orzekł Baldini. Kania zdecydowanie wyjął z kieszeni wieczne pióro.

- Dawaj, Haber, dokumenty podróży!

Haber sięgnął do wewnętrznej kieszeni bluzy, skąd wydobył pieczołowicie owinięte oryginalne blankiety dokumentów podróży i podał je Kani, który rozłożył je na stoliku pod oknem.

- Trzeba wykombinować jakiś dobry cel podróży. Tak, żebyśmy w żadnym żandarmie nie wzbudzali podejrzania.

- Napisz, że jedziemy pobrać materiał saperski - doradził Hładun.

- A może składnica materiałów saperskich jest gdzie indziej?

Nie można ryzykować. Kania zamyślił się.

- Do Koszyc jechaliśmy po amunicję, więc do Budapesztu możemy jechać po umundurowanie - doradził Szökölön.

- Z Pragi do Budapesztu po umundurowanie? Praga ma własne magazyny korpusowe... nie można. Kania plasnął się ręką w czoło.

- Mam myśl! Kapitalną myśl!

- Wyjechać do Wiednia - domyślił się Haber - przez Budapeszt, Pragę, Lwów, Kraków i Triest... Kania zaczął się śmiać na głos.

- Nie mówiłem, że to z wina? Teraz macie dowód... zwariował! Zamiast się zastanowić nad swoim losem, to ten bałwan się śmieje. Co się stało? Łaskoczcie się coś?

Kania przestał się śmiać i zamaszyście zaczął wypełniać blankiet dokumentu.

- No co? - zapytał Szökölön. - Gdzie ostatecznie jedziemy?

Haber spojrzał przez ramię i w pewnej chwili otworzył szeroko oczy, przetarł je pięściami i rozwarł je jeszcze szerzej:

- Ccooo?

- No co? Odwożę dezertersów do sądu wojennego w Budapeszcie. Wszyscy spojrzeli na Kanię, potem na siebie.

- De-zer-te-rów? - powtórzył Haber. Kania z zadowoleniem skinął głową.

- Dezertersów... nawet niebezpiecznych dezertersów.

- No, dobrze, ale skąd ich weźmiesz? - zapytał Hładun.

- Podzielimy się.

Teraz dopiero rozjaśniło się im w głowach. Pomysł był olśniewający.

- Haber i Baidini będą dezertersami, wy obaj eskortantami, a ja dowódcą. He? Przyszłoby to komu z was do głowy, wy tępe łby baranie?

Haber miał wątpliwości.

- Zaczekaj! Przypuśćmy, że ja będę dezertersem. Czy będę mógł palić papierosa? Będę mógł spać? Nie tylko my sami jedziemy pociągiem. Mamy siedzieć jak mumie? Coś to niewygodnie...

- Będzie bardzo wygodnie, bo dostaniemy oddzielny przedział. Haber osłupiał.

- No! Taka bezczelność przechodzi moje pojęcie - rzekł po chwili milczenia.

- Masz łeb - pochwalił Szökölön - to jest rzeczywiście doskonały pomysł!

- Nie przeciągajmy struny - odezwał się znowu Haber - ja wam mówię, nie przeciągajmy struny, bo będzie źle! Jak żyję, nie słyszałem, żeby dezertersy eskortowali dezertersów.

- Jak byśmy mieli wszystkiego się bać, to nie powinniśmy się ruszać z koszar do końca wojny. We wszystkim jest ryzyko, a kto umie ryzykować, temu się udaje. Nie mamy o czym gadać, bo sprawa jest załatwiona i dokument wystawiony.

Kania rozłożył na stoliku pod oknem blankiet dokumentu podróży.

- "Stacja wyjazdowa"? Jaką stację wyjazdową napisać?

- Różnij te Koszyce.

- Skąd ten pociąg przychodzi, Szökölön?

- Gdzieś z Austrii czy Czech, tu się zatrzymuje tylko kwadrans.

- Stacja wyjazdowa będzie na przykład "Praga" - mówił Kania i napisał to w odpowiedniej rubryce dokumentu. - Stacja przeznaczenia - "Budapeszt". Taak... dalej: "Ein Feldweibel... und vier Mann... (Jeden sierżant... i czterech ludzi...).

PODRÓŻ

Podróżni pociągu przybyłego na stację koszycką, jadącego do Budapesztu, z różnymi uczuciami patrzyli na idącego wzdłuż wagonów feldfebla z rewolwerem u pasa, za którym szli dwaj objuczeni plecakami smutni aresztanci pod opieką dwóch marsowych i srogich eskortantów.

- Ten czarny musi być niezły hycel - mówiła jakaś pani patrząca przez lorgnon⁴ - ale przystojna bestia.

- Dezerterzy.

Jakiś jegomość wykrzykiwał z okna.

- Łajdaki! Należy im się słupek! Inni giną, a takim nie chce się walczyć w obronie ojczyzny. Dobrze wam tak, dranie!

- To ich rozstrzelają? - zapytała panienka z okna wagonu drugiej klasy.

- No, chyba że za dezercję nie dostaną orderów.

- Mój Boże, mój Boże! - westchnęła panienka. - Niechby tego Żyda, ale tego drugiego to szkoda...

- Nie żałuj, panienko! A po co uciekał z frontu? - powiedział Kania, który stał właśnie pod pierwszym wagonem i rozmawiał z kierownikiem pociągu. Otoczyli ich pasażerowie wojskowi i cywilni, między którymi znalazł się elegancki kapitan sztabu generalnego.

- Feldfebel ma rację, panie kolejowy - zaczął interweniować, kiedy usłyszał odmowę dostarczenia oddzielnego przedziału - aresztanci muszą mieć oddzielny przedział.

Kapitan spojrzał na wychyloną z okna damę, poprawił włosy i dodał:

- Takie są przepisy, panie oberkonduktorze.

- Skąd wezmę oddzielny przedział? Z rękawa nie wytrzępię.

- Mógłby pan trochę grzeczniej mówić do oficera - zirytował się kapitan - nie jestem pańskim konduktorem, panie.

- Czy będę grzeczny, czy niegrzeczny, przedziału nie dam, bo nie mam.

Kapitan uważał za stosowne rzucić uwagę, że aresztanci muszą bezwzględnie mieć oddzielny przedział, i odszedł z godnością do swego wagonu.

- Można naprawdę oszaleć widząc, co się wyrabia - biadał oberkonduktor - nie wiem, czy jestem kierownikiem pociągu, czy nim nie jestem. Każdy rządzi się jak szara gęś, a ja tylko chodzę i patrzę, co z tego wyniknie. Z miejsca daj jeden przedział pierwszej klasy dla

⁴ lorgnon (fr.) - ozdobne szkła z rączką

pana generała z adiutantem, bo musi mieć spokój do pracy, opracowuje niby w podróży jakiś plan... zaglądam przez szybkę, a ta bestia śpi jak zarżnięty... Bierz pan sobie oddzielny przedział, panie generale! Potem przychodzi jakichś trzech bubków z ministerstwa aprowizacji. Proszę, panie konduktorze, oddzielny przedział dla komisji. Dobra! Bierz sobie, komisjo, oddzielny przedział! Łupią w karty przez całą drogę. Na końcu ładują ci dwa psy pana namiestnika z Bośni. Jaśnie wielmożne psy muszą jechać oddzielnie, a nie ma psiego wagonu. Dawaj przedział trzeciej klasy! Teraz pan ze swoimi aresztantami... A skąd wezmę przedział?

- Mógłbym się uprzeć i dałby pan, panie oberkonduktorze, ale ja wchodzę w pańskie położenie i sam sobie poradzę.

Kania wszedł do pierwszego wagonu trzeciej klasy i otworzył pierwsze drzwi z brzegu.

- Ten przedział zajęty jest dla aresztantów, proszę wyjść!

Cywilni pasażerowie rzucili złe spojrzenia na objuczony rewolwerem pas srogiego feldfebla i bez protestu zbierali swoje bagaże z siatek. Przywykli już do tego, że są traktowani jak obywatele drugiej klasy, i wiedzieli z doświadczenia, że powoływanie się na prawo do zajmowania miejsca jest równie bezcelowe jak interpelowanie bezradnych konduktorów. Pod wagonem Szökölön musiał napominać żołnierzy, żeby nie gadali z aresztowanymi.

- Cóżes taki hardy? Przyjdzie i na psa mróz. Sympatie wojskowych były całkowicie po stronie dezserterów, którym rzucali papierosy.

- Rozumi który z was po polsku? - zapytał jakiś żołnierz i Haber skinął głową.

- Skąd jesteś?

- To my krajany, bo ja zy Lwowa, co ci mówim - mówił lwowiak rodzinnym akcentem - w drodzy powidz, że ci si chce kichlać i brykaj z wychodka przy oknu... kapujisz? Ja tyż tak raz zrobiłym. Jak wlizisz, zaszpunktuj zaraz drzwi, żeby ni mug si za tobu wtrynić...

- Ta świnią wejdzie za mną - odpowiedział smętnie Haber.

- Maulhalten! Nem sabot! (Nie rozmawiać!) - wrzasnął Szökölön.

- Et, keti, három⁵, naser mater Madziarom! - replikował Iwowiak rymowanym epitetem. - Pocałuj mnie, jańciu... jak bym ci zaiwanil w ferniak, tubyś sy tak imaulzahaltował, żebyś mnie do końca życia zapamiętał! Ta joj! Żyby to na dworcu wy Lwowi było - z zalem zakończył - musiałbyś sy pysk przez miesiąc kurować!

- A może by tak, chłopci, daty jimu w zuby? - pytał jakiś Ukrainiec, ale nikt na to nie

⁵ raz, dwa, trzy (węg.)

odpowiedział, gdyż poza lwowiakiem byli to żołnierze innych narodowości i nie rozumieli.

Kto wie, czy solidarni Galicjanie nie próbowaliby odbić rodaka, gdyby nie wezwanie Kani z okna, który polecił sprowadzić "dezertków" do wagonu. W przedziale wszyscy odsapnęli z ulgą.

- Zgrzałem się - oświadczył Szökölön - myślałem, że mnie pobiją.

- No i widzicie, co znaczy trochę sprytu i bezczelności - przemówił Kania,

Wkrótce pociąg ruszył i Kania wyjął z plecaka karty.

- Zagramy?

- Pan feldfelbel zapomniał, że eskortantom nie wolno grać - zauważył Szökölön - musimy pilnować aresztantów.

- Aresztantom grać nie wolno - oświadczył Haber.

- Przecież chyba nikt do nas nie wejdzie?

- Nie ma klucza od drzwi, może wleźć jakiś... Baldini nie dokończył swego przypuszczenia precyzującego, kto by mógł wleźć, i w tym momencie wlaźł ktoś, kto był najmniej pożądany, a mianowicie wachmistrz żandarmerii, i wciągnął za sobą skutego kajdanami cywila. Widząc wchodzącego żandarma Haber wcisnął czapkę na głowę i cicho jęknął.

- Dowiedziałem się, że jest zarezerwowany przedział dla aresztantów, i przyszedłem. Skąd pan ich wiezie? - zapytał żandarm osowiałego nagle Kanię.

- Z Pragi.

- Do Budapesztu, nie?

Kania powiódł oczami po twarzach swoich dezertków i eskorty i skrzywił się.

- Do Budapesztu.

- No, to dobrze, bo ja mego też tam wiozę. Szpieg. Siadaj, bracie, koło tych dwóch dezertków. Cywil z drwiącym uśmiechem zajął miejsce obok Habera.

- Taki sam szpieg jak pan.

Wachmistrz usiadł naprzeciw Kani pod oknem i zdjął czapkę.

- Podobnie hardego drania jeszcze nie eskortowałem. Jeżeli nie przestaniesz gadać, zaknebluję ci pysk. I to od dwóch godzin tak gada - poskarżył się Kania.

- Będziecie wy mieli za mnie! - groził cywil obiema skutymi dłońmi. - Łapią człowieka na ulicy z aparatem fotograficznym i aresztują. A ja jestem zawodowy fotograf i całe miasto mnie zna... matoly głupie! Szpieg będzie spacerował z aparatem po ulicy w biały dzień, co?

- I tak od początku - mówił wachmistrz do Kani - nazywa mnie matolem, idiotą, osłem

i pomiata jak poganinem! Ech, ty! Przecież będziesz dyndał.

Cywil parsknął śmiechem i wachmistrz machnął ręką. Zaczął rozmowę z Kanią, który upadł zupełnie na duchu i odpowiadał mu półgębkiem, czym rozmowny żandarm bynajmniej się nie zniechęcał.

- Pozwoli pan, kolego, że zwrócę panu uwagę na coś, co panu może przysporzyć wiele nieprzyjemności.

- No? - zaniepokoił się Kania.

- Eskorta powinna siedzieć przy drzwiach. Jestem przekonany, że pierwszy żandarm kontrolny zwróci na to uwagę i gotów Przesłać meldunek na pana do pańskiej władzy przełożonej. Co do tego przepisy są całkiem wyraźne.

Ciekaw jestem, do jakiej władzy przełożonej mógłby napisać meldunek, pomyślał Kania i zwrócił się do ponurych eskortantów:

- Siadajcie przy drzwiach, wy!

Szökölön z westchnieniem usiadł przy drzwiach na wprost Hładuna. Wachmistrz był, jak widać, rygorystą i nie mógł znieść niczego, co sprzeciwiało się przepisom.

- Jeszcze większym grzechem jest eskortowanie aresztantów nie skutych kajdankami. Przecież oni mogą wykorzystać nieuwagę eskorty i zwać, panie kolego.

Kania spojrzał na wachmistrza tak wrogo i nienawistnie, że gdyby spojrzenia mogły zabijać, żandarm byłby w następnej chwili trupem.

- Tak to właśnie jest, kiedy żandarmów powysyłali na front, teraz oddział sam spełnia tę służbę i naturalnie wbrew zdrowej logice.

- Oni nie uciekną - zauważył Kania - są za głupi na to. Baldini zrobił taką minę, jakby chciał za wszelką cenę potwierdzić tę opinię.

- Pozory mylą, kolego. - Wachmistrz pokiwał głową. - Niech pan weźmie pod uwagę psychikę takiego dezertera. Uczyliśmy się tych rzeczy w szkole żandarmerii i może mi pan wierzyć, że moje doświadczenia potwierdziły to wielokrotnie. Grozi mu słupek albo, powiedzmy, stryczek, w zależności od okoliczności, w jakich popełnił dezercję. W tym wypadku bierze się pod uwagę dezercję w warunkach więcej lub mniej hańbiących, więc z oddziału frontowego, z tchórzostwa, w ataku i tak dalej. Jak oni uciekli?

- Oni? Oni uciekli hańbiąco, to jest tego... w obliczu nieprzyjaciela.

- Podczas bitwy? - dopytywał się dokładnie Wachmistrz. Kania głęboko westchnął.

- Z odwodu.

- To jest różnica - wyjaśnił z rutyną wachmistrz. - Z odwodu to nie znaczy w obliczu nieprzyjaciela. Sąd te rzeczy rozróżnia bardzo szczegółowo. A więc grozi im, dajmy na to,

słupek. O czym, według pana, oni w tej chwili myślą?

- O śmierci - przemówił cywil - robią rachunek sumienia i żałują za grzechy.

- Stul pysk! - mało uprzejmie przerwał wachmistrz. - Radziłbym tobie zrobić rachunek sumienia. Nie będziesz przynajmniej długo głowy zawracał kapelanowi pod szubienicą. Nie, ja cię, bestio, zaknebluję, jeżeli nie przestaniesz się wtrącać!

Kania z sympatią spojrział na beztroskiego szpiega.

- Więc, jak panu się zdaje? - powtórzył pytanie wachmistrz. ogłupiony długoletnią służbą łapacza austriackiego - o czym oni myślą?

- Nie wiem, nie służyłem, uważa pan, w żandarmerii...

- O ucieczce, tylko o ucieczce! Wykładowcami w szkole żandarmierii są tacy psychologowie, że znają bieg myśli każdego rodzaju przestępcy. Ale za dużo by o tym gadać i nie będę panu tym zawracał głowy.

Kania odetchnął z ulgą, lecz wachmistrz zaczął mówić dalej, więc z rezygnacją opuścił głowę na piersi.

Dziej się wola Twoja, Panie, pomyślał.

- Podam panu przykład elementarny - niezmordowanie znęcał się nad nim wachmistrz.

- Co pan robi, jeżeli, na przykład, ten czarny zamelduje panu, że musi się wypróżnić?

- Rozumie się, że pójdzie z nim jeden eskortant i będzie go pilnował.

- W środku czy pod drzwiami? Kania zamyslił się.

- W środku.

Wachmistrz chytrze się uśmiechnął.

- I naturalnie, jest pan przekonany, że to jest dobrze?

- Myślę, że dobrze?

- He, he, he... właśnie, że źle. Uważaj pan: klozet jest ciasny i wąski. Co robi dezertter? Próbuje rozbroić eskortanta. I może mu się to udać, zważywszy, że tamten nie spodziewa się wcale napaści i prawdopodobnie stoi odwrócony tyłem i wygląda przez okno - wachmistrz coś sobie przypomniał niemiłego i splunął - zwykle tak robi taki cymbał! Zamiast pilnować aresztanta podziwiał krajobraz.

- Myle, że wobec tego eskortant powinien stać pod drzwiami - przygasłym głosem odezwał się Kania.

- Jeszcze gorzej... zatrzaskuje drzwi przed nosem eskortanta i wieje panu przez okno...

Ale nas zbaw ode złego, pobożnie pomyślał Kania, a najprędzej od tego szatana. Fachowe pytania wachmistrza doprowadziły go do furii.

- Nie pozwalam zupełnie wyjść i koniec! Niech się drań wstrzyma do stacji

przeznaczenia, gdzie go oddam w ręce żandarmerii. Wtedy się będzie mógł wykasztanić w myśl przepisów.

- To panu narobi w portki i zasmrodzi cały przedział - zareplikował z miejsca wachmistrz.

Nie wytrzymam - stwierdził w myśli Kania.

- Wychodzi więc na moje, że muszą być skuci kajdankami. Dopiero wtedy może go pan puścić do ustępu, ale drzwi muszą być otwarte.

- A to dlatego - uzupełnił cywil - żeby ten eskortant wiedział, kiedy ma aresztanta podetrzeć.

- Ten człowiek prosi się gwałtownie o knebel - stwierdził wachmistrz - i zrobię to!

- Skuty sam się nie podetrze - uzasadniał dalej szpieg - a pomijając i to, panie feldfeblu, ktoś musi odpiąć i zapiąć spodnie. Jest to jasne dla każdego rozsądnego człowieka.

Wachmistrz nie znalazł widać w swoich przepisach wyjaśnienia tej prostej sytuacji i nie zwracając uwagi na szpiega dalej mówił do Kani:

- Radzę więc panu zakuć ich bezzwłocznie, dopóki nie było kontroli. Na tej linii kontrolują czasem i oficerowie, a nie życzę najgorszemu wrogowi dostać się w ręce oficera żandarmerii z okręgu koszyckiego. Szczerze to panu mówię.

- Może ma pan i rację, panie wachmistrzu, ale ja nie mam ich czym skuć.

Wachmistrz wesoło się uśmiechnął i odpiął torbę.

- To jest najmniejsze zmartwienie - mówił z zadowoleniem, podając Kani kajdanki - kajdan w Austrii nie zbraknie, chwała Bogu! Pożyczę je panu do Budapesztu.

Cztery westchnięcia jednocześnie smętnym miserere podkreśliły swoje uznanie dla uczynności żandarma. Wachmistrz to zauważył.

- Wzdychacie, draniulki! Nie w smak wam to będzie? Widzi pan z tego, panie kolego, że miałem rację. Dopiero teraz się przekonali, że z ucieczki nic nie będzie. Tak jest, mili braciszku, pokielbałem wam plany! Zakuwaj ich pan, kolego!

Kania stał przed aresztantami z łańcuszkiem w ręce z wyrazem twarzy, który żandarm uznał za bezradność i odebrał mu łańcuszek.

- Widzę, że pan nie wie, jak się to robi. Pozwól pan mnie, to pomogę. Wstawaj, ty Cyganie! - krzyknął na Baldiniego. - Ponieważ jest ich dwóch, a łańcuszek jeden, więc kuje się w ten sposób. Jego ręka lewa do tamtej ręki prawej, ale ściśle... tak... następnie wkłada się zatrzask kłódki w ogniwo przy samych napięstkach, żeby nie było luźno, i pozostaje jeszcze pół metra do trzymania w ręku, na wszelki wypadek. Jak widzę, nie podoba się to wam? A ty, czarny, tak się na mnie nie patrz, bo w zęby możesz dostać!

Wachmistrz zamknął kłódeczkę i kluczyc włożył do kieszeni.

- W Budapeszcie sam ich panu rozkuję.

- Schluss! - z ukłonem w stronę Habera szepnął Hładun.

Kania popatrzył na wachmistrza takim wzrokiem jak jastrząb na kurczaka, którego za chwilę rozedrze na strzępy. Przemógł się jednak i uprzejmie mu podziękował.

- Może wypije pan ze mną szklaneczkę?

- Teraz można wypić - orzekł wachmistrz - ma pan poczucie dobrze spełnionego obowiązku i jest pan zabezpieczony przed nieprzyjemnościami. A jeden z eskorty może nawet spać, jeśli drugi będzie trzymał koniec łańcuszka w ręce.

Do przedziału zajązwał przez odsunięte drzwi żandarm kontrolny, ale ujrzawszy skutych aresztantów i wachmistrza zasałutował i odszedł. Wachmistrz wypił kubek wina i z zadowoleniem mlasnął językiem o podniebienie.

- Niezłe, chyba tokajskie.

- Mam jeszcze kilka butelek. Pańskie zdrowie! Aresztanci poczuli wino i zaczęli się wiercić, jakby siedzieli na rozżarzonych węglach.

- Rozumiem - rzekł bystry żandarm - łaskocze was podniebienie. Zwiąłeś sobie, jeden z drugim, z frontu, miej pretensję do siebie. Gdybyś był porządnym żołnierzem, miałbyś teraz prawo wypić. Ale jeszcze będziesz mógł - pocieszał dezertarów - pod słupkiem! Kiedy cię zapytają o ostatnie życzenie...

- Mam cię w d.... - mruknął Haber.

- Co? Po jakimu on mówi?

- Po polsku - poinformował Kania.

- Trzymaj lepiej gębę zamkniętą, bo ci gadać nie wolno, a jeśli już gadasz i dowódca eskorty na to pozwala, gadaj w ludzkim języku, świnió.

- Polski jest też ludzki - zauważył cywil. Wachmistrz spojrzwał na niego groźnie, ale cywil śmiał mu się w oczy, więc machnął ręką.

- Nie będę sobie psuł tobą nerwów, szpiegu! Wiem, że stoisz w obliczu śmierci i to haniebnej śmierci, więc wybaczymy ci, gadaj! I tak nie słucham.

Szökölön od dłuższego już czasu majstrował przy jednym z plecaków, z którego nieznacznie wyjął butelkę i włożył ją do kieszeni, Kania zaś zaczął z wachmistrzem rozmowę na temat szpiegostwa wojennego i odwracał jego uwagę od eskorty i więźniów. Cywil zaczął się natarczywie domagać zapalenia papierosa.

- Nie wolno i koniec! Będziesz miał prawo zapalić pod słupkiem, kiedy cię zapytają o ostatnie życzenie.

- Pozwól mu pan zapalić - wstawił się za im Kania - i tak już więcej przyjemności w życiu nie będzie miał.

- Zapal sobie, hyclu!

Szpieg dosyć zgrabnie wy dostał z kieszeni marynarki papierosy i podał je dezenterom.

- Nie wiem, czy wolno - ze złym spojrzeniem, rzuconym na Kanię, rzekł Haber.

- Wolno, wolno - szybko zezwolił pan dowódca eskorty. - Palcie i wy.

- I dziękujcie Opatrzności, że wam dała takiego dowódcę - dodał wachmistrz, któremu się język zaczął plątać - inny nie pozwoliliby na pewno.

Zapalili wszyscy, nie wyłączając eskorty. Kania zaczął z wachmistrzem rozmowę na temat położenia na frontach i wachmistrz plótł bzdury, od których słabo się robiło. Gadanie to prawdopodobnie rozstroiło żołądek Baldiniemu, gdyż zażądał wyprowadzenia do ustępu.

- Zaczekaj, aż twój przyjaciel zechce - doradził wachmistrz. Szökölön trącił nogą Habera i oczami wskazał kieszeń.

- Mnie się też chce.

- Widzi pan, jaka to solidarność między tymi draniami? Wiedziałem, że tak powie. Ja, kolego, nie chwając się, znam swoich pupilów. Może ich pan prowadzić, tylko łańcuszka niech pan z ręki nie wypuszcza - pouczył Szökölöna.

Za ich powrotem, po dosyć długiej nieobecności, cywil poczuł mocny zapach wina i pytająco spojrział na Habera.

- Chcesz się napić? - zapytał go ten szeptem. - Poproś, żeby ci pozwolił pójść z tym drugim z eskorty.

Wachmistrz skorzystał z uprzejmości Hładuna, który z butelką w kieszeni wyprowadził cywila. Kiedy powrócili, atmosfera w przedziale wybitnie przypominała winiarnię.

- Ale mocny ten tokaj, bo mocny - zauważył wachmistrz - i silnie pachnie.

- Pozwoli pan jeszcze? Pańskie zdrowie.

Trójka skutych zbrodniarzy, zamiast robić rachunek sumienia, z ożywieniem zaczęła rozmawiać, co wachmistrz też zauważył i pokręcił głową.

- Pewno recydywiści; takim to wszystko jedno, bo wiedzą, że tak czy owak skończą na szubienicy.

Recydywiści dostali widać biegunki; co kwadrans to jeden, to drugi żądali wyprowadzenia i za każdym powrotem twarze ich nabierały kolorów. Najgorsze z tego wszystkiego było to, że cywil zaraził się biegunką od dezenterów i również natrętnie domagał się wyprowadzenia.

- Wściekłeś się, człowieku? Dopiero byłeś.

- Narzę w portki! - groził wachmistrzowi. - Mnie wszystko jedno! Mogę pójść na tamten świat zafajdany. A spodnie każę przesłać panu.

- Przeszanę się litować i rzeczywiście dam ci w pysk - uniósł się wachmistrz - za bardzo się rozzuchwaliłeś!

- Puszczaj mnie pan, czy nie?

- Nie.

- Robię w spodnie!

Kania zaczął interweniować:

- Niech mu pan pozwoli wyjść, bo gotów dotrzymać słowa. Też niegorszy z niego ptaszek. Wyprowadź go, Hładun!

Następnie wstał z miejsca i przezornie przesunął plecaki w swoją stronę.

- Spijecie się i będzie kram - półgłosem rzekł do szczypiącego go w pośladek Habera.

- Będę robił awantury - groził Haber - zostaw wino!

- To cię zwiążę i pysk zaknebluję - odwzajemnił się Kania. Wachmistrz zaczął się kiwać.

- Spać mi się chce - zwierzył się ziewając.

- Możemy zagrać w zechcyka - zaproponował Kania.

- Lubię grać w trójkę.

- Siadaj, Szakölön - zaprosił Kania patrząc na wachmistrza.

Wypity tokaj osłabił widocznie żelazne obręcze nakazów regulaminowych otaczających jego mózg, gdyż nie sprzeciwił się. Wyraził tylko jedno zastrzeżenie.

- Sądzę, że jesteście rozumnym człowiekiem i nie tego...

- Z pewnością nie tego, panie wachmistrzu - zapewnił go Szökölön. Wachmistrz podejrzliwie spojrzał na niego.

- Chciałem powiedzieć, żebyście się nie spoufalali zanadto. Bo tak zwykle bywa.

- Niechby się spoufalił. Nie doliczyłby swoich zębów do Budapesztu. Nie spoufalaj się, ty byku! - przestrzegął go Kania.

Aresztanci rozmawiali między sobą i palili papierosy z taką swobodą, jakby im wcale nie groziła śmierć pod słupkiem. Widać było, że są niezadowoleni z przymusowej bezczynności i niezadowolenie swoje wyrażali w ciągłych docinkach, w których celował fotograf.

- Człowiek, który ma trochę oleju w głowie, wychodzi w takim wypadku w waleta, jeżeli wie, że jego partner ma czym przebić. Ale żandarm wychodzi po żandarmsku. Na

odwrót. Ze wszystkich ludzi na świecie, jakich znałem, najmniej rozumu miewają żandarmi. To jest specjalny gatunek człowieka. Kiedykolwiek miałem zrobić zdjęcie żandarma, uciekałem drugimi drzwiami i zostawiałem żonę. Nie chciałem ich za nic fotografować, bo się taka fotografia nigdy nie udała. Każę mu zrobić uśmiechniętą minę, a on stoi przed obiektywem jak pies przed kotem. Potem miał taki do mnie pretensję: czy ja tak naprawdę wyglądam? Przecież to nie ja... I więcej miałem kramu niż zarobku.

- Na ciebie, draniu pyskаты, to nawet szkoda ręki. Przypuśćmy, żebym ci dał teraz w zęby. Ale satysfakcji żadnej z tego nie będę miał. Nie dam się sprowokować takiemu bezczelnemu łotrowi! Flegma i zimna krew - oto główne cnoty żandarma. Wychodzę w kiery, panie kolego.

- Żandarmi, to rzeczywiście dziwne stworzenia - wywodził dalej cywil - pan musi mieć czarne podniebienie, kochany wachmistrzu.

- Nie dam ci po gębie, bratku, możesz gadać, co ci ślina na język przyniesie... Biję atutem, panie kolego.

- Z pewnością, szanowni panowie, ma czarne podniebienie. Powiadają, że zły pies ma podniebienie czarne... W asa trzeba było wyjść, drogi opiekunie.

- Ma rację - poparł Haber cywila - rzeczywiście trzeba było wyjść w tego asa, a nie marynować go niepotrzebnie.

- A wy pysk trzymajcie zamknięty! - zgromił go wachmistrz. - Z wami patyczkować się nie będę!

- Przepraszam pana, ale nie mogę patrzeć, kiedy ktoś źle wychodzi, i muszę kibicować, mam taką naturę.

- Pokibicują ci - ze złośliwą uciechą replikował wachmistrz - z dwunastu karabinów od razu!

Haber skrzywił się jakby do płaczu i głęboko westchnął. Przypomnienie wachmistrza podziało szczególnie deprymująco na Baldiniego, który najpierw chlipnął nosem, a następnie otwarcie zaczął szlochać.

- Mój Boże, w takim młodym wieku zejść z tego świata! Ludzie dalej będą się kochali, drzewa będą kwitły i kwiaty będą pachniały, i słowiki będą śpiewały, różni panowie feldfeble będą grali w zechcyka, a ja nigdy tego wszystkiego już nie będę widział i słyszał!

Cywil ryknął jak żubr z wielkiej żałości.

- Przestaniecie wy lamentować, czy nie! - wrzasnął wachmistrz. - Grać nie można! Oświadczenie to spotęgowało rozpacz skazańców.

- Jemu granie w głowie - zawodził Haber. - Człowiek za dwa dni będzie gryzł piasek,

a tu o graniu myślą.

- Stulić gęby! - wrzasnął znowu wachmistrz. Kania zgarnął z rezygnacją karty.

- Z tego grania już nic nie będzie... Wachmistrz zaczął wściekle wymyślać cywilowi.

- Przecież ja wiem, że ty tak naumyślnie, żeby przeszkodzić w grze, ty świnió!

Cywil spojrział na niego przez załzawione oczy.

- Słowo daję, że pan zgadł - odpowiedział ze skrzywieniem twarzy, jakby za chwilę chciał znowu ryknąć.

- Ach, ty!

- Bo mnie się nudzi siedzieć - poinformował beczelnie żandarma.

- Takie to czasy nastały - ze złością odezwał się wachmistrz do Kani, który nasunął czapkę na oczy i oparł głowę o ścianę. - Taki zbój terroryzuje mnie, a ja nic nie mogę na to poradzić, bo może zameldować w sądzie, że go biłem, i zaraz z tego wychodzi znęcanie się nad bezbronnym i w gazetach mnie osmarują. Z cywilami musi się być ostrożnym, panie kolego, żeby nie wpaść.

Żałosny lament ustał.

- Co to za złodzieje - westchnął wachmistrz - już im nie żal życia! Aby tylko nam przeszkodzić.

Kania udawał, że śpi, i nie odpowiadał.

W przedziale nastała cisza, w którą wpadł monotony turkot kół wagonu na złączach szyn i wachmistrz, któremu wino uderzyło do głowy, zaczął się kiwać. Za każdym razem, kiedy głowa jego opadała nisko na pierś, otwierał oczy i kierował je na cywila. Zmęczył się tym półsnem i wreszcie poprosił Szökölöna, żeby dawał baczenie na szpiega.

- Mnie nie ucieknie, panie wachmistrzu, może pan spokojnie spać. Wachmistrz sprawdził kajdanki.

- Tymczasem się trzymają - uspokoił go cywil - ale jak pan tylko usnie, wyjmę z kieszeni piłkę i przepiłuję.

- Piłuj nawet językiem, draniu przeklęty! Że ci się chce dowcipkować. Z takiego jak ty powinno się drzeć pasy i w dodatku solić! Jesteś zatwardziałym zbrojnym!

- Takim już pozostanę. To lepsze niż być żandarmem. Lulaj pan spokojnie i niech się panu przyśnią wszyscy przez pana wyekspediowani na tamten świat. Przyjemnych marzeń.

- Ty bestio!

Wachmistrz stracił ochotę do moralizowania i nasunawszy czapkę na twarz wcisnął się w kąt wagonu i zaraz usnął.

- Popatrzcie, panowie, jak sobie słodko śpią te bydłeta - odezwał się cywil. - A ty

siedź do samego Budapesztu jak idiota. Mają panowie jeszcze wino?

- Ma feldfelbel - poufnie komunikował Szökölön - trzeba będzie mu zwędzić jedną butelczynę.

- To już lepiej dwie - doradził Baldini.

- Ale nie uciekniecie, co? - upewniał się Szökölön.

- Żebyście się spili jak te barany, nie uciekniemy - obiecał Haber. - Koledze świństwa nie zrobimy.

Szökölön ostrożnie wyjął z plecaka dwie butelki wina i czule się do nich uśmiechnął. Po chwili popijali sobie przy brzęku kajdan i uważali tylko, żeby kto niespodziewanie nie wszedł do przedziału. Cywil był bardzo wesołym człowiekiem i dzielnie dotrzymywał im placu w osuszaniu butelek. Szökölön jeszcze dwa razy dobierał się do zapasów i w rezultacie przed nocą konwojencji, zmieszani z aresztowanymi, spali bezładnie porozwalani na ławkach w sposób wywracający do góry nogami nauki wachmistrza.

Konduktor, który wszedł do przedziału celem skontrolowania biletów, z trudem obudził wachmistrza, uważanego przez niego za dowódcę całego transportu.

Wachmistrz otworzył mętne oczy i żwawo zerwał się na nogi. Kiedy zobaczył śpiącego cywila, odetchnął. Ale jednocześnie zauważył twardy sen eskorty i zaczął szamotać Kanię.

- E, kolego! Popatrz, z łaski swojej, na twój transport! Kania podał konduktorowi bilet, a kiedy ten go przedziurkował i wyszedł, zaczął budzić niekarną eskortę.

- Obudźcie się, bydlęta!

Szarpięty za ramię Szökölön usiadł i z zamkniętymi oczami meldował swoją obecność:

- Hier!

- Hier... hier... zobacz, jak pilnujesz aresztantów! Pobudzić wszystkich!

- Za to powinien siedzieć najmniej trzy tygodnie. I drugi tak samo - orzekł wachmistrz. - Całe szczęście, że nie uciekli.

Kania popatrzył na niego i głęboko westchnął. Obudzeni więźniowie ziewali straszliwie.

- Wy świnie - gromił eskortę Kania - wy śmierdziele afrykańskie! Wy wielbłądy parszywe! Tak się pełni służbę eskortanta? Dam ja wam, tylko wrócimy do regimentu.

Szökölön służył mu się tłumaczył, ale Kania nie słuchał go i uciął krótkim: mauhalten!

- Okropnie się wszystko rozpuściło - narzekał wachmistrz. - Pamiętam, jak odwoziłem

pierwszego aresztanta, a było to ze dwadzieścia lat temu. Przez cały czas oka z niego nie spuszczałem, na każdy ruch zwracałem uwagę, a podejrzany był o kradzież pięciu koron koledze, za co mu groziło, bo ja wiem, może trzy miesiące. Ale rozkaz był dla mnie święty. Pilnować, to pilnować. Teraz tego nie ma. Eskortantowi wszystko jedno, kogo odwozi, i serce go wcale nie boli, kiedy mu zwieje. Zwiął, to zwiął - myśli taki nieobowiązkowy idiota - świat się nie zawali, a kiedy stanie przed sądem, udaje, że płacze. Wlepią mu kilka miesięcy, to jest szczęśliwy, że nie potrzebuje chodzić na ćwiczenia i może się w kryminale wyspać. Jeżeli wojna potrwa jeszcze cztery lata...

- Ile? - przerwał Haber. - Niedoczekanie pańskie!

- Każ mu pan, kolego, zamknąć cyferblat, bo mu gotów jestem jaką krzywdę zrobić - prosił wachmistrz.

- Zamknij cyferblat - rozkazał Kania i Haber zamilkł pokornie.

Zluzował go cywil i zaczął wywodzić, że wojna musi się skończyć, ponieważ zabrakło szpiegów i żandarmi nie mają kogo aresztować, wobec czego powołani będą na front, gdzie ukazanie się ich od razu rozstrzygnie wojnę; zaaresztują nieprzyjaciela i koniec.

Baldini poparł to oświadczenie twierdzeniem, że wojna się skończy skutkiem nagminnej dezercji, i jako przykład podał siebie, przy czym wyliczył, że jeżeli codziennie dezertuje pięć tysięcy ludzi, których eskortuje piętnaście tysięcy szeregowców i podoficerów, to wynika z tego osłabienie oddziałów wydzielających eskortę, co wpływa ujemnie na akcję na froncie, a ponieważ miesięcznie daje to sto pięćdziesiąt tysięcy dezertorów i blisko pół miliona eskorty, więc po sześciu miesiącach cyfra dezertorów zwiększy się przez proste mnożenie do blisko miliona dezertorów i trzech milionów eskorty. Chciał jeszcze obliczyć, ile to wypadnie na rok, ale nie pozwolił mu wachmistrz, który wszedł na niego z pyskiem i Baldini zamilkł. W przedziale zapanował nastrój wybitnie kryminalny. Więźniowie stracili ochotę do rozmowy, nieustannie przywoływani do porządku przez wachmistrza, który szybko się irtował.

Kania udawał, że znowu zasypia, eskortanci zaś siedzieli z takimi minami, jakby nie mogli przełknąć przysłowiowego kija.

- Za godzinę Budapeszt - oznajmił po dłuższym milczeniu wachmistrz - kontroli chyba nie będzie i można rozkuć pańskich zbójów.

Kania podziękował mu za wyświadczoną przysługę i zaproponował kubek tokaju.

- Ale tylko jeden - zgodził się wachmistrz - bo mi łeb trzeszczy, jakby miał za chwilę pęknąć.

Wypił i mlasnął przy akompaniamencie trzech identycznych młasińców.

- Dranie! Przedrzeźniają człowieka, takie, takie... - nie znalazł właściwego określenia i zakończył krótko: - I tak niedługo pożyjecie! Przedrzeźniajcie...

Okrzyki konduktorów na stacji w Budapeszcie przywitali nasi bohaterowie z westchnieniem ogromnej ulgi. Cywil uściśnął uwolnione od kajdanów dłonie aresztantów. - Jak będziecie kiedy w Koszycach, wstąpcie do mnie, panowie.

- Ty się z nimi umawiaj na tamtym świecie, gdzie się niezawodnie prędko spotkacie.

Po wyjściu wachmistrza z przedziału Kania od razu rozłożył ręce bezradnie.

- Udało ci się z tym pomysłem eskorty - zaczął Haber - rzeczywiście mieliśmy oddzielny przedział! I swobodę mieliśmy.

- A lewa ręka spuchła mi jak konewka - skarżył się Baldini - zupełnie bezwładna...

- Stało się.

- Tobie to dobrze powiedzieć. Na przyszły raz zakujemy ciebie.

- Ubierać się, wysiadamy!

W BUDAPESZCIE

Budapeszt jest pięknym miastem. Aby zwiedzić wszystkie osobliwości tego pięknego grodu, dwóch dni, na które opiewał dokument, było stanowczo za mało. Trzeba przecież było wziąć pod uwagę różnorodność różnych lokali rozrywkowych, nastroczających sposobność do wielu wrażeń. Poza tym trudno zaprzeczyć, że mieszkanki Budapesztu są rzeczywiście ponętnymi niewiastami,

- Mam jeszcze trzy czyste blankiety dokumentów podróży i przeszło tysiąc koron - mówił rankiem trzeciego dnia Kania - nie widzę więc potrzeby takiego raptownego wyjazdu z Budapesztu.

- Mieliśmy jechać do Wiednia - zauważył Haber.

- Na punkcie Wiednia dostałeś jakiejś manii. Zdamy.

Z wyjątkiem Habera, któremu tęskno było do żony, wszyscy byli za przedłużeniem pobytu w Budapeszcie. Nowy dokument usprawiedliwiał ich pobyt w mieście koniecznością pobrania masek gazowych dla dywizji walczącej nad Piawą, a czynność ta wymagała, według tego dokumentu, całego tygodnia. Feldfebel w komendzie miasta nie widział przeszkód do wystawienia indywidualnych przepustek na podstawie dokumentu podróży, opatrzonego zresztą nie tylko nieczytelnym podpisem, ale i słabo odcisniętą pieczęcią; Kania wolał bowiem uniknąć sytuacji, w której musiałby udowadniać, że w numerze dywizji, do której mieli należeć, zamiast trójki wyszła ósemka lub odwrotnie.

Podoficerowie komendy miasta mieli jednak dużo roboty i nie zwracali na takie rzeczy wielkiej uwagi, tym bardziej że Kania zameldował się wieczorem, a oświetlenie w komendzie miasta było słabe; po wtóre, jego ordery i pewność siebie nakazywały szacunek, jaki zresztą zawsze czuje podoficer tyłowy do podoficera z frontu.

Dzięki przepustkom mogli chodzić oddzielnie. Szökölön przewodził Haberowi z Hładunem. Baldiniego wziął sobie do towarzystwa Kania, mianując go jednorocznym ochotnikiem, co razem z naszymi odznakami na rękawach kosztowało dwie korony; był to sposób na żandarmów, którym przyjaźń feldfebla ze zwykłym szeregowcem mogłaby się wydać podejrzana. W Budapeszcie w owym czasie największym powodzeniem cieszyły się restauracje, w których usługiwały kelnerki. Działo się to po części z tego powodu, że zabrakło mężczyzn, a po wtóre lokale takie zyskiwały na atrakcyjności. Do takiego lokalu, z którego na ulicę wydobywały się dźwięki orkiestry cygańskiej, drugiego dnia pobytu w Budapeszcie weszli i zajęli stolik: Szökölön, Hładun i Haber. Natychmiast podeszła do nich czarnowłosa i

czarnobrewa kelnerka. Obrzuciła ich baczny spojrzeniem i usłudze czekała na zamówienie. Było ono widać bardzo skomplikowane, gdyż musiała uciec się do pomocy boczka. Ogromne dwie sale wypełnione były tłumem wojskowych odzianych w szare mundury.

Kapela cygańska wygrywała wiedeńskie walczyki i popularne melodie węgierskich czardaszów, które znakomicie podnosiły nastrój publiczności, przytupywania zaś wojskowych oraz tu i ówdzie rozlegające się urywki granych melodii wskazywały na to, że staremu prymicie cygańskiemu w czerwonej, szamerowanej kamizelce dobrze są znane gusta gości.

Znaczone krwią i kośćmi ludzkimi szlaki śmierci, ciągnące się wzdłuż Europy i przerywane ją w kilku kierunkach, były daleko i rżenia konających nie dochodziły do wesołych kawiarni i restauracji z damską obsługą.

Niektórzy wojskowi mieli mundury poplamione rdzawymi plamami, które niełatwo dawały się zmyć z szarego materiału, w jaki odziewano mięso armatnie. Wczoraj śmierć szczyrzyła zęby do takiego gościa, dziś on sam szczyrzy je do dziewczyny, aby jutro szczyrzyć je, być może, w trupim uśmiechu, do słońca, na skalnych cmentarzach włoskiego frontu.

Tutaj jednak nie myślano o tych przykrych rzeczach. Szökölön jedząc przyniesiony kotlet był z niego po kilku kęsach niezadowolony i przywołał kelnerkę.

- To jest podeszwa.

- I to podeszwa z nie wyprawionego rzemienia - uzupełnił Haber.

- Niech no panienska obejrzy kucharce trzewiki, czy nie zgubiła zelówki. Mogła ją przez omyłkę włożyć na patelnię i usmażyć.

- Jeżeli kotlety są twarde, można je jeszcze podsmażyć.

- Dziękuję, używanych kotletów nie jadamy.

- Może panowie zamówią co innego. Mogę zamienić. Mamy świeżą baraninę.

- Baraniny, czarnulko, mamy dosyć na froncie. Gdyby tak, na przykład, jaką indyczkę albo, dajmy na to, bażancinę, to owszem, zamieniaj pani...

- Oho!

- Co, "oho", wyginęły wszystkie? Drobiu się jeszcze nie asenteruje do służby na froncie.

- Bardzo to drogie, proszę pana, w dzisiejszych czasach. Może panowie życzą sobie skosztować firmowego gulaszu? Szökölön zmrużył oko.

- Ja jestem Madziar, filutko, i m n i e na firmowy gulasz nie nabierzesz. Od pięciu dni chodzę po Budapeszcie i ani jednego kota nie spotkałem - mówił patrząc ubawionej

kelnerce w oczy - a im mniej kotów na ulicach, tym więcej tego firmowego gulaszu w restauracjach.

- Więc co panowie sobie życzą?

- Parówek, dziecko kochane. Osiem par z chrzanem. Tylko żeby mi która nie zaczęła wierzgać na talerzu. Konie węgierskie bywają narowiste...

- Mamy tylko wieprzowe... Ale panowie wybredni, swoją drogą.

- Jeżeli się wstępuje na kilka dni z frontu do kraju i jutro się tam wraca, to trzeba sobie użyć, nie? Kelnerka ze współczuciem westchnęła.

- Żeby się ta wojna już skończyła...

- Po co? Chyba wy na wojnę nie możecie narzekać.

- Mam męża na froncie rosyjskim.

- E... taki to tam front. Żeby na włoskim, tam, gdzie my, to co innego. Na rosyjskim grają z bolszewikami w karty i obrabiają moskiewki.

- Bezwstydny pan jest!

- Ma pani słuszność. Rzeczywiście jestem bezwstydny - przyznał Szökölön - ale to nie moja wina. Niech pani popatrzy na te gęby. To oni mnie takim zrobili. Przed wojną nie powiedziałem nigdy brzydkiego słowa. A to takie ordynarne bestie... niech pani nie ucieka! Herstellt!... uciekła.

Do stolika podeszła jakaś starsza kobieta ze skrzynką zawieszoną na ramieniu.

- Może panowie kupią papierosów od biednej kobiety?

- Mamy swoje.

Stara nachyliła się do Hładuna.

- A może kokainy?

Hładun przecząco pokręcił głową.

- Co ona tobie gada? - zapytał Szökölön. - Niech no paniusia ze mną porozmawia.

- Mogę dostarczyć kokainy, morfiny i eteru - tajemniczo szepnęła mu do ucha.

- A na co nam to? - ze zdziwieniem zapytał Szökölön.

- Jak to na co? Narkotyk... humor się poprawi.

- Narkotyk, he... he... diabli mi po narkotykach, wiem, jak się po nich humor poprawia, miałem kiedyś operację ślepej kiszki i przekonałem się, co narkotyk potrafi. Nie życzę pani tak rzygać jak ja wtedy po tym narkotyku! Dziękuję!

- Widzę, że panowie są solidni żołnierze - powiedziała stara półgłosem i dodała poufnie: - Mam dwie siostrzenice. Śliczne młode kobietki, mężowie na wojnie. Może panowie pójdą ze mną. Niedaleko. Lepiej się można będzie zabawić u nich niż tu.

- Jawohl... siostrzenice. A do kontroli chodzą? Stara łypnęła okiem.

- Porządne kobietki, panie żołnierzu.

- To po co pani zaprasza do porządnych, babuniu? Będziemy z nimi śpiewali kolędy?

Nas się tylko do nieporządnych zaprasza.

- Ale pewnych - wtrącił Haber. Stara rajfurka odeszła,

- Ma te siostrzenice na każdej ulicy, stara czarownica. Narkotyk mi proponuje, no...

Po kolacji wyszli na świeże powietrze. Najpierw pętali się po gwarnych ulicach, wreszcie, na propozycję Habera, któremu mijający go żandarmi przysparzali ściskanie w dołku, poszli do kina. Grano jakąś głupią komedię, która znakomicie poprawiła humory.

Szökölön wypił tego dnia więcej niż zwykle i z tej racji zachowywał się trochę hałaśliwie, co oczywiście nie wszystkim się podobało. Toteż siedząca przed nim jejmość w dużym kapeluszu, ozdobionym małą wypchaną ptaszarnią, zniecierpliwiona chóralnym odczytywaniem napisów, odwróciła się i surowo spojrzała na Szökölöna. W ciemności zobaczył tylko białka wytrzeszczonych na siebie oczu i usłyszał coś sceptycznego o swoim rozumie.

- Zapłaciłem za wejście i mam prawo czytać. Na to są napisy, żeby je ludzie czytali, madame. A głuchoniemy nie jestem. Może pani też czytać głośno. Proszę bardzo, wcale mi to nie przeszkadza.

- Kiedy się jest pijanym, nie idzie się do kina, tylko do łóżka.

- Z kim, szanowna pani? - podchwycił Szökölön. Białka znacznie się powiększyły.

- Chyba nie ze mną, drabie jeden! Cóż to za zachowanie! To ma być porządny żołnierz... no!

- Więc jestem nieporządny? Okropnie mnie pani zmartwiła.

- Nie gadam z panem, pijanico! I radzę siedzieć cicho, bo będzie źle. Do plackomendy jest niedaleko.

Na wzmiankę o komendzie placu Haber pociągnął Szökölöna za rękaw.

- Daj spokój, po co ją zaczepiasz?

- Ona mnie zaczepiła pierwsza.

Z dalszych rzędów dały się słyszeć syki, jak z dużego węzowiska.

- Cicho tam!

Ci, którzy prosili o spokój, snadnie się zawiedli, gdyż nie znali Szökölöna. Powstał i odwrócił się.

- Mam prawo czytać napisy czy nie? - rzucił w tłum głośne zapytanie. - Chcę zobaczyć tego, który mi zabroni!

- Nie hałasować tam!

- Siadać, do diabła!

- A może mnie się już nie chce siedzieć? - huknął znowu Szökölön.

- Zawołać portiera!

Coraz więcej osób zwracało uwagę na rozlegającą się w ciemności konwersację i Hładun pociągnął Szökölöna za jeden rękaw, a Haber za drugi.

- Siadaj, do cholery! Chcesz biedy?

- Nie usiądę! Mam się bać stada cywilów? Ja? Frontowy żołnierz? Zapłaciłem za bilet i mam prawo czytać napisy. Komu się nie podoba, niech mi to powie w oczy.

- Nie drzyj się, bestio - ostrzegł Haber - bo pójdziemy do hotelu i zostawimy cię samego.

Szökölön zdecydowanie stanął na krześle, przy czym dla równowagi oparł się ręką o kapelusze siedzącej przed nim damy. Teraz dopiero rozpętała się burza na serio. Z tylnych rzędów dały się słyszeć nawoływania, gwizdy, syki, z przodu śmiechy, a nad tym wszystkim dominował histeryczny pisk właścicielki sponsonowanego kapelusza, którego ozdoba - dwa piękne ptaszki - zostały sprasowane na duszoną potrawkę.

Hładun i Haber widząc, co się święci, usiłowali rozjuszzonego Szökölöna ściągnąć na podłogę, ale ten mimo szarpania trwał zwycięsko na krześle jak posąg księcia Sabaudzkiego na granitowym cokole.

- Hładun, wrywajmy! - poradził Haber i nie czekając na przyjaciela przepychał się między krzesłami do wyjścia, depcząc energicznie po nogach siedzących widzów. Tumult z tego powodu powstał jeszcze większy, tym bardziej że Szökölön widząc, że towarzysze go opuszczają, zaczął, na cały głos ryczeć, żeby się zatrzymali. Siedząca w dalszych rzędach publiczność nie wiedziała, o co chodzi, skutkiem czego zaczęły się odzywać gromadne wołania o światło.

Szökölön zszedł z krzesła i tym razem oparł się o obnażoną głowę stojącej przed nim nieszczęsnej właścicielki zmaltretowanych ptaszków tak mocno, że raptownie usiadła na swoim miejscu i na moment zaniemówiła. Bileterki nie wiedziały, o co chodzi, i stały niezdecydowanie przy wejściach, cała zaś publiczność powstała ze swoich miejsc i rozglądała się na wszystkie strony. Winowajca chciał jak najprędzej podążyć za towarzyszami i bezlitośnie parł naprzód po odciskach siedzących w tym samym rzędzie widzów. Nic dziwnego, że taki bezceremonialny sposób chodzenia nie mógł się im podobać i dali temu wyraz w dobitnych a soczystych przekleństwach. Jednocześnie przysłała do siebie użyta przez Szökölöna za podpórkę niewiasta.

- Trzymajcie go! - ryknęła nieludzkim głosem. Wymachując zgniecionym na placek kapeluszem wyraźnie wskazywała na winowajcę całego zamieszania i również przepychała się w jego kierunku. Ucierpiał przy tym także nogi i jej sąsiadów, co pociągnęło za sobą rozwidlenie głównej linii hałasu. Szökölön wyrwał się na wolną przestrzeń i już miał zamiar odrzucić portierę zasłaniającą wejście, kiedy otrzymał potężne uderzenie w głowę. Odwrócił się szybko i chwycił za bagnet, gdy w tej samej chwili coś ciężkiego, najeżonego szpilkami, przejechało mu po głowie.

- Masz za kapelusz, ty świnió! Masz! Masz!

Szökölön zasłonił twarz dłońmi, a energiczna dania obtłukiwała go kapeluszem, z którego smętnie zwisały pogniecione ptaszyny. Zaczął cofać się tyłem do wyjścia, na oślep odsunął portierę, nastąpił na czyjąś nogę, usłyszał krzyk i w ślad za nim otrzymał potężne kopnięcie w miejsce jakby specjalnie do tego przeznaczone. Zrobił więc gwałtowny zwrot w tył frontem do niespodziewanego napastnika i zdrętwiał.

Przed nim stał z wściekłym wyrazem twarzy major huzarów. Zanim pan major zdążył otworzyć usta do odpowiedniej perory, zza portiery wyłonił się wirujący jak wiatrak kapelusz, a w chwilę później jego posiadaczka.

- Ty świnió podła! Trzydzieści koron mnie kosztował i ten... gdzie on jest? Aha... ja ci teraz...

Szökölön nie namyślał się długo. Chwycił kobietę za ramiona i z całej siły pchnął ją na osłupiałego majora, a kiedy oboje, zgodnie z prawami fizyki, rozciągnęli się na podłodze, w kilku susach dopadł wyjścia. Wybiegłszy z bramy przeszedł szybkim krokiem na drugą stronę ulicy i zmieszał się z tłumem. Wytarł spoconą i pokaleczoną twarz chustką, a kiedy zobaczył na niej ślady krwi, zawołał dorożkę i kazał się zawieźć do hotelu. W pokoju zastał czwórkę w komplecie.

- Ty nędzny idioto! - przywitał go Haber. - Tobie do chlewu, a nie do kina! O mały figiel nie dostaliśmy się przez ciebie do kryminału, ty dzikusie...!

Bohater wieczoru opadł na krzesło i bardzo głęboko odetchnął.

- Bydlę! - syknął flegmatyczny Hładun.

- Mam prawo czytać napisy czy nie?

Haber żuł coś w zębach, ale nic nie powiedział.

- Jeżeli będziesz robił brewerie - odezwał się Kania - lepiej idź na zbity łeb i odczep się od nas. Nie mam zamiaru przez jednego osła pójść pod słupek. Chcesz zgubić nas i siebie? Nie możesz z knajpy przyjść do domu?

- Przecież ja...

- Stul pysk. Po jakie lichy kłócisz się z babami w kinie? Niechby tak żandarm się nawinał! Co wtedy?

- Gorzej... Nawinał się major. Kania gwizdnał.

- Gadaj!

Szökölön opowiedział pokrótce przebieg wypadków. Teraz wymyślali mu wszyscy czterej jednogłośnie. Nie reagując na skomplikowane przekleństwa i wymysły, zdjął mundur i umył sobie twarz.

Następnego dnia rano, przed śniadaniem, Haber zeszedł po gazetę i musiał w niej znaleźć coś bardzo interesującego, bo pędem wbiegł do pokoju.

- Masz, Kania! Czytaj!

Rzucił gazetę na stół, a sam gorączkowo otworzył szafę, wydobył, z niej swój plecak i zaczął się pakować.

- Co się stało? - zapytali Szökölön i Hładun, kiedy Kania wziął gazetę w rękę.

- Żandarmeria go szuka! Doczekaliśmy się przez tego idiotę!

- Czytaj na głos!

"Napad na oficera - czytał ze zmarszczonymi brwiami Kania. - Wczoraj w kinie »Eldorado« wynikło zajście między pewną panią a jakimś pijanym żołnierzem, który ją zaczepił.

Dyrekcja kina poprosiła o interwencję znajdującego się w poczekalni znanego w szerokich kołach Budapesztu majora sztabu generalnego I. v. S. z komendy tutejszego garnizonu. Major v. S. usiłował zatrzymać pijanego żołnierza, który w pewnej chwili pchnął na niego stojącą obok panią, co spowodowało upadek obojga. Upadek okazał się fatalnym, gdyż major v. S. nie mógł o własnych siłach powstać. Znajdujący się w tym czasie przypadkowo na widowni lekarz stwierdził zwichnięcie łopatki. Napastnik korzystając z zamieszania zbiegł, lecz dzięki szczegółowemu rysopisowi, podanemu przez majora v. S., będzie niezawodnie wkrótce schwyty, gdyż, jak się dowiadujemy, żandarmeria wojskowa jest już na jego tropie."

Szökölönowi opadła dolna szczeka. Kania odłożył gazetę i spojrzał na niego tak przeszywająco, że zrobiło mu się zimno,

- Co teraz, Lajos?

- Ja... nnie...

- Ty "nnie" - Kania powstał i włożył ręce w kieszenie spodni - ty "nnie", bydlaku! Świnio! Idioto! Kretynie! Kina mu się zachciało! Do domu wariatów, a nie do kina!

- Tak zwykle bywa, kiedy się człowiek spręgnie z takim świniobójcą - rzekł Haber

zwijając koc. - Chodziło to kiedy do kina w cywilu? Teraz nam narobił salcesonu, bodaj pękł na tysiąc dziesiętnych ułamków!

Winowajca siedział jak trusia i podziwiał swoje buty, nie mogąc patrzeć na rozsierdzonych kolegów.

- A tobie znowu gdzie taki pilno? - zapytał Kania Habera.

- Będę siedział tutaj i czekał, aż mnie wezmą? "Żandarmeria jest na jego tropie" - pisali tak czy nie?

- Co pisali, to pisali, a ty się nie pakuj, bo beze mnie nie zrobisz kroku. Haber wypuścił plecak z rąk i usiadł na łóżku.

- Zwariowałaś? Będziemy tu siedzieli?

Kania usiadł chmurny i nic nie odpowiedział. Baldini przysiadł się do Szökölöna.

- Zabawiłeś się, ty hieno! Teraz gotowi przyjść wszyscy żandarmi i złożyć nam gratulacje, że takiego mędrca ze sobą wozimy! Pfuj! Taki stary, a głupi! Po coś go przewracał na podłogę, ty koźle?

- A co? Miałem go pieścić? Całować? Kania spiorunował go wzrokiem.

- Żarciki jeszcze opowiada, bydlę. Powinienem teraz tobie zwichnąć łopatkę, jak ty temu majorowi, przywiązać do łóżka, wyjechać i podać żandarmerii twój adres. Więcej teraz z Budapesztu przez takiego starego durnia! Po co ja ciebie zabierałem z sobą?

- Stało się... - niepewnie zauważył Szökölön. - Trochę za dużo wypilem i tego... nie dali mi czytać napisów...

- Zamknij gębę!

- Co zrobimy, Kania? - zapytał Haber.

- Wyjedziemy dzisiaj w nocy... - Włożył pas i czapkę. - Niech mi się nikt nie waży wyjść, póki nie wrócę, słyszycie?

Po jego wyjściu na nieszczęsnego Szökölöna posypał się istny grad wymyślań. W całym dotychczasowym swoim życiu nie słyszał tyle, ile przez dwie godziny nieobecności Kani. Kiedy sobie ulżyli, Hładun poradził, aby w celu uniknięcia rozpoznania Szökölön owinał sobie głowę i połowę twarzy bandażami, co ten skwapliwie wykonał.

- Wąsy powinieneś zgolić - poradził Baldini - po tych miotelkach najpewniej cię poznają.

- Wąsów nie zgolę.

- Nie zgoli wąsów, bałwan! Uwziął się, psiakrew, żeby nas pod słupek postawili - odezwał się Haber. - No to sobie tak gębę owiń bandażami, żeby wąsów nie było widać!

- Kiedy bo...

- Jeżeli, nie zrobisz tego sam, to my cię siłą obandażujemy - ostrzegł Baldini.

Rad nierad owinął sobie dodatkowo dolną połowę twarzy. Teraz nie groziło mu w żadnym wypadku rozpoznanie. Wyglądał jak ciężko ranny w głowę. Po powrocie Kani, który zaaprobował pomysł z bandażami, kazali przynieść obiad. Szökölönowi bandaż sprawiły wiele trudności w jedzeniu, a niezależnie od tego spocił się jak mysz. Z zawiścią patrzył, jak tamci piją wino, i nie miał odwagi prosić o lampkę.

- Siedzi teraz drań i udaje niezadowolonego - odezwał się zgryźliwie Haber. - Z winem się pożegnaj! Jak ktoś nie umie pić wina, niech pije wodę!

Spoza bandaży doszło ich jakieś niewyraźne gulgotanie.

- Że co?

- Dajcie bi szkladetke wida, bo bab okropde pragdiedie...

- Pragnienie? Masz wodę! Chłaj!

Szökölön położył się na łóżku i pogroził mu pięścią.

- Nie groź, bo się nie boję! A po coś mu zwichnął łopatkę? Teraz masz za to nagrodę!

- Każdy ba prawo czytać dapisy w kidie.

- Owszem, każdy ma prawo czytać, ale nie ma prawa zaczepiać kobiet, brzuchomówco - wtrącił Baldini. Szökölön westchnął.

- Może odwidoć baddaże, bo die boge oddychać...

- W każdej chwili może wejść żandarm.

Szökölön westchnął jeszcze głośniej. Kania pił w milczeniu i bębnił palcami po stole.

- Wzdychaj! Na przyszły raz zastanów się, zanim zrobisz grandę. Powinienem ci tę głupią jadaczkę w ogóle zalutować.

- Żeby bdie die zaczepiła ta lafirydda, byłaby...

- "Lafirydda" cię zaczepiła, a jakże! Zgniółł jej kapelusz na miazgę i zwała winę na nią. Po coś włożył na krzesło?

- Chciałeb powiedziec tyb dedzdyb cywilob, żeby bdie bo...

- Bdia, bdio, bdie, sakramencki dziadu! Teraz bdiabdiasz! Bohater frontowy, sacra, Donnerwetter! Cóżeś ty chciał tym „dedzdyb” cywilom powiedziec mądrego? Żeś schlany, widzieli bez objaśnień - irtował się Haber - i nie miałeś potrzeby włożyć na krzesło, żeby to stwierdzili. A po coś babie zrujnował kapelusz? Po coś majorowi zwichnął łopatkę? Po co?

Szökölön z rezygnacją machnął ręką.

- Diabeł we bdie wstąbpił.

- Teraz trzeba cichutko wiać z tego Budapesztu, żeby nas nie capnęli - rzeczowo

przerwał dyskurs Hładun - lichy nie śpi.

Na wyjazd zgodzili się wszyscy i po krótkiej rozmowie ustalono sposób przedostania się na dworzec. Najpierw Kania miał pójść ostemplować dokument podróży i czekać przed dworcem na kolejne przybycie towarzyszy, których pojedynczo postanowił gromadzić obok jednej z kas biletowych, gdzie zwykle panował największy tłok. W rozgardiaszu dworcowym łatwo byłoby ująć pogoni w wypadku jakiegoś nieprzewidzianego niebezpieczeństwa. Uspokojeni, spakowali plecaki. Kania zapłacił rachunek i poszedł na dworzec z zamiarem zrobienia małego wywiadu, ponieważ Haber usilnie na to nalegał. Notatka w gazecie, w której zaznaczono, że żandarmeria jest na tropie napastnika dzięki szczegółowemu rysopisowi, przyprawiła go omal że nie o histerię. Obawy Habera, jak się okazało, nie miały żadnych podstaw. Ani na dworcu, ani na ulicach Kania nie zauważył niczego, co by potwierdzało wzmiankę w dzienniku, która była najwidoczniej oparta na własnych domysłach reportera. W schwytanie napastnika nie wierzył ani sam major, ani żandarmeria, która otrzymała rozkaz szukania go. Było to w tak dużym mieście niewykonalne, toteż żandarmeria, nie mając żadnych innych danych oprócz tych, że poszukiwany ma czarne wąsy, od razu zrezygnowała z jakiegokolwiek akcji. Jakżeż takiego znaleźć, skoro w Budapeszcie co drugi człowiek ozdobiony jest wąsami i to wyłącznie czarnymi? Po powrocie do hotelu Kania nic nie wspominał o swoich spostrzeżeniach.

Wieczorem wyszedł i pojechał na dworzec. Przeszedł się kilka razy przez zatłoczone poczekalnie, po czym stanął obok wejścia w oczekiwaniu na Baldiniego i Hładuna. Po kwadransie, jak to było umówione, obaj wysiedli z tramwaju. Kania upatrzył sobie uprzednio ostatnią kasę pod boczną ścianą hali dworcowej i zaprowadził ich tam.

- Tu sobie trochę posiedzimy i zorientujemy się, gdzie mamy jechać.

- A może lepiej zatrzymać się jeszcze na kilka dni? - zapytał Baldini. - Nie zauważyłem wcale, żeby żandarmi po drodze zatrzymywali żołnierzy; zdaje mi się, że strach ma wielkie oczy. Nie mają nic innego do roboty, tylko szukać naszego moczymordy?

- Myślisz, że tego nie wiedziałem? - odpowiedział Kania. - Nie mówiłem o tym, żeby się jeszcze więcej nie rozzuchwalił, boby teraz co drugiemu majorowi łopatkę wykręcał. Niech się trochę boi i niech sobie odpocznie po tym picciu. Wyjdzie mu to na zdrowie. Mówię prawdę, jest to jedyna dla niego kara.

Zawsze przewidujący Kania tym razem omylił się. O ile bowiem Szökölön czuł respekt dla niego, o tyle dla Habera nie miał absolutnie żadnego uznania.

Kiedy przyszedł na nich czas opuszczenia hotelu, Haber założył plecak na ramiona, wziął karabin w rękę i kiwnął głową w stronę leżącego na łóżku Szökölöna.

- Auf! Czas na nas!

- Ja die idę.

Haber wytrzeszczył oczy.

- Bówię, że die idę.

- Zwariowałeś?

- Die zwariowałem, ale boge pójść pod warudkieb, że bi dasz łykdoć szkladeczkę wida.

Haber patrzył na niego takim wzrokiem, jak pies patrzy na jeża.

- Wariat! Nic innego, tylko zwariował! Skąd ja ci wezmę wina? Akurat teraz ci się zachciało pić, kiedy każda minuta jest droga i chodzi po prostu o śmierć i życie. Nie zawracaj głowy i chodź! Prędzej!

Szökölön założył nogę na nogę i kręcił palcami młynka na brzuchu.

- Jak wipije wido, to wstade... idaczej die. Haberowi pot wystąpił na czoło.

- Słuchaj, Lajos! Po co mnie denerwujesz? Pojedziemy na dworzec i tam sobie wypijemy, ale teraz prędzej wstań, ubierz się i wychodzimy. A może żandarmi już mają twój adres? Zastanów się trochę.

- Bez wida nie ruszab sie. Haber spojrział na zegarek.

- Chodź, mówię ci, bo pójdę sam.

- Bożesz iść. Jak przyjdą po bdie żaddarbi, to powieb, że jesteście da dworcu... aha! Haber załamał ręce.

- Co ja ci złego zrobiłem, powiedz, Lajos? Czy ja ci bronilem kiedy pić? Ale słyszałeś sam, co Kania mówił, nie? To po co mnie mordujesz? Chodź!

- Dasz wypić, to pójdę.

Haber przez chwilę stał niezdecydowany na środku pokoju, potem prędko odstawił karabin i zdjął plecak.

- Ubierz się! Lecę po wino, świnio jedna! I nie myśl, że ci to będzie darowane. Kania ma ciężką rękę, zobaczysz! Szökölön z zadowoleniem cmoknął.

- Die trać czasu, tylko przydoś wido.

Kiedy Haber wybiegł i trzasnął drzwiami, wstał z łóżka, spakował swój plecak i założył pas, potem przejrzał się w lustrze i z niezadowoleniem pokręcił głową. Wkrótce rozległo się gorączkowe bębnienie w drzwi.

- Wpuść mnie, bydlaku!

Haber wyjął z przepaścistej kieszeni płaszczka pękata butelkę i szybko ją odkorkował. Napęlnił szklanekę i podał ją Szökölönowi.

- Chlaj!

- Dlaczego białe? Wiesz, że ja lubię czerwone.

- Zabrakło, pij już nareszcie!

Szökölön odwinął bandaż, zasłaniające mu usta, i jednym haustem wypił z połowę szklanki.

- Lura.

- Nie mogłem dostać szampana na dole - odpowiedział Haber, nakładając plecak i patrząc nienawistnie na napełniającego drugą szklankę Szökölöna. Ten widocznie miał czas. Powoli pił wino i wzdychał.

- Dokończ prędzej, do diabła! Nie będę przy tobie stał do rana! A może bym ja tak miał prawo do szklaneczki wina? Nie uważasz? Należy mi się za drogę... nie mówiąc o tym, że mnie kosztuje pięć koron.

- Masz pieniądze z powrotem i możesz sobie golnąć. Nie jestem świnia, jak wy.

Pod wpływem wina stał się weselszy i wspaniałomyślny. Haber wypił duszkiem napełnioną szklankę i odsapnął.

- Fertig! Idziemy! Tylko sobie pysk owiń jak przedtem, żeby ci wąsów nie było widać, kiedy będziemy jechali przez miasto.

- Czym pojedziemy: dorożką czy tramwajem?

- Tramwajem. Otwartą dorożką nie można, bobyśmy zwracali uwagę. Ja wezmę twój karabin, niby że ty jesteś ranny i odstawiam cię do szpitala.

- Można - zgodził się Szökölön.

Dopił wina i włożył plecak na ramiona, potem stanął przed lustrem i szczelnie owiązał twarz bandażem.

- Jazda.

Haber wyszedł pierwszy i ujął na korytarzu Szökölöna pod ramię.

- Idź wolno, bo jesteś ranny.

Troskliwie prowadził go schodami w dół, a kiedy wyszli z hotelu, zapytał pierwszego przechodnia, którym tramwajem można dojechać do dworca. Powoli podprowadził Szökölöna do wskazanego przystanku, który znajdował się niedaleko. Kilka osób cywilnych, oczekujących na tramwaj, patrzyło na Szökölöna ze współczuciem, a jakiś starszy pan podszedł bliżej i wyjąwszy z kieszeni papierośnicę całą jej zawartość podał Szökölönowi.

- Z włoskiego frontu? - zapytał z cicha Habera.

- Znad Tagliamento.

Starszy pan pokiwał głową ze zrozumieniem i westchnął.

Kiedy tramwaj nadjechał, Habera wyręczyli jacyś dwaj jegomoście, którzy wzięwszy

Szökölöna pod ręce troskliwie pomogli mu wsiąść, a potem posadzili go na ławeczce. Bohater znad Tagliamento przyjmował te objawy współczucia z podstępny błyskiem oczu i ciągle trącał Habera łokciem w bok. Wszyscy pasażerowie przyglądali mu się z zainteresowaniem, a widok jego szczelnie okutanej twarzy pobudzał ich do rozmów o wojnie. Otoczony ogólnym szacunkiem Szökölön z trudnością tłumił czkawkę i odwracał głowę do okna. Wreszcie dojechali do dworca. Obok przystanku stał wściekły Hładun.

- Gdzieście byli tak długo?

Haber wygramolił się z tramwaju i oddał mu karabin Szökölöna.

- Zapytaj tego drania, dlaczegośmy się spóźnili! Na dworcu nie ma obławy? Co?

- Nie ma ani jednego żandarma, ale Kania was zeżre za to opóźnienie. Napędziliście nam trochę strachu.

Kiedy weszli na dworzec i wmieszali się w tłum żołnierski, Haber zdjął czapkę z głowy i głęboko odetchnął.

- Mówię ci, Hładun, że już dużo w życiu widziałem i słyszałem, ale takiego bydlęcia jak on jeszcze mi się nie zdarzyło spotkać.

Na rozesłanym obok kasy pod ścianą kocu leżał Kania i rozmawiał z siedzącym obok Baldinim. Kiedy dojrzał obok siebie obandażowanego Szökölöna, usiadł i zapytał:

- Dlaczegoście się spóźnili?

Haber machnął ręką. Zdjął plecak i karabin, odpiął pas i usiadł.

- Każ mu chuchnąć, to się dowiesz. Rznij od razu w mordę!

Szökölön, nie przejmując się wcale oczekującą go burzą, wygodnie się położył, potem odwinął bandaż i schował go do kieszeni.

- Nareszcie mogę oddychać.

Haber na pytające spojrzenie Kani opowiedział mu pokrótce przyczynę opóźnienia. Wszyscy spojrzeli na winowajcę jak rodzice na wyrodne dziecko.

- Chłop jesteś stary, Szökölön - rzekł Kania - i nie będę cię ani napominał, ani pouczał. I nie żądam też od ciebie wytłumaczenia, ale powiem ci jedno: jeżeli jeszcze raz narazisz nas na wyspę, to się rozstaniemy. To sobie zapamiętaj. Szökölönowi zrobiło się nieswojo.

- Kiedy ja sam dobrze nie wiem, co mi się wtedy stało. Nie chciałem, żebyście mieli przeze mnie zgryzotę, będę się w przyszłości pilnował.

Wyciągnął dłoń do Kani.

- Zgoda?

- Pamiętaj, co ci mówiłem. Nie jesteś małym dzieckiem. Nie rób już więcej grandy.

- Jak mówię, że nie, to nie.

- Pal cię lichu!

Atmosfera spokoju zapanowała w zacisznym kącie pod kasą. Na przypieczętowanie zgody Baldini zaproponował wypicie butelki wina, co skwapliwie zostało przyjęte przez całe towarzystwo.

- Więc dokąd jedziemy? - zapytał Haber.

- Do Wiednia - odpowiedział Kania.

- A jak określisz cel podróży? Żebyśmy znowu nie jechali w kajdankach.

- Jedziemy na kurs przeciwlotniczy, co? Tak będzie dobrze? Wyglądamy właśnie tak, jakbyśmy wracali prosto z frontu. Baldini, wyjmiesz z mego plecaka srebrne medale i odznaczysz każdego jednym. Będzie to lepiej wyglądało. Więc jak napisać, kurs przeciwlotniczy czy co innego?

- Może być nawet kurs łażenia na czworakach, aby się tylko dostać do tego Wiednia. A tam kamień w wodę... Kiedy będzie pociąg?

- Przed dwunastą.

- Mamy trzy godziny czasu.

Usiedli na rozesłanym kocu i zaczęli grać w karty. Koczowisk takich było więcej. Niektórzy żołnierze leżeli pod ścianą na gołej posadzce kamiennej i oparłszy głowę o plecaki spali twardo, z otwartymi ustami, mimo panującego dokoła rozgwaru. Szary kolor mundurów dominował wszędzie i monotonia tej barwy zlewała się w jeden smutny motyw beznadziejności. Twarze wielu żołnierzy nie różniły się od barwy munduru i można było na nich wyczytać wszystkie cierpienia wielkiej rzezi światowej.

Na jednej z ławek, oparci głowami o ścianę, siedzieli nieruchomo, rzędem, żołnierze z żółtymi karteczkami, przewleczonymi przez dziurkę od guzika górnej kieszeni kurtki. Twarze ich były zielonkawe lub jaskrawożółte. Dwaj brodaci sanitariusze, o takim samym zmęczonym wyglądzie, nie wyjmując fajek z zębów poili tych żołnierzy mlekiem z manierek. Pili bez podnoszenia głowy, bez żadnego ruchu rąk, z zamkniętymi oczami, tylko grdyki im się poruszały. Robili wrażenie siedzących mumii.

Przechodzący obok żołnierze rzucali spojrzenia na żółte karteczki, na których wydrukowane było czarnymi literami: Gasvergiftung (Zatrucie gazami).

Po przybyciu karetek szpitalnych sanitariusze układali zatrutych gazami na noszach. Zatruci otwierali szeroko oczy i toczyli nimi dokoła nic nie rozumiejąc. Jeden z nich dostał gwałtownych torsji i piersi miał pokryte krwawymi wydzielinami, wyrzucanymi z zająkliwym kaszlem. Sanitariusze brali ich za ręce i nogi, kładli na noszach obojętnie, jak wory z mąką, i

nieśli przez salę ze zmęczonymi twarzami, na których wyryta była obojętność na wszystko. Groźne widmo wojny znikło wraz z ostatnimi noszami i kiedy karetki odjechały sprzed dworca, tłum, który na chwilę ucichł i milcząco patrzył na koszmarny korowód żywych trupów, powoli zaczynał rozbrzmiewać dawnym gorączkowym rozgwarem.

- Ciekawa rzecz, jak nam pójdzie w tym Wiedniu?

- Ja was w Wiedniu zaopatrzę w takie murowane dokumenty - zapewniał Haber - że będziecie mogli robić grandy na ulicy w biały dzień z każdym spotkanym żandarmem. Oczywiście, jak się już przebierzemy w cywila.

- Zapomniałem, jak się wiąże krawaty - martwił się Hładun.

- Przypomnisz sobie prędko. Wszyscy dostaniecie posady u mego teścia - mówił dalej Haber - i możecie być pewni, że reszta wojny przejdzie nam dosyć wesoło, tylko że ja tam mam żonę i będę się musiał pilnować.

- Ja tam też mam swoich dawnych znajomych - zauważył Baldini.

- Chyba im nie będziesz składał wizyt?

- On jednak ma rację - stwierdził Kania - i zdaje mi się, że będziesz musiał dla bezpieczeństwa zapuścić sobie brodę.

- Zapuszczę sobie bródkę... trudno - westchnął Baldini - chociaż będę wyglądał jak dziad...

Jakiś cywilny jegomość, trochę krótkowzroczny, idąc do kasy zawadził nogą o plecak, wpadł w sam środek gwarzącego towarzystwa i rozciągnął się jak długi.

- Uczy się pan pływać? - zapytał Szökölön. - źle pan trafił, bo to jest koc, nie Dunaj.

Stropiony cywil grzebał się na podłodze nieporadnie, gdyż obie ręce zajęte miał paczkami. Hładun chciał mu pomóc, ale Szökölön chwycił go za rękę.

- Słusznie - odezwał się Haber - niech się uczy o własnych siłach stawać na nogi.

Cywil z trudem powstał i mruzczał coś pod nosem,

- Ma pan żal do nas, szanowny panie?

- Mogliby panowie swoje bagaże trzymać przy sobie. Nie kładzie się ich na środku sali, żeby się ludzie przewracali.

- Trzeba brać oczy do ręki, łaskawco, i lepiej patrzeć - replikował Szökölön - a jeśli się panu nie podoba, to mogę panu dać w zęby i zaraz panu się wzrok rozjaśni, tudom?

- Pan jest ordynarny, panie! - zirytował się cywil. - Nie zrobiłem przecież panu żadnej krzywdy. Prędzej panowie zasłużyli sobie na wymówki, nie ja. Nie kładzie się plecaka tam, gdzie się chodzi.

- Nie kłóć się pan, człowieku, i zamknij buzię. Do widzenia!

Cywil zdenerwowany upadkiem, który naraził go na śmiech stojących opodał w kolejce innych podróżnych, pragnął wyładować swoje niezadowolenie na Szökölönie.

- Cywil jest też takim samym obywatelem jak pan i nie można nim tak pomiatać. Szökölön drwiąco się skrzywił.

- Takim samym w każdym razie nie jest; ja panu zaraz wyłożę, jaki jest porządek. I zaczął mu wykladać.

- Każdego rekruta tego się uczy. Najpierw idzie pan generał. To jest najwyższa figura. Potem pułkownik, podpułkownik, major, kapitan, oberlejtant, lejtant, fenrich, oficerstzeltfretreter, sztabfeldfetoel, feldfelbel, cugsfirer. Niech pan się nie denerwuje i wysłucha do końca. Przyda się to panu na wszelki wypadek. Potem idzie kapral, potem frajter, potem szeregowiec, potem ordynans, potem długo, długo nic, potem szufeca, potem znowu będzie długo nic, potem wojskowa latryna i znowu bardzo długo nic i dopiero wtedy idzie cywil. Nie wiedział pan tego? Taki z pana obywatel... Jeśli się panu to nie podoba, wyrznię pana w czoło i będzie pan chorował na rozmiękczenie mózgu. Chcą panu tego zaoszczędzić i mówię: Idź pan do diabła! Abtreten!

Cywil patrzył na Szökölöna, wysłuchał do końca, wreszcie wzruszył ramionami i odszedł, ale po drodze do kasy dwa razy się obejrzał. Jędrny wykład wojskowy, że po ostatniej szarzy następuje onuca, potem wychodek, a dopiero po długiej pustce cywil, odebrał mu ochotę do dalszej dyskusji.

Szökölön wykazawszy nicość cywila pociągnął z manierki. Baldini powstał.

- Dokąd? - zapytał Kania.

- Coś mnie... tego... - potarł się dłonią po żołądku.

Po pewnym czasie Kania, zaniepokojony nieobecnością Baldiniego, poszedł go szukać. Na końcu peronu stał długi barak drewniany, opatrzone napisem: Mannschaftslatrine. Wszedł do wnętrza i rozejrzał się. W świetle słabej żarówki zauważył kilka stękających postaci, ale w żadnym z przykucniętych nie rozpoznał Baldiniego. Ktoś za jego plecami zapalił zapałkę i przybliżywszy ją do ściany na wysokości oczu wodził nią, jakby czegoś szukał.

- Coś tam zgubił?

Baldini odwrócił głowę i szepnął:

- Chodź bliżej.

Zapalił drugą zapałkę i oświetlił nią kawałek ściany.

- Czytaj! Masz zapałki? Ja ci poświecę.

Kania stanął obok niego i wyteżył wzrok. Gładkie deski były pokryte wykonanymi

ołówkiem chemicznym naiwnymi rysunkami, przedstawiającymi wyolbrzymione organa płciowe męskie i kobiece oraz różne sceny świadczące o zбочzonych gustach ich autorów.

- I to cię tak zainteresowało?

- Zaraz... popatrz tutaj, to i ciebie zainteresuje.

W poprzek kilku rysunków, wykonanych dawniej i już niewyraźnych, czerwienił się grubymi literami napis: Deserteure Achtung! Wiener-Züge voll Schülern der letzten Gendarmerieschule! Hunde! (Dezerterzy, uwaga! Pociągi wiedeńskie pełne uczniów ostatniego kursu żandarmskiego! Psy!). Obok znajdował się drugi napis: Kameraden mit falschen Dokumenten! Hütet euch vor Wiener-Zügen! (Koledzy z fałszywymi dokumentami! Strzeżcie się pociągów wiedeńskich!).

- Porządne chłopcy.

- A teraz zobacz: dzisiejsza data. 23 września 1918. Ten sam charakter pisma i ten sam kolor ołówka.

- Hm.

- Tutaj jest data o dwa dni wcześniejsza.

- Wynika z tego, że pociągi wiedeńskie kontrolowane są przez jakieś niezłe bestie.

- Mamy szczęście!

Inne napisy, nakreślone przez solidarnych dezerterów ze wszystkich frontów, podawały różne informacje do użytku i ku przestrodze braci łązików wszelkiego autoramentu, którzy, dzięki doświadczeniom autorów tych komunikatów, mogli w ten sposób orientować się co do kierunku dalszego kluczenia przed wyżłami żandarmskimi. Kania czytając te napisy znalazł i kilka polskich, z których jeden szczególnie go zainteresował:

"Rodacy! Czekamy na was w Santa Maria di Vettere Capua i Le Puy! Meldujcie się na podsluchy nocne!"

- Z drugiej brygady legionów... Cwaniaki!

- W Santa Maria jest obóz, gdzie gromadzi się Polaków i organizuje się z nich dywizję. Co to znaczy Le Puy, nie wiem. To we Francji.

- Tam pewno Haller organizuje swoich. Ale dlaczego każą meldować się na podsluchy nocne?

- Z podsluchu łatwiej zwiąć. Wystarczy, jeśli powie się przed naszymi liniami, że się jest Polakiem. Samoloty rozrzucają stale nad pozycjami ulotki w różnych językach, informujące, jak trzeba to robić.

Inne napisy wyrażały zwięzłe przywiązanie ich autorów do monarchii:

"Koledzy! Sr... na Najjaśniejszego Pana! Niedługo się wszystko skończy." Nasi

bohaterowie po szczegółowym obejrzeniu ścian wyszli na peron trochę przybici wiadomościami zdobytymi w tak oryginalny sposób.

- Mam jeszcze tylko jeden dokument podróży. Ten do Wiednia na nic. A to pech...

Haber przyjął przyniesione wiadomości nieufnie i poszedł je sam sprawdzić. Kiedy wrócił, splunął.

- Psiakrew, szczęście! Żebyśmy od razu jechali z Koszyc do Wiednia, nie byłoby tego.

- Nikt nie jest winien, że teraz akuratnie kończy się kurs żandarmerii. Nie jestem prorokiem.

- Więc co mamy z sobą zrobić?

- Chyba zostać w Budapeszcie.

- O tym nie ma mowy - sprzeciwił się kategorycznie Kania. - Z Budapesztu musimy wyjechać jeszcze tej nocy.

- Ale dokąd?

- Do Grazu.

- A w Grazu co?

- Tam jest spokojnie. Było kilka informacji, że można się zadekować w szpitalach. Jest ich tam mnóstwo. Może się wykombinuje jaki dokument albo co i przesiedzimy trochę.

- Tak... Będziemy jeździli diabli wiedzą gdzie, a w Wiedniu czeka na mnie żona.

- Poczeka. Dopóki ze dwóch żandarmów nie wyleci z pociągu do Dunaju i dopóki się te tygrysy nie przyzwyczają, linia wiedeńska jest dla nas zamknięta.

- Można by z innej strony zajechać, nie od Budapesztu.

- Jeżeli odbywają praktykę na linii Budapeszt - Wiedeń, to prawdopodobnie i na innych liniach prowadzących do Wiednia.

Rozważali teraz możliwości wyjazdu z Budapesztu w takie okolice monarchii, gdzie by można było już do końca wojny przesiedzieć bez podróżowania.

- Może jednak kropnąć się do Banatu - zaproponował Szökölön. - W całym Banacie czuję się jak w domu. Przechowają nas tak, że sam diabeł nikogo nie znajdzie.

- Więc jak, panowie? Decydujemy się, bo za dwie godziny upływa termin naszego wyjazdu i możemy narwać się na jaką kontrolę.

- No cóż? Wystawiaj dokument do Grazu.

Kania udał się do sali restauracyjnej, gdzie, zasłonięty przez Baldiniego i Habera, wypełnił przy stoliku dokument podróży do Grazu. Jako cel podróży podał pobranie materiałów sanitarnych dla korpusu we włoskim Tyrolu. Ważność dokumentu określił na cztery dni.

Pociąg do Grazu odchodził przed drugą w nocy, więc, aby zabić czas, wyszli z dworca i wstąpili do pierwszej z brzegu restauracji, gdzie zamówili kolację. Siedzieli tam do północy, po czym powrócili w trochę już różowszych humorach na dworzec.

DO GRAZU

Pociąg, do którego wsiedli, wypełniał się szybko i o zajęciu całego przedziału nie było mowy. Przeważna część pasażerów wojskowych składała się z rekonwalescentów, którzy odsyłani byli z różnych szpitali na dokończenie kuracji do Grazu.

W przedziale drzemał już jakiś feldfebel, który wejście ich przywitał z niezadowoleniem, ponieważ musiał wstać i ustąpić miejsca na ławce. Zrobił to zresztą dopiero wtedy, kiedy Kania odsłonił lampę i zaprezentował mu swoje medale i oznaki na kołnierzu. Przedstawił się przy tym, ale jakoś tak niewyraźnie, że nie mogli odgadnąć, jakiej jest narodowości. Bezpośrednio przed odejściem pociągu weszli do przedziału dwaj marynarze. Zasalutowali z charakterystycznym niedbalstwem, właściwym całej marynarce w zetknięciu się z wojskiem lądowym. Miejsca zajęli z hałaśliwą nonszalancją i nie zważali zupełnie na resztę pasażerów. Zachowanie się ich denerwowało szczególnie Szökölön, który szukał okazji do wyładowania nagromadzonej w sobie irytacji. Kiedy pociąg ruszył, wyjął z plecaka karty.

- W co panowie grają? - zapytał feldfebel.

- We wszystko, w co można ograć jakiegoś bogatego pana feldfebela - odpowiedział Szökölön. - Przy naszym żołdzie każda setka ma swoją wartość.

- Wysokie żołdy dostajecie panowie, jeżeli gracie na setki.

- Takie żołdy są niezłe - zauważył jeden z marynarzy. Szökölön ucieszył się z okazji.

- A komu mają tak płacić? Wam?

- Jeżeli już o tym mowa, to takie wysokie żołdy powinna dostawać marynarka.

- Niby za co? Za to, że sobie jeden z drugim żuje prymkę na czóźnie?

- Tylko nie czóźnie... te!

- Prędko się ze mną spoufalił, jak świnia z pastuchem. "Nie na czóźnie", hm! widziałem ja te pancerniki dunajowe! Jakbym się dobrze najadł, to przeniósłbym go w zębach z jednego brzegu na drugi. Kichnąć i zatonię!

- Za takie gadanie powinienes, bracie, tak w pysk dostać, żebyś wyleciał przez okno i kilka razy okręcił się dokoła jakiegoś słupa telegraficznego jak glista - zareplikował marynarz - ale nie chce mi się ręki brudzić takim wszawym piechociarzem. Tfu!

- E, matróz! Nie wycierajcie sobie tak zębów wszawą piechotą, dobrze?

Marynarz spode łba popatrzył na medale Kani. Wzbudziły w nim respekt.

- Nie wolno pomiatać marynarką, panie feldfelbel...

- Piechotą też nie wolno pomiatać. Za duże wam grzebienie pourastały, rolmopsy, piklingi wędzone! Włazi taki do przedziału i łapę do swego talerzyka przykłada, jakby łaskę robił, że starszemu salutuje! Cóżes ty za dygnitarz jeden z drugim?

- Dymaj na front i tam się stawiaj - złośliwie odezwał się Haber.

- Albo idź do Syrii i rznij się na pustyni z Arabami - dodał Hładun - tam bądź mądry!

- Bohaterowie! Wilki morskie! Wam nawet długie portki na to dali, żebyście nie mogli wiać w bitwie. Takie szerokie pantalony przeszkadzają w pływaniu i nie można tak sobie, ni z tego, ni z owego, wskoczyć do wody i odpłynąć na brzeg, a stamtąd patrzeć, jak macierzysty okręt idzie na dno. A wrywać umiecie! W Poli coś o tym mogliby powiedzieć, gdyby tak popytała w porcie, jak ta marynarka była waleczna, kiedy pokazała się włoska łódź podwodna. Teraz robią blokadę i nawet siatki powpuszczali w wodę, żeby więcej takich gości nie było, bo musieliby wiać na piechotę. A w wagonie nadyma się taki śledź w oliwie, taka nędzna szprotka, jakby nie wiadomo jakie cuda robił! I grozi jeszcze komuś, że da w pysk! Kto? Komu? - Dosyć - przerwał Kania, kiedy zauważył, że marynarze zgrzytają zębami i jeden z nich w niedwuznacznych zamiarach sięgnął do kieszeni - nie gadać z nimi!

- Befehl, Herr Feldwebel! Rzeczywiście, nie warto sobie języka strzepić z takimi dziadami, bo się potem gotów pochwalić, że z nim frontowy żołnierz rozmawiał. I mógłby jaki bałwan uwierzyć, że się taki niehonorowy żołnierz znalazł.

- I wstyd z tego na froncie - uzupełnił Hładun - hańba na całą piechotę. Ja się nawet nie przyznam, że razem z nimi w jednym wagonie jechałem, boby mi za złe wzięli, że od razu nie wywaliłem ich na zbitą mordę.

- Słusznie - wtrącił Haber - rzeczywiście nie można się przyznać do takiego poniżenia, bo gotowi jeszcze za karę przenieść nas do marynarki.

- Wtedy nie pozostałoby nic innego, jak założyć pętlę na szyję i poszukać suchej gałęzi - odezwał się Baldini - raczej śmierć niż taka hańba.

Obcy feldfelbel pokiwał głową i obrócił wesołą twarz do marynarzy.

- Dojechali wam niezgorzej. - Żeby to w porcie - westchnął z żalem jeden z marynarzy - już by dwie karetki sanitarne miały pasażerów.

- Trzeba by ich było zbierać łopatkami razem z ziemią - uzupełnił drugi.

- Aha! W porcie! Toś taki mądry? Wiem. Zapłacze się jakaś chudzina z taborów nogi wymyć, to go wtedy zniecka opada załoga trzech monitorów i kradnie mu onucki. Bądź taki odważny, kiedy jesteś sam na sam z żołnierzem frontowym!

- Panie feldfebel - zwrócił się jeden z marynarzy do Kani - bardzo pana przepraszam, ale muszę mu dać po mordzie.

- Nie radzę wam się tak meldować do tego bicia, bo sami oberwiecie. A ty siedź cicho i nie gadaj!

- Befehl, Herr Feldvebel. Będę cicho siedział, chociaż oni zaczęli nas pierwsi. Nie gadam z tobą więcej, zdechły polipie! Sr... ci w serce!

Szökölön splunął na podłogę i demonstracyjnie roztarł ślinę butem, jakby rozcierał na proch całą marynarkę austriacką. Feldfebel śmiał się, a marynarze zaczęli udawać, że chce im się spać. Stracili trochę na swojej zuchowatości wobec znakomitej przewagi "frontowych żołnierzy". Nasunęli płaskie czapki na twarze i oparli głowy o ścianę.

- Gramy, panie feldfebel? - zapytał Szökölön, dumny z pognębienia marynarzy.

- W co panowie grają?

- W co pan sobie życzy.

Baldini wylosował bank i zaczęli grać w dwadzieścia jeden. Kania nie brał udziału w grze i najpierw wyglądał przez okno w ciemność, a potem nasunął czapkę na oczy i usnął. Feldfebel przegrał i stwierdziwszy to wyraźnie skwaśniał. Dalsze banki nie przyniosły mu również wygranej. Zapalił się i zapewniał, że zwykle ma szczęście w grze i nie wie, czemu ma przypisać swego wyjątkowego pecha. Kiedy przegrał posiadany zapas gotówki, oświadczył, że ma pieniądze w Grazu, ale chciałby się odegrać i proponuje grę na rum. Manierka dwadzieścia koron.

- Ile pan ma tych manierek?

- Pięć.

- Możemy grać o to - zgodził się Szökölön - nie lecę na wygranie. Odegraj się pan.

Mimo szczerzej chęci odegrania się, jaką miał feldfebel, po kilku uśmiechach losu, które go napełniły nadzieją, w rezultacie przegrał i rozstał się ze swoim rumem. Z wielkim żalem wręczał manierki wydobyte z plecaka.

- Ma pan, Madziarze, szczęście wprost niesamowite. Prawdę powiedziawszy, Szökölön wydatnie temu szczęściu umiał dopomóc zgrabnymi fintami.

- Jak czasem, panie feldfebel. W tamtym tygodniu, po jednym gefechcie, znalazłem się w odwrocie razem z pewnym kapitanem artylerii w leju po granacie i nie mogliśmy się z niego wydostać przez całą dobę, bo był ogień huraganowy. Więc powiadam do tego kapitana: tromelfajer nas tu potrzyima trochę i przed nocą nie będziemy mogli się stąd wydostać, może więc pan kapitan dla zabicia czasu zagra ze mną w ferbla. Zaczęliśmy grać i nie minęła godzina, jak wygrałem od niego przeszło pięć tysięcy koron. Bardzo go denerwowały granaty,

bo co chwila któryś blisko wyrznął, i nie mógł skupić uwagi, a ja z tego skorzystałem, bo mi granaty niestraszne i w największym ogniu mogę grać w warcaby jak w knajpie. Ale z tej wygranej pociechy nie miałem, bo następnego dnia, kiedyśmy się wydostali z tego leja i przeszli w bezpieczne miejsce, wróciłem do pułku i zaraz zasiadłem do kart. I co pan powie: przegrałem wszystko, co wygrałem, i jeszcze swoje na dodatek. Została mi tylko totenkapsla. Orznął mnie tak kucharz. Zwyczajny szmirak, ale umiał szelma lepiej grać, niż gotować. Cokolwiek gotował, zawsze wychodziła taka papka, jaką się dzieciom daje, kiedy mają szkarlatynę. Ryż z pomidorami - klajster, pęczak z grzybami - Majster, a fasola i groch - to już nie klajster, ale kit. Można by okna zaklejać.

Opowiedziawszy tę historię feldfeblowi w celu osłodzenia mu przegranej, Szökölön odkorkował jedną manierkę i powąchał.

- Skosztujemy pańskiego rumu, panie feldfeblu, trzeba zobaczyć, czy wart był stawek.

Rum, jak się okazało, był tego wart. Nawet je przewyższał. Feldfebel przyznał się po pierwszej manierce, że "zaoszczędził" go na fasunkach oficerskich, i wyraził ze skrucą pogląd, że należało mu się ten rum przegrać, bo kradzione nie tuczy.

- Lekko przyszło, lekko poszło, panie feldfebel - pocieszył go Haber - zaoszczędzi pan przy następnym fasunku.

- U nas, w Serbii, tak często się nie fasuje. Teraz zaopatruje się najpierw front włoski.

- To prawda - potwierdził Hładun z powagą - u nas rumu mamy dosyć.

- Co też jest tam do roboty w tej Serbii? - zapytał powątpiewająco Szökölön.

Feldfebel pociągnął z manierki i otarł usta rękawem.

- Słyszał pan co o komidadzich?

- To te sympatyczne chłopczyki, co główki ucinają, prawda?

- Mało, że ucinają, ale przysyłają następnego dnia kobiałkę z głową owiniętą w papier, na którym jest wypisana obietnica, że za każdego zabitego Serba obetną trzy głowy austriackie. Przyjemne, co? W moim batalionie już kilkanaście takich głów mieliśmy, trzeba je było pochować oddzielnie, bo ciało nie znaleziono.

- Swoją drogą, nie ma się czemu dziwić, panie feldfebel, i nie można wymagać, żeby was pieścili. Kraj im się spustoszyło, narznęło się ludzi jak baranów, nie dziwota, że was tak traktują - zauważył Hładun.

- Nie twoja rzecz - zgromił go Szökölön - nie krytykuj, bo możesz trafić tam, gdzie Abraham piwo podaje. Feldfebel machnął ręką.

- Przy mnie możecie, panowie, mówić, co wam się podoba, bo jestem Chorwatem.

- A jeżeli tak, to co innego. Pańskie zdrowie!

Teraz roztrząsali położenie na wszystkich frontach z rutyną generalissimusów, oczywiście nieprzyjacielskich. Feldfebel całkowicie solidaryzował się z poglądem Habera, że przed zimą nastąpi krach i wszystko się zawali. Przy tej wiernopoddańczej rozmowie wypili połowę wygranego rumu.

Do przedziału wszedł żandarm i najpierw oblizał się na widok rumu, a potem z westchnieniem potrząsnął marynarzami.

- Dokumente.

Marynarze byli wyraźnie stropieni tym brakiem dyskrecji u żandarma i zaczęli bez przekonania wyciągać z kieszeni spodni różne papiery, które oglądali pod światło i kręcili głowami.

- Długo będę przy was stał? Wszystkie listy od kochanek będą teraz czytali. Dokument ma nagłówek jak wół i wystarczy na niego rzucić okiem, żeby go rozpoznać. Pospieszcie się.

Podczas kiedy żandarm oglądał dokument feldfebla, Baldini obudził Kanię. Marynarze każdy wyjęty z kieszeni świstek dokładnie czytali i kiedy wachmistrz, zwróciwszy dokument Kani, zauważył, że jeden z nich obracał w palcach bibułkę do tytoniu, rozeźlił się.

- Jest tam napisane "Abadie" trzy razy w poprzek i raz wzdłuż wodnym znakiem, huncwoty jedne, i nie róbcie ze mnie wariata, pewnie jesteście ze śródlądowej? Pokaż no, bratku, myckę! No i zgadłem! Drodzy panowie dobrze się w Peszcie bawili? A przepustek teraz się nie używa, prawda? Byle się przeszmyglować, to już dobrze, bo w eskadrze o to wielkiego kramu nie robią... To jest pół papierosa "Sport", drabie, nie patrz tak na to, bo z tego niedopałka nie wyczarujesz przepustki, żebyś do rana patrzył. Nie udawajcie, że mieliście jakiś papier. Znam ja was dobrze! I zdaje się, że już z wami dwoma miałem przyjemność. Dawajcie łapki, braciszku!

- Zgubiłem przepustkę, panie wachmistrzu - z rezygnacją oświadczył jeden z nich, bez wiary we własne słowa.

- Zdarza się, przyjaciele, że ktoś coś zgubi - zgodził się zjadliwie wachmistrz, wyjmując z torby kajdanki. - Może się to nawet przytrafić u szarży, ale jeżeli ktoś gubi coś, czego nigdy nie posiadał, to taki wypadek można nazwać zjawiskiem nadprzyrodzonym! A ja, bracie, w takie rzeczy nie wierzę. Może bym nawet i uwierzył, gdybym was nie znał i nie pełnił służby na tej linii od kilku lat. Dawajcie rączeta i stójcie spokojnie! Widać, że już się z takimi bransoletami znacie, od razu wiecie, jak się ręce podaje.

Wprawnie ich zakuł i koniec łańcucha przeciągnął przez żelazną sztabkę w siatce bagażowej nad ich głowami, po czym zamknął kłódeczkę.

- Dziwi was to, jak widzę - mówił chowając kluczyk do torby - ale zginęło mi już kilku marynarzy z łańcuszkami i musiałem za to zapłacić. Uciekajcie sobie teraz z wagonem, jeżeli możecie.

- Bardzo słusznie - pochwalił Szökölön - służyłem kiedyś w żandarmerii i znam tych ananasów. Sprytnie pan się urządził.

Pozwoli pan kubek rumu? - Z przyjemnością. Żandarm wypił i splunął. - Rzeczywiście, inaczej nie można z takimi. Drugą parę przyłapałem w tym pociągu bez przepustek. Tak się te hycle rozzuchwaliły, że nie uznają niczego i nikogo poza swoim kapitanem! Ze wszystkich łobuzów w monarchii największe łotry to marynarze z rezerwy śródlądowej! Kiedy takiego przyprowadzę do eskadry, to pierwsze pytanie kapitana, czy rozkwasił jakiemu szczurowi lądowemu pysk, a jeśli mu tłumaczyć, że brak przepustki też jest wbrew karności, wtedy macha ręką. "Na przyszły raz - powiada - postarajcie się, matróz, żeby was w kajdankach przywieźli za to, że komuś pokazaliście, co marynarka potrafi, bo wstyd mi przynosicie". Nic dziwnego, że taki drab stara się, jak może, i robi pierwszemu lepszemu dziurę w głowie. To się nazywa podtrzymywanie tradycji i dbałość o honor marynarki. Teraz sobie grzecznie posiedzicie do następnej stacji, gdzie was wyładuje.

Wachmistrz sprawdził zatrask kłódki i wyszedł. Na najbliższej stacji wyprowadzono skutych marynarzy. Szökölön przyjaźnie pokiwał im ręką.

- Pa... pa... Pozdrowienia dla dowódcy. Piszcie do mnie, jak wam się powodzi.

W przedziale omówiono szczegółowo rolę marynarki w obecnej wojnie, po czym wzięto się znowu za rum. Kania nie spał więcej i bezsenność równoważył łykami z manierek.

Feldfebel jechał z nimi razem przez godzinę jeszcze i na jakiejś stacji wysiadł.

Do przedziału wsiadła gruba Madziarka, wyglądająca na handlarkę. Szökölön próbował rozpocząć z nią rozmowę, ale kobieta wykluczyła te usiłowania w ten sposób, że oparła głowę o ścianę i nie wypuszczając fajki z zębów usnęła. Korciło go wprowadzić, żeby jej w tym śnie przeszkodzić, gdyż, jak mówił, nie lubi bab z fajkami, ale Kania nie pozwolił na żadne eksperymenty.

Na przemian grali w karty i popijali. Nad ranem Madziarka wysiadła i aż do Grazu pozostali już sami.

KATASTROFA

Graz był najjaskrawszym przykładem stosunków panujących w monarchii austro-węgierskiej w ostatnim roku wojny. Kiedyś stawiany na równi z Innsbruckiem, "miastem emerytów", spokojny ośrodek mieszczańskiego życia, płynącego leniwie i bez burz, konserwatywny i szanujący tradycje, dziś zamienił się w gniazdo nędzy. Wygłodzony był doszczętnie. Miasto wypełniali wojskowi, przeważnie ranni i rekonwalescenci, którzy z laskami w rękach łazili po ulicach i otwarcie prosili przechodniów o papierosy lub wchodzili do lokali publicznych, a częściej jeszcze do mieszkań prywatnych i żebrali o chleb.

Mieszkańcy, obdzielani skąpo produktami żywnościowymi na kartki, sami nie mieli co do ust włożyć i wchodzili w kombinacje z podoficerami "prowiantowymi różnych szpitali, od których odkupywali po wysokich cenach to samo, czym dzielili się z głodnymi żołnierzami. Ustępowali im te same porcje, które należały się im ustawowo. Takie stosunki panowały zresztą w całym hinterlandzie.

Gdzieś na kilku frontach odbywały się nie znane w dziejach świata rzezie, narody krwawiły się w walkach o obce im cele, wyrastały lasy drewnianych krzyży, pod którymi spoczywały porozrywane szczątki żołnierzy skazanej na zagładę monarchii, a na tyłach panowała orgia ucisku, kradzieży i łupiestwa. Istny sabat złodziejski, nieokiełzany i nie powstrzymany, ogarniał wszystko. Władze były skorumpowane od szczytu do podstaw, karność stała się pustym dźwiękiem i tyłowiekowa praca dynastii habsburskiej nad scementowaniem zagrabionych kiedyś obszarów okazała się fikcją.

Orędzia ostatniego cesarza, zaczynające się sakramentalnym *An meine treue Völker* (Do moich wiernych ludów), wywoływały kpiny i pogardę. "Wierne ludy" przestały już wierzyć nawet orędziom cesarskim, nauczono się tej niewiary na komunikatach wojennych i kłamliwej prasie propagandowej. Wszystko gniło i zapadało się w otchłań.

Szczęśliwie "zadekowani" na tyłach dowódcy i komendanci mieli na oku tylko jeden cel - kraść. Niejeden ostentacyjnie obnosił przypiętą do munduru szpilkę z napisem "Boże, ukarż Anglię", a jednocześnie okrężną drogą lokował swoje kapitały w bankach angielskich.

Długie "ogonki" kobiet wystających pod sklepami żywnościowymi już od wieczora, aby po całonocnej męce móc kupić funt mąki, były najtragiczniejszym obrazem wyczerpania wojną. Wiara w zwycięstwo trwała tylko w tych sferach wyższych, które nie stykały się z tymi obrazami. Lud już nie wierzył. Z wynędzniałych twarzy urlopowanych z frontu do

kraju żołnierzy czytało się wyraźnie wynik czteroletnich zmagania, zawierający się w jednym słowie: p r z e g r a n a.

Kania już na dworcu w Grazu stracił humor, kiedy mu oznajmiono, że w bufecie, poza piwem i winem oraz podejrzaną herbatą, słodzoną sacharyną, nie można nic kupić do zjedzenia i wypicia. Pozostawił towarzyszy w jakiejś mleczarni obok dworca, gdzie po wielkich trudach nakłonili właścicielkę do poczynienia starań w kierunku zdobycia chleba na śniadanie, i poszedł do miasta, aby, jak mówił, zebrać informacje i poszukać jakiejś "meliny", gdzie by można było zamieszkać. W jednej z restauracji, wypełnionej żołnierzami, zaczął rannego w nogę bladego cugsfirera i wdał się z nim w rozmowę przy piwie. Cugsfirer opowiedział mu rzeczy, które wpłynęły na niego deprymująco.

- Jeżeli pan ma pieniądze, to owszem, nie będzie pan cierpieć głodu, ale bez pieniędzy - klapa.

Kania obdarzył rannego cugsfirera papierosami i powrócił do towarzyszy.

- Aleśmy trafili, przyjaciele! Nie trzeba było nam w ogóle ruszać się z Węgier. Tu jest pustynia głodu i nędzy.

- Nie bardzo głodna ta pustynia, kiedy mogłem kupić kilka konserw wołowych - zauważył Haber. - Za forszę wszystko dostaniesz. Wyszedłem kupić gazetę i spotkałem jednego Żydka, uciekiniera z Galicji. Mówił mi, że można mieć wszystko.

- A skąd brać tę forszę?

- Ile jeszcze mamy?

Kania włożył rękę w tylną kieszeń spodni i zmartwiał. Zmiana na jego twarzy nie uszła uwadze towarzyszy.

- Co się stało?

Siedział wpatrzony w Szökölöna, jak sparaliżowany.

- Nie mam portfela - odpowiedział po chwili, jakby krztusząc się.

Ze wszystkich kieszeni kurtki i spodni wyłożył na stół papiery, ale nie znalazł między nimi zguby. Cios był rzeczywiście dotkliwy. Patrzyli na to i zasypali go pytaniami. Kania ponuro zaklął.

- Wyciągnęli mi z kieszeni. Przypominam sobie teraz. Pewno tam, gdzie piłem piwo. Pełno było różnych łażików i kiedy stałem przy bufecie, któryś z nich okradł mnie.

- I nic nie czuleś?

- Żebym czuł, bałwanie, to nie wyciągnęliby mi. Najgorsze, że nie ma dokumentu.

Zaczęli się naradzać nad niespodzianie wynikłą sytuacją. A była ona rzeczywiście ciężka i groźna. Każda chwila mogła przynieść katastrofę. Pierwsza kontrola mogła ich od

razu pograć w niedolę, z której było jedno tylko wyjście - pod słupek.

- Wracamy na dworzec - zdecydował po namyśle Kania.

- Po co?

- Wciśniemy się w jaki kąt, a potem może się co wykombinuje. Pęta się tutaj tylu żandarmów, jak nigdzie, a w tłumie łatwiej jest zwać i schować się.

Aby uniknąć niepożądanego zaczepki snujących się patroli i żandarmów, po raz pierwszy od czasu ucieczki z aresztu szli środkiem ulicy pod dowództwem Kani, który ze srogą miną maszerował na czele.

Ich dziarskie postawy i nowe umundurowanie robiły wrażenie i niejednego młodszego stopniem żandarm salutował z szacunkiem, od którego dawno już odwykł. Nikomu nie mogłoby przyjść do głowy, że udekorowany feldfebel wraz z marsowym patrolem - to czterech dezertery i zbiegły jeniec wojenny.

Na dworcu weszli w kąt ukryty za olbrzymią sztuczną palmą w poczekalni trzeciej klasy. Zakryci gałęziami tego "egzotycznego" drzewa, rozłożyli się obozem. Kania i Baldini, kierowani jedną myślą, poszli do ustępu dla szeregowych. Uważnie oglądali stereotypowe rysunki, między którymi było wiele bardzo pożytecznych informacji. Wszystkie, dawne i świeże, z datami i bez dat, zgodnie dawały przede wszystkim ostrzeżenia przed dłuższym pobytem w Grazu. Informacja ta dobiła Kanię. Zgodność ta miała ugruntowane przyczyny w regularnym kontrolowaniu dokumentów na dworcu oraz w mnogości żandarmerii i policji wojskowej w mieście.

Z innych napisów dowiedzieli się, że kontrola dokumentów na dworcu odbywa się dwa razy dziennie: rano i wieczorem, około szóstej. Sprytni dezertery unikali jej w ten sposób, że w krytycznym czasie wychodzili poza obręb zabudowań stacyjnych i wracali dopiero wtedy, kiedy niebezpieczeństwo już minęło. Poza tym odczytali różne napisy i wierszyki, takie same jak w Budapeszcie, ozdabiające zresztą ściany latryn wojskowych na całym terytorium monarchii i obszarów okupowanych.

- Jesteśmy więc już po kontroli porannej i mamy spokój do szóstej.

Nieszczęścia zawsze chodzą w parze, ale na naszych bohaterów zważyło się do razu kilka ich par. W dniu przyjazdu do Grazu panowała dżdżysta pogoda i nasunęła się konieczność zaopatrzenia się w płaszcze, ponieważ wszyscy żołnierze garnizonu paradowali już w zimowym umundurowaniu. To do reszty zepsuło im humor. Kiedy powrócili do poczekalni i weszli do swego "gniazdka", Kania wyciągnął się na podłodze i polecił wszystkim spać na zmianę.

- Przede wszystkim trzeba się wyspać, a potem, ze świeżym umysłem, obmyślimy coś.

Szökölön i Haber zgłosili chęć do pierwszego dyżuru i usiedli przy pozostałych z gazetami w dłoniach. Olbrzymia poczekalnia była zatłoczona szarymi mundurami podobnie jak na wszystkich innych stacjach, brudna i pełna dymu z papierosów i fajek, w których skwierczały rozmaite ingrediencje, mało mające pokrewieństwa z prawdziwym tytoniem.

Jeden z pętających się żołnierzy, starszy wiekiem landszturmista, kilka razy zajrzał do obozowiska za palmą i w końcu podszedł.

- Macie pieniądze, koledzy? Szökölön i Haber oderwali się od gazet.

- Albo co?

Żołnierz przykucnął obok nich na podłodze.

- Tu jest jeden taki, co ma na sprzedaż rum.

- Dużo ma tego?

- Dwa litry.

- A ile chce?

- Pięćdziesiąt koron.

Szökölön odwiązał plecak i wyjął z niego manierkę wygraną od feldfebla.

- Powąchaj - podsunął landszturmiście pod nos - ładnie pachnie, co? Oficerski, a kosztował mnie sześć koron. Po tej cenie mogę kupić.

- Pójdę się zapytać, a dasz mi łyknąć?

- Najpierw interes. Jak kupimy, to pogadamy. Żołnierz wyprosił od Szökölöna papierosa i odszedł. Niebawem wrócił z jakimś nie mniej wiekowym towarzyszem.

- Niemcy?

- Nie! Japończycy - odrzekł Szökölön. - Robi ci to jaką różnicę?

Przybyły szybko omiół wzrokiem twarze śpiących, mundury, plecaki, po czym przykucnąwszy wydobyl z kieszeni płaszcz manierki.

Szökölön wyjął z kieszeni pugilares i położył go obok siebie,

- Daj no, bracie, najpierw skosztować.

- Najwyżej powąchać - zastrzegł się właściciel manierek - jakby tak wszyscy chcieli skosztować, zostałbym się z pustymi blachami.

- A ja, bracie inaczej nie kupię - oświadczył Szökölön. - nieraz kupilem już rum oficerski prosto ze studni. A może tam jest benzyna? Albo atrament? Diabli was wiedzą, coście za jedni.

- On jest z tutejszej stacji odżywczej - objaśnił pośrednik - kucharz.

- Tym bardziej chcę skosztować. Najwięksi złodzieje to kucharze ze stacji odżywczych. Dasz skosztować? Jeśli nie, idźcie do diabła i nie zwracajcie głowy.

Kucharz po krótkim wahaniu nalał odrobinę rumu w wyjęty z kieszeni kubek i podał go Szökölönowi.

- Rzeczywiście rum - orzekł ten po wypiciu. - Bierz forszę!

Kucharz dał pośrednikowi dwie korony i odszedł. Szökölön poczęstował starego landszturmistę łykiem rumu.

- A może wam jeszcze co potrzeba?

- Ty co? Masz tu jakie biuro handlowe?

- Jestem z oddziału wartowniczego na dworcu. Mam różne znajomości i mogę niejednen interes przeprowadzić.

- Jeżeliś taki przemysłowiec, dlaczego zebrzesz? Żołnierz podrapał się po siwiejącym podbródku.

- Oszczędzam, bracie, mam dużą rodzinę w kraju.

Z dalszej rozmowy okazało się, że każdą wolną po służbie chwilę spędza na dworcu, gdzie trudni się intratnym pośrednictwem w różnych transakcjach. Znał złodziejstwa wszystkich magazynierów wojskowych i feldfebli rachunkowych, a nawet oficerów gospodarczych garnizonu, i oferował na sprzedaż wszystko, poczynawszy od produktów żywnościowych, a skończywszy na oponach samochodowych.

- Przyjdź za kilka godzin, to pogadasz z feldfeblem. Płaszczy nam potrzeba.

Porozmawiał trochę i odszedł. Szökölön i Haber zagłębili się w czytaniu. Po dwóch godzinach pożywili się konserwą i popili rumem, potem obudzili Baldiniego i Hładuna, a sami wyciągnęli się na kocach i zaraz usnęli, zmęczeni całonocną podróżą. Nowa zmiana najpierw strasznie ziewała, potem zabrała się do pozostawionej połowy konserwy. Dla zabicia czasu zaczęli po jedzeniu grać w karty.

Nagle zajrzał za palmę jakiś brodac z fajką w zębach.

- E, koledzy! Macie forszę?

- Ile ci potrzeba - zapytał Hładun - pięć, dziesięć tysięcy? Brodac wyjął fajkę z ust i splunął.

- Mam tu takiego jednego z rumem, chce sprzedać.

- Dużo? - zapytał Baldini.

- Dwa litry.

- Ile chce?

- Pięćdziesiąt koron.

- Niech się da wypchać.

Baldini zaczął obmacywać plecaki i, kiedy natrafił na właściwy, wyjął z niego

manierkę.

- Powąchaj. Kosztował po pięć koron. Oficerski.

Brodacz odszedł i wkrótce powrócił z tym samym kucharzem, który dostrzegłszy śpiącego Szökölöna nie okazał zdziwienia i zażądał za rum dwadzieścia pięć koron. Po krótkim targu sprzedał cztery manierki za dwadzieścia. Pośrednik otrzymał od Baldiniego dwie korony i kilka papierosów wraz z łykiem nabytego rumu. Przysiadł się do nich i zaczął po kolei oferować różne rzeczy na sprzedaż. Na zapytanie Baldiniego wyjaśnił mu, że pełni służbę w oddziale wartowniczym na dworcu i przyznał się do pośredniczenia w handlu, tak jak jego poprzednik i kolega. O czwartej Baldini obudził Kanię.

- Przed szóstą wyjdziemy na dworzec, aby się nie doczekać kontroli, a tymczasem możecie jeszcze trochę pospać. Napiszę przez ten czas kilka listów.

Baldini i Hładun rozmawiali z nim chwilę i położyli się. Kania skończył pisanie listów i wkładał je w koperty, kiedy uwagę jego zwrócił jakiś żołnierz, który się kilka razy przeszedł obok palmy i zapuścił za nią żurawia.

- Czego się szwendacie?

- Nic, panie feldfebel. Tak sobie chodzę. Czy pan feldfebel nie chciałby kupić rumu?

- Dużo?

- Dwa litry, panie feldfebel.

- Ile?

- Trzydzieści koron.

- Pewno kradziony, mogę dać dwadzieścia.

- Fasowany, panie feldfebel. Jest tu taki jeden abstynent.

- Znam ja tych abstynentów.

- Mam go tu przyprowadzić? - Dawaj go tu.

Żołnierz odszedł i Kania obliczył zawartość portmonetki. Na rum starczy. Zadziwiającym abstynentem okazał się ten sam rzekomy kucharz, który przykucnął jak poprzednio i wyjmował z kieszeni płaskie manierki. Kania skosztował i zapłacił. Manierki włożył do pierwszego plecaka, jaki mu się nawinął, i zapalił papierosa. Siedział i dumał nad wybrnięciem z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Co robić dalej? Rozmyślania przerwał mu pierwszy landszturmista, który nieśmiało podszedł.

- Przepraszam, panie feldfebel, mówił mi tu jeden z pańskich żołnierzy, że potrzebne są płaszcze.

- Owszem, a macie? Landszturmista usiadł,

- Mam.

- Po ile?
- Po dwadzieścia pięć koron.
- Przyjdźcie po ósmej, to pogadamy.

Kania zatopił się znowu w rozmyślaniach.

Kradzież papierów i pieniędzy postawiła ich w ciężkim położeniu. Wyjechać bez dokumentu nie można, a siedzieć na stacji bez wzbudzania podejrzeń jest na dłuższą metę również trudno. Po piątej obudził wszystkich; w myśl informacji ustępowych, celem uniknięcia kontroli, ubrali się przepisowo i wyszli z dworca.

Po krótkiej naradzie postanowili krążyć przez dwie godziny po ulicach Grazu, gdyż, po pierwsze, nie byli pewni, czy do lokali również nie przychodzą patrole, i nie chcieli ryzykować wejścia do jednego z nich, a po wtóre, maszerujący środkiem ulicy patrol nie wzbudzał podejrzeń. Kania stanął na czele czwórki i ruszył środkiem jezdni prosto przed siebie.

Zmierzch zapadł, co uwalniało go od oddawania honorów przechodzącym oficerom. Przy tym omijał główne i więcej ożywione ulice. Żwawo maszerowali różnymi bocznikami i po godzinie weszli na przedmieście, gdzie ulice były mniej oświetlone, a zabudowania rzadsze. Pod jakimś parkanem Kania zatrzymał się; zapalili papierosy.

- A może by tutaj do jakiejś knajpy wstąpić? - zaproponował Szökölön. - Zganiałem się jak pies. Tu chyba nie przychodzą?

- Za co pójdziemy do knajpy?

- Tyle jeszcze przecie chyba mamy?

- Skończyły się knajpy. Dawaj no, Haber, manierkę. Włożyłem cztery do twego plecaka.

- Skądżeś wziął?

- Kupiłem na dworcu, kiedyście spali.

Podczas kiedy Szökölön z wielką gotowością wyjmował z jego plecaka manierki, Haber zaczął coś mrużyć.

- Co tam mrużysz?

- Nie mogłeś się nas spytać? My też kupiliśmy cztery manierki. Za ostatnie pieniądze, można powiedzieć, tfu! Kania splunął również.

- Nie mogliście mnie powiedzieć?

- Kiedy? Przecież spaliśmy.

- Źle zrobiłem, że nie odebrałem od was pieniędzy. Nie dosyć, że człowiek stracił grubszą sumę, to mu jeszcze kochani koledzy dopomagają do wyzbywania się tych resztek,

jakie pozostały. I to na rum! Pały pijackie! A co będziemy jutro żarli? Wy tylko, aby żłopać, aby chlać.

- A po coś ty kupował?

- Kupiłem za psie pieniądze. Dwadzieścia koron dałem za to. Obliczyłem, że zostanie nam jeszcze trochę pieniędzy, bo wiedziałem, że wy też coś macie. Po ile płaciliście?

- Po sześć.

- No tak. Nie trzeba było pomyśleć o płaszczach? Zimno się robi.

Podczas tej krótkiej wymiany zdań Baldini i Hładun patrzyli na siebie trochę nieswojo. Kania pociągnął z manierki i oddał ją Szökölönowi.

- Niezbadane są wyroki Opatrzności - westchnął Baldini. - A ty znowu co?

- Nieszczęście.

- Co się stało.?

- My, uważasz... hm... kiedyście spali... tego...

- Co "tego"?

- Zdarzyła się okazja i... hm... tego... bardzo tanio... rum.

- Tego... okazja... hm... tego... rum... tego! W pysk bić i patrzeć, czy równo puchnie!

Kania z irytacją zakorkował manierkę i oddał ją Haberowi.

- Okazje, psiakrew! Ostatnie pieniądze wydają na rum! Dobrane towarzystwo! I jak sekretnie! Niech was, kochani przyjaciele, diabli wezmą z waszymi okazjami! Tak. Teraz zamiast płaszczy mamy dwanaście manierek rumu! Okazje.

- Nie powinieneś się tak właściwie ciskać, bo rum rzeczywiście kupiony okazjnie. Kania spojrzał wściekle na Szököloną.

- Nie gadaj przynajmniej!

- To jest oryginalny rum oficerski.

Kania wyszedł na środek ulicy i zakomenderował:

- Direktion mir nach! Marsch! (Kierunek za mną, marsz!).

Nie oglądając się za siebie ruszył ulicą, a towarzysze szybko ustawili się w dwójki i podążyli za nim z nosami na kwintę. Po drodze obie pary zaczęły się sprzeczać ze sobą o to, kto nie powinien był kupować.

Wyrzucali sobie wzajemnie niesolidarność, czym zirytowany Kania włączył ich po różnych zaułkach i, dopiero kiedy się dobrze zmęczył i zgrzał, poprowadził ich z powrotem na dworzec. W tłumie zalegającym poczekalnię nie widać było żandarmów, weszli więc do swego kąta, w którym tymczasem rozłożyło się dwóch ułanów obrony krajowej.

- Jazda stąd!

Ułani złymi spojrzeniami ogarnęli Kanię, zebrali swoje rzeczy i ciągnąc niedbale koce po podłodze odeszli.

- Widać niedawno kontrolowali, bo nikt nie śpi - zaczął mówić Szökölön rozścielając koce. - Mamy spokój do jutra. Kania był przybity i zły.

- Spokój do rana, a rano co? Wdepnęliśmy w ten Graz jak Piłat w Credo. Żeby złapał tego drania, co mnie okradł, wybiłbym mu po zębie trzonkiem od bagnetu. Prawie tysiąc koron.

Haber wyjął z plecaka konserwy i otwierał je bagnetem.

- Co się stało, to się nie odstanie! Trudno! Jemy, panowie!

Smutno połykali kawałki zimnej wołowiny w galarecie i z pewnego rodzaju zażenowaniem, nie patrząc Kani w oczy, pociągali z manierek. Baldini przed każdym łykiem wzdychał, a na twarzy miał wyraz takiej rezygnacji, jakby pił z przymusu. Zdenerwowały te jego grymasy Kanię, który dał upust swemu humorowi.

- Nie rób ze mnie wariata swoimi minami. Tobie, moczymordo, tylko to w głowie, aby chlać!

- Mnie naprawdę przykro, że tak się stało. Nic nie wiedziałem, że oni kupili. Myślałem, że się przyda. Chłodno wieczorami, rum tani...

- Nie wiem teraz, za co kupimy płaszcze. Był tu jakiś złodziej, któryś z was kazał mu podobno przyjść. Oddajcie mi resztę pieniędzy.

- Musimy sobie zostawić trochę, bodaj po pięć koron - zastrzegał się Szökölön - może się zdarzyć jaka gra w karty.

- Zostawię wam po pięć koron. Więcej ani centa. Niebawem przyszedł żołnierz, który zaofiarował płaszcze.

- Więc, panie feldfeblu?

- Za dużo pan żąda.

- A po ile pan chciałby nabyć?

Kania zapalił papierosa i udawał, że do nabycia płaszczy nie bardzo mu się spieszy.

- Po dziesięć koron za sztukę mogę dać. Jeszcze nie zima i nie jesteśmy na Syberii. Żołnierz pokręcił głową.

- Po tej cenie nie mogę.

- A ja więcej nie mogę zapłacić.

- Słuchaj no, bratku - wtrącił się Szökölön - między nami mówiąc, nie masz wytwórni płaszczy wojskowych i wszyscy o tym dobrze wiemy, że te płaszcze wyjdą z jakiegoś magazynu. I tak was nic nie kosztuje. Aby za bramę wynieść tobolek i fertig.

- A to nie jest ryzyko? Nie tak to łatwo.

- A ty byś jeszcze chciał, żeby płaszcze wyszły z magazynu same i zameldowały się u nas? Za pięć minut strachu więcej jak po dziesięć koron nie warto dać.

- Nie masz zmysłu kalkulacyjnego - tłumaczył Haber. - Płaszcze nie kosztują was nic. My za nie dajemy pięćdziesiąt koron. Pół setki. Takie pieniądze z nieba nie spadają. Ty zarobisz na tym dwadzieścia koron, powiedzmy, a twój wspólnik trzydzieści. Mało? Za pół godziny fatygi? Daj mnie, Boże, po wojnie takie zarobki. Idź po te płaszcze, dostaniesz forszę i szlus!

- Ten mój kolega, co ma te płaszcze, lubi popić; żebym dostał jeszcze ze dwie manierki, to może się zgodzi. Kania pytająco spojrział na Habera, który skinął głową.

- Dodam panu jeszcze manierkę. Przynoś pan te płaszcze. Tylko żeby były nowe i z sukna.

- Takie jak marszkompanie fasują, panie feldfebel. Przedsiębiorczy landszturmista wyprosił jeszcze pół manierki rumu i odszedł.

- Dobrze się wie gdzie w naszej ojczyźnie - odezwał się Szökölön. - Na froncie marzną, a tutaj możesz za dziesięć koron kupić nowy płaszcz. Długo to tak może trwać? Jeszcze miesiąc, dwa. Niech tylko zima przyjdzie.

Żołnierz powrócił w kilkanaście minut później z dwoma plecakami. Płaszcze były z prawdziwego sukna i nosiły pieczętki wiedeńskie z datą "1917".

- Ma pan pieniądze i rum.

Kiedy każdy swój płaszcz włożył do plecaka, trochę się im humory poprawiły; przynajmniej byli zabezpieczeni przed zimmem.

- Pozostało w majątku ogółem z tym, co wy macie, sześćdziesiąt koron - oznajmił Kania, smętnie wzdychając - akurat na dwa, trzy dni. Ale co będzie dalej, przyjaciele, nie wiem.

- Z Grazu trzeba się wynieść.

- To jest jasne, ale w jaki sposób?

Naradzali się przez dłuższy czas, po czym zgodnie ustalili, że najlepiej wrócić na Węgry, gdzie przynajmniej łatwiej można się przeżyć.

- Musimy jeszcze wykombinować sposób przedostania się tam.

To były właśnie najtrudniejsze zadania do rozwiązania. Na nic zdały się pomysły wędrówki pieszo i jazdy na gapi, gdyż krzyżowały je groźne widma zandarmów, stojąc w poprzek każdej drogi w monarchii. Kania błędził oczami po sali i nagle wpadł mu do głowy jakiś pomysł.

- Wykradnę dokument jakiemu podoficerowi.

- Żeby ci się to udało, byłoby niezłe.

- Na oryginalnym dokumencie można już wskrobać i dopisać wszystko, co potrzeba - zauważył Haber. - Znam się trochę na tych rzeczach.

- No więc spróbuję szczęścia - zdecydował się Kania. - Trzeba będzie upatrzeć jaką ofiarę, spoję ją i może mi się uda. Cel uświęca środki.

Wyjął z plecaka manierkę rumu i konserwę, otworzył ją, włożył do papierošnicy papierosy i wyszedł z zacisznego kąta za palmą na salę.

Przeszedł się między gęsto obsadzonymi stołami, bystro łowiąc czujnymi spojrzeniami gwiazdki na kołnierzach. Po jednej stronie poczekalni, bliżej bufetu, ustawione były okrągłe stoliki, przy których siedzieli przeważnie podoficerowie. Kania zauważył jakiegoś feldfebla czytającego przy jednym ze stolików gazetę.

Przed nim stał napełniony do połowy kufel, z którego pił małymi łykami. Od czasu do czasu odrywał oczy od gazety i błędził nimi po sali jakby wyczekująco, po czym wzdychał i znowu zagłębiał się w czytaniu. Na piersiach miał kilka odznaczeń bojowych i Kania, okrążając go z daleka, jak myśliwy zwierzę, doszedł do wniosku, że jest to na pewno jakiś frontowiec czekający na pociąg. Po krótkiej obserwacji zdecydowanie podszedł do stolika.

- Pozwoli pan, kolego, że sobie tutaj zjem coś niecoś. Feldfebel szybko odłożył gazetę.

- Proszę bardzo.

Kania usiadł i postawił przed sobą manierkę, kubek i konserwę.

Feldfebel z westchnieniem spojrzał na stół i łyknął z kufla. Widać było po nim, że pragnąłby rozpocząć rozmowę, ale waha się. Kiedy Kania zaczął wyjadać nożem z puszki, zdecydował się przemówić.

- Dobrego apetytu, panie kolego.

- Dziękuję uprzejmie...

Spojrzenia feldfebla badawczo ślizgały się po obojętnej twarzy Kani i jego medalach.

- Coś ty za jeden? - pytały jego oczy.

- Jeżeli pan nic nie ma przeciwko temu, chętnie był z panem wypić - odezwał się uprzejmie Kania widząc, że feldfebel, po serii westchnień, zabiera się z powrotem do swojej gazety. - Nie lubię pić w pojedynkę.

Zaproszenie to zostało przyjęte z wielkim uznaniem przez feldfebla, który wyciągnął dłoń.

- Pozwoli się pan przedstawić: Hancke.

- Schneider. Będzie mi bardzo miło posiedzieć z panem, bo jestem samotny tutaj jak

sierota.

- To tak samo jak ja, panie kolego. Siedzę jak idiota już od kilku godzin i nie mam do kogo gęby otworzyć. Pan wyjeżdża dzisiaj?

- Wyjeżdżam - odpowiedział Kania napełniając kubek i podsuwając go feldfeblowi. - Fasowałem tu materiały opatrunkowe, a pan?

Feldfebel wypił i z zadowoleniem mlasnął, po czym własnym nożem wydłubał z puszki kawałek mięsa i żując go odpowiedział:

- Ja również wyjeżdżam w nocy... do Temeszvaru.

Po tej odpowiedzi Kania stał się rozmowniejszy. Oto wymarzona okazja. Dokumentu nawet nie trzeba będzie wyskrobywać, skoro upatrzona ofiara jedzie na Węgry.

- Pańskie zdrowie, kolego.

Feldfebel był bardzo rozmowny i po kilku kubkach rumu gadał z Kanią tak, jakby go znał od dawna. Rozmawiali z sobą o rzeczach bardzo interesujących, ale Kania odpowiadając feldfeblowi gratulował sobie w duchu, że tak od razu dobrze trafił, i myślał przede wszystkim o swoim interesie.

Temeszvar, Temeszvar, Temeszvar! Mało dźwięczna ta nazwa węgierskiego miasta nieustannie szemrała mu w ustach, jak najpiękniejsze trele słowicze. Trzeba tylko wybadać, myślał sobie, czy jedzie sam, czy też ma jakiś konwój z sobą.

- Ma pan jaki transport, czy jest pan sam?

- Sam, panie kolego, sam jak palec. Miałem pewną sprawę do załatwienia w jednym ze szpitali - odpowiedział feldfebel trochę przez nos.

Rum zaczął już działać i opowiadał Kani jakiegoś zdarzenie, które mu się przytrafiło na froncie włoskim. Była to niesłychanie zagmatwana historia, w której feldfebel zachował się jak bohater.

- ...za to, panie kolego, dostałem złoty medal waleczności. Mocny ten pański rum... Zdrowie!

- Prosit! Dałbym ci jeszcze z pięć srebrnych i złotych medali, bracie, żebyś mi tylko oddał swój dokument, myślał Kania i kombinował: Więc jedzie sam. Dopisze się tylko na dokumencie "und vier Mann" (i czterech ludzi), bo "ein Feldvebel" (jeden feldfebel) już napisane. Może mu zaproponować piwo, to się prędzej urznie?

- Wypije pan kufelek, kolego? Feldfebel potrząsnął manierką.

- Prędko pański rum unicestwiliśmy, co? Umieją pić frontowi żołnierze, he, he, he!

Kania wstał od stołu i podszedł do bufetu. Z rąk sennej niewiasty odebrał dwa kufle piwa i wrócił z nimi do stolika.

- Piwo z rumem nie bardzo się zgadzają - zauważył feldfelbel.

- Ja, kolego, lubię takie urozmaicenie - odpowiedział i trącił się z nim kuflem. Trzeba teraz udawać, że mi się zaczyna po tym piwie w głowie kręcić, myślał stawiając kufel.

Feldfelbel był wyraźnie podchmielony i przeskakiwał z tematu na temat.

- Wszystko wielka bujda na resorach - mówił patrząc w kufel - nieprawdaż?

- Prawda - odpowiedział Kania i zastanowił się nad tym, kiedy może odchodzić pociąg do Temeszvaru.

- ...zabiję, dajmy na to, podczas pokoju człowieka, który mi uwiódł żonę. Przypuśćmy, że złapałem go in flagranti, jak to się mówi, a w takiej chwili działa się pod wpływem silnego wzruszenia psychicznego, jak to pięknie wywodzą panowie obrońcy. Wszystkie moje wzruszenia psychiczne nie przeszkodzą w tym wypadku wysokiemu trybunałowi wsypać mi trzech lat. A tu, ni z tego, ni z owego, nie mam żadnego wzruszenia psychicznego i robię Bogu ducha winnemu Włochowi albo Moskalowi dziurę w brzuchu bagnetem i to z takim spokojnym sumieniem, jakbym dziurawił ser szwajcarski. Co podczas pokoju jest grzechem, podczas wojny jest cnotą. Prawda, panie kolego? - Prawda - zgodził się Kania i dalej myślał o swoim.

- Wszystko do góry nogami, łaskawy przyjacielu - powiedział feldfelbel i nieoczekiwanie westchnął. - A wojnę przegramy jak amen w pacierzu.

Kania ze zdziwieniem popatrzył na niego.

- Niech się pan nie dziwi, kolego, ale my, Niemcy, możemy między sobą mówić szczerze.

Feldfelbel nachylił się do niego dyskretnie.

- Prze-gra-liś-my, bracie kochany. Kania podał mu papierośnicę.

- Jeszcze nie wiadomo. Zawarliśmy już pokój z Ukrainą, zawrzemy pokój z Rosją i możemy wtedy wszystkie siły ściągnąć na zachód.

Feldfelbel pokiwał głową, jakby się litował nad jego głupotą. Miej mnie za idiotę, pomyślał Kania, lepiej to nawet dla mnie.

- Pan chyba nie wie, co się dzieje we Francji, panie kolego. Niemcy tak zdrowo biorą w skórę, że aż przyjemnie o tym słyszeć. Otwarcie panu powiadam, że to przez nich wpakowaliśmy się w ten cały interes. Po diabła nam to było? A teraz - kaput, punkum i basta. Będziemy płacili pięćdziesiąt lat odszkodowania wojenne. Zemszczą się Francuzi za Sedan. Bośnia pójdzie, Hercegowina pójdzie, Polska weźmie Galicję, Czechy będą niepodległe, Słowacja niepodległa, Krocja niepodległa, Dalmacja niepodległa i tak wszystko sobie ładnie odpadnie, resztę podzielą między siebie sojusznicy i amen! Zostanie się sam Wiedeń! - Toś

mnie zmartwił, pomyślał Kania.

Feldfelbel załatwił się z krajami koronnymi i rozstrzygnąwszy wojnę siedział przez chwilę i kiwał głową, jakby nad czymś rozmyślał.

- Warto by jeszcze wypić, kolego, co? Niech pan tu chwilę posiedzi, a ja pójdę po rum.

- Może starczy?

- Wykluczone. Nie uważa mnie pan chyba za jakiegoś dziada. Na mnie kolej stawiać. Poznałem tu jednego abstynenta. Ma doskonały rum, bestia.

Kania nie chciał się przyznać, że też zna tego abstynenta, który potrafił zaoszczędzić zdumiewające ilości rumu. Feldfelbel odszedł trochę niepewnie. Wrócił po kilku minutach i wyjętą z kieszeni manierkę postawił na stole.

- To jakiś niezły ananas z tego abstynenckiego kucharza. Rumu ma chyba z wagon. I drugi wagon manierek. Napełnił kubek i wypił, po czym nalał Kani.

- Kradną wszyscy, co się tylko da - zwierzył się feldfelbel - cały hinterland to jedno złodziejskie sprzysiężenie.

Nie można się było nudzić z feldfelblem, Z równą pewnością siebie rozmawiał o polityce, jak o działaniach wojennych. Wszystko tłumaczył sobie jasno i lapidarnie i nie miał najmniejszych wątpliwości mówiąc o przypuszczalnym wyniku wojny. Kania przestrzegał go, żeby mówił ciszej.

- Pluję na ostrożność!

Z każdym kubkiem rumu nabierał większej pewności siebie, ale język zaczął mu się plątać.

- My, bracie, nadstawiamy głowy i mamy prawo mówić, co się nam podoba.

- To się może nie podobać żandarmom. Feldfelbel przeszedł na "ty".

- Mam prawo gwizdać na całą żandarmerię... wiesz? My jesteśmy bohaterowie!... Ty masz złoty medal i ja mam złoty medal, ty masz srebrne i ja mam srebrne, więc co wobec nas znaczy żandarm, pytam? Pluskwa, pchła, wesz!

- Mów, kolego, ciszej, bo wpadniemy.

- Niech wszyscy słyszą, co mówi podoficer frontowy!... Also sprach Zaratustra (Tako rzecze Zaratustra). Twoje zdrowie, kolego. - Inteligent, pomyślał Kania.

Po następnych dwóch kubkach zaszumiało mu w głowie i czerwoną twarz feldfelbla zaczął widzieć przez mgłę. Schlałeś się chyba i ty, myślał przepijając wytrwale. Ale dokument będę miał i kicham na ciebie. Zaraz cię wyciągnę na spacer i pożegnamy się.

Adieu, bohaterze.

- Czu... czuję, bracie... że ten rum jest jak ołów - mamrotał feldfebel - idzie w dół... w nogi. Mózg fun... funkcjonuje normalnie, a ciało... sztyw.... sztywnieje. Niewytłumaczone zja... zjawisko... medy... me... medy...

- Medyczne - dopomógł mu Kania z wysiłkiem, ponieważ zaobserwował u siebie to samo.

- Masz rację... me-dycz-ne. - Feldfebel opuścił głowę na piersi i cicho mówił dalej: - Medycy to po-rząd-ne chłopcy. A ty dawno skończyłeś medycynę?

- Nie kończyłem w ogóle. Zdaje mi się, że jesteśmy pijani, bracie.

- Nieprawda, nie jestem pi... pijany... medice cara te ipsum⁶... wie... wiesz?

Teraz zaczął już gadać bez związku i Kania nic z tego nie rozumiał. Odwrócił głowę i stwierdził, że cała poczekalnia wiruje z zawrotną szybkością dokoła niego. Zamknął oczy i przez chwilę siedział nieruchomo, jakby wyczekiwał, że te wirujące ruchy ustabilizują się. Skądś, jakby z wysokiej góry, doszedł go głos feldfebla.

- Mu... musimy wyjść na świe... świeże powietrze... słyszysz, bracie?

- Sły... słyszę...

Otworzył oczy i z trudem powstał opierając się o blat stolika.

- Chodźmy...

Ujął siedzącego feldfebla pod ramię i z wysiłkiem podniósł go. Wyszli obaj zataczając się i na peronie stacyjnym roztrącali snujących się tam żołnierzy. Feldfebel całym ciałem zawisł na ramieniu Kani i gęsto czkając bełkotliwie podawał mu do wiadomości swoje samopoczucie.

- Uwa... uważasz... e-ep... kolego... jest... mi e-ep niedobrze.

- Mnnnnie tteż...

Feldfebel przystanął i przybliżywszy twarz do twarzy Kani wytrzeszczył oczy.

- Bla... e-ep... bładny jesteś... e-ep... rzeczywiście, będziesz chyba rzygał, co - Kania skinął głową.

- Nno to ra... e-ep... razem...

Poszli dalej ze zwieszonymi głowami, czule i troskliwie wzajemnie się podpierając, aż się znaleźli na końcu peronu. Kania zrobił taki zamaszysty krok naprzód, że przyfastrygowany do niego feldfebel zatoczył się i w ostatniej chwili znaleźli się obaj nosami w żwirze.

- U... upadłem e-ep...

⁶ medice cura te ipsum (łac.) - lekarzu lecz się sam

Feldfebel usiadł z trudem i wypluwał piasek.

- Kolego... e-ep... upadłem - oznajmił po raz drugi o tym nie ulegającym wątpliwości fakcie.

Przez chwilę pluli piaskiem w milczeniu.

- A rzygać muszę bezwarunkowo - stwierdził feldfebel zmienionym głosem.

Pomagając sobie wzajemnie, powstali z ziemi i kiwali się na nogach. Z lewej strony torów znajdowała się niska bariera i Kania pociągnął ku niej swego towarzysza, który dał się bezwolnie prowadzić, jak cielę do rzeźni. Wraz z Kanią przewiesił swoje zwiotczone ciało przez barierę i leżeli tak jakiś czas z rękami bezwładnie opuszczonymi w dół, wpatrując się w ziemię pod swoimi oczami, jakby coś chcieli na niej znaleźć.

- Trzeba palec e-ep... w gębę wsadzić - oświadczył po dłuższym oczekiwaniu Kania.

- Ra...cja...

Ledwie feldfebel otworzył szeroko usta i włożył w nie prowokacyjny palec, od razu wywołał pożądany skutek z taką gwałtownością, że przykład jego podziałał momentalnie na Kanię. Solidarnie tak sobie porzygiwali cenną konserwą z rumem, z czego powstały na pół metra od ich oczu dwie bratnie kałuże. Wpatrywali się w nie badawczo w przerwie między jedną reakcją żołądka a drugą, jakby chcieli stwierdzić, czy spożyta przedtem ilość zgadza się ze zwróconą.

- Rindgulasz był za tłusty - oznajmił feldfebel i natychmiast poparł swoje twierdzenie niezbitym dowodem. Kania odwrócił głowę.

- Nnie... tto rum był nieświeży.

- Rum? E-ep... ru... rum?

Feldfebel próbował wyrazić zdziwienie z powodu tej opinii. Nie słyszał dotąd w swoim życiu, żeby alkohol mógł być nieświeży.

- Nieświeży ru.. rum, ko... e-ep... kolego? Kania skinął żałośnie głową.

- Rum... rum zawsze... je... jest świeży - replikował feldfebel - ale ko... konserwy wołowe by... e-ep... bywają śmierdzące.

Kania obrzucił wzrokiem szklące się przed nim bajorko rindgulaszu i rumu i z wysiłkiem wyprostował się. Zaczepnął pełną piersią powietrza, zdjął czapkę i otarł wierzchem dłoni pot z czoła.

- Uf...

Tamten, podrzucany jeszcze nawrotami wymiotów, wisiał nadal jak worek na barierze. Kania uderzył go w kark i zaczął nim potrząsać jak wyciągniętym z wody szczeniakiem.

- Już.

Feldfebel wyprostował się i okrągłymi jak cebula oczyma spojrzął na Kanię.

- Dostyc, ooo - westchnął ciężko i rękawem ocierał usta.

- Przydałoby się przespać trochę, strasznie słaby jestem.

- No to chodźmy na trawę.

Uginającymi się w kolanach nogami zrobił Kania kilka kroków w bok i ciężko zwałił się na ziemię. Feldfebel upadł przy nim z łomotem i Kania otworzył oczy. Migotanie gwiazd na niebie stało się dokuczliwe. Znowu zaczęło mu wirować w głowie. Przymknął oczy, żeby się pozbyć tego niemiłego uczucia.

- Zapaliłbym - oznajmił feldfebel słabym głosem.

- Nie, bracie, znowu będziesz rzygał. Musimy się trochę zdrzemnąć, żeby głowy złapały równowagę.

- Równowagę?

Feldfeblowi podobało się to określenie.

- Rzeczywiście, kolego, moja głowa straciła równowagę. Coś w niej biega.

Kania podniósł powieki i w świetle księżycy starał się nieznacznie obserwować towarzysza. Położył się na wznak, wzdychał i wiercił się.

- A rindgulasz był stary, kolego - informował feldfebel księżyc nad swą głową.

Leżeli tak jakiś czas obok siebie, po czym feldfebel zaczął się kręcić, stękać i zachrapał. Kania usiadł i zapalił papierosa. Kiedy mu się zdawało, że feldfebla z jego snu nie obudzi nawet ogień huraganowy, odrzucił papierosa i przykucnął nad nim.

Najpierw przybliżył twarz do jego twarzy i bacznie się jej przyjrzał, następnie delikatnie rozpiął kieszeń na piersiach, gdzie zwykle trzyma się dokumenty. Ostrożnie, zatrzymując oddech, wkładał właśnie dwa palce do kieszeni, kiedy w uszy wpadły mu jakieś słowa wypowiedane przez śpiącego. Kania znieruchomiał i nie wyjmując palców z kieszeni nachylił się nad nim. Feldfebel chrapał dalej. Uspokojony, namacał w niej plik papierów i powoli zaczął go wyciągać, kiedy usłyszał wyraźnie wypowiedziane słowa:

- Nie fatyguj się, przyjacielu.

Kania zdrętwiał i szybko spojrzął na twarz feldfebla. Para otwartych oczu błyskała białkami spod daszka czapki, a jednocześnie usłyszał wyraźny chichot.

- Ten dokument jest fałszywy.

Feldfebel nagłym ruchem usiadł. Kania szeroko rozwartymi oczyma wpatrzył się w obserwującego go feldfebla jak królik w ślepią węża. Na chwilę stracił zdolność logicznego myślenia.

- A to pech!... - odezwał się feldfelbel. - Człowiek ostatnie grosze wydaje na rum, żeby schlać tę świnię, i okazuje się, że trafił swój na swego.

Zerknął na Kanię i zauważył jego osłupienie.

- E, ty... obudź się!

Kania potarł ręką czoło i ponuro zwiesił głowę na piersi.

- Myślałeś, że ja naprawdę jadę do Temeszvaru, co? Hm... chciałbym tam teraz być rzeczywiście. Podobno ładne miasto - monologował feldfelbel - ale głupi świstek stoi na przeszkodzie. A po co wyrzygałem tę konserwę, nie wiem. Teraz będę głodny.

Kania zwrócił ku niemu głowę.

- No, czego się gapisz jak gawron? - zapytał feldfelbel ze złością. - Jeszcze głowa twoja nie złapała równowagi?

- Psiakrew!

- Toś ty Polak? - zapytał feldfelbel.

- Polak.

- No to dawaj grabę, bracie Słowianinie, ja sem Czech. Teraz zaczął rozmawiać z Kanią przyjaźniej i po kilku zdaniach dogadali się.

- Jeżeli chodzi o dokładność, to feldfelblem nigdy nie byłem - zwierzył się szczerze Kania - byłem frajtre.

- Feldfelblem to i ja nie byłem, ale tak wygodniej jest jeździć.

- Ta ty tak ciągle jeździsz?

- Podróżuję, bracie, dużo zależy od dokumentów.

Powoli wtajemniczyli się w swoje plany, wypowiedali wzajemnie z grzechów i obaj się rozgrzeszyli. Rzekomy feldfelbel, który przedstawił się jako Zajiczek, w co, oczywiście, Kania nie uwierzył, jak się okazało, utonął w przeklętym Grazu, bo mu się kończył dokument podróży i od dwóch dni czekał na nowy, który miał otrzymać od jakiegoś kolegi urzędującego w komendzie miasta w Brnie. Widocznie jednak temu ostatniemu stanęło coś na przeszkodzie, gdyż nie dostarczył dokumentu na czas. Dlatego Zajiczek postanowił zaopatrzyć się weń na własną rękę, z wiadomym skutkiem. Opowiedziawszy wszystko, pseudofeldfelbel zaczął się szczerze śmiać.

- Rzeczywiście, ciekawy zbieg okoliczności - odezwał się Kania, nie dzielając wesołości towarzysza - ale trzeba się zastanowić nad przyszłością. Nie wiem, co mam zrobić. Ilość żandarmerii i policji wojskowej w Grazu jest zdumiewająca, co?

- Czekaj no... czy zauważyłeś tego bośniackiego cugsfirera, co chlał obok nas z manierki?

- Zauważyłem.

- Słyszałem, jak mówił, że jedzie do Köröszmezö. Może z nim da się co zrobić. Z przyjemnością przyłączę się do twojej paczki, samotność zbrzydła mi już.

- Ja, bracie, i bez ciebie mam już całą wieżę Babel. Wożę z sobą Węgra, Włocha, Ukrainca i Żyda. Ale - Kania przerwał, namyślając się przez chwilę - mógłbym cię przyjąć do sitwy pod warunkiem, że zdegradujesz się do szeregowca i zdejmiesz medale. Szóstka dezertków nie wzbudzi nigdy podejrzania i prędzej możemy dać sobie radę, nawet gdyby kiedy miało przyjść do jakiejś awantury.

- Wiedz o tym, kolego, że na mnie robisz dobry interes. Znam całą Austrię, Czechy, Galicję i inne kraje. Dwa lata już wędruję i zdążyłem wszystko dokładnie poznać. Graż mi już kością w gardle stoi. Za długo się tu szwendam za tym swoim majorem.

- Za jakim majorem?

- Mam pismo służbowe do majora Hansa von Kranzberg, że został mianowany podpułkownikiem poza kolejką i odznaczony orderem "Signum Laudis". Major ten został ranny pod Udine i odwieziony do szpitala w Grazu.

- I nie ma go tu?

- Nie ma go ani tu, ani nigdzie indziej na świecie. Istnieje tylko na tym papierze. Masz, czytaj. Możesz sobie też i order obejrzeć. Ładna rzecz - kosztowało mnie to razem trzysta koron, ale już dwa miesiące podróżuję sobie z nim spokojnie.

Kania odebrał z rąk feldfebla elegancki futerał, w którym znajdowało się jedno z najwyższych odznaczeń bojowych. Pismo, podpisane przez dowódcą frontu, generała Boroewicia di Bojna, głosiło, że Jego Cesarska Mość raczyła udzielić swojej najwyższej pochwały majorowi Hansowi von Kranzberg i nadaje mu stopień podpułkownika za bohaterstwo wykazane w bitwie pod Udine.

- Dokumenty, trzeba przyznać, są mądre.

- Podejrzenia, bracie, nigdzie z tym nie wzbudzisz. Melduję się najpierw w komendzie placu i wykładam na stół order. To ich hipnotyzuje i walą pieczętkę bez czytania dokumentu. Idę sobie do najbliższego szpitala i pytam, czy nie leży tutaj mój major. Powiadają, że nie. "Wobec tego, szanowni panowie, napiszcie mi zaświadczenie, że byłem go tutaj szukać, ale go nie ma" - powiadam. "A na co to panu potrzebne?" - pyta feldfebel. "Na to - powiadam - żebym miał wobec swojej władzy dowód, iż według rozkazu szukałem jak należy, i nie można mi było zarzucić lenistwa albo niedbalstwa." Wtedy dają mi na rękę papier, że taki a taki szuka swego majora, i w ten sposób mam dokument autentyczny. Teraz może mnie nawet złapać żandarm. Pokazuję mu pismo ze szpitala i okazuje się, że mówię prawdę. Pozostaje im

tylko przeprosić mnie i puścić. Pisać zapytania na front byłoby za długo, a ja znowu nie jestem taki głupi, żeby im to poradzić, i gadam, że zgubiłem dokument, obrażam się i odmawiam odpowiedzi. Pozostaje tylko informacja z kilku szpitali jednocześnie i sprawa załatwiona. Miałem już takie przeprawy i wyszedłem z nich jak święty. Nie ma majora w jednym mieście, jadę dalej i szukam. A szukam nieraz tak gorliwie, że nie zdziwiłbym się, gdybym go gdzieś znalazł. To jest autosugestia taka, uważasz, weszło mi to w krew. Grunt mieć wiarę w to, co się mówi i robi, bo wtedy nabiera się takiej pewności siebie, że człowiek gotów gryźć, kiedy mu nie wierzą.

- Myślisz, że ten Bośniak nam się na co przyda? - zapytał po dłuższej przerwie Kania.

- Ma okropnie głupią gębę, bracie, i jeżeli mu tak zaaplikować manierkę rumu, będzie gotów. Człowiek z taką twarzą musi mieć dokumenty jak mur.

- No cóż, chodźmy - zgodził się Kania.

- Kolegom powiedz, co i jak, a kiedy zdobędziemy dokument, zdegraduję się w wagonie i jedziemy dalej. Tylko trzeba będzie ściągnąć dla mnie jakiś karabin i ekwipunek.

Powstali z murawy i ruszyli z powrotem na dworzec. Przed wejściem do poczekalni spacerował niespokojnie Haber; kiedy zauważył Kanię, twarz mu się rozjaśniła.

- Martwiliśmy się już. No i jak?

- Taki sam jak i my.

Haber wybałuszył gały na feldfebla, który przyjaźnie wyciągnął doń rękę.

- Servus, Kamerad! Viribus unitis⁷.

- Herr Feldwebel... - Haber nie od razu się zorientował. - Też? - zapytał po chwili i znacząco poruszył dwoma palcami, jakby naśladował bieg.

- Też kolego; przyłączam się do was.

Szökölön grał w karty z jakimś chuderlawym taborytą obok pagórka plecaków, na których spali Baldini i Hładun. Kiedy podeszli do grających, Szökölön pytająco podniósł oczy na Kanię i powstał.

- Was für eine Kartenspielen, Infanterist, Kreutzhimmeldonnerwetter? (Co to za kartograjstwo, strzelcze, do stu tysięcy par diabłów?!).

Taboryta, słysząc tak energicznie zakończone pytanie, zerwał się z ziemi i spojrzawszy na kołnierz Kani zasalutował.

- Abtreten! - krótko odprawił go Kania i taboryta szybko odszedł.

Wtedy usiedli.

⁷ viribus unitis (łac.) - wspólnymi siłami

- Przedstawiam wam nowego towarzysza, koledzy - oznajmił Kania i salonowym gestem wyciągnął ramię.

Przez chwilę siedzieli w kucki na podłodze i patrzyli goście w oczy jak kilka psów przy jednej kości.

- Ma dokumenty?

- Widzicie, przyjaciele, sprawa jest taka.

Kania wyjaśnił pokrótce sytuację, a kiedy skończył, Szökölön zaklął. Nowy kandydat do szajki przyjął spokojnie ten wybuch niezadowolenia.

- Jeżeli wam to nie dogadza, mogę odejść. Dam sobie radę sam. Chcę wam tylko powiedzieć, że nikt ode mnie lepszych dokumentów nie wykombinuje w całej Austrii. Mam kolegę w Brnie...

- Brno, Brno... Gwiżdżę na twoje Brno, knedliczku! - syknął Haber. - Jutro przy kontroli dokumentów takie nam Brno pokażą, że zzieleniejemy! Pluję na Brno! Dziś musimy jeszcze mieć dokument, żeby wyjechać.

- Ciekaw jestem, skąd go wykombinujecie. Z nieba nie spadnie. Nieraz byłem w takiej sytuacji i wiem. Tu trzeba działać. Szökölön spojrzał na rzekomego feldfebla zezem.

- Trzeba działać, trzeba działać. Adwokat się znalazł, sacra!... Działacz!

- Bez wymyślania, przyjacielu, dobrze? Przyszedłem do was, żeby pomóc, a nie po to, żeby mi kto uwagi robił. Mędrzec!

- Nie kłóćcie się - krótko przerwał Kania. - Nie czas teraz na spory.

Przez chwilę panowała w koczowisku ponura cisza. Przerwał ją zdecydowanie przybysz.

- Zaraz zobaczycie, że nie jestem kiep i nie wyciągam kasztanów z ognia cudzymi rękami. Idziesz ze mną obrobić Bośniaka? - zapytał Kanię.

- Idę.

- No to dawaj rum i konserwę.

Szökölön wy dostał z plecaka manierkę i konserwę.

- Rumu ubywa, a markierantów przybywa.

Kania miał coś na to odpowiedzieć, ale wołał nie wszczynać sprzeczki, aby nie tracić czasu. Zajiczek ruszył za Kanią z manierką w kieszeni.

Przy jednym ze stołów siedział ogromny Bośniak z trzema gwiazdkami na kołnierzu i fezem na głowie. Zajęty był opluwaniem podłogi dokoła siebie, co wskazywało na wyjątkowy smak tytoniu, jaki skwierczał w fajce. Przed nim na stole piętrzył się stos skorupki od jajek, pośrodku którego stał pusty kubek.

Obaj samozwańczy feldfeble zbliżyli się do stołu, odsunęli taborety i usiedli. Bośniak dotknął niedbale ręką fezu i nie zwracając na nich uwagi palił dalej fajkę i spluwał. Zajiczek sięgnął po stojący na stole kubek i uprzejmie zapytał, czy może go użyć, a kiedy Bośniak skinął głową, napełnił go rumem i powietrze dokoła stołu nabrało zaraz specyficznego aromatu. Bośniak poruszył się, kiedy drażniący zapach wpadł mu w nozdrza. Pierwszy wypił Zajiczek, potem podsunął napełniony kubek Kani, a następnie przystąpił do wydobywania nożem mięsa z puszki.

- Mam chleb - ożywił się Bośniak. - Konserwa z chlebem to dobra rzecz - oznajmił takim tonem, jakby dokonał bardzo ważnego odkrycia naukowego.

- No to może pan pozwoli chleba, a my pana przyjmujemy do konserwy - zaproponował Zajiczek.

- Dziękuję, nie chce mi się jeść, mam jajka. Ale wypiłbym z przyjemnością.

- Dobra! Dawaj pan swój chleb. Bośniak ciężko powstał od stołu.

- Prosiłbym cię, Zajiczku, żebyś mi nalewał tylko odrobinę, bo urznię się jak poprzednio, a łeb mnie jeszcze boli po tamtym.

- Poprzednio nie byłeś tak znowu urznięty - kpiąco odpowiedział Zajiczek.

- Jeżeli chodzi o tę bośniacką haubicę, to mam wrażenie, że wchłonie nasz rum bez większych trudności. Straszliwy spust musi mieć to mahometańskie bydlę. Popatrz, co skorupek. Niezgorzej nafaszerował się tymi jajami na twardo.

Bośniak wrócił z bochenkiem chleba, położył go na stole i usiadł.

Zajiczek nalał kubek rumu i uprzejmie poprosił go o wypicie.

- Dokąd prowadzi pana Mahomet, jeśli wolno wiedzieć, panie cugsfirerze.

- Do Pesztu - odpowiedział Bośniak i otarł dłonią usta i wąsy.

- Widzę, że pan tu już drugi dzień mieszka na dworcu. Jedzie pan służbowo czy prywatnie? - zapytał Zajiczek i wypił.

- Wyjechałem służbowo, ale wrócę, zdaje mi się, bardzo prywatnie - westchnął Bośniak i splunął.

Widać było po wyrazie jego twarzy, że trapi go jakieś zmartwienie.

- No! Dlaczego pan to tak smutno mówi? - zainteresował się Zajiczek.

- Nalej mi pan kropelkę, to panu opowiem. Bośniak wpuścił z bulgotaniem w czeluści swego ogromnego cielska trzeci kubek rumu.

- Bo też smutny mi się wypadek zdarzył, moi panowie - zaczął opowiadać i obaj nastavili uszu - bardzo smutny! A najgorsze jest to, że cierpię za cudze grzechy. Wyjechaliśmy we czterech z fenriehem fasować trzy wagony materiałów sukiennych dla

obozu jeńców w Zagrzebiu i wyobraźcie sobie, panowie, że materiały wyfasowaliśmy w całkowitym porządku.

Bośniak przerwał, jakby chciał im dać czas na wyobrażenie sobie tego zadziwiającego wypadku.

- Od tej chwili zaczyna się dziwna i można powiedzieć wprost niesamowita historia. Fenrich, komendant transportu, dobrze się w Peszcie bawił i przed odjazdem pociągu zebrał nas na stacji.

- Wsiadajcie - powiada - do wagonów z materiałami, a ja będę na przodzie, w oficerskim, bo ten pociąg jest mieszany, towarowo-osobowy, i jedzie do Serbii. Na następnej stacji zgłóście się do mnie, cugsfirerze, to wam dam dokument, żebyście mogli pobrać żarcie dla siebie i ludzi w Verkösigungsstelle.

Bośniak przerwał znowu i wypił kubek rumu. Twarz mu powoli czerwieniała, jednak, jak z niepokojem zauważył Kania, nic poza tym nie wróżyło, że w krótkim czasie będzie już dojrzały do małego spaceru za stację.

- Może pan fenrich - powiadam ja - będzie łaskaw wskazać, w którym wagonie mam go szukać. Widziałem, moi panowie, że mu się język płacze, i chciałem się upewnić.

- Dobrze - powiada.

- Poszedłem za nim na przód pociągu, gdzie były dwa wagony osobowe, a w nich kupa panów oficerów. Włazł mój fenrich do wagonu, gdzie siedziały jakieś dwie damy, widać oficerskie, bo im się bardzo szarmancko kłaniał. - Tu - powiada - jestem, cugsfirerze, do samego Zagrzebia. - Wróciłem do swoich wagonów z materiałami i w jednym z nich położyłem się spać. Bośniak ze złością targnął wąsy.

- I wyobraźcie sobie, moi panowie, jaki dziwny wypadek się zdarzył. Kładę się spać w Peszcie, mam jechać do Serbii, a budzę się w Grazu. Rano wychylam się z wagonu, patrzę i wszędzie czytam "Graz". Ubieram się i idę do fenricha. Co się okazuje, moi panowie?

Ponieważ ani Zajiczek, ani Kania nie dali na to odpowiedzi, splunął i mówił dalej.

- Z dwóch wagonów oficerskich został tylko jeden. Włazę do niego, a tam nikogo nie ma, tylko na siatce znalazłem walizeczkę mego fenricha, a w środku jajka na twardo. Tyle pozostało z pana komendanta transportu. Twarde jajka. Cóż miałem robić? Idę do banhofskomendy i melduję, że mi zginął transportkomendant, że mam jechać do Serbii i nie wiem, w jaki sposób z Budapesztu do Serbii jedzie się przez Graz. Trzeba było, moi panowie słyszeć jak mi to połączenie wytłumaczył banhofskomendant.

"He - powiada - takim drańskim markierentom zdarza się to bardzo często, cugsfirerze! Zakuwaliśmy na naszej stacji takich, co jechali z Kijowa do Triestu przez

Macedonię, a znaleźli się w Grazu. Zdaje mi się, że wam się też to zdarzyło. Niech mi się tylko ten wasz - powiada - fenrich nie znajdzie! Radzę wam poszukać go na własną rękę. Za dużo tu - powiada - takich podrzutków się znajduje. Sierotki nieszczęśliwe! Komendanci transportu gubią się tak notorycznie, jakby nic innego nie mieli do roboty i to akuratnie na mojej stacji! Pamiętajcie - powiada - co wam mówiłem, i znajdźcie swego komendanta, bo wróćcie do Pesztu z bransoletkami na rękach." Tak mi pomógł pan ban-hofskomendant... Nalejcie mi, kolego, odrobinę.

Od dłuższej chwili Kania siedział wpatrzony w Bośniaka tak wrogo i nieprzyjaźnie, jakby mu ten wyrządził wielką krzywdę. Niemniej osowiały był Zajiczek.

- Nalejcie mi, kolego, to wam opowiem dalej swoją historię.

- Pies jest twoim kolegą! - warknął Zajiczek i zakorkował swoją manierkę.

Kania chwycił konserwę i spojrzał na Bośniaka tak wyraziście, jakby miał zamiar za chwilę wypróbować wytrzymałość blaszanej puszki na jego zębach.

- Umrzyj, bośniacka studnio! Czegożeś od razu nie mówił mi, że nie masz dokumentu? Kiedy świnią wychłapała pół manierki rumu, wtedy dopiero opowiada, co i jak.

Kania splunął mu pod nogi i obaj z Zajiczkiem odeszli od stolika. Bośniak postawił oczy w słupek. Siedział tak jakiś czas, po czym ciężko powstał od stołu i kiwając swoją wielką głową poszedł pod wodociąg stacyjny, gdzie przez dłuższy czas pompował sobie wodę na głowę.

- No i jak poszło? - zapytał Szökölön, kiedy powrócili do koczowiska z niefortunnej wyprawy po nieszczęsny dokument. Kania wręczył Hładunowi manierkę i nie dojeżdżoną konserwę i usiadł ponury jak noc.

- Macie dokument? - inaczej powtórzył pytanie Szökölön, bacznie przypatrując się Zajiczkowi.

- Pech, kolego.

- Pech? Daj no manierkę. Potrząsnął nią przy uchu.

- Rzeczywiście pech... Wdoili w jakiegoś dryblasa pół litra rumu i przychodzą bez niczego.

Nastrój u podnóża góry plecaków stał się pogrzebowy. Siedzieli w milczeniu przez dłuższy czas i każdy oddzielnie łamał sobie głowę nad wydostaniem się z tego przekłętą Grazu. Wiać, wiać, wiać jak najprędzej! Zmienić klimat na przychylniejszy dla dezertów! Skłonny do uwierzenia w czary Szökölön wyraził przypuszczenie, że prześladowający ich od czasu wyjazdu z Budapesztu pech przypisać należy urokom i zaraz próbował się ich pozbyć recytowaniem jakiegoś zawikłanego wiersza kabalistycznego w dziwnym i nikomu nie

znanym języku.

- Nauczył mnie tego jeden stary Cygan - wyjaśnił - ma to dobrze robić na czary.

- Hokus, pokus, stary idiotus - pomógł mu Haber i kilka razy przesunął przed oczami szeroko rozłożone dłonie. - Pomogło? Masz już jakiś pomysł? Nie? Całuj psa w nos razem z twoim Cyganem.

Odczynianie uroków nie pomogło. Dokument podróży nie zjawiał się. Kania leżąc na plecach przeglądał papiery, jakie miał w kieszeni, i w pewnej chwili ożywił się.

- Zupełnie zapomnieliśmy... Patrzcie! Pożyczki wojenne i akcje.

Były to papiery wartościowe, w których lokował swoje oszczędności von Nogay, a o których zapomnieli w czasach dobrobytu. Haber dokładnie je przejrzał i oświadczył:

- Sprzedam wszystko. Zrobię to lepiej niż każdy z was. Zajiczek ofiarował się pójść z nim razem do miasta. Po godzinie Haber wrócił sam w bardzo dobrym nastroju i obudził Kanię.

- Pięćset koron, więcej nie mogłem dostać; trzeba mieć pisemną cesję na te rzeczy! Dobrze się sprawiłem?

- Dobrze, przynajmniej forsa jest.

Transakcja finansowa Habera poprawiła nastroje.

- A gdzie Zajiczek?

- Ten chłop ma szczęście diabelskie. W jakiejś knajpie, gdzieśmy wstąpili ten handel z jednym Żydkiem załatwić, przychodzi do niego drabisko wielkie na dwa metry i wita się z nim. Kolega. Pracuje tutaj w jakiejś komendzie i zaraz zabrał go do siebie. Kazał mi pozdrowić was wszystkich i przeprosić za zawód. Powiada, że teraz, jak tego kolegę spotkał, nie martwi się o siebie do końca wojny. Ten Zajiczek to spryciarz nie lada. Wiesz, co on za jeden? Fabrykant narzędzi rolniczych i wykształcony chłop. Cwaniak. Dwa lata już jeździ.

Sprzedaż papierów wartościowych trzeba było oblać i uskuteczнили to bardzo sumiennie. Szökölön zarozumiałe dowodził, że powodzenie to należy przypisać tylko jego czarom i przechwalał się, że teraz każdą zagmatwaną sytuację w ten sposób będzie mógł rozwikłać. Prosił jednak, żeby nie przeszkadzano mu i nie kpiono, bo to odstrasza dobrego ducha. W zakamarkach jego jaźni tkwiły jeszcze odziedziczone po przodkach prymitywne wierzenia w nadprzyrodzoność różnych zjawisk i nie dał sobie tego wytłumaczyć.

- Porozmawiaj teraz ze swoim dobrym duchem, żeby ci wykombinował porządny dokument podróży na jednego feldfebla i cztery manszafty do Waraźdynu. Niech ci to zrobi, a wtedy jestem gotów uwierzyć nawet w diabła - zapewnił Haber. - Pije ten twój dobry duch? Nie? Szkoda, można by mu postawić kolejkę, toby się prędzej dał namówić.

- Kpij, Żydzie niewierny, kpij. Zobaczysz, że mnie się poszczęści i jeszcze dziś wyjedziemy. Załóż się ze mną, dobra?

- Nie zakładam się. A to, że jeszcze dziś wyjedziemy, może się sprawdzić. Niech tylko jaki żandarm zajrzy tutaj do nas. Wyjechalibyśmy wówczas na pewno.

Szökölön przez chwilę namyślał się ze zmarszczonym czołem, po czym nagle zerwał się na nogi.

- Biorę manierkę rumu i idę wykombinować dokument - rzekł zdecydowanie, patrząc na Kanię. - Pokażę wam, że mi się uda.

Haber zmrużył oko.

- Pójdę z tobą.

- Nie, idę sam! I jeśli za pół godziny, a najpóźniej za godziną nie będę miał dokumentu, macie mi prawo wybić po jednym zębie.

Wyjął z plecaka manierkę i wyszedł zza palmy.

- Tylko się, chłopie, pilnuj - ostrzegął go Kania - za dużo nie gadaj.

Haber gwizdnął.

- Wyjdzie za peron, wychła rum, a potem przyjdzie i każe sobie wybić cztery zęby.

- Kto go wie - zauważył Hładun - jak on to zrobi. Taki były żandarm ma swoje sposoby.

- Wiem, jaki on sposób wynajdzie. Napadnie na jakiego i będzie mu próbował dokument wydrzeć siłą. Gotów narobić takiej awantury, że się nie opamiętamy, aż w feldgerichcie.

Nie wierząc zupełnie w powodzenie wyprawy po dokument, Kania zaproponował grę w karty.

Żołnierze znajdujący się na sali w oczekiwaniu na pociągi odchodzące nad ranem układali się do snu i gwar zaczął przycichać. Nasze towarzystwo grało sobie w najlepsze, niebawem jednak zmęczyło się i również zaczęło myśleć o wypoczynku. O pójściu do hotelu bez dokumentu Kania nie chciał słyszeć i postanowiono przespać noc na kocach za palmą. Haber obiecał, że kiedy wyjdą przed poranną kontrolą na miasto, znajdzie takich machlerów, od których można będzie kupić blankiet dokumentu. Kania wyciągnął się na podłodze i z papierosem w zębach snuł plany na najbliższe dni, kiedy do obozowiska wpadł zaafierowany Szökölön.

- Mam, ubierajcie się galopem, bo pociąg odchodzi za piętnaście minut! Szybko! Zerwali się na nogi.

- Pokaż.

Szökölön zataczał się.

- Wyciągnąłem jednemu kapralowi. Będziesz się musiał zdegradować na kaprala, inaczej nie mogłem. Za mało tu feldfebli. Chodźcie!

Kania rzucił okiem na dokument wystawiony na nazwisko kaprala Bazylego Krécia, udającego się z czterema szeregowcami do szpitala końskiego w Morawskiej Ostrawie po odbiór koni dla grupy bojowej na Bukowinie. Dokładniej nie mógł przeczytać, bo Szökölön bełkotliwie napędzał do pośpiechu.

- Jeżeli jedzie do Ostrawy z Kimpolunga na Bukowinie, to co ma do roboty tutaj?

- Przegapił pociąg i zajechał do Grazu - wyjaśnił Szökölön. - Tak mi tłumaczył. Idziemy.

Wyszli szybko na peron, gdzie stały dwa pociągi gotowe do odjazdu.

- Który pociąg na Węgry? - zapytał Kania jednego z kolejarzy.

- A dokąd panowie jadą?

- Do Morawskiej Ostrawy. Kolejarz zdziwił się.

- To nie przez Węgry trzeba jechać. Kania przerwał mu.

- Ale po drodze mam interes na Węgrzech. Jest taki pociąg czy nie?

- Na upartego można jechać do Ostrawy nawet przez Saloniki - odpowiedział kolejarz ruszając ramionami. - Bliżej jest jednak przez Austrię. Ale panowie żołnierze jadą w taki sposób, że w głowie się przewraca.

- Można jechać przez Węgry?

- Mówię panu, że można, ale to jest podróż naokoło świata. Szökölön niecierpliwił się coraz bardziej.

- Pan za dużo gada, panie konduktorze. Konduktor powinien odpowiadać jasno i nie zawracać gitary Salonikami, kiedy się pasażer pyta o połączenie. Który pociąg idzie na Węgry? Gadaj pan.

Wyrzucił to z siebie wraz z mocnym zapachem rumu. Kolejarz splunął.

- Powiedziałbym coś panu na to, panie żołnierzu, ale widzę, że pan pijany. Ten pierwszy pociąg idzie na Węgry. Zaraz odchodzi.

Kiedy ruszyli do pociągu, kolejarz zamruczał pod nosem.

- Niedługo będą jeździli z Dolnej Austrii do Czech przez wszystkie porty na Morzu Adriatyckim... tfu!... do Ostrawy przez Węgry!

W pociągu szybko zajęli oddzielny, słabo oświetlony przedział. Ledwie się usadowili, pociąg ruszył. Szökölön położył się na ławce i od razu usnął. Próby Kania wydobyć z niego informacji, w jaki sposób postarał się o dokument, spełzły na niczym. Szökölön recytował

swój wierszyk i odpowiadał bez związku.

- Dobry mój duch, He?
- W jaki sposób zdobyłeś ten papier?
- Papier... papier... używa się do... chrrr...

Z takich treściwych odpowiedzi Kania niewiele się dowiedział.

- Spij, bestio, i niech cię diabli wezmą!

Jeszcze raz szczegółowo przeczytał dokument i zaklął.

- Ubrał mnie bydlak, że proszę siadać.

- Co takiego?

- Ten kapral to weterynarz i dokument jest ważny tylko jeszcze jeden dzień.

- Więcej nam nie potrzeba. Zerwij naszycie na kołnierzu i jedną gwiazdkę, bo żandarm może przyjść w każdej chwili

Baldini scyzorykiem odpruł odznaki feldfebla na kołnierzu Kani, na którym bielily się już teraz tylko dwie gwiazdki kapraleskie.

- Kapral "san.-wet."... hm...

- Sanitarno-weterynaryjny - przetłumaczył Haber. - Przeszkadza to w czym? Aby do Węgier...

- Bylibyśmy zapomnieli; trzeba pozrywać z kołnierzy odznaki piechoty.

Spruli wąskie pasemka czerwonego sukna i wyrzucili je za okno.

- Jak się nazywasz?

- Bazyli Krčić... - Kania splunął. - W gardle dławi, kiedy się to wymawia, Krčić...

W godzinę później, po wielu próżnych wysiłkach, Kania obudził wreszcie Szökölöna. Madziar dosyć długo nieprzytomnie wodził oczami od jednego do drugiego, aż zniecierpliwiony tym Kania mocno nim potrząsnął.

- Obudźże się, świnió, i gadaj. Szökölön przetarł pięściami oczy.

- Dajcie mi łyknąć.

Pociągnął z manierki i zaraz rozjaśnił mu się horyzont myślowy.

- Zastałem go na peronie z jakąś dziwką. Nie miał jej czym zapłacić i pożyczyłem mu dwie korony, kiedy się dowiedziałem, że jest pijany i jedzie z czterema ludźmi. Widzicie, jaki to mój duch? W sam raz dla nas dokument. Na pięciu. Bardzo się ucieszył, że mu pomógł uwolnić się od tej małpy, bo chłopisko było okropnie niezdarne. Wziąłem go do sali i pytam, co i jak. Urzęnięty był i tak dobrze, więc dużo kłopotu nie miałem. Po dwóch kubkach był abgeblasen na amen i musiałem wypić sam.

- Resztę - zauważył Haber z ironią - musiał wypić! Pewno ci nie smakowało, prawda?

- Ale dokument jest.

- Dalej, gadaj!

- Zrobiło mu się niedobrze i namówiłem go na spacer. Wyciągnąłem go do latryny i posadziłem, a kiedy usnął, wyjąłem mu z kieszeni dokument i fertig. Dawaj mi teraz, Kania, pięć koron, bo wsadziłem mu do kieszeni trzy ostatnie korony, jakie miałem. Będzie miał na piwo.

Kania polecił mu spruć z kołnierza odznaki piechoty i schować do kieszeni medal. Sobie zostawił tylko duży srebrny i mały srebrny, resztę zaś włożył do plecaka wraz z odebranymi od pozostałych. Siedzieli teraz i drzemali. Na jakiejś stacji weszli do przedziału dwaj chłopci i nieśmiało zajęli miejsca obok żołnierzy. Haber wdał się z nimi w rozmowę i opowiadał im duby smalone o zwycięstwie państw centralnych przed dwoma dniami w jakiejś fantastycznej bitwie, w której sam brał udział. Chłopci w milczeniu słuchali jego opowiadania i pykali z fajek nie przerywając mu bredzenia. Kiedy wyraził przypuszczenie, że wojna skończy się prawdopodobnie za tydzień, gdyż armia austriacka maszeruje na Rzym, jeden z chłopów wyjął fajkę z ust i splunął:

- Lügen kannst du aber wie unser Bezirkshauptmann... (Ale kłamać umiesz, jak nasz naczelnik powiatu...).

Z tego można było wywnioskować, że ów naczelnik musiał być nie lada łgarzem. Drugi z chłopów przyjrzał się Haberowi i wynik swojej obserwacji podał mu do wiadomości krótko.

- Son verrückten Dummkopf hab ich scho lang nit gsehn! (Tak zwariowanej głupiej głowy już dawno nie widziałem!).

Haber nie obraził się i doszedł do wniosku, że chłopci są widać niezłe poinformowani o sytuacji, wobec czego dalsze bujanie uważał za niepotrzebne fatygowanie języka i nasunawszy czapkę na oczy oparł głowę o ścianę. Na następnej stacji chłopci wysiedli, a przed wyjściem pokiwali nad nim głowami z politowaniem.

Nad ranem do przedziału wszedł żandarm i rozejrzawszy się pociągnął Kanię za rękaw. Przejrzał dokument i pokręcił głową.

- Którędy pan jedzie, kapralu? W jaki sposób znalazł się pan w tym pociągu? Kania powstał z ławki.

- Wsiadłem w ten pociąg dlatego, żeby prędzej być na miejscu. Dokument kończy się jutro i nie chciałem tracić czasu, panie wachmistrzu.

- No dobrze, ale skąd pan właściwie jedzie? Z Kimpolunga do Ostrawy? Którędy? Mnie pan tego nie wytłumaczy, kapralu. Nie rozumiem. Pierwszy raz mi się zdarza podobnie

zwariowane okrażanie celu podróży. Przyznaj się pan, żeś się gdzieś spił i wlałeś pan do pociągu na ślepego, co?

Kania stał przed nim na baczność z głupią twarzą i udawał zawstydzenie.

- Zgadł pan, panie wachmistrzu - przyznał z szacunkiem, który ujął wachmistrza. - Spotkałem kolegę i spiłem się rzeczywiście, ale bardzo pana proszę nie robić z tego sprawy, bo nie chcę sobie psuć opinii w oddziale.

Żandarm zwrócił mu dokument.

- Sprawy z tego mogę nie robić, bo nie chcę panu dla takiego głupstwa łamać kariery, ale na trzeciej stacji musi pan ze mną wysiąść. Podstempluję panu w komendzie dworca dokument, żeby pana w dalszej podróży nie zamknęli. Te srebrne medale pana ratują, bo inaczej napisałbym raport do pańskiego dowódcy, który nie bardzo by pana pochwalił za takie marnowanie czasu na okrężne podróże. Alkohol, kapralu, to nieszczęście i jeżeli ktoś ma słabą głowę, powinien więcej uważać na siebie.

- Bardzo dziękuję panu wachmistrzowi. Żandarm przyjął podziękowanie wspaniałomyślnie.

- Stracił pan co najmniej dwa dni przez to pijaństwo. Uważaj pan na przyszłość i nie pij pan w podróży służbowej. Przyjdę do pana na trzeciej stacji.

Przyłożył rękę do daszka i wyszedł.

- Powieś się ze swoim stemplem - mruknął Kania po jego wyjściu.

- Całe szczęście, że tak się udało.

- Wykroczenie polega tylko na tym, że jedziemy złą drogą, ale poza tym nic nie można zarzucić. Dokument jest prawidłowy.

Następna stacja, wywołana przez konduktorów, miała brzmienie węgierskie. Bezpośrednio przed odejściem z niej pociągu Kania wysiadł wraz z całą paczką na drugą stronę peronu.

- Całuj mnie, panie wachmistrzu, na trzeciej stacji w nos.

PROMOCJA NA WETERYNARZY

Stacja, na której się znaleźli, była wyjątkowo gościnna. Znajdowała się tam wprawdzie komenda dworcowa, kierowana przez chorującego na spleen kapitana landszturmu, ale kiedy Kania po naradzie z towarzyszami opowiedział mu bajkę o złym połączeniu i omyłce i zaprezentował mu swoje głupie grymasy, kapitan machnął ręką.

- Przy waszej głupocie wypadek taki nie jest dziwny, kapralu. Mógł oddział wysłać mądrzejszego po te konie. Teraz niech cierpi za swoją lekkomyślność, a wy tu posiedzicie do nocy i feldfelbel wsadzi was do właściwego pociągu, bo na własną rękę zajedziecie do Ostrawy na Boże Narodzenie. W żywność jesteście zaopatrzeni do kiedy? Do dziś włącznie? Podpiszcie mi kartę żywnościową. Dostaniecie tutaj wyżywienie. Idźcie na stację odżywczą i siedźcie tam.

Kania podpisał kartę żywnościową i poszedł z nią do stacji odżywczej, znajdującej się w drewnianym baraku za dworcem, gdzie rozgościli się na dobre. W baraku siedziało przy stołach kilkunastu żołnierzy czekających na pociąg i zabijających czas grą w karty. Nasi bohaterowie przede wszystkim umyli się i rozejrzeli w sytuacji. Nie przedstawiała się ona tak źle, jak osądził Kania, w takiej małej dziurze każdy przybysz zatrzymujący się na dłużej wzbudza podejrzenie, wobec czego postanowili w nocy wyjechać dalej i dostać się do pierwszego większego miasta garnizonowego, gdzie łatwiej można zdobyć fałszywe dokumenty i gdzie Haber miał czekać na przesyłkę pieniężną od rodziny z Wiednia.

Pod jedną ze ścian baraku rozłożyli koce i rozbili obóz, chcieli bowiem, aby im nikt nie przeszkadzał. Robili tak zresztą zawsze i izolacja ta wychodziła im na zdrowie. Nikt im nie włąził w paradę i byli swobodni we wszystkim, nie potrzebując się kryć ze swoimi rozmowami.

Obiad, jaki otrzymali w stacji odżywczej, Haber zakwalifikował kucharzowi w taki sposób, że słabo rozumiejący po niemiecku Węgier zaczął dopytywać się o szczegóły.

- Was sagen? (Co mówić?)

Haber wskazał na menażki i zamieszał łyżką zupę.

- Für Schweine... tudom? (Dla świń... rozumiesz?).

- Nem tudom. Was ist Schweine? (Nie rozumiem. Co jest świnie?).

- Schweine ist taki zafajdany kucharz jak ty. Tudom? (Świnia jest... Rozumiesz?).

- Nem tudom. Gute Suppe, was? (Nie rozumiem. Dobra zupa, co?).

- Pocałuj mnie... tudom? (... rozumiesz?).

- Nem tudom. Wollen Soldat Repetę? Kiczik. (Nie rozumiem. Żołnierz chceć repetę?...).

Haber napluł w menażkę i dopiero wtedy kucharz się zorientował. Przywołany przez niego cugsfirer, kierownik kuchni, zainterpelował Habera, dlaczego tak dziwnie traktuje skarbową zupę, na co ten odpowiedział, że znalazł w zupie karalucha i idzie do komendanta dworca na skargę.

- Jeżeli myślicie, że was zaprosi na obiad do siebie, jesteście w błędzie, człowieku. Macie zreć to, co wszyscy, i to, co się fasuje, jak jest w jadłospisie, a jeśli wam się nie podoba, nie bierzcie! Karaluch! Wielkie rzeczy, odkrycie zrobił! Tu czasem znajduje się w zupie gorsze rzeczy niż karaluchy i jeszcze nikt od tego nie umarł.

- Bardzo pana przepraszam, panie cugsfirerze - wtrącił się Szökölön - ale jeżeli się będziemy trzymać tego, że się ma jeść to, co się fasuje, to proszę mi pokazać w jadłospisie gotowane karaluchy.

Cugsfirer spojrzał złym okiem na nieproszonego adwokata.

- Mogę wam pokazać bitego po mordzie wąsatego draba, co się wtrąca w nie swoje sprawy! Abtreten!... Opiekun, sacra... A was za to plucie mógłbym tak rozumu nauczyć, żeby się wam odechciało na przyszły raz z menażki robić spluwaczkę, ty żydowski parchu! Abtreten!

Kania oddał swoją porcję jakiemuś głodnemu żołnierzowi, który zaglądał w nietknięte menażki jak wygłodzony kundel. Hładun z Szökölönem udali się do miasta i przynieśli stamtąd takie smakowite rzeczy, że cugsfirer pożałował, iż potraktował ich w tak ostry sposób. Siedział teraz przy swojej barierce odgradzającej salę od kuchni i wzdychał.

- Żałuj za grzeszny język - mruknął Szökölön i ze specjalną ostentacją oglądał każdy kawałek soczystej szynki, unosząc go na nożu w powietrze.

Cugsfirer patrzył na to jak pies na wystawę wędliniarni. Pożywili się i nieźle podlali posiłek rumem i winem. Potem postanowili przespać się na zmianę do wieczora.

Po południu zajechał na stację pociąg mieszany, osobowo-towarowy, który, po odłączeniu dwóch wagonów naładowanych końmi, odjechał dalej do Austrii. Podczas kiedy wagony przesuwano na bocznicę, gdyż miały być dołączone do pociągu odchodzącego w nocy, dowódca transportu, stroskany lejtnant pospolitego ruszenia, wysoki i chudy jak tyka, z pasem niedołącznie wiszącym na brzuchu, wkroczył do komendy dworca. Był to egzemplarz wybitnie nieporadny i apatyczny. Wyrwany w ostatnim roku wojny z własnego światka interesów, w którym prosperował dotąd, uważał zaszczytną służbę w mundurze oficerskim za zwyczajną katorgę. Ponieważ od oficerów zawodowych nasłuchiwał się wiele o zachowaniu się

oficera i o wrażeniu, jakie powinien wywoływać, nadrabiał miną w sposób wzbudzający politowanie.

Drzemiący przy piecyku ordynans komendy dworca, stary pospolitak, na jego widok powstał niedbale i z wyzywającym lekceważeniem. Poznał się od razu na wartości służbowej lejtnanta.

- Chciałem rozmawiać z panem komendantem dworca. Ordynans z wyraźnym brakiem szacunku podrapał się po głowie.

- Pana komendanta dworca nie ma - odrzekł i po małej przerwie dodał dla świętego spokoju - panie lejtnancie. Lejtnant poprawił binokle na nosie.

- Proszę go zawołać, sprawa jest bardzo ważna.

Stary ordynans popatrzył na lejtnanta, jakby pytał: "Czy może być dla mnie ważniejsza sprawa, jak iskanie się przy ciepłym piecu?" - i wyszedł z widocznym niezadowoleniem. Lejtnant usiadł na taborecie i ponuro zapatrzony w buzujący w piecyku ogień wzdychał smętnie i półgłosem kłął. W kilka minut później przyszedł odwołany od kart u zawiadowcy stacji kapitan i z niechęcią przywitał lejtnanta. Ten ostatni przedstawił się z wielkim szacunkiem i na zapraszający gest kapitana usiadł przy stole.

- Czym mogę panu służyć, panie lejtnancie? - zapytał kapitan.

- Melduję posłusznie, panie kapitanie, że jestem dowódcą transportu koni i jeden z nich właśnie, wierzchowy koń pana generała von Kreissa, dowódcy 6 dywizji górskiej, zdaje się zachorował. Pozwalam sobie prosić pana kapitana o udzielenie mi pomocy sanitarnej w myśl instrukcji - tu lejtnant wyjął z kieszeni odbitą na powielaczu instrukcję otrzymaną przed wyjazdem i uderzył po niej palcem - gdyż obawiam się, że koń może zdechnąć.

Kapitan odgryźł kawałek ustnika i wypluł go na podłogę.

- Na czym pan opiera swoje obawy, panie lejtnancie?

- Koń leży na podłodze i nie przyjmuje pokarmów, panie kapitanie, sędzę, że coś mu dolega.

- Nie przyjmuje pokarmów - powtórzył kapitan ironicznie - i leży na podłodze, hm...

Lejtnant poprawił ciągle opadające binokle.

- Tak jest, panie kapitanie. Żołnierze tłumaczą to chorobą, której ustalić nie mogę. Poza tym nie znam środków zapobiegawczych. Proszę więc pana kapitana, w myśl instrukcji, o udzielenie pomocy, gdyż...

Kapitan chciał odgryźć jeszcze kawałek ustnika, ale pozostało go już za mało, więc wypluł wszystko. Po czym splótł ręce na stole i wpatrzył się w lejtnanta takim wzrokiem, jak psychiatra sądowy patrzy na przestępcę w obliczu sądu, kiedy ma wydać orzeczenie. Wyniki

obserwacji musiały być bardzo smutne, gdyż głęboko westchnął. Tym samym tonem, jakim do niego mówił lejtnant, tonem ściśle urzędowym i takimże stylem, kapitan odpowiedział z iskierkami ironii w oczach:

- Nic panu nie pomogę, panie lejtnancie. W składzie Bahnhofskommando nie jest, jak dotąd, przewidziany etat weterynarza, a ja, jak pan widzi, jestem z oddziałów saperskich i na koniach znam się tyle, ile pan na lokomotywach. Jedno, co mogę dla pana uczynić, to komisyjnie zastrzelić konia i wystawić panu zaświadczenie, żeby się pan mógł przed swoim dowódcą wykazać, iż konia nie mógł pan uratować. Oto i wszystko. Lejtnant popatrzył na niego z przerażeniem.

- Zechce pan kapitan zrozumieć, że jest to koń pana generała! Poza tym każą mi za niego zapłacić z mojej gaży...

- Ma pan zupełną słuszość. - Kapitan uprzejmie skinął głową. - Zresztą jeżeli nie zastrzelę konia komisyjnie, to nie ulega wątpliwości, że nie utrzymawszy pomocy sanitarnej zdechnie sam. Dobrowolnie.

Kapitan westchnął.

- Takie wypadki zdarzają się czasami i wierzchowym koniom panów generałów, niestety. Bądź co bądź protokół stwierdzający zejście konia otrzyma pan ode mnie, to jest w mojej mocy.

- Przepraszam bardzo pana kapitana. W przepisach jest powiedziane, że - lejtnant otworzył instrukcję i kapitan podniósł z westchnieniem oczy na sufit - "od odpowiedzialności materialnej dowódca transportu może być uwolniony jedynie w tym wypadku, kiedy koń zdechł w miejscu, gdzie nie było żadnej władzy wojskowej, która by, w myśl obowiązujących rozkazów, była obowiązana do udzielenia pomocy, lub też jeśli mimo obecności takiej władzy pomoc ta, z winy tejże władzy, została opóźniona, lub też jeśli udzielenie natychmiastowej pomocy nie mogło mieć miejsca z powodu siły wyższej, nie określonej niniejszą instrukcją. W takim wypadku jednak rzeczony koń lub inne zwierzę pociągowe (muł, osioł, byk, pies taborowy) nie może być pogrzebany, zanim powołana z najbliższego garnizonu komisja weterynaryjna nie ustali protokolarnie: § a - przyczyny zasłabnięcia konia, § b - przyczyny, dla której nie udzielono mu natychmiastowej pomocy, § c - bezpośredniej przyczyny zejścia, § d...".

Nawiasem trzeba dodać, że instrukcję tę, jak zresztą wszystkie instrukcje austriackie, cechowało tak zwane austriackie gadanie.

- Bardzo to jest interesujące, co mi pan recytuje, panie lejtnancie - przerwał kapitan zgryźliwie - przyznając całkowitą słuszość zawartym w pańskich przepisach poglądom. Ale

lektura i pański paragraf nic tu nie pomogą i koń czy inne zwierzę pociągowe zdechnie wbrew wszelkim instrukcjom, proszę pana. Jeszcze raz panu zaznaczam, że pomocy udzielić nie mogę. Dziwię się, że się pan tak przejmujesz tym koniem. Czy ten wierzchowiec to jakiś pański krewny? Ludzie giną tysiącami i nic, a tu nagle tyle kramu o konia.

- Ależ to jest koń wierzchowy pana generała von Kreissa... Kapitan zrobił taki ruch ramionami, jakby coś z siebie otrząsał.

- Czy sądzi pan, że konie panów generałów są nieśmiertelne?

- Pozwoli pan, kapitanie, że... Kapitan powstał.

- Pozwalam panu na wszystko, panie lejtnancie. Rozbierz się pan do naga, stań pan na głowie między torami i udawaj pan semafor, ale nie morduj mnie pan więcej tym koniem...

- Panie kapitanie, pozwalam sobie zameldować, że jeśli koń...

- Ach, Du lieber Gott im Himmel! (Ach, Ty dobry Boże w niebie!). Ale uparty z pana młodzieniec! Czy da mi pan spokój z tym przeklętym koniem? Tłumaczę panu jak rodzonemu bratu, a pan swoje. Tak nie można, panie lejtnancie! Zechce pan wziąć pod uwagę mój stopień i wiek, panie lejtnancie. Rozumiem, że to jest nieprzyjemne, kiedy takiemu koniowi wpadnie do łba pomysł zdychania na obcej stacji na złość swemu dowódcy transportu, ale na to nie ma sposobu.

Kapitan przerwał i podrapał się po policzku.

- Może mu przejdzie - pocieszał zmartwionego lejtnanta. - Czy nie byłoby wskazane, panie lejtnancie, zrobić mu gorący okład na brzuch? Ludziom takie rzeczy pomagają. Nie? No, proponuję tylko. Myślałem, że to można.

Do izby wszedł feldfebel kancelaryjny.

- Czy nie zna pan przypadkiem, feldfeblu, jakiego weterynarza w tej przeklętej dziurze? Może jest tu ktoś (taki znający się na końskich chorobach? Panu lejtnantowi chce zdechnąć koń wierzchowy pana dowódcy dywizji górskiej.

- Weterynarzy, panie kapitanie, tutaj nie ma, ale na stacji mamy przejezdny patrol weterynaryjny. Kapitan uderzył się w czoło.

- Ach, prawda, ten bałwański kapral!

- Tak jest, panie kapitanie!

- Gdzie on jest? - zapytał lejtnant.

- Pan lejtnant pozwoli ze mną.

Zgnębiony oficer wyszedł za feldfeblem na peron. Feldfebel polecił mu czekać na siebie, a sam wszedł do baraku stacji odżywczej.

"Patrol weterynaryjny" zajęty był w tej chwili grą w dwadzieścia jeden na dwa banki.

Przy jednym rej wodził Baldini, przy drugim ogrywał personel stacji odżywczej kapral "san.-wet." Bazyli Krčić z takim zapamiętaniem, że nie dojrzał feldfebla, dopóki ten nie podszedł do niego i nie trącił go w ramię.

- Chodź pan, panie kapral! Musi pan udzielić pomocy koniowi wierzchowemu pana generała dowódcy dywizji górskiej.

Kapral "san.-wet." przymknął na chwilę oczy, potem je szeroko otworzył i wpatrzył się w stojącego nad nim feldfebla.

- He? Przykro panu odejść od takiego banku, co? Ja tu pogram trochę za pana. Idź pan prędzej, bo lejtnant czeka na peronie.

- Lejtnant?

- Dowódca tego zdychającego konia. No - feldfebel odsunął Kanię i usiadł na jego miejscu - czy pan ciągnie do siedemnastu, panie kapral?

Kania spojrzał na feldfebla trochę nieprzytomnie.

- Co robić, Haber? - spytał po chwili po polsku.

- Pan kapral weterynaryjny musi tego konia ratować - z zimną krwią odpowiedział Haber i dmuchał dalej w wyciągniętą ostrożnie kartę. - Masz teraz prawo zbić mordę Szökölönowi za ten dokument.

Szökölön wzruszył ramionami.

- Masz kłopot? - Nachylił się do ucha Kani i poufnie doradzał: - Powiedz, że trzeba mu koniecznie zrobić lewatywę. Kania spojrzał na niego wrogo i zgrzytnął zębami.

- Tobie, draniu, przydałaby się lewatywa z terpentyny i dziegciu! Tyś mnie tak sprytnie ubrał!

- Nie ciskaj się, bo ci dobrze radzę. Powiesz, że nie masz przy sobie instrumentu i wyjdiesz w porządku z tej historii.

- Pójdziemy obaj.

Szökölön niechętnie się skrzywił.

- Może twój dobry duch co doradzi.

- No idź pan, panie weterynarzu, bo lejtnant czeka - przypomniał feldfebel. - Komu mam teraz rozdać karty?

Kania włożył pas i z westchnieniem wyszedł na peron. Za nim z opuszczoną głową powlókł się Szökölön, który w tej chwili wnosił w myśli pretensję, do swego dobrego ducha za to, że go w taki dokument zaopatrzył.

W słabym świetle lampy elektrycznej, wiszącej na drucie i podrzucanej wiatrem, Kania ujrzał nerwowo spacerującego lejtnanta.

- Melduję posłusznie, panie lejtnant...

- Wy jesteście ten weterynarz? - szybko przerwał oficer. Kania zrobił grymas, jakby mu garść soli wsypano do ust. - Właściwie, panie lejtnant, to nie jestem weterynarzem... ja jestem...

- Więc cóż oni wariata robią w tym Bahnhofskommando? Zaraz tak zmyję głowę feldfeblowi, że szernieje .na węgiel.

Kania podrapał się po głowie i nieznacznie, spod oka, spojrzął na oficera.

- Jestem podoficerem sanitarno-weterynaryjnym, panie lejtnant, i ewentualnie mogę...

- No to chodźcie.

Lejtnant ruszył szybkim krokiem i obaj weterynarze, deptając mu po piętach, szeptem przypominali sobie to wszystko, co wiedzieli o chorobach końskich.

- Najczęściej miewają żoły - szeptał Szökölön.

- Nosaciznę też miewają.

- Wiem też, że są konie łykawe, ale co to znaczy, nie wiem.

- Najlepiej wykręcić się, że nie masz lewatywy i koniec. Ten cały lejtnant to idiota i nie skapuje się.

Więcej czasu do namysłu nie mieli, gdyż stanęli pod wagonem, w którym paliła się odrutowana stajenna latarnia. Lejtnant wspiął się niezgrabnie i wszedł do środka. Za nim wdrapał się Kania i Szökölön.

W wagonie znajdowało się sześć koni i dwóch żołnierzy, którzy na widok wchodzącego lejtnanta z niechęcią powstali ze słomy.

Jeden z koni leżał na podłodze z wyciągniętymi nogami i łbem.

- To ten - poinformował lejtnant.

Kania stanął nad koniem pana dowódcy dywizji górskiej jak ojciec nad mogiła pierwotnego dziecka. Przypatrzył się spod oka żołnierzom, po czym zaszedł od strony łba, nachylił się i przyglądał się wyszczerzonym zębom generalskiego rumaka. Szökölön tymczasem obmacywał koniowi boki z takim samym znanstwem jak Kania i kręcił głowa.

- A wy co za jeden jesteście? - zapytał lejtnant.

- To mój pomocnik, panie lejtnant - zameldował Kania.

Obaj żołnierze usunęli się na stronę, aby nie przeszkadzać panom doktorom, i pociągając nosami patrzyli na te fachowe oględziny. Kania przykucnął nad łbem i zajrzał koniowi w ślepią. Jeden z żołnierzy odezwał się półgłosem do drugiego:

- Ten weterynarz je taki mondry jak i my, a może i durniejszy, wis?

Kania drgnął, kiedy usłyszał polski język,

- Polacy? - szybko zapytał.

- Polak - odpowiedział żołnierz.

- Gadaj, co temu koniowi jest, prędko!

- Was für Geschwätz? (Co za głędzenie?) - przerwał lejtnant, - Zbadajcie konia, kapralu, i nie romansujcie, bo tymczasem zdechnie.

- Pytam ich co ten koń żarł, panie lejtnant - odpowiedział Kania po niemiecku i dodał po polsku, nie odwracając oczu od łba: - Co mu jest, gadaj bracie.

- Pieron go ta wi, panie kapral - odpowiedział żołnierz - musi zezar co takiego i męcy go.

- Będzie co z niego czy nie?

- Jak się uwalil we Widniu, tak leży i fertyg. Widzi mi się, ze kolki go sparli.

- Czy ten bałwan zna się na tym?

- Cholerę... kobyły od ogiera nie odróżnia.

Kania odetchnął pełną piersią i Szökölön, patrząc na niego, nabrał pewności siebie. Odchylił koniowi górną wargę i patrzył badawczo. Potem zdjął latarnię z haka i poświecił. Przez chwilę obaj patrzyli na konia i kręcili głowami.

- Nun? (No?) - zapytał lejtnant z niepokojem.

- Koniowi temu już nic nie pomoże, panie lejtnant orzekł fachowo Kania. - On ma kolki z piasku.

- Z czego? Przecież konie nie jedzą piasku.

- Tak jest, nie jedzą, ale owies musiał być zanieczyszczony piaskiem i koń dostał zapalenia kiszek. Robi wrażenie, jakby już kilka dni chorował.

Lejtnant wyraźnie posmutniał i patrzył załośnie na konia, jakby z wyrzutem, że zdycha akurat wtedy, kiedy on go przewozi.

- I co teraz właściwie trzeba zrobić? Jest jakiś ratunek dla niego?

- Nie ma. Trzeba zastrzelić, niech się nie męczy i tyle.

Zupełnie przybity tym orzeczeniem lejtnant wydobyl z kieszeni złożoną instrukcję i zaczął ją czytać pod latarnią. Żołnierze gwarzyli tymczasem z Kanią półgłosem. - Skąd? Ze Lwowa? - My spod Nowego Targu. Papierosy pan kapral ma? Dajcie pokurzyć. Co będzie z koniem? - Nic nie będzie, trzeba mu zrobić lewatywę i wyzdrowieje.

Lejtnant włożył instrukcję do kieszeni i z westchnieniem zwrócił się do wyjścia.

- Chodźcie, kapralu, ze mną do pana komendanta dworca i powiedzcie mu, co jest koniowi. Jeżeli ma być zastrzelony, to wy też będziecie musieli podpisać protokół.

Kania wysiadł za lejtnantem, a za nim Szökölön. Drogę do stacji zagroził im jakiś

pociąg wiozący artylerię, jak to można było osądzić z platform naładowanych działami, których lufy, owinięte brezentem, sterczały ku górze. Z wagonów zaczęli wysypywać się żołnierze z menażkami i manierkami i ustawiać się w dwa szeregi. Sygnał trąbki zapowiadał obiad. Musieli teraz za lejtnantem obchodzić cały długi pociąg. Kiedy weszli na peron, lejtnant zauważył komendanta dworca otoczonego grupą oficerów, który skinął mu głową. Lejtnant podszedł do niego.

- Ma pan szczęście panie lejtnancie. W tym pociągu jest lekarz weterynaryjny i będzie panu mógł pomóc. Pan major pozwoli, że poproszę tego lekarza na małe oględziny?

- Jeżeli nie jest schlany, może go pan wziąć. Jak długo będzie trwało to branie obiadu, panie kapitanie.

- Ilu ludzi? Trzystu? Jeżeli pan major chce napić konie, to potrwa około dwóch godzin. Mamy tylko jedną studnię z dobrą wodą.

Kania, usłyszawszy radosną wiadomość o weterynarzu, pociągnął Szökölöna za rękaw i nieznacznie zmieszali się ze snującymi się żołnierzami. Szybko szli do baraku stacji odżywczej, zapchanego teraz żołnierskim tłumem.

- Zbierajcie się prędko! Musimy wyrwać!

- Co się stało? - zapytał Haber, wyciągnięty na kocach.

- Zapytaj się tego drańskiego ducha. - Kania wskazał ręką na Szökölöna, który w milczeniu szybko nakładał plecak.

- Dlaczego się zbieramy? - zapytał Baldini. - Dokąd właściwie idziemy?

- Nie pytaj, tylko ubieraj się, musimy wiać, żeby nie wpaść...

- Ale gdzie pojedziemy teraz, kiedy żadnego pociągu nie ma?

- Pójdziemy. Stąd musimy się spalić, bo nam zaraz za tę końską diagnozę powiedzą kilka słów. Tylko czekać na żandarmów. Poradziłem temu bałwanowi lejtnantowi zastrzelenie konia, a tu akurat zajechał pociąg z artylerią i weterynarzem. Mają mnie szukać, to już wolę im się sam usunąć. Jazda, idziemy! Wychodź pojedynczo i czekać na mnie przy końcu peronu.

Kania wyszedł ostatni i bystro rozejrzał się na wszystkie strony. Na szczęście kanonierzy, którzy zatłoczyli stację, byli doskonałą osłoną i można się było nie bać spotkania z kapitanem lub lejtnantem. Kiedy połączył się z oczekującymi na niego towarzyszami, prędko wyprowadził ich za stację. Znaleźli się na szerokim gościńcu, wiodącym nie wiadomo dokąd. Pytany o kierunek drogi. Kania nie odpowiadał, tylko kłął Szökölöna, który z kolei przekazywał te złożeńia swemu dobremu duchowi.

Księżyc świecił, pogoda była ładna, więc marsz był dosyć przyjemny. Szli tak długo

bokiem gościńca, dopóki Kania, który się stale odwracał i patrzył poza siebie, nie orzekł, że można się zatrzymać, bo światła stacyjne znikły mu z oczu. Usiedli nad brzegiem rowu.

- Teraz powinienem dać ci w zęby - przemówił Kania, paląc papierosa. - Toś ty mi zrobił taką przyjemność. Podziękujcie mu, chłopcy, za ten dokument.

- Miałem chodzić od jednego do drugiego i pytać, kto ma dokument? - zapytał Szökölön. - Czy miałem może stanąć na środku poczekalni i wołać, żeby mi kto swój dokument odstąpił?

- Ale mogłeś zobaczyć, co bierzesz? Po odznakach można było poznać, co ten kapral za jeden.

- Trzeba się było wystarać o dokument, wystarałem się! Nie miejcie teraz do mnie pretensji. Najpierw płaczą, że nic ma dokumentu, a kiedy człowiek poświęca się i zdobywa dokument, można powiedzieć, z narażeniem życia, wtedy jest źle. Teraz toście mądrzy. Diabli wiedzieli, że tutaj jakiś koń zachoruje

- Co teraz?

W wyniku narady postanowili maszerować tak długo, aż dojdą do jakiegoś osiedla ludzkiego, gdzie mieli się zatrzymać i zorientować w okolicy.

Po krótkim odpoczynku pociągnęli sobie dla kurażu z manierek i ruszyli dalej brzegiem gościńca, pod osłoną drzew. Po drodze minęło ich kilka wozów jadących w przeciwnym kierunku. Gościńiec szedł w skrajach pod górę i nasi bohaterowie prędko się zmęczeni. Po kilku kilometrach sapiący Haber zaproponował drugi odpoczynek, usiedli więc znowu nad rowem

- Dawno już tak nie chodziłem.

- Odzwyczałeś się w kancelarii, He?

- A ty tak dużo nie gadaj i lepiej milcz! Przez ciebie człowiek teraz imusi cierpieć i na stare lata maszerować jak rekrut,

- Kiedyś się tak zestarzał?

- Mówię ci, cicho bądź! Szökölön pociągnął z manierki.

- Ruch i świeże powietrze zalecają wszyscy lekarze. Taki spacer dobrze ci zrobi, bo obrosłeś w sadło.

Posiedzieli pół godziny i ruszyli w tym samym kierunku, W świetle księżycy okolica wyglądała jak ponura pustynia. Krajobraz był monotony i jednostajny, Z obu stron gościńca rozciągały się gładkie i równe rżyska, na których tu i ówdzie stały sterty zboża, pilnowane przez odzianych w (kożuchy i uzbrojonych w pałki csikosów. Słyszac głosy podchodzili do gościńca i patrzyli w milczeniu ma mijających ich żołnierzy. Szökölön rzucał im jakieś

słówko i pytał o drogę. Najbliższe osiedle ludzkie miało być za jakimś wzniesieniem gościńca i rzeczywiście wkrótce, kiedy stanęli na wzgórzu, zauważyli w dole słabe światelka. Z daleka już usłyszeli poszczekiwanie psów. Musiała to być bardzo duża wieś, gdyż na skraju jej stała murowana karczma. Kania zajrzał przez okno i zdecydował się wejść. Stary karczmarz, z fajką w zębach, rezydował za ladą; na widok gości podniósł się żwawo.

Przy stołach siedziało kilku chłopów w starszym wieku pijących wino i gwarzących z cicha.

Karczmarz bardzo mało rozumiał po niemiecku i Szökölön objął teraz przewodnictwo. Zamówili jajecznicę z trzydziestu jaj, co zwróciło na nich uwagę wszystkich obecnych. W zadymionej izbie ukazały się dwie młode Węgierki, córki gospodarza, które z ciekawością przyglądały się gościom obdarzonym takim apetytem. Baldini zrobił ogniste oko i Madziarki spojrzały na niego kokieteryjnie.

- Gorące szelmutki - zauważył Szökölön i podkręcił wąsa. - Warto by się do nich wziąć.

Kiedy sobie pojedli, Szökölön zamówił wino i zaczął z karczmarzem tajemniczą rozmowę.

Nasi bohaterowie tymczasem popijali gęsto. Córki gospodarza wyróżniły Kanię i Baldiniego i posyłały im wabiące spojrzenia, kręcąc się za ladą bez widocznej potrzeby. Szökölön odszedł od lady i usiadł przy stole.

- Powiada, że najbliższa stacja jest stąd o cztery kilometry. Gdybyśmy się tu chcieli przespać, to nam odda stodołę. Poczciwy z niego dziadyga.

- Możemy więc spać tutaj? - zapytał Baldini.

- Ale w stodole.

- Powiedz mu, że mamy koce i niech nam da słomy, to się prześpimy w izbie na podłodze.

- A myślisz, że on się na to zgodzi? Jemu się tak do wnuków nie spieszy.

- Spróbuj mu to powiedzieć - wtrącił się Kania - w stodole jest zimno.

- Mogę pogadać ze starym...

Szökölön dosyć długo namawiał karczmarza, ale widać było po jego przeczącym kręceniu głową, że się nie zgadza.

- Powiada, że mu wyżłapiemy wszystko wino i wódki. Mówi, że mogą przyjść żandarmi, a on nas nie zna i boi się. Nie wie, czy mamy w porządku dokumenty. Na stodołę jednak zgadza się.

- Pal go licha! Możemy spać w stodole - zgodził się Haber. - Powiedz mu, niech

robi to spanie, bo jestem z mordowany. Hładun poparł go i Szökölön znowu podszedł do lady. Karczmarz wydał córkom polecenia i nalał dwa kubki wina.

Tracił się z Szökölönem i wypił. Kania zbliżył się do nich, niby chcąc zapłacić, w rzeczywistości zaś chciał porozmawiać z Madziarkami.

Gospodarz teraz nie zwracał już uwagi na dziewczęta. Sądząc po jego nosie, lubił wypić. Kiedy zainkasował należność, nabrał szacunku dla całego towarzystwa, które solidnie zjadło i nieźle potrafiło pić. Takich gości miał teraz rzadko. Postawił od siebie kolejkę wina dla wszystkich i napędził córki, żeby się pospieszyły z przygotowaniem posłania w stodole. Podczas kiedy Haber łamanym językiem węgierskim zabawiał gospodarza polityką, Baldini i Kania nieznacznie wysunęli się za Madziarkami na podwórze. Szökölön trącił Hładuna w bok.

- Chlajmy z nim, żeby się nie skapował.

Karczmarza nie trzeba było długo namawiać do picia. Każdy stawiał kolejkę od siebie i w krótkim czasie gospodarz wyraził wątpliwość, czy od tak sympatycznych żołnierzyków nie wziął za dużo o trzy korony. Ponieważ, jak oświadczył, czuje z tego powodu wyrzuty sumienia, Szökölön zaproponował mu, aby nadwyżkę tę zwrócił winem, na co zgodził się bez wahania.

Kiedy nieobecność obydwu towarzyszy przeciągała się, Haber zapytał, czy nie było jeszcze jakiego błędu w rachunku; karczmarz, dobrze już wlany, wziął kredę w rękę i zaczął sprawdzać rachunek bardzo sumiennie. Cała trójka starała mu się w tym pomóc. Karczmarz mamrotał po węgiersku i kreślił niewyraźnie cyfry na blasze, a Szökölön przy każdej pozycji wszczynął z nim gorącą dyskusję.

- Przyznaj się, bracie, żeś nas nabrał. Liczymy jeszcze raz.

Po jakimś czasie obaj przyjaciele wrócili, a za nimi pojedynczo wsunęły się do izby obie dziewczyny z bardzo czerwonymi twarzami. Karczmarz był tak dalece zatopiony w rachunkach, które im dłużej sprawdzał, tym więcej się wikłały, że nie spostrzegł ich przyjścia. Kania postawił kolejkę wina i gospodarz z zafrasowaniem wypił. Nie mógł, w żaden sposób dojść do ładu z rachunkiem i zaczął go sprawdzać uporczywie jeszcze raz. Na następnej kolejce rozłożył bezradnie ręce i z żalem przyznał się Szökölönowi, że wstąpił w niego diabeł. Szökölön ze współczuciem pokiwał nad nim głową i podał mu sposób na wypędzenie tego diabła, Sposobem tym było kilkakrotne powtórzenie cudownego wierszyka w pogańskim języku. Gospodarz patrzył mu przez dłuższy czas na usta, ale nie mógł powtórzyć i machnął ręką z rezygnacją.

- Zabij, bracie, nie powtórzę, diabeł mnie opętał i kręci moim językiem.

Po kilku próbach Szökölön zrezygnował i poradził karczmarzowi, żeby jutro bezwarunkowo poszedł do księdza i poprosił go o egzorcyzmowanie. Pożegnali się i ze wszystkimi bagażami poszli do stodoły. Jedna z dziewcząt przyniosła im latarnię stojącą i zawiesiła ją na belce. Na zaczepki Habera nie reagowała i nie patrząc na Kanię, który przeszedł obok niej przez podwórze, weszła do sieni pozostawiając go przed drzwiami. W stodole porozkładali na słomie koce i rozebrali się.

- No i jak? - zapytał Szökölön Baldiniiego.

- Figa, bracie, chcę wyjść za mąż.

- A w jaki sposób porozumiewałeś się z nimi? Umieją po niemiecku?

- Tyle umiały, żeby nam powiedzieć, co potrzeba.

- Węgierki, bracie, to nie Włoszki, nie takie prędkie.

Leżąc na słomie gwarzyli. Kania postanowił wymaszerować przed świtaniem; aby się obudzić na czas, wyznaczył dyżury godzinne, podczas których zawsze jeden miał czuwać.

Przed północą spali już wszyscy wraz z dyżurnym, którym miał być Haber. Najpierw siedział okryty kocem i patrzył na latarnię, potem wziął w rękę zegarek i przypatrywał mu się z niezadowoleniem, nakręcił go, następnie mruczał coś do siebie śledząc wskazówki. Ich bieg wydał mu się niemożliwy do przyspieszenia, próbował więc przesunąć je trochę w przód, ale zegarek jego był jakiegoś staroświeckiego systemu, i nie wiedział, w jaki sposób ma to skutecznie. Chciał nawet obudzić Szökölöna, ale rozmyślił się z rezygnacją położył się na słomie. Nad ranem Hładun poczuł, że ktoś go szarpie za rękę. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą jakąś nachyloną, brodatą twarz. - E, kolego...

Hładun usiadł i przypatrywał się gościowi. Miał na sobie mundur wojskowy i uzbrojony był w karabin. - Co?

- Coście za jedni? - zapytał gość po niemiecku obcym akcentem.

- A ciebie co to obchodzi? Brodacz usiadł przy nim na słomie.

- Chciałem was prosić o pomoc. Widziałem was, jakeście maszerowali szosą, i szedłem za wami aż tutaj. Zdezercerowałem, bracie, z regimentu.

- A coś ty za jeden?

- Słoweniec z Istrii. Jeść mi się chce straszliwie. Dwa tygodnie już wędruję nocami.

Hładun spojrział na zegarek i przyciągnął do siebie plecak, z którego wydobył chleb i kiełbasę.

- Masz, pożyw się.

Dezercer odstawił karabin i zaczął żarłocznie jeść. Między jednym kęsem a drugim opowiadał, że idzie do pobliskiego miasta w tym samym kierunku, co oni. Na zapytanie

Hładuna odpowiedział, że noce przepędzał w stogach i czasem coś od stróżów wyżebrał do jedzenia.

- A co będziesz robił w tym mieście? Masz tam kogo? Brodacz pokręcił głową.

- Nie mam nikogo, ale tam będę bezpieczny.

- Dlaczego?

- Jest tam duża stacja zbiorcza; przed dwoma dniami spaliła się w niej kancelaria.

Mówił mi o tym jeden spotkany dezenter, który miał fałszywy dokument i pojechał pociągiem.

- A ty co tam chcesz robić w tej stacji zbiorczej?

- Jak to co? Wszyscy dezenterzy tam ciągną, bracie, jak na odpust. W kancelarii spaliły się wszystkie dokumenty i nie wiedzą, co mają z ludźmi zrobić, bo nie mają papierów. Rozumiesz teraz? Jest tam z tysiąc chłopów.

Hładun natychmiast zaczął szamotać Kanię i pozostałych. Nowina była rzeczywiście bardzo ciekawa i otwierała nowe możliwości. Kania szczegółowo wypytał Słoweńca i przyznał mu się, że jest też dezenterem. Słoweniec był zdumiony.

- Wszyscy?

- Wszyscy.

- No wiecie, że się wam tak chciało ryzykować i całą paczką jeździć... Macie szczęście.

Słoweniec był bardzo zadowolony ze spotkania. Poradził, żeby do stacji zbiorczej wchodzić pojedynczo i zebrać się na podwórzu pod wieczór. Twierdził, że sprawa jest bardzo prosta i opierając się na posiadanych informacjach ręczył, że zadomowią się w koszarach bez trudu, ponieważ komenda zwróciła się do ministerstwa o wskazówki, co ma zrobić ze znajdującymi się na stacji rekonwalescentami ze szpitali, którzy skutkiem pożaru pozostali bez dokumentów. Ministerstwo odpowiedziało, aby natychmiast postawić wszystkich przed komisją. Zdrowych miano powciewać do oddziałów frontowych, chorych zaś odesłać do szpitali. Według informacji dezentera komisja miała się odbyć za dwa dni.

- Dobrze się składa - orzekł Kania - albo zdobędziemy tam dokument, albo damy się jeszcze raz zaasenterować do służby, a wtedy będziemy mogli sobie dalej poradzić. Niebo cię nam zesłało, bracie. Wypij sobie.

Słoweniec wziął w rękę manierkę i pociągnął.

- Żebyście, ludzie, wiedzieli, co wycierpiałem przez te dwa tygodnie, tobyście się popłakali nade mną. Szedłem tylko nocami, bo we dnie bałem się spotkać żandarmów, i jadłem tylko to, co wyprosiłem od chłopów. Po drodze spotkałem w lasach może ze

dwudziestu dezerterów; wszystko błąkało się w pojedynkę. Głodni byli tacy, że jeden zjadłby drugiego. Podchodzę do takiego, poprosić o kawałek chleba, a on z daleka już woła, żeby mu dać coś do zjedzenia. Przeważnie żyją surową okopowizną. Jednego znalazłem konającego już prawie z głodu. Siedziałem przy nim cały dzień; w nocy zakradłem się do wsi i przyniosłem trochę wyżebranej od jakiegoś chłopca zupy. Naród tutaj dosyć przychylny, tylko boi się żandarmów, którzy ostatnio powściekali się; za byle co aresztują i pędzą do miasta. Coś wisi w powietrzu, ludzie. Przewędrowałem pieszo dobry kawał świata i widzę, co się robi. Niedługo powinien przyjść koniec.

- Daj Boże jak najprędzej.

- W lasach siedzi tylu dezerterów, że się ich na każdym kroku spotyka. Od razu jeden drugiego poznaje. A na froncie włoskim jak w garnku... coś bulgocze coraz głośniej.

- Czytaliśmy w jednym ustępie, że podobno w niektórych pułkach istnieją już rady żołnierskie.

- Próbowali, ale zdaje się, że się nie udało. Za dużo, bracie, narodów w tym naszym wojsku służy i nie ma zgody. Każdy chce niepodległości. Ale że Austria klapnie, to więcej niż pewne. Włosi dzień w dzień zrzucają z samolotów całe paczki literatury we wszystkich językach, a ludzie w okopach czytają to sobie. Przez taką jedną paczkę o mało mnie nie rozstrzelali. Rozdawałem kolegom i nakrył mnie lejtnant. Nie było innej rady; przebiłem go bagnetem i musiałem wiać; trochę mi dopomogli i zdołałem wydostać się cało. Teraz błąkam się jak bezdomny pies. Słoweniec westchnął.

- Myślę, że w tej stacji zbiorczej uda mi się jakoś przemarkierować trochę, a potem, jak Bóg da. Albo powędruję dalej, albo gdzie się schowam. Może tymczasem wszystko się zawali. Zresztą nie wiem... zobaczę.

Wieści opowiadane przez brodatego Słoweńca podniosły naszych bohaterów na duchu.

- Trzymaj się teraz nas, bracie. Idziemy razem.

- Widzę, że z wami można się na wszystko pisać. Niezłe z was ryzykanty. Tyś jest kapral naprawdę, czy sam się mianowałeś? Kania machnął ręką.

- Ja, bracie, byłem naprawdę kadet-aspirantem, zdegradowali mnie, zaawansowałem na kaprala, znowu mnie zdegradowali, potem zaawansowałem do frajtra, sam się mianowałem feldfeblem i sam się zdegradowałem do kaprala... różne koleje się przechodziło.

- Tyś Polak, prawda?

- Po czym poznałeś? Słoweniec uśmiechnął się.

- Kiedy cię ten budził, powiedziałeś "psiakrew", a to słowo, bracie, jak legitymacja.

Rozmawiając ze Słoweńcem ubierali się i myli pod studnią na podwórzu. Na dworze był jeszcze mrok, mimo to karczmarz już nie spał i kręcił się w oborze.

- Jak się wam spało, panowie?

- Dziękujemy, nieźle.

- Wypijecie świeżego mleka? Zaraz wam mogę dać. Idźcie do izby, pali się tam w piecu. A ten skąd się wziął?

- To nasz kolega, spóźnił się na pociąg i dogonił dopiero tutaj. Karczmarz bystro obejrzał obdartego Słoweńca i jego brodę.

- Ej chłopcy, chłopcy! Żal mi was. Jak wyjdziecie ze wsi, idźcie lasem, bo tędy czasami patrole żandarmskie chodzą, a w lesie spotkacie kolegów, będzie wam raźniej,

- My się żandarmów nie boimy - odpowiedział Kania wycierając się ręcznikiem. - Mamy dokumenty jak złoto. Karczmarz podrapał się po głowie i splunął.

- Wiem ja, jakie macie złote dokumenty. Kto śpi w stodole i nad ranem maszeruje, a pyta się przedtem, dokąd ma maszerować, bo nie wie, gdzie jaka stacja jest, ten mi nie powie, że ma dokumenty jak złoto. Niejeden taki u mnie spał w stodole. Nie moja rzecz pytać o dokumenty, co mi tam...

- Porządny z pana człowiek, karczmarzu - orzekł Kania i potrząsnął jego dłonią.

- No, zaraz porządny. Zwyczajny człowiek jestem, żal mi tylko ludzi takich jak wy. Idźcie do izby, zaraz dziewczęta przyniosą wam mleko.

Zabrali ze stodoły swoje rzeczy i weszli wszyscy do izby, w której na olbrzymim kominie palił się wesoły ogień. Obie siostry krzątały się już przy gospodarstwie. Na grzeczne dzień dobry odpowiedziały trochę nieswojo. Miały ku temu uzasadnione przyczyny. Przez całą bowiem noc drzwi do nich były na próżno gościnnie otwarte i biedne Madziarki za każdym szelestem dostawały bicia serca. Kiedy stawiały na stole parujące kubki mleka, Kania niespodzianie przyciągnął jedną z nich do siebie i ucałował ją w same usta. Dziewczyna opierała się słabo, wreszcie, kiedy stwierdziła, że wobec tego siłacza opór jest bezskuteczny, znieruchomiała w jego uścisku. Trwali tak w długim pocałunku, dopóki za drzwiami nie dało się słyszeć chrząkanie karczmarza. Wtedy Kania wypuścił z objęć dziewczynę, która głęboko zaczerpnęła powietrza w płuca. Ponieważ działo się to wobec wszystkich, uderzyła go lekko po twarzy, ale wyglądało to więcej na pieszczotę. Zjedli obfite śniadanie i pożegnawszy się przyjaźnie z szarzejącym w mroku gościńcem, z którego wkrótce zeszedli, pomaszerowali brzegiem lasu.

Po godzinie ujrzeli z daleka wieże kościołów i zatrzymali się. - Teraz sobie odpoczniemy i wypijemy trochę na rozgrzewkę. Pociągnęli uczciwie z manierek i zapalili

papierosy. Słoweniec radził wejść do miasta w pojedynkę, ale Kania, patrząc na widoczne z oddali dachy domów, orzekł, że lepiej będzie przeczekać cały dzień w lesie, niż wchodzić teraz do miasta, gdzie możliwość spotkania żandarmów jest bardzo prawdopodobna. Siedzenie w lesie wydało się jednak Haberowi stratą czasu.

- Trzeba nam było lepiej siedzieć w karczmie.

- Wszędzie się pętają, to mogliby i do karczmy zajrzeć. Nie kijem go, to pałką.

- Zdaje mi się, że jeśli wmaszerujemy takim oddziałkiem, nikt nas nie zaczepi - zauważył Słoweniec.

- Dobrze, a co dalej? Gdzieś musimy pójść, nie?

Nie było innego wyjścia, jak siedzieć w lesie do wieczora. Weszli głębiej i zaszyli się w gęstwinę. Kiedy pozdejmowali z siebie plecaki i rozłożyli na ziemi koce, Baldini i Hładun nazbierali gałęzi i rozpalili ognisko. Otoczyli wesoło trzaskający, ciepłodajny ogień i leżąc rozmawiali. Przed południem z zarośli wyłonił się jakiś obdartus z pałką w dłoni i na widok ognia i siedzących żołnierzy zatarł ręce. Przez chwilę patrzył na nich jakby nieufnie, ale na gest Kani podszedł do ognia.

- Dezerterzy? - zapytał po niemiecku.

- A ty?

Przybyły odłożył pałkę i usiadł.

- Macie coś do zjedzenia?

Hładun wyjął z plecaka chleb i paprykowaną słoninę, zakupioną w karczmie. Obdartus zaczął pochłaniać jedzenie z taką samą żarłocznością, jaką w nocy okazał Słoweniec.

- Dokąd idziecie?

- Do miasta.

Baldini poczęstował go łykiem rumu i niepodobny do człowieka dezerter zaczął im opowiadać swoje dzieje.

Krył się w lasach już trzeci miesiąc; przehandlował na jedzenie mundur i wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Ostatnio żył surowizną oraz jagodami i ptakami, jakie udało mu się złowić. Był to Niemiec ze Styrii, kraju wyjątkowo patriotycznego. Do dezercji skłoniły go szykany jakiegoś oficera na froncie włoskim; pieszo przekradł się aż do Węgier, skąd chciał powędrować w swoje rodzinne strony. Namawiali go do pójścia z nimi do stacji zbiorczej, ale Niemiec stanowczo odmówił. Prosił tylko, żeby mu zostawili trochę jedzenia i tytoniu. Niedola tego człowieka, żyjącego jak zwierzę, zrobiła na nich silne wrażenie, podzielili się więc z nim posiadanymi zapasami żywności. Ponadto Kania dał mu dwadzieścia koron i swoje stare spodnie, Baldini zaś ofiarował koc i manierkę rumu. Każdy obdzielił go,

czym mógł. Dezerter dziękował ze łzami w oczach.

- Porządne z was chłopcy, Bóg wam nagrodzi.

Posiedział trochę przy ogniu i powstał. Owinął w koc otrzymane zapasy i związawszy go sznurkiem założył na ramiona jak plecak.

- Dokąd teraz pójdziesz? Niemiec wskazał ręką na zachód.

- Do domu.

- A jak znajdziesz drogę?

- O to nie ma zmartwienia; orientuję się po słońcu i mchu na drzewach. Zresztą zawsze kogoś się spotka, albo takiego jak ja wędrowca, albo jakąś poczciwą babinę, i objaśnią. W nocy mogę sobie dojść do szosy i zobaczyć, gdzie jestem. Za dwa tygodnie będę już w swoich stronach. Bóg wam zapłać za pomoc, chłopcy! Życzę powodzenia.

Przyłożył dłoń do czapki bez daszka i wszedł w gęstwinię. Słoweniec z Szökölönem poszli na poszukiwanie kartofli i po półgodzinie wrócili z pełnym plecakiem. Szökölön wydobył z kieszeni zawiniątko z solą.

- Dostałem to od jakiegoś chłopczyka. Powiada, że jego tata zginął na wojnie, i pobiegł z pola do domu po mamusię, bo mu stryjka przypomniałem. Kazałem mu przynieść soli i przyniósł. Zaraz sobie napieczemy. Dawno już takich dobrych rzeczy nie jadłem.

Piekli kartofle w popiele i paląc papierosy rozmawiali. Kiedy zostały upieczone, zajadali je popijając rumem i winem. Tak zeszedł im czas do zmierzchu. Włożyli plecaki, zasypali ogień piaskiem i wyszli z lasu. Brzegiem szosy doszli do przedmieścia i tam zatrzymali się. Jakiś starszy obywatel wskazał im drogę do stacji zbiorczej i opowiedział o pożarze.

- Szkoda, że się cała buda nie spaliła... złodziejskie gniazdo.

Kania postanowił, że do stacji wejdą pojedynczo i będą się szukali koło kuchni, gdzie - jak przypuszczali - panuje największy ruch.

STACJA ZABŁĄKANYCH DUSZ

Po spaleniu się kancelarii w komendzie stacji zbiorczej zapanował chaos. Koszary były zapelnione ludźmi, o których nie wiadomo nic więcej ponad to, że chcą jeść.

Starzy bywalcy opowiadali sobie, że pożar był bardzo na rękę panu komendantowi i reszcie oficerów, gdyż za jednym zamachem uwolnił ich od jakiejkolwiek odpowiedzialności za systematyczne okradanie skarbu państwa.

Przeszło tysiąc rekonwalescentów z "różnych frontów siedziało w koszarach nic nie robiąc, w oczekiwaniu na komisję, która, w myśl rozkazu ministerstwa wojny, miała wcielić wszystkich do oddziałów frontowych. O odesłaniu do szpitala nie było mowy, gdyż rozkaz ministerstwa kategorycznie polecał unikać zwalniania ludzi ze względu na olbrzymie zapotrzebowanie oddziałów frontowych, w których ostatnia, czternasta z rzędu, bezskuteczna ofensywa nad Isonzò czyniła ogromne spustoszenia.

Naczelne Dowództwo stanęło w obliczu wyczerpania rezerwuaru ludzkiego, aby ratować położenie, wystąpiło z desperackim postanowieniem rozpoczęcia jeszcze jednej ofensywy, celem ułatwienia zadania Niemcom we Francji i ostatecznego przełamania oporu zacięcie broniących się Włochów. To, czego nie potrafiły dokonać wyborowe dywizje z początkiem wojny, miały zrobić zdziesiątkowane i wymęczone oddziały, uzupełniane bezwartościowym materiałem ludzkim z różnych stacji zbiorczych, szpitali i zakładów tyłowych. Stworzone specjalne komisje superrewizyjne z bestialską bezmyślnością przeznaczały każdego trzymającego się na nogach żołnierza na front.

"Alles zum Front"! (Wszystko na front!). Prasa pełna była nawoływań do samoobrony przed defetyzmem i dekowaniem się, a rozkazy władz wojskowych były coraz sroższe. Ale gliniany kolos stał nad grobem. Nic już nie mogło uratować monarchii austro-węgierskiej, gdyż gangrena zaszła za daleko i wyczerpane ludy krajów koronnych, ogołoczone z mężczyzn, wygłodzone i tropione przez podejrzliwą zandarmerię i policję polityczną, nie miały już sił do stawienia dalszego oporu.

W powietrzu można było wyczuć oczekiwanie na nieuchronny tragiczny koniec czteroletnich zmagañ; oczekiwanie to czytano zarówno z twarzy żołnierzy jak i z oczu umęczonych kobiet, które musiały staczać w ogonkach przed sklepami walki o zdobycie kawałka chleba dla głodnych dzieci.

Upiór klęski rozpościerał swoje czarne skrzydła nad ogromnym obszarem państwa habsburskiego; słyhać już było jego diabelski chichot, zagłuszający nawet orkiestry grające

na froncie marsze pędzonym na śmierć żołnierzom. Gorączkowo szkolone oddziały, ostatnie marszkompanie, wypełnione dziećmi osiemnastoletnimi i starcami pięćdziesięcioletnimi, szły w morderczy ogień artylerii włoskiej z rezygnacją zarzynanych wołów. Upajani obficie wydzielanym rumem, szli do ataku potykając się o trupy kolegów, z hełmami przekrzywionymi na bakier, z pianą na ustach, wyjąc "hurra!", nic nie widząc i nic nie słysząc.

Nie słyszeli nawet terkotania karabinów maszynowych, które obsługiwane przez specjalne oddziały, posuwały się z tyłu i raziły ogniem próbujących uciekać, aby uniknąć pewnej śmierci na przodzie. Niejednokrotnie cały oddział lub cały odcinek linii bojowej wybuchał naraz diabelskim wyciem, zagłuszonym przez orkiestrę grającą hymn dla podniesienia nastroju. Ludzie szaleli masowo; sanitariusze musieli staczać z nimi walki, zanim zdołali ich uspokoić i odprowadzić na tyły do punktów opatrunkowych, gdzie lekarze stosowali gwałtownie usypiające zastrzyki, po których wariaci dostawali wymiotów i z zawrotem głowy pędzeni byli z powrotem na linię bojową, gdzie, nic nie widząc, ginęli od razu. Żniwo śmierci było obfite; naprędce wykopane groby wypełniane były nie pojedynczymi żołnierzami, ale schwärmweise - po kilkunastu i kilkudziesięciu. W oblany wapnem dół układano porozrywanych na strzępy, pokurczonych nieboszczyków, nieraz w oplotach własnych kiszek, nieraz bez głów, rąk i nóg, nieraz bezkształtne miazgi, w których nie można było nawet rozpoznać człowieka, i zasypywano je naprędce, ponieważ oddziały grabarzy nie miały czasu.

Brzozowe krzyże, przywożone gotowe i stawiane na grobie, opatrzone były napisem podającym liczbę: Fünfundzwanzig Infanteristen des k.u.k... Regimentes (Dwudziestu pięciu piechurów c.k... pułku).

Niedobitki tych straszliwych rzezi znajdowały się właśnie na stacji zbiorczej, uzupełnione ogromnym odsetkiem dezertów, którzy na wiadomość o pożarze ciągnęli tam ze wszystkich stron, jak do Mekki. Tu mogli być bezpieczni, gdyż wobec bałaganu, jaki panował po zagładzie dokumentów, nie można było sobie wyobrazić lepszego schronienia. Nasi bohaterowie przedostali się w sposób umówiony do koszar stacji, po czym wszyscy znaleźli się bez przeszkód przy kuchni.

Na parterze jednego z bloków koszarowych znajdowała się kantyna zapchana żołnierzami. Kania wszedł tam i z trudem znalazł miejsce dla siebie. Pozostali czekali na podwórzu. Siedzący przy stołach rekonwalescenci rozprawiali o mającej się odbyć komisji. Kania wdał się z nimi w rozmowę. Jakiś wesoły Tyrolczyk objaśnił go szczegółowo o zwyczajach panujących na stacji zbiorczej i od razu, nachyliwszy się, poufnie przyznał się, że

jest dezerterem.

- Pluję, bracie, na wszystko. Cztery lata wojowałem, podziurawiony jestem jak sito i jeszcze mnie za to smarkaty kadet będzie prał po mordzie? Powiedziałem grzecznie do widzenia i poszedłem. Tutaj możemy sobie siedzieć chyba do końca wojny. Większego bajzlu, jak w tej Sammelstelle, nie widziałem nigdzie, chociaż w niejednym takim miejscu byłem. Znasz wiedeńską Rotundę? Nie? Szkoda!

- Chodzi o to, że nie wiem, jak się mam zameldować z moją ferajną.

Tyrolczyk uderzył go po kolanie.

- Pójdziecie ze mną od razu do sali, gdzie ja śpię. Jest tam prycz do cholery, rozbierzesz się i masz zaraz prawo robić awanturę, że nie dostałeś kolacji. Podoficerowie zupełnie pogłupieli z tego wszystkiego i nie mogą się doliczyć ludzi. Jeśli cię zapytają, dlaczego nie ma twego nazwiska na liście, powiedz, żeś był w tym czasie w ustępie albo u lekarza, albo u diabła rogatego. Nic się nie bój i stawiaj się z pyskiem, ja tu poczekam przed wejściem na ciebie.

Kania postawił Tyrolczykowi kufel piwa i odszedł od stołu, a kiedy go zasłonili kręcący się po kantine żołnierze, przysiadł się do jakiejś grupki, z której dosłyszał mowę polską. Dwóch starych żołnierzy siedziało przy mętnej herbacie i pożywiało się suchym chlebem. Każdy niesiony do ust kęs ochraniali podstawioną dłonią, aby się czasem jakaś okruszyna nie zmarnowała i nie upadła na podłogę. Byli wynędzniali, obrośnięci i obdarci.

- Polacy? Podnieśli głowy.

- Jawohl. Pan kapral tyż Polak?

- Polak.

- Siadajcie se... skondeście som?

- Ze Lwowa.

- Aha! Do suprowitu idziecie?

Kania poczęstował ich papierosami i zaczął wypytywać. Byli to górale gdzieś spod Gorlic.

- Jo se ta tom zamestele kwale i nie narzykam... Aby ino menaż lepszejsa była, mogę siedzieć do zwiesny... lepij tu jak w regimencie, wicie?

W stacji zbiorczej znaleźli się skutkiem wyrzucenia z jakiegoś szpitala, gdzie, jak wynikało z ich opowiadania, niezgorzej sobie radzili, aby pobyt w nim przedłużyć. Rozwlekli opowiadali, w jaki sposób można nabyć reumatyzm i jak trzeba symulować chorobę nerek, ale Kanię te szczegóły nie interesowały; kiedy więc potwierdzili informacje podane przez Tyrolczyka, odszedł i pozostawił rodaków zatopionych w medytowaniu nad tym, na jaką

chorobę pójdą do szpitala, jeśli zechcą ich wysłać na front.

Odnalazł swoje stadko na podwórzu i opowiedział im wszystko, co usłyszał.

- A co zrobimy z karabinami?

- Karabiny trzeba będzie rzucić - orzekł Szökölön - po diabła nam one potrzebne?

- Nie wiadomo, co się zdarzy. A może się jeszcze przydadzą?

W rogu olbrzymiego podwórza widniała ogromna sterta starej słomy i tam ukryli karabiny po uprzednim odjęciu od nich cennych rzemieni.

- Znajdą, to znajdą, nie znajdą, to sobie w razie potrzeby zabierzemy. Idziemy.

Przed wejściem do kantyny stał z rękami w kieszeniach Tyrolczyk i pogwizdywał. -

- Jesteście? Niezła paczka! Wy tak cały czas razem?

- Spotkaliśmy się w podróżach.

Tyrolczyk poprowadził ich za sobą na drugie piętro i otworzył przed nimi drzwi jednej z sal sypialnych, z której zaleciał ostry zapach środka dezynfekcyjnego.

- W nosie kręci.

- Masz prawo rozpylać sobie sosnowe powietrze lub wodę kolońską - zakpił Tyrolczyk. - Przyzwyczaisz się. Macie tu prycze i kładźcie plecaki.

Sala była mroczna i słabo oświetlona jedną żarówką. Na pryczach ciągnących się wzdłuż ścian leżeli i siedzieli żołnierze. Przez całą długość sali, na środku, stały na krzyżakach szerokie drewniane stoły, również gęsto obsadzone. Gwar rozmów prowadzonych w różnych językach upodabniał tę ogromną izbę do ula. Kiedy się rozgościli, Tyrolczyk wskazał ręką na siedzących przy stołach.

- Przeważnie dezserterzy. Prawdziwych rekonwalescentów może jedna czwarta. Tutaj możecie sobie śmiało gadać, o czym wam się podoba, bez obawy zasypania. Morowe chłopcy. Idź teraz do kancelarii i rób awanturę. Potem idźcie wszyscy pojedynczo. Na cugsfirera wsiadaj od razu z pyskiem. Aha, żebyś nie zapomniał - jesteś z dwunastej sali i czwartego plutonu. Nasza kompania jest trzecia, verstanden?

Tyrolczyk porozmawiał z nimi trochę i odszedł do swych rodaków. Każda narodowość trzymała się tu razem i zajmowała inny kąt sali. Czesi obozowali pod jedną ścianą, co można było poznać z daleka po wykaligrafowanym na arkuszu brunatnego papieru i przytwierdzonym do ściany nad pryzami napisie "Česka Beseda". Nad kolonią ukraińską widniał napis: "Narodnyj Dom". Polacy, których było tylko kilku, napisali węglem na ścianie: "W jednośi siła". Inne narodowości również ozdobiły swoje kąty różnymi napisami i godłami.

Kania i Haber podeszli na pogawędkę do Polaków, Hładun zaś do Ukraińców. Jeden z

Polaków pochodził ze Lwowa i przywitał się z Kanią, jakby go znał od dawna.

- Serwus! Legun czy trep?

- Trep, ale lewy.

- Bryknąłeś? Kania skinął głową.

- To fajno. Masz szlugi? Dawaj, bracie, bo mi si chce palić jak cholera. Mortusiaki jesteśmy.

- Ilu was tu jest?

- Codziennie, bracie, przychodzi świeży transport; który z naszych, to si od razu melduji do nas, ale są we wszystkich salach. Tu można bedzi du końca balu pomieszkać, wicie? Ni mogu dojść do sztandu z nami... fergaterungi nic ni pomagają. Jak rano do śniadania meldowało si z naszy kompanji szyśdziesiunt, to du południa na obiad zamyldowało si piętnaści więcyj. Całkiem z tego rechnungsfirery podurnieli i teraz im już wszystko jedno.

Kania poczęstował ich papierosami i odszedł z Haberem.

- Idę pierwszy do kancelarii i powiem wam, jak i co.

Kancelaria znajdowała się na końcu korytarza. Zastał tam feldfebla rachunkowego i dwóch pisarzy-szeregowców, z których jeden, najwidoczniej Żyd, potrząsał papierami trzymanymi w ręku.

- Kann man nicht toll werden, Herr Zugführer? Unsere Kompanie hat aber einen verrückten Zuwachs! (Czy nie można się wściec, panie cugsfirerze? Ależ nasza kompania ma zwariowany przyrost!). A kiedy zauważył Kanię, dodał ponuro:

- Da haben Sie einen frischen! Was wünschen Sie? (Oto ma pan nowego! Co pan sobie życzy?).

Kania nie odpowiadając pisarzowi podszedł do stołu, przy którym siedział dzisiaj osowiały podoficer.

- Nie dostałem dzisiaj kolacji, panie cugsfirer. Proszę mi dać kartkę do kuchni.

Pisarz parsknął z irytacją i splunął. Cugsfirer podniósł głowę znad papierów i popatrzył na Kanię.

- Gdzie pan był przy obiedzie?

- Obiad dostałem, a teraz przychodzę do kuchni i powiadają, że mnie nie ma na liście. Dlaczego?

- Diabeł pana raczy wiedzieć dlaczego i ja bym też chciał wiedzieć. Jak nazwisko?

- Brzęczyszczewski...

Cugsfirer pogrzebał palcem w uchu.

- Jak?

- Szczepan Brzęczyszczewski. Podoficer podniósł oczy do góry.

- No ja... (No tak...) Przenszyszeski... język sobie można wykręcić na takim nazwisku. Spojrzał na listę i szybko przebiegł ją oczyma.

- Rzeczywiście, nie ma pana, panie... żeby ich wszyscy diabli wzięli tych plutonowych! Powpisywali tych, których nie ma, a wypuścili tych, którzy są. Ma pan przydział do jakiego plutonu?

- Jestem niby w czwartym.

- To ten idiota Kurz. Tak jest - cugsfirer z irytacją oderwał kartkę z bloczku i przyłożył do niej pieczętkę - idź pan z tym do kuchni. A tego Kurza zarżnę! Do rozpaczki mnie doprowadza ta głupia bestia! Żeby nie móc ustalić, ilu się ma ludzi w plutonie, na to trzeba być skończonym osłem... Zapiszcie go do listy!

Pisarz ze złością zwrócił się do Kania.

- Nazwisko?

- Jak się do kaprala mówi? Zapomniałeś, żeś żołnierzem, jak widzę. Was tylko na front potrzeba, nauczylibyście się dyscypliny. Podoficer musi się pętać o obiad jak żebrak i traktują go jak psa. Każdy zafajdany łazik ima sobie prawo gębę wycierać frontowym podoficerem, sacra... jakby to nie wojsko było, a nie wiadomo co! I pan też, podoficer, siedzi sobie tutaj jak basza i nie zwraca na nich uwagi.

Podoficer i obaj pisarze popatrzyli na Kanię uważnie.

- Przepraszam - burknął pisarz i nachylił się nad papierami. - Jak pańskie nazwisko?

- Szczepan Brzęczyszczewski. Dawaj pan tę kartkę. - Odebrał karteluszek od patrzącego na niego złym okiem cugsfirera i ruszył do drzwi.

- Może pan zechce powtórzyć swoje nazwisko, panie kapral - zawołał pisarz.

Kania, trzymając klamkę, przystanął.

- Jeżeli ktoś jest takim bałwanem, że nie może napisać nazwiska, powinien być ordynansem, a nie pisarzem. Pocałuj mnie!

Po jego wyjściu pisarz, trzymając pióro w ręce, zwrócił zdumione oczy na cugsfirera, który z opuszczoną głową mruczał coś do siebie i patrzył na papiery bezradnie.

- Słyszał pan, jak on się nazywa? Nie wiem, jak zapisać.

- Chyba się powieszę - westchnął, nie odpowiadając, cugsfirer. - W głowie mi się mąci z tego wszystkiego! A taki kapral przychodzi jeszcze ze swoimi uwagami o dyscyplinie! - Cugsfirer splunął. - Dys-cy-pli-na... dys-cy-pli-na... nie, ja się powieszę, panowie...

Kania poszedł do sali i pouczył resztę, jak trzeba postępować. Kiedy pojedynczo meldowali się w kancelarii z pretensjami, że nie dostali kolacji, cugsfirer tak dalece

ugruntował w sobie i uzasadnił konieczność popełnienia samobójstwa, że już bez przerwy patrzył na hak od lampy. Przed capstrzykiem przyszedł sprawdzić stan plutonu jego dowódca, feldfelbel Kurz.

- Mnożycie się bez końca, moi chłopcy - mówił dobrotliwie, płaczącym się językiem - jeżeli tak dalej pójdzie, za miesiąc nasza Sammelstelle będzie taką fermą hodowlaną dla potrzeb frontowych i będziemy sobie grzecznie wysyłać codziennie jedną marszkompanię. Mnożycie się błyskawicznie, wbrew naturze, moi panowie, i to jest zdumiewające dla mnie. Szósty raz dzisiaj sprawdzam stan plutonu i za każdym razem wychodzi inna liczba. Nowi wystąpić!

Wraz z naszymi przyjaciółmi wystąpiło jeszcze kilku i feldfelbel przetarł oczy ze zdumienia.

- Ja nie jestem nowy, panie feldfelbel - od razu wyjaśnił Kania - zapomniał mnie pan wciągnąć na listę i dlatego cały dzień chodzę głodny.

- Przed pożarem był pan też w moim plutonie? Bo teraz się wszystko poplątało i nie pamiętam dobrze.

- Właśnie tego samego dnia zostałem przesunięty z drugiej kompanii tutaj.

Feldfelbel pokiwał głową.

- Pięknie. Ma pan, naturalnie, pretensję do mnie, co?

- Nie mam pretensji do pana, tylko do kancelarii. Nie podali mnie do menaży.

- Niech pan sobie to wynagrodzi, panie kapral. - Feldfelbel kręcił guzik u jego kurtki. - Idź pan do kancelarii i wybij temu bałwańskiemu rachunkowemu parę zębów. On mi tu przydziela ludzi bez zastanowienia i z tego wynika bałagan. Straszliwy bałagan, panie kapral! Jak się pan nazywa?

- Szczepan Brzęczyszczewski, panie feldfelbel. Feldfelbel zmrużył oko i nachylił głowę.

- Założę się, że pan nie powtórzy... jak?

- Szczepan Brzęczyszczewski...

- Wygrał pan zakład, ale - feldfelbel obracał ołówek w ręce - niech pan to sam napisze, dobrze? Bo ja tego do rana nie wysylabizuję, panie kapral.

Kania napisał mu nazwisko i kilku innych, gdyż, jak się okazało, feldfelbel był chory na malarię i ręce mu drżały. Malaria musiała być, jak to można było poznać po bijącym mu z ust zapachu, leczona tylko alkoholem.

- Ma pan ładne pismo, kapralu - orzekł feldfelbel - niech więc pan będzie dalej tak uprzejmy i pomoże mi w zestawieniu listy. Oczy mam też słabe. To wszystko ta malaria.

Chorował pan kiedy na to? Nie? Brzydka choroba.

Kania zestawił mu listę całego plutonu i feldfelbel wyraził mu swoje podziękowanie w oryginalny sposób. Wyjął z kieszeni kilka pomiętych kartek i wsunął mu je w rękę.

- Za to, że pan dzisiaj był głodny, ma pan! Pobierz pan sobie te porcje w magazynie na złość rachunkowemu.

Posiedział trochę w sali, porozmawiał przyjaźnie z żołnierzami i wyszedł trochę niepewnie.

- Dowódcę plutonu mamy, jak się zdaje, sympatycznego człowieka - zauważył Haber.

- On się z tej malarii do końca życia nie wyleczy.

- Niezłe tu widać stosunki panują między podoficerami.

- Im większy bałagan, tym lepiej dla nas - rzekł Kania. - Lepszej kryjówki dla dezertera jak koszary nie można sobie wymarzyć.

Po capstrzyku pogaszono lampy i sala rozświetlana była tylko ognikami papierosów, które palili żołnierze leżący na pryczach. Dokoła brzmiały przyciszone rozmowy, które trwały bardzo długo w noc. Nasi bohaterowie, zmęczeni wrażeniami i wędrówką, szybko usnęli.

SUPERREWIZJA

Minęły dwa tygodnie, odkąd przybyli do Sammelstelle, a o komisji jeszcze nic nie było słyhać. Komenda stacji zbiorczej korzystała z tego na swój sposób i pan pułkownik robił niezły interes na panującym chaosie. Stan ludzi doszedł do półtora tysiąca i ciągle nowi przybysze powoływali się na to, że byli przed pożarem zameldowani w kancelarii i tam oddali swoje dokumenty. Cały ten zadowolony z siebie tłum łazików, dezerterów i rekonwalescentów był najlepszym dokumentem austriackiej korupcji i bezhołwia. Po całych dniach słyhać było śpiewy wypoczętych markierantów, którym się czas dłużył. We wszystkich kompaniach panował nieład, zwiększany przez pensjonariuszy, którym to było na rękę i którzy nie podzielali zmartwienia zupełnie ogłupiałych podoficerów rachunkowych, nie mogących dojść do ładu z ustaleniem stanu liczebnego.

W każdej kompanii był dowódca, ale nie widział go żaden z żołnierzy. Zresztą obecność jego nie była bardzo potrzebna, skoro nie prowadzono ćwiczeń ani wykładów. Każdy mógł robić, co mu się podobało. Korzystali z tego nasi przyjaciele i większą część dnia spędzali w mieście łażąc po knajpach. Pod koniec trzeciego tygodnia rozeszła się błyskawicznie wiadomość, że komisja będzie urzędować od jutra.

W stacji zbiorczej zaczęły więc działać "lotne komisje lekarskie", które miały przeciwdziałać zabójczym zamiarom ministerstwa wojny i robiły to bardzo sprytnie. Z sali do

sali, z pryczy na pryczę, szły słuchy o uczynności kilku medyków, którzy za pewną opłatą robili każdego niezdolnym do służby na froncie. Wielu było amatorów takich zabiegów, zabezpieczających przed niewygodną decyzją komisji superrewizyjnej. Kazali sobie oni majstrować różne pozorne kalectwa i cierpienia. Noc poprzedzająca komisję rozbrzmiewała jękami i stękaniem, które spowodowane były niektórymi dosyć bolesnymi zabiegami. Najpopularniejszym cierpieniem był reumatyzm, następnie szły choroby weneryczne, których objawy były łatwe do wywołania, szczególnie rzeżączka. Uzyskiwano ją tak, że wstrzykiwano sobie, gdzie należy, trochę mydła i wyciek trwał przez dwa dni. Dopiero badanie bakteriologiczne mogło wykazać symulację, ale w tym celu chory musiał być odesłany do szpitala. I o to głównie chodziło, bo skoro otrzymał na rękę dokument z przeznaczeniem do jakiegokolwiek szpitala, mógł zawsze wywabić na nim daty i wstawiać inne, a w ostateczności kręcić w szpitalu na swój sposób. Sprytu nie brakowało przebywającym w stacji łazikom, nie mającym ochoty walczyć o wielkość monarchii. - Nieźleśmy zawędrowali - przemówił Kania następnego dnia, stojąc w tłumie żołnierskim przed budynkiem, w którym zainstalowała się komisja superrewizyjna. - Teraz nas przepisowo jeszcze raz zaasenterują do wojska.

- Trudno - westchnął Haber. - Mogłem pójść raz, mogę pójść i drugi. Ojczyzna jest w potrzebie i nie możemy jej tej małej grzeczności odmówić. Chodźmy do środka, bo zimno.

Omówili szczegółowo sposób stawania przed komisją i ustalili swoje nazwiska, po czym weszli do ogromnej sali, wypełnionej wybladłymi i wynędzniałymi rekonwalescentami. Ci, którzy kazali sobie wywołać wczoraj różne choroby, siedzieli na ławkach bardzo osowiali i posepni.

Okazało się, że zwołana ad hoc komisja nie bierze pod uwagę żadnych chorób i każdego uznaje za zdolnego do służby na froncie.

Ojczyzna była naprawdę w wielkiej potrzebie, skoro urządowanie komisji miało tylko jeden cel: opróżnienie stacji zbiorczej i wysłanie wszystkich na front. Kto tylko mógł stać na nogach o własnych siłach, bezapelacyjnie otrzymywał kategorię "A".

Żołnierze wchodzili pojedynczo do obszernej izby, gdzie rozbierali się i drżąc z zimna czekali na wezwanie ich przed stół, za którym królowała wszechwładna komisja. Ogonek, pilnowany przez podoficerów ze stacji, wpełzał powoli do rozbieralni, gdzie każdy, po rozebraniu się, stał nago w rzędzie z garderobą w rękach, utrzymawszy uprzednio numer kolejny, który jeden z podoficerów pisał ołówkiem chemicznym na plecach. Kania, rozbierając się, zauważył to piętnowanie i przezornie wyjął z kieszeni chemiczny ołówek, który odtąd trzymał w garści.

Superrewizja była nędzną komedią, odgrywaną w tempie błyskawicznym.

W następnym pokoju, za pokrytym kocem stołem, siedział stary oberst w towarzystwie dwóch kapitanów landszturmu, obok stołu zaś stał w białym kitlu, ze stetoskopem w ręce, lekarz, powołany do służby w ostatnim roku wojny starowina, który zdawał sobie sprawę z poniżającej roli, jaką odgrywał. Gwiazdki, widniejące na jego kołnierzu, nie przynosiły mu radości, ponieważ okupione były świadomym, choć mimowolnym, popełnianiem zbrodni. Miał więc minę męczennika. Pułkownik rozmawiał z jednym z kapitanów, podczas gdy drugi kapitan czytał rozłożoną na stole gazetę, zerkając od czasu do czasu na przesuwający się przed stołem ogonek. Głuchawy lekarz, nie patrząc, jakby ze wstydu, w oczy badanemu żołnierzowi, wprawnym ruchem przykładał mu stetoskop do piersi, nasłuchiwał dwie sekundy, po czym pytał:

- Co wam brakuje? Nic? Chwała Bogu, chwała Bogu... Pisz pan, feldfeblu, frontdiensttauglich... abtreten - I zaraz prędko odsuwał "zbadanego" szeregowca, aby kwalifikować w ten sam sposób następnego. Żołnierze, przywykli już do tego rodzaju komisji, wiernie podstawiali plecy pod ołówek feldfebla, który, zależnie od fantazji, pluł albo wprost na siną z zimna skórę, albo na ołówek, i piętnował ich ponownie, uprzednio zajrzawszy do rozdzielnika, odpowiednią sygnaturą: "40 regiment piechoty... 2 batalion balonowy... 6 ułanów..."

Poprzednia służba danego żołnierza i jego wykszolenie nie były wcale brane pod uwagę. Decydujący był rozdzielnik, który podawał, w jakim oddziale trzeba uzupełnić wyrwy porobione w mięsie armatnim. Komisja ożywiała się jedynie w wypadku, kiedy jakaś karykatura ludzka, słaniająca się na nogach, próbowała odpowiedzieć na stereotypowe zapytanie lekarza: co wam brakuje?

- Mam suchoty - krzyczał żołnierz, aby go lekarz mógł usłyszeć.

Starowina zamykał wtedy usta, otwarte do swego nieodmiennego "chwała Bogu", i zwracał zmęczone oczy na pułkownika.

- Powiada, panie pułkowniku, że ma suchoty. Pułkownik marszczył brwi.

- Suchoty? Nie wyglądacie na suchotnika.

- Panie pułkowniku, od roku już...

- Maulhalten! Nie pytam się! Żołnierz odpowiada tylko na pytania... Cóż to za zwyczaje znowu? Dlatego tylko, żeby się oduczyć rezonowania, pojedziecie na front, choćbyście mieli w dodatku i cholere. Na drugi raz będziecie pamiętali o dyscyplinie, wy świnió! Abtreten!

Dopiero w pułku mógł, taki żołnierz wykazać swoją prawdomówność i wracał do

szpitala, aby po jakimś czasie znowu stanąć przed podobną komisją i tak w kółko. Zasada niezwalniania stosowana była przez komisję z uporem godnym lepszej sprawy.

Kania, widząc to badanie, był olśniony szybkością, z jaką się ono odbywało.

- Podoba mi się ta komisja - szepnął do ucha Baldiniemu stojącemu za nim - ale im klina zadam!

Zbiegły jeniec włoski stawał przed komisją austriacką z całkowitą swobodą i humorem. Pierwszy z naszego grona badany był Hładun, który przypomniał sobie czasy udawania idioty w kompanii wartowniczej.

- Nic wam nie brakuje? Nic? Chwała Bogu, chwała Bogu. Zdatny na front, feldfeblu. Abtreten!

- Ich weiss nicht (Nie wiem) - ni z tego, ni z owego odezwał się Hładun.

- Was? (Co)

- Ich weiss nicht.

- Was wissen sie nicht? (Czego nie wiecie?) - zapytał pochylony lekarz.

- Ich weiss nicht - powtórzył po raz trzeci Hładun z tym samym tępym wyrazem twarzy. Lekarz odsunął okulary na czoło i przybliżywszy swoją twarz do jego twarzy bacznie mu się przyjrzał. Potem osadził okulary na swoim miejscu i westchnął.

- Ten idiota też jest zdatny, feldfeblu. Następny. Następny był Kania. Lekarz spojrzał na jego muskulaturę i przyłożył mu stetoskop do piersi.

- Wam to chyba nic nie brakuje, chwała Bogu, chwała...

- Chwała Bogu, mam, panie sztabsarct, padaczkę - zameldował zdecydowanie.

- Was?

- Mam padaczkę, panie sztabsarct. Lekarz zwrócił się do pułkownika.

- Powiada że ma padaczkę, panie pułkowniku. Pułkownik, oderwany od rozmowy, zamiast na Kanię, który zrobił krok naprzód, wywalił swoje czerwone oczy na Baldiniego,

- Padaczkę? Ta choroba wcale nie przeszkadza w służbie frontowej. Epilepsja nie jest zaraźliwa, prawda, panie doktorze? Nie ma obawy epidemii na froncie? Co? Właśnie! Pójdziecie więc na front, przyjacielu.

- Padaczka rzeczywiście nie jest zaraźliwa - odezwał się przecierając z westchnieniem okulary lekarz - ale pan pułkownik mówi do innego; ten jeszcze nie był badany. Pułkownik wsiadł na Baldiniego.

- Dlaczego nie odpowiadacie? Stoi jak ta latarnia i nie odzywa się! Ach co za ludzie, co za ludzie! Pułkownik z kolei zwrócił się do Kani.

- Dlaczego wyrywacie się bez pozwolenia naprzód? Wy jesteście ten epileptyk?

- Tak jest, panie pułkowniku. Dziedziczny...

- Nawet dziedziczny... Schauen sie mal, meine Herren... (Popatrzcie no, moi panowie...) dziedziczny epileptyk... Słyszeliście, że ta choroba nie jest zaraźliwa? Nic więc nie stoi na przeszkodzie waszemu wyjazdowi na front. Chłop jesteście jak byk! Gdyby zachodziła obawa zawleczenia na front epidemii, poszlibyście do szpitala, tak jednak nie widzę przeszkód, które by was miały wstrzymać od spełnienia obowiązku wobec ojczyzny. Abtreten!

- Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że...

- Stulcie pysk! Jak śmiecie odpowiadać bez zapytania? Co? Dlatego tylko, żebyście się nauczyli dyscypliny, pójdziecie na front, choćbyście mieli dziedziczne zapalenie mózgu! Tam was oduczą rezonowania! Abtreten, wy świnió!

Kania szurgnął bosymi nogami i odszedł do gromady zgrupowanej w kącie, gdzie poddał się piętnowaniu.

- 3. dywizjon artylerii konnej - rzekł feldfebel.

- Niech pan, z łaski swojej, pluje na ołówek, panie feldfebel - uprzejmie zwrócił się do feldfebla - bardzo nie lubię, kiedy mi plują na plecy. To jest niehigienicznie.

Feldfebel spojrzał na niego groźnie.

- Wy mi tu nie mówcie nic o higienie, bo was zaraz nauczę higieny swojej własnej!

Mimo to napluł na ołówek. Pozostali zostali zbadani bez większych przeszkód. Haber nie przejął się srogością pułkownika i wyjechał z platfusem.

- Platfus nie przeszkadza - zaczął lekarz.

- Wysokiej komisji nie przeszkadza, ale mnie bardzo. Nie mogę biegać.

- Przydzielą was do lotnictwa. Będziecie latali w powietrzu z waszym platfusem.

- Panie sztabsarct, melduje posłusznie, że ja mam zawroty głowy i do lotnictwa się nie nadaje. Będę rzygał na dół.

- Nie zawracajcie mi głowy, dobry człowieku, i bądźcie łaskawi pójść sobie do diabła.

Kiedy się wszyscy zebrali, Kania zaczął oglądać plecy,

- Każdy gdzie indziej. Dokąd idziemy, chłopcy?

- Smaruj jaki batalion etatowy i fertig!

- Zawsze to w tyle będziemy mieli spokój.

Zasłonięty przez towarzyszy, Kania wytarł to, co napisał im na plecach feldfebel, i wpisał każdemu identyczny przydział.

"Et. Bat. 16".

Jemu ten sam przydział wymalował na łopatce Baldini, po czym podeszli do stolika,

przy którym prezentowali plecy jakiemuś cugsfirerowi, wręczającemu karteczki z wypisanym numerem kolejnym i przydziałem. Po tej ceremonii mogli się ubrać i czekać na wezwanie do przyległego pokoju, gdzie kilku spoconych podoficerów wypełniało arkusze ewidencyjne. Przed każdym stolikiem stała kolejka i podoficer, nie podnosząc głowy, zadawał szybkie lakoniczne pytania, a odpowiedzi wpisywał w odpowiednie rubryki arkusza. Kiedy miała przyjść kolej na Hładuna, ten odwrócił się i szeptem oznajmił:

- Zaraz będziecie mieli przedstawienie.

Twarz wykrzywił w grymas ogromnej głupoty, opuścił dolną wargę, otworzył usta i z przygasłymi oczyma podszedł do stolika, kładąc na nim karteczkę.

- Imię i nazwisko? - zapytał podoficer szybko, nie patrząc na niego.

- Pantelejmon Durnycia - odpowiedział Hładun ze smarknięciem.

- Wie? Wiederholen sie dass... (Jak? Powtórzcie to...).

- Pantelejmon Durnycia.

Podoficer oderwał głowę od arkusza i uważnie patrzył na jego usta.

- Jeszcze raz powtórzcie,

- Pantelejmon Durnycia,

- Aha, Pantelmon Durnisia. Geboren? (Urodzony?).

- Ich weiss nicht. (Nie wiem). Cugsfirer znowu podniósł głowę.

- He? Gdzie jesteście urodzeni? - powtórzył pytanie podoficer.

- Nie wiem.

- Toś mi zdrowego ćwieka zadał, człowieku! Nie wie, gdzie się urodził! Panie feldfebel, może pan pozwoli do mnie! Jest tutaj taki jeden ananas, że sobie z nim nie poradzę.

Do stołu podszedł feldfebel.

- Jakiej narodowości jesteście?

- Nie wiem.

Fedfebel otworzył szeroko oczy.

- No - powiedział, patrząc na idiotyczną minę Hładuna - mędrzec z ciebie, jak widzę.

- Kto zna tego człowieka? - zapytał, zwrócony do stojących w tyle.

- Ja go trochę znam - zameldował Kania.

- Czy to idiota?

- Nie wiem. Śpi ze mną na jednej sali. Wiem tylko, że nie umie po niemiecku.

- Jakiej on jest narodowości?

- Hucuł, panie feldfebel.

Hładun pociągnął nosem z takim hałasem, że podoficer zżymnął się.

- Nie masz chustki, idioto? Kapie mu z tego nosa jak z wodospadu. Pewno mu ten zjełczały mózg tak przez nos wycieka. Cóż to za naród ci Huculi, kapralu? Jeszcze nie słyszałem o czymś podobnym.

- Mieszkają na granicy serbskiej - bez wahania odpowiedział Kania - to taki ludek na wymarcu. Bardzo mało ich jeszcze jest na świecie.

- Na wymarcu... hm... Dlaczego ta bestia żyje wobec tego? Potraficie się z nim rozmówić?

- Spróbuję, panie feldfelbel...

- No to tłumaczcie pytania i odpowiedzi. Zapytajcie go, gdzie się urodził. Kania spojrzał na Hładuna znacząco i rzekł po polsku:

- Gadaj, że nie wiesz. Dobrze to robisz.

- Ich weiss nicht - odpowiedział przedstawiciel wymierającego narodu.

Kania rozłożył ręce bezradnie.

- Zdaje mi się, że to jednak idiota, panowie. Powiada, że nie wie.

Feldfelbel splunął.

- Musimy jednak ten arkusz wypełnić w jakiś sposób, do stu diabłów! Gdzie ci Huculi mieszkają, kapralu?

- Na granicy serbskiej.

- Trzeba będzie, cugsfirerze, pójść potem do kancelarii batalionu i znaleźć na mapie jakąś miejscowość graniczną. Wpisze mu to pan jako miejsce urodzenia. Zapytajcie go, kapralu, o imię ojca.

- Ty, bracie swoje - zwrócił się Kania do Hładuna i ten zaraz posłusznie odpowiedział jak przedtem.

- Ich weiss nicht.

- Nie wie, jakie jest imię jego ojca? - zdziwił się feldfelbel. - A masz ty w ogóle ojca? Żyje twój ojciec, bałwanie?

- Ich weiss nicht - ze smarknięciem zadeklarował Hładun.

Wszyscy znajdujący się w kancelarii podoficerowie i szeregowcy patrzyli teraz na niego, jakby oglądali mastodonta. Feldfelbel był stropiony.

- Podobnego kretyna spotykam w swojej służbie po raz pierwszy, cugsfirerze.

- Rzeczywiście, rzadki okaz - potwierdził cugsfirer - nie wiadomo teraz, jak napisać w tej rubryce "ojciec". Nie wiadomo, żyje czy nie żyje. Jeżeli żyje, musiałby mieć imię, a tego, jak widać, nie dojdziemy do śmierci z tym idiotą.

- Pisz pan krzyżyk i fertig, panie cugsfirerze. Gdyby nawet miał ojca, to już pewno

umarł ze zmartwienia, że takiego głupiego draba spłodził. Pytać o matkę nie ma sensu, bo nam to samo odpowie. W rubryce "matka" maluj pan tak samo krzyżyk. Kaput, bracie Durnisia, z twoimi rodzicami! Oficjalnie ich teraz do grobu wkładamy, verstanden? Sierotą zostałeś, Pantelemonie! Patrz pan! Ja do niego gadam, a on sobie afisze na ścianie ogląda. Zapytajcie go, kapralu, jakiego wyznania... Chociaż nie potrzeba, bo się od niego nie dowiemy. Jakiego oni są wyznania?

- Mahometanie, panie feldfelbel - bez zająknięcia zameldował Kania - ale trafiają się między nimi także chrześcijanie.

- Znowu klin - westchnął cugsfirer - diabeł wie, w co to bydlę wierzy.

- Pantelmon, hm... Pantelmon - mamrotał feldfelbel - dziwne imię, co? To będzie prędzej chyba tureckie niż katolickie. Rypnij mu pan, cugsfirerze, wyznanie muzułmańskie.

- Zawód? Co tutaj napisać? Feldfelbel popatrzył znowu na Hładuna.

- Jaki w ogóle zawód może mieć takie bydlę? Zawodowy idiota, należałoby napisać...

Czym się trudnią ci Huculi, kapralu?

- Wyrabiają łapki na myszy i wędrują po całym państwie z różnymi wyrobami drucianymi.

- Kropnij pan w arkuszu "druciarz"! Czy to oni nie chadzają w takich łykowych albo rzemiennych sandałach, kapralu?

- Tak jest, panie feldfelbel, to są ci sami.

- Teraz już wiem. - Feldfelbel skinął głową. - Ale to są dosyć sprytni ludzie. Jeden mi raz wsadził fałszywą monetę, kiedy mi wydawał resztę. A ten to widać jakiś wyrzutek, jakaś oferma narodowa. Co tam dalej idzie, cugsfirerze?

- Wykształcenie.

- No, filozofii chyba nie studiował z tą swoją głupią jadaczką. Pisz pan "analfabeta".

Dalej?

- Dalej idzie opis osoby.

- Dosyć płynnie idzie nam ta ewidencja z tobą, Durnisia. Pisz pan opis osoby.

- Twarz?

- Powinno się napisać "morda" albo "paszczyka" i dodać w nawiasie "prosi o uderzenie cegłą"... Czy to można nazwać twarzą? Czego smarkasz tak, ty muzułmański osle? Nos ci spuchnie.

Huculski muzułmanin stał w milczeniu przed stołem, a na twarzy miał wyraz bezdennie idiotycznego roztargnienia i w ogóle nie reagował na wypowiedane pod jego adresem uwagi. Przy rubryce "znaki szczególne" feldfelbel wzruszył ramionami.

- Z tą rubryką kłopotu wielkiego nie ma także... napisze pan: "idiota" albo lepiej "kretyn".

- Nie wiem, czy w instrukcji jest coś o tym powiedziane. W tej rubryce ma się pisać, panie feldfelbel, cechy fizyczne, a to będzie cechą umysłową.

- Pisz, człowieku, na moją odpowiedzialność "kretyn". To jest najtrafniejszy znak szczególnie... Teraz niech odcisnie palec swój na arkuszu i niech idzie do cholery! Tak. Spal się, idioto! Przez ten czas można było dziesięć arkuszy wypełnić!

Hładun pożegnał się wyjątkowo solennym smarknięciem i odszedł od stołu.

Z kolei Kania przysporzył zmęczonemu cugsfirerowi roboty ze swoim skomplikowanym nazwiskiem.

- Pszkszbsz... Herr Gott im Himmel! (Panie Boże w niebie)! Jak to można takiego szeleszczącego tasiemca wymówić? Kto tym Polakom takie straszliwe nazwiska ponadawał? Powtórz pan jeszcze raz!

- Szczepan Brzę-czysz-czewski - wyskandował z zadowoleniem Kania.

- Przencisieski... Przensisieski... Język drętwieje od tego.

Aby go pocieszyć, podał Kania jako miejsce urodzenia miejscowość wprawdzie nie istniejącą, ale za to niemożliwą do wymówienia dla Niemca.

- Mszczonowieścice, gmina Grzmiszczosławice, powiat Trzcino-grzechotnikowo.

Cugsfirer odrzucił pióro i złapał się za głowę.

- Gdzie to jest? W Galicji? O zgrozo!... Od samego słuchania robi się słabo!

Do stołu podszedł z papierosem w ustach feldfelbel.

- Co znowu, cugsfirerze?

- Nazywa się, panie feldfelbel, Szczepan Przensisieski, urodzony w Moszoszeszisz, gmina Kszmiszszalwisze, powiat... tego sam diabeł nie powtórzy.

Feldfelbel ze współczuciem pokiwał głową.

- Rzeczywiście, dziwaczne nazwy mają ci Polacy. Daj mu pan arkusz, niech to sam powpisuje.

Kania wypełnił arkusz zmyślonymi danymi biograficznymi, które wprowadziły cugsfirera w osłupienie. Kiedy wszystko przeczytał, pokiwał głową.

- Taki arkusz trafia się raz na dziesięć lat. Czegoś podobnego, panie kapral, jeszcze nie słyszałem! W ilu bitwach pan był? Tu chyba ze czterdzieści miejscowości jest wypisanych! Kiedy pan zdążył być w Azji, miły Boże!? Rzeczywiście, waleczny z pana człowiek.

Po spisaniu ewidencji całą paczką, nie zwracając uwagi na resztę kompanii, poszli do kantyny.

Wieczorem okazało się, że prawie wszyscy znajdujący się w stacji zbiorczej żołnierze zostali przeznaczeni na front. Czesi nabrali takiego wigoru wojennego, że śpiewali w swoim kącie tak głośno, iż podoficer służbowy musiał ich nieustannie uspokajać i nie mógł sobie z nimi poradzić.

- Śpiewać, bracie, wolno; jedziemy na front, musimy mieć nastrój, nie? Zapytaj samego komendanta, jeżeli nie wierzysz. Nastrój musi być i wyrabiamy go stale. Chcesz wypić za nasze zdrowie? Żłop, bracie Niemiaszku, i znaj prawdziwych, patriotów!

Przed capstrzykiem nastrój bojowy spotęgował się do tego stopnia, że zrezygnowany służbowy, ledwie trzymający się na nogach, machnął ręką.

- Sr..., przyjaciele, na służbę! Dosyć, sacra!... Śpiewajcie sobie, co wam się podoba, nie zwracajcie uwagi na mnie!

Wgramolił się na pryczę w czeskiej domenie i położył się z czapką naciągniętą na twarz.

- Jeżeli kto będzie pytał o mnie, powiedzcie, że umarłem; Der Dienstkorporal ist gestorben! (Kapral służbowy umarł!).

I zaczął pod czapką śpiewać starą sentymentalną piosenkę niemiecką:

Drahaj Lihilieen, drahaj Lilien (Trzy lilie, trzy lilie)

Die pflanz ich aug mein Grab (Sadzą na swym grobie)

tra la la la...

Potem zrobiło mu się bardzo smutno, że sam na swojej własnej mogile sadi trzy lilie. Zaczął płakać i wreszcie usnął z mokrą od łez twarzą.

Wieczór ten odznaczał się wywracaniem do góry nogami całego obowiązującego na stacji zbiorczej porządku. W wytwarzaniu rozgardiaszu celowała specjalnie dwunasta sala w trzeciej kompanii. Dinstfirender nie mógł się doszukać podoficera służbowego i powierzył tę funkcję jakiemuś zgryźliwemu kapralowi z obwiązaną twarzą, który cierpiał na dokuczliwy ból zęba, dzięki czemu miał pieskie usposobienie i wybuchał gniewem z byle jakiego powodu. Kania siedział w swoim kółku i popijał koniak właśnie wtedy, kiedy kapral zaczął wypędzać pluton na zbiórkę do capstrzyku, do czego żaden z nich nie miał ochoty.

- Na zbiórkę musicie pójść. Prędzej, bo kompania czeka! Kania niedbale pociągnął z butelki.

- Stawajcie na zbiórkę, bo pójde do oficera służbowego.

- Idź sobie nawet po następcę tronu!

Ponieważ stojąca na korytarzu w dwuszeregu kompania okazywała swoje

niezadowolenie w sposób zgoła niepokojący, kapral pogroził pięścią, zgrzytnął zębami i wyszedł na korytarz. Wracający do sali żołnierze zastali naszych przyjaciół nadal przyjemnie rozgadanych dokoła rozłożonych na pryczy zapasów.

- E, koledzy - zawołał Tyrolczyk - wrywajcie, bo poszedł po oficera służbowego.

- Naprawdę?

- Zapytaj innych. Odgrażał się na głos.

- Włóżmy pod prycze - zakomenderował Kania i ująwszy w rękę butelkę na czworakach wczołgał się pod szeroki barłóg. Za nim wpelzła reszta z pudełkami sardynek i wędlinami pod pachą.

W rozgwar rozbierających się i rozmawiających żołnierzy wpadł w pewnej chwili głośny okrzyk:

- Habt acht!

W sali ucichło. Kania wyciągnięty na płask na podłodze dojrzał zbliżające się do ich legowiska buty z cholewami, a za nimi podkute trzewiki kaprala.

- Gdzie są ci ludzie?

- Tutaj siedzieli i pili wódkę, panie lejtnant.

- Ja się nie pytam, gdzie siedzieli, tylko gdzie są teraz - mówił zasapany po wędrówce na drugie piętro oficer.

- Melduję posłusznie, panie lejtnant, że pozostawiłem ich tutaj.

- He? I rozplynęli się w powietrzu, co?

- Kto wie, gdzie jest ten kapral? - zapytał służbowy żołnierzy.

- Wyszedł na zbiórkę z kompanią - odezwał się ktoś.

W podobnych wypadkach w szeregach austriackich panowała wyjątkowa solidarność.

- Nie widziałem ich na zbiórce.

- No więc co, kapralu - zawołał ze wściekłością oficer - gdzie są ci przestępcy?

- Melduję posłusznie, panie lejtnant, że pozostawiłem ich tutaj. Lejtnant żuł coś w zębach.

- Jeżeli się jest takim straszliwym durniem jak wy, to się zamyka drzwi na klucz i wtedy jesteście pewni, że ich macie. Tak zrobiłbym ja.

- Panie lejtnant, mel...

- Stulcie waszą głupią jadaczkę, kiedy ja mówię! Jeżeli jakiś drań zachowuje się wbrew przepisom - wywodził oficer - i chcecie go ukarać, to mu się nie otwiera drzwi na oścież i nie zaprasza do ucieczki. Rozumiecie, wy, niebotyczny idioto?

- Panie lejtnant, mel...

- Trzymajcie tylko wasz wychodek zamknięty, kiedy ja mówię, kapralu. Nie skończyłem - uciał inspekcyjny - a jeżeli ich nie ma, nie ma tym samym winnych i nie ma kogo ukarać, natomiast nastąpiło inne przewinienie, mianowicie wprowadzenie w błąd organu służbowego i za to poniesie karę ten, kto się tego przewinienia dopuścił, a więc wy.

- Bardzo ładnie mu to wytłumaczył - szepnął z uznaniem Kania do leżącego przy nim na podłodze Habera i łyknął z butelki.

- Panie lejtnant, meldu,...

- Co "meldu"?... Co "meldu"... Wy, wy... wielbłądzie dwugarbny! Jutro do raportu!

Oficer wyszedł. Służbowy odprowadził go aż na korytarz. Wróciwszy do sali zbliżył się do legowiska, na którym przed chwilą dopuszczono się tak jaskrawo naruszenia przepisów.

- Kto ich widział? - powtórzył zapytanie pod adresem żołnierzy.

- Ja, ja, ja... - odezwały się odpowiedzi z różnych stron.

- Gdzie są?

- W d....

Wobec tych jednobrzmiących odpowiedzi nieszczęsny służbowy już zamierzał wyjść, kiedy poczuł jakieś palce zaciskające mu się na łydce. Spojrzał w dół i najpierw zobaczył jedną dłoń z symboliczną figurą, a następnie drugą z butelką, wreszcie głowę. Spod pryczy gęsiego wyłazili ci, których widoku tak gorąco był spragniony kilka minut temu.

- Ach, wy!

- Nie radzę ci, przyjacielu, jeszcze raz iść do oficera służbowego, bo się niepotrzebnie zmęczy - dobrodusznie mówił Kania patrząc na butelkę pod światło.

Kapral zacisnął pięści.

- Ja się z wami policzę! Poznacie mnie jeszcze!

- Już pana znamy, panie kapral - wtrącił Szökölön. - Jest pan dwugarbnym wielbłądem...

- Ja was... ja wam... - Kapral zachłysnął się z wściekłości. - Zobaczycie!

- Kicham na pana z ironią, panie kolego - uprzejmie odezwał się Kania.

- Jawohl - potwierdził z ukłonem Baldini i wlaź na pryczę.

Kapral ze złością nacisnął czapkę i wyszedł z sali. Po wypróżnieniu butelki długi czas jeszcze trwały rozmowy po ciemku. Tematem ich były nie, jakby się tego można było spodziewać, bliskie perspektywy wyjazdu na front, lecz plany dalszej dezercji i łązikowania. Należy przypuszczać, że gdyby ci sami żołnierze pomysłowość swoją wykorzystali na froncie, państwa centralne wygrałyby wojnę światową w niedługim czasie.

FINIS AUSTRIAE

Następnego dnia rano, bezpośrednio po pobudce, po całej stacji zbiorczej zaczęły krążyć jakieś dziwne wieści, które rozprzestrzeniały się z błyskawiczną szybkością. Rozpoczynający się dzień, ponury i dżdżysty, był tragiczny dla monarchii austro-węgierskiej. Był to ostatni dzień jej istnienia, dzień 31 października 1918 roku.

Nie wiadomo skąd do wszystkich sal stacji zbiorczej przedostała się wiadomość, że do komendy przyszedł w nocy szyfrowany telefonogram, zawiadamiający o jakimś manifeście cesarza, który dotąd miał być trzymany w tajemnicy. Oficerowie i podoficerowie gdzieś się podzieli, okazało się, że są w komendzie, na odprawie. W stacji zbiorczej zapanował szalony ruch. Żołnierze z rozgorączkowanymi twarzami chodzili z sali do sali i jeden drugiego pytał o nowiny. Chodziły słuchy, że cesarz Karol abdykował na rzecz swego małoletniego syna Ottona. Inne wieści głosiły, że jest zamordowany. Kolportowano również wiadomość o jakimś buncie na froncie włoskim i utworzeniu tam rad żołnierskich. Nikt nic pewnego nie wiedział i najrozmaitsze plotki rozpały i bez tego bujną wyobraźnię zgromadzonych w koszarach żołnierzy.

Ci, którym po śniadaniu udało się przedostać przez wysoki mur do miasta, wrócili z wiadomościami nieco wiarygodniejszymi. Na murach rozklejane były afisze nawołujące do posłuszeństwa władzy państwowej, w osobie cesarza, jak również orędzie do "wiernych ludów", głoszące, że każdy naród będzie miał prawo do szerokiej autonomii w swoich granicach etnograficznych.

Ludność gromadziła się przed tymi afiszami i różnie je komentowała. Nieliczni patrioci obwiniali Naczelne Dowództwo o zdradę Niemiec, których pomoc miała być rękojmnią zwycięstwa; inni zaś smutnie kiwali głowami i mówili coś o cesarzowej, która miała rzekomo nawiązać kontakt z koalicją w sprawie zawarcia oddzielnego pokoju.

Wiadomości te podziały na zgromadzonych w stacji zbiorczej jak iskra prochu.

Około południa otwarcie wypowiedziano posłuszeństwo podoficerom służbowym i wszyscy kategorycznie domagali się pozwolenia wyjścia do miasta.

Warta została wzmocniona przybyłym z jednego z pułków garnizonu plutonem piechoty, a przed bramą stanęły dwa karabiny maszynowe. Obsługa, w hełmach bojowych, siedziała przy nich i z nikim nie wdawała się w rozmowę. Byli to Niemcy z Górnej Austrii. Nie wiadomo skąd na dachu stacji zbiorczej pojawił się czeski sztandar biało-czerwony, który początkowo uważano za polski. Powiewał on dumnie na wietrze ku radości włączających się na

podwórzu Czechów. Oni też byli pierwszymi, którzy dali hasło do otwartego wypowiedzenia posłuszeństwa. Po obiedzie wszyscy żołnierze zgromadzili się na podwórzu i zaczęli wznosić okrzyki, domagając się wypuszczenia na miasto. Komenda stacji zareagowała na to ściąganiem do koszar jeszcze jednego plutonu piechoty. Młodziutki fenrich zastąpiony został przez udekorowanego oberlejtanta z czarną opaską na prawym oku, który u wejścia do komendy postawił wartę.

Podziałało to na żołnierzy prowokująco. Wartownicy z bagnetami na karabinach oglądali się nieswojo na swoich dowódców i coraz chętniejszym uchem nasłuchiwali okrzyków z kłębiącego się na podwórzu tłumu żołnierskiego.

Z któregoś okna wyleciał na bruk podwórza taboret. Dało to sygnał do ogólnego demolowania urządzenia koszar. Posępny, jednooki oberlejtant wyszedł na schodki komendy i dał znak stojącemu obok niego trębaczowi. Rozległ się sygnał. Żołnierze powrócili na podwórze i zgromadzili się przed komendą w odległości kilkudziesięciu kroków. Oberlejtant podniósł rękę.

- Wzywam was do zachowania spokoju i ostrzegam przed dawaniem posłuchu agitatorom namawiającym was do łamania przepisów. Jeżeli akty nieposłuszeństwa powtórzą się jeszcze raz, będę do was strzelał jak do psów i żywa noga stąd nie ujdzie! Macie natychmiast powrócić do swoich sal i czekać na dalsze rozkazy! Rozejść się!

Wysłuchali oficera w milczeniu, kiedy jednak skończył, po małej przerwie rozległy się okrzyki:

- Nie strasz, nie boimy się!
- Dostyc tyranizowania!
- Precz z Austrią!

Oficer wodził swoim jednym okiem po rozkrzyczanym tłumie tłoczącym się na placu i wolno odpinał futerał rewolweru.

- Precz z tyranami! Precz z Austrią!

Z okna komendy wyjrzała ostrożnie trupio blada twarz pułkownika.

- Dawać go tu, złodzieja! Na gałąź z nim!

Tłum zakołysał się i pułkownik schował głowę. Oberlejtant wydał jakiś rozkaz stojącemu przy nim fenrichowi, ten zaś z kolei powiedział coś do obsługi karabinów maszynowych, która położyła się przy nich na ziemi i otworzyła skrzynki z taśmami amunicyjnymi. Na czoło tłumu wysunął się Kania, uzbrojony w karabin i otoczony kilkoma, również uzbrojonymi, żołnierzami. Oberlejtant zauważył ich i podniósł rękę.

- Natychmiast oddać karabiny!

- Wypuście nas do miasta!

- Nie będę z wami pertraktował, szaleńcy! Oddajcie karabiny i wracajcie do koszar. W tłumie podniósł się znów gwar i rósł z sekundy na sekundę.

- Dosyć rzezi! Nie damy się dalej zabijać! Chcemy do miasta! Oberlejtant wyjął rewolwer.

- Daję wam trzy minuty czasu na wykonanie mego rozkazu. Równy z końcem trzeciej minuty otwieram ogień.

Spokojnie odwinął rękaw i patrzył na zegarek. Kania szybko naradzał się z otaczającymi go żołnierzami.

Z tyłu odezwały się okrzyki:

- Zmasakruje nas, wracajmy lepiej do sal!

- Cicho być!

- Wybrać komitet!

- Racja, wybrać komitet!

- Zebrać radę!

Jakiś żołnierz uniesiony na rękach zwrócił się do tłumu:

- Wracamy do koszar i wybieramy komitet. Do koszar!

- Do koszar!

Wszyscy zaczęli cisnąć się do wejścia. Rozgniony Kania z ręką na zamku karabina zamykał odwrót. Ledwie weszli, z górnych pięter zaczęli zbiegać żołnierze.

- Zbierają się! Odchodzą!

- Pilnować drzwi, może zechcą wdrzeć się za nami?

Kania wrócił na dół i wyrzwał. Stalowe hełmy przed komendą znikły. Zgromadzone przed wartownią i obok bramy pogotowie piechoty, ustawione w czwórki, było gotowe do odmarszu. Z komendy stacji zbiorczej wyszedł oberlejtant i szybko stanął na czele oddziału. Wydał komendę i wyprowadził go za bramę. Podwórze znowu się zappełniło. Przywódcy byli zdetonowani i nie wiedzieli, czemu przypisać nagły odmarsz pogotowia.

- Będą nas ostrzeliwali z dział! - krzyknął ktoś.

- Do komendy!

Całym tłumem rzucili się w kierunku komendy i wpadli do wnętrza budynku. Wszystkie kancelarie były puste; na podłodze leżały porzucane papiery, wszędzie panował nieład, wskazujący na pospieszną ucieczkę. W jednym z pokoi stała otwarta na oścież kasa, całkowicie opróżniona.

- Uciekli!

Rozwścieczeni żołnierze zrywali ze ścian portrety cesarza i darli je na strzępy. Kiedy zdemolowali urządzenie komendy, ktoś rzucił hasło rozgrabienia magazynów, które doszczętnie ogołoco. Znalaziono w nich kilka beczek rumu; zaczęła się bezładna, chaotyczna pijatyka. Niektórzy żołnierze przypinali sobie do płaszczy kawałki czerwonego materiału, inni zaś ozdabiali się małymi kokardkami o barwach narodowych. Kania, z przypiętym na miejscu austriackiego bączka orzełkiem, zwoływał Polaków. To samo robili przedstawiciele innych narodowości. Połowa zdążyła już tymczasem wyjść za bramę nie zatrzymana przez nikogo. Wartownia była pusta. Koszary pozostawiono na pastwę rozwydrzonego tłumu, który chciał na kimś wyrzucić zemstę za znoszone przez kilka lat katusze. W baraku demolowano urządzenia wewnętrzne, wybijano szyby, w końcu zaś podpalono stertę słomy i podwórze rozświetliło się jaskrawym płomieniem.

- Podpalić koszary!

- Nie jesteśmy dzikusami! - wołali rozważniejsi.

- Do miasta, do miasta!

Powoli zapadał mrok i na niebie ukazała się luna pożaru, ogarniającego kilka drewnianych baraków stojących na podwórzu stacji zbiorczej. Kania polecił jakiemuś lwowiakowi zebrać wszystkich Polaków, przypinać im do mundurów biało-amarantowe kokardki albo orzełki i wyjść z nimi z koszar zwartym oddziałem.

Z miasta przybiegli ci, którzy poprzednio wyszli za bramę.

- Rewolucja!

Za chwilę na podwórzu rozległy się okrzyki:

- Re-wo-lu-cja!...

Żołnierze ściskali się i całowali, zapanowała nieokiełznana radość.

- Niech żyje Polska! - krzyknął Kania.

W ślad za tym okrzykiem zaczęły się rozlegać inne, w różnych językach. Przyniesione z miasta wiadomości brzmiały różnie. Jedni opowiadali o zatłoczonych wojskiem pociągach, odjeżdżających w kierunku frontu, inni zaś zaprzeczali temu i twierdzili, że pociągi pełne są uciekinierów z linii bojowej, gdzie podobno zaprzestano walki. Władze wojskowe w mieście były bezczynne. Na ulicach nie można było spotkać ani jednego oficera lub starszego podoficera. Ktoś widział leżącego na ulicy zabitego feldfebla. Baraki na podwórzu spaliły się do szczytu i zapanowała ciemność. Żołnierze wrócili do koszar. Każda grupa narodowa wydelegowała jednego przedstawiciela do stworzonej ad hoc komendy tymczasowej, mającej zaprowadzić jaki taki porządek. Wszędzie panowało jedno tylko pragnienie: wyjechać do domu.

Polacy, zgromadzeni na oddzielnym piętrze wraz z Czechami, postanowili przed wyjazdem zabrać pozostawione w magazynach karabiny i amunicję.

Kania, obrany dowódcą, w porozumieniu z innymi wyznaczył wartę i przy bramie pełniły teraz służbę uzbrojone po zęby posterunki na wypadek, gdyby ktoś próbował wdrzeć się do koszar. Obawiano się zresztą jedynie żandarmerii węgierskiej.

Przez całą noc nikt nie spał; zaszły wypadki, uzupełniane ciągle świeżymi nowinami, dały mniej więcej zgodny i jasny obraz położenia. Fronty przestały istnieć. W każdym kraju koronnym powstawały rządy narodowe, które ogłaszały niepodległość. Monarchia habsburska ostatecznie znikła z mapy Europy.

Z okna wagonu pociągu zdążającego do granicy włoskiej wychylił się były jeniec wojenny Giuseppe Baldini, w cywilnym ubraniu podróżnym.

Na peronie przed wagonem, w austriackim mundurze, ale ze srebrnymi wężykami na kołnierzu i orzełkiem na maciejówce, stał Kania.

Na dworcu panował szalony ruch; we wszystkich kierunkach biegali zaaferowani podróżni, między którymi widziano przemykających się jakoś trwożnie mężczyzn w mundurach wojskowych, ale bez oznak stopnia, na których miejscu widniały jaśniejsze tła po odprutych przezornie naszyciach i gwiazdkach, Kania palił papierosa i patrzył w górę.

- Mam nadzieję, że będziesz miał dosyć znośną podróż. Trochę spokojniej jest w ostatnich dniach.

- A kiedy ty wyjedziesz?

- Jak skończę gromadzić rodaków. Już mam przydział. Za kilka dni przyjdzie moja nominacja na podchorążego czy nawet podporucznika... Nie wiem dokładnie...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zamknął usta i patrzył bez słowa na twarz przyjaciela.

- Bitte einsteigen! (Proszę wsiadać!) - nawoływali konduktorzy.

Baldini wyciągnął rękę i Kania chwycił ją w swoją dłoń. Obydwom cisnęły się na usta jakieś słowa, ale nie wypowiedali ich i patrzyli sobie w oczy.

- Jestem ostatni z paczki - odezwał się Baldini - oni są już pewno w domu...

- Prawdopodobnie.

Konduktorzy przechodzili wzdłuż wagonu i zatrząskiwali drzwiczki.

Baldini mocno potrząsnął trzymaną w uścisku dłoń.

- Żegnaj, przyjacielu, mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy w lepszych warunkach. Kania przełknął łzy.

- Niedługo...

Od strony parowozu odezwał się ostry gwizdek.

- Do widzenia, Giuseppe... do widzenia, drogi towarzyszu...

- Arivederci, amico!... (Do zobaczenia, przyjacielu!...) Ciężko mi się z tobą rozstawać...

W oczach Włocha ukazały się łzy.

- Mnie też jest ciężko - odpowiedział Kania odwracając głowę. Po chwili jednak wyprostował się i uśmiechnął.

- E, do diabła rogatego!... rozmazgałem się!

Po drugim gwizdku wagony drgnęły i powoli zaczęły sunąć wzdłuż peronu. Baldini nie wypuszczał dłoni Kani, który szedł obok wagonu.

- Żegnaj, życzę ci szczęścia.

- A ty pisz zaraz po przyjeździe do domu. Adres masz.

- Napiszę, na pewno napiszę.

Pociąg nabierał szybkości i obaj przyjaciele jeszcze raz mocno uścisnęli sobie dłonie. Kania skinął głową.

- Do widzenia!

Chciał jeszcze coś krzyknąć, ale słowa uwięzły mu w gardle i patrzył w milczeniu na okno wagonu, w którym stał Baldini i machał chusteczką.

Kania wyteżył oczy, aby widzieć ten malejący coraz bardziej obraz. Wreszcie zasnutymi mgłą oczyma dojrzał już tylko czarny punkt ostatniego wagonu. W punkcie tym ześrodkował wszystkie wspomnienia, a kiedy i on znikł za linią horyzontu - w promiennej tarczy zachodzącego słońca ujrzał cztery twarze. Twarze wiernych towarzyszy, z którymi przeżył ostatnie miesiące służby pod czarno-żółtym sztandarem nie istniejącej już monarchii.